



EWA CIELESZ

ZAKRYTE LUSTRA

SNY I PRZEBUDZENIA



EWA CIELESZ

ZAKRYTE LUSTRA
SNY I PRZEBUDZENIA

TOM I





Icóżeś narobiła? – niewysoka, tłuściutka kucharka w sztywno krochmalonym czepku, spod którego wysuwały się srebrzyste pierścionki włosów, aż podskoczyła na dźwięk rozbitego szkła, którego okruchy rozprysły się po ceglanej podłodze. Jej piwne, na ogół zmęczone oczy ożywiły się i zapłonęły złością.

Wiesia, jej pomocnica, w popłochu spoglądała to na rozbite naczynie, to znów na Kazię, sprawczynię szkody. Ta zaś chwyciła nerwowo leżące pod ławą gęsie skrzydło i pospiesznie zmiatając nim skorupy, ukradkiem oglądała się na drzwi.

– To nis takiego – tłumaczyła szybko, niewyraźnie wymawiając słowa.
– Niech Aniela nie ksysy. To tylko fajansowy imbrysek, niewiele wart...

– A już ci! – wzięła się pod boki oburzona Aniela. – Nic takiego! A to ulubiony imbryczek naszej pani.

– Ja odkupię... W miasteku odkupię... – chlipnęła Kazia i otarła oczy fartuszkiem.

– Nie wiadomo, kiedy ty do tego tam miasteczka pojedziesz – burknęła Aniela. – No już, przestań się mazać. Pani Rozalia ma teraz większe zmartwienie, może nie zauważy. Marchewkę lepiej oskrob, w koszyku leży.

Kazia skinęła głową, wysypała skorupy do śmieci, przysiadła na ławie i przysunęła do siebie kosz z warzywami.

– O, patrzcie! – Wiesia lubiła zerkać przez małe, kuchenne okno. Dawało niewiele światła, więc pozostało nagie, nieosłonięte firanką. Z tego powodu dziewczyna oderwała nos od szyby, odskoczyła na bezpieczną odległość i ukryła się w cieniu kuchni. – Pan Zygmunt idzie – rzuciła szeptem. – Chyba wiosnę poczuł, bo kapelusza dziś nie włożył.

– Może zgubił! – odezwała się Kazia i wytarła głośno nos. – Pan Zygmunt nawet latem w kapeluszu chozi, bo to elegansko – dodała, a jej twarz rozjaśnił rozmarzony uśmiech. Podkochiwała się skrycie w tym dziwnym starszym panu, niespełnionym poecie, a choć starała się tego nie okazywać, cała służba domyślała się jej sentymentów i pokpiwała z głupiutkiej dziewczynki kuchennej, która tak niefortunnie ulokowała uczucia.

– O, tak. Bardzo elegancko, zwłaszcza gdy kapelusz wyświechtany – ironizowała Aniela.

– Co z niego za mężczyzna – droczyła się z Kazią Wiesia. – Cudak taki i niedorajda, żal patrzeć.

– Nie można tak mówić. On secies wierse pise – broniła go Kazia.

– I na co komu te wiersze – zachnęła się Aniela. – Lepiej by do roboty się wziął. Niechby choć brata zastąpił w obowiązkach, skoro... – Aniela urwała nagle, złapała chochlę i zaczęła nią mieszać bulgoczącą zupę. – A on nic – dodała po chwili z nieukrywaną złością. – Ścieżki wydeptuje i o niebieskich migdałach myśli. Darmozjad.

– Skąd on się tutaj wziął? – zainteresowała się Wiesia, chociaż tę historię słyszała już setki razy. – Aniela opowie? – zapytała słodziutko.

– A ty ubiłaś masło? – napadła na nią kucharka i otarła kułakiem oczy, gdyż cebula, którą właśnie siekała, była nad wyraz ostra.

– Ubiłam.

– To wynieś do komory.

– Kiedy kluczy nie ma. Pani Rozalia gdzieś poszła. Widziałam jak wychodziła. Psy wzięła. I koszyk pleciony niosła.

– A, prawda. Mówiła, że podbiał pójdzie zbierać.

– O mój Boże! – zawołała ze zgrozą Kazia i wytrzeszczyła oczy. – To pewnie w imbrysku będzie chsiała go pazys. A imbryska nie ma!

– Ano nie ma. I nie będzie, trudno – wzruszyła ramionami Aniela. – Marchewkę obrałaś?

– Obrałam.

– To i dobrze. Teraz ją opłucz i drobno posiekaj.

– Dobrze.

– A ty, Wiesiu, wyłóż masło do misy i przykryj ściereczką.

– To nie wynosić do komory?

– Przecież kluczy nie ma – rzuciła kpiąco Aniela i wzniosła oczy ku niebu.

– Ach, prawda – machnęła ręką Wiesia i zachichotała, żeby pokryć zakłopotanie. – To zimną wodą zaleję i postawię w kredensie... A Anielę pięknie proszę o panu Zygmuncie opowiedzieć – przypomniała.

– Ja nic nie wiem – machnęła ręką kucharka.

– E, niemożliwe – rzekła przymilnie Wiesia i trąciła łokciem Kazię. – Jest coś, o czym Aniela nie wie?

– No, może coś tam wiem. Ale tylko tyle, ile o uszy mi się obilo – zaznaczyła i podwijając uporczywie opadający rękaw płóciennej koszuli, obwieściła przyciszonym głosem: – Podobno Zygmus chciał się kiedyś zenić, ale panna w ostatniej chwili się rozmyśliła, więc on przy bracie został. Kiedy Jan, to znaczy jego brat, ożenił się z naszą panią, to Zygmunt tutaj, do Przylipia za nim przyjechał.

– Rezydent na utrzymaniu brata – pokręciła głową Wiesia i spojrzała znacząco na Kazię.

– Niby na utrzymaniu brata – sprostowała z niezadowoleniem Aniela. – Ale tak naprawdę spadł na głowę pani Walerii, bo dom do niej należy, a nie do Jana.

– Jan siedział u teściowej, a ta niedojda, Zygmus, u Jana? – podsumowała z fałszywą ciekawością Wiesia, ponieważ doskonale o tym wiedziała. Chciała jednak sprawić przyjemność Anieli, która lubiła poczuć się ważna, a tak właśnie się czuła, ilekroć uchylała rąbka sekretów Stalickich. Pracowała tu najdłużej i bardziej od innych była związana z tą rodziną. Już jej matka służyła jako kucharka u pani Walerii, a ona, Aniela, przyszła do pomocy, gdy rozpoczynała piętnasty rok życia.

– A co mi tutaj opowiesz? – oburzyła się kucharka. – Jan po próznicy nie siedział. Pani Waleria wtedy była już wdową. Jej starsza córka, Felicja, za mąż wyszła i wyniosła się do sąsiedniej wsi, do męża, więc Rozalii wypadło z mężem przy matce zostać. I dobrze się stało, bo Jan pracowity był i mądry. Pięknie majątkiem zarządzał.

– Aż umarł – dopowiedziała Wiesia.

– Aż umarł – zgodziła się Aniela i obejrzała się na drzwi, jakby chciała coś dodać. W efekcie zrezygnowała i machnęła tylko ręką.

– A Zygmunt został – rzuciła Wiesia, zerkając na Kazię.

– Ano został – westchnęła kucharka i skrzywiła się z niesmakiem.

Początek kwietnia nie skąpił barw ani słodkich woni. Smukłe brzozy, czeremcha i tarnina mijane w drodze do pobliskiego zagajnika okryły się świeżą zielenią i drobnymi kwiatami. Rozśpiewały się brzęczeniem trzmieli i pszczoł. Między drzewami liściastego lasku bielił się kobierzec zawilców, w powietrzu unosił się zapach miodunki i fiołków. Na łąkach rozkwitały już

stokrotki i mniszek, a w bardziej podmokłych miejscach złociły się kaczeńce. Wśród zwierząt, ptaków i owadów nastąpiło wiosenne poruszenie. Całe to zamieszanie przy budowaniu gniazd i wyściełaniu norek dla powoływania nowego życia oznajmiały świergoleniem, brzęczeniem i wabieniem w swoim zwierzęcym języku.

Smukła, wysoka postać Rozalii przemykała między drzewami zacienionego o tej porze sadu, którą prowadziła ścieżka na rozciągniętą pod brzozowym zagajnikiem polanę. Tam najczęściej zbierała zioła, które suszyła później w przewiewnym miejscu. Sporządzała syropy i nalewki, maści i napary, by w razie potrzeby nieść pomoc okolicznym mieszkańcom i domownikom. Zazwyczaj to właśnie dwór pełnił rolę apteki, a ich właścicielki, przejąwszy umiejętności od swoich matek i babek, doskonaliły je jeszcze własnymi doświadczeniami, podszeptami przyjaciółek i czytaniem artykułów zamieszczanych w poradnikach. Dzięki takim osobliwym kursom niosły pomoc cierpiącym najlepiej, jak umiały. O innej opiece medycznej nie mogło być mowy, gdy na kilka wsi wypadał zaledwie jeden wykształcony doktor. Dlatego każda szanująca się ziemianka dysponowała przeznaczoną na medykamenty szafą apteczną, którą sama wyposażała, porządkowała i pilnowała przed niepowołanymi rękami. Rozalia mogła być dumna ze swojej apteczki, do której miała szczególne upodobanie. Interesowała się medycyną i wciąż zgłębiała jej tajniki, tym bardziej że w sieni skromnego dworku, zwłaszcza jesienią, tłoczyły się wiejskie kobiety w przesiąkniętych wilgocią kapotach, rozpalone gorączką dzieci wtulone w ramiona matek i kaszlący chłopcy z ciężkim, świszczącym oddechem.

Matka Rozalii, Waleria, niezrównana w stawianiu baniek oraz trafnych diagnoz, mimo upływu lat wciąż z oddaniem krzątała się wokół chorych. Niestety, od kilku dni sama potrzebowała pielęgniarki. Rozalia nigdy nie

bała się o matkę tak bardzo jak teraz. Gdy pewnego tragicznego lata kostucha zabrała jej ojca, a znów przed dwoma laty jej mąż Jan zasnął wieczorem, by nie obudzić się nigdy więcej, uwierzyła w nieuchronność kresu. Zrozumiała, jak kruche jest ludzkie życie i że śmierć zabiera nie tylko obcych i dalekich, lecz bez skrupułów sięga po najbliższych i ukochanych. Dlatego drżała na myśl o chorobie matki, do której była niezmiernie przywiązana. Ech, czasem chciałaby być kamieniem. Trwałym, twardym, bez uczuć.

W milczącym zadumaniu nawet nie zauważyła, że słońce oblało się purpurą i zabierając z sobą resztkę ciepła, skryło się za horyzontem. Dopiero gdy jej ramionami wstrząsnął chłód, chwyciła z ziemi wypełniony zielem koszyk, gwizdnęła na dwa dorodne wyżyły i sprężystym jak na swoje pięćdziesiąt lat krokiem ruszyła w kierunku domu. Znad zarośli podnosiła się włochata mgła, z której wynurzała się olbrzymia lipa i usytuowana obok niej, kryta gontem, bryła rodzinnego domu. Z opowieści matki wynikało, że dawniej lipy były trzy, a pierwotna nazwa majątku brzmiała Trzylipie, a nie Przylipie jak po ścięciu dwóch z nich.

Minąwszy duży okrągły gazon, Rozalia uśmiechnęła się leciutko na widok zbyt szerokich i zupełnie niepasujących do reszty budynku schodów. Prowadziły do wspartego na czterech kolumnach ganku. Takie reprezentacyjne wejście świadczyło o ułańskiej fantazji jej ojca, który projektował ten niezbyt okazały, ale ładny i funkcjonalny dworek. Wspomnienie ojca było równie mgliste jak otaczająca ją mleczna, wilgotna melancholia. Gdy była dzieckiem, wydawało się jej, że ten wesoły i przystojny mężczyzna będzie przy niej zawsze. Dlatego nie przywiązywała wagi do chwil, które teraz okazywały się znaczące, za którymi się tęskni. Zostały nieliczne obrazy, kiedy wdrapywała się na jego kolana lub przynosiła mu kapelusz i wkładała go zawadiacko na

przyprószoną siwizną głowę, a on zaśmiewał się razem z nią. Albo gdy wślizgiwała się do jego pachnącego tytoniem gabinetu, ojciec zawsze odrywał się od swojej pracy, chwycił ją pod pachy, sadzał sobie na ramionach i nosił w podskokach na barana... Te obrazy przesuwały się ulotnie i znikwały w powodzi codziennych spraw. Jednak niektóre wspomnienia, chociaż zupełnie nieistotne, jawiły się wyraźniej: ojciec ukryty za płachtą gazety, niecierpliwie przekładający jej strony w poszukiwaniu choćby jednego słowa zwiastującego przywrócenie wolnego kraju. I to zgniatanie zadrukowanego papieru w kulę, wrzucanie jej z furią do kominka przy akompaniamencie złowrogich pomrukiwań. Albo ojciec otwierający szeroko ramiona na widok gości. Uwielbiał ich, zwłaszcza takich, którzy wpadali na moment, zniecka. Zwabiał ich do salonu, częstował dobrym trunkiem, osaczał opowieściami, teoriami, poglądami i przetrzymywał w sieci słów tak długo, aż matka z zakłopotanym uśmiechem nieśmiało proponowała im nocleg. Ojciec bardzo doceniał fakt, że nigdy z tego powodu nie robiła mu później wymówek.

Kiedy leżał w lesie przygnieciony ciężkim pniem drzewa, a kwietniowe słońce i radosny szczebiot ptaków zaprzeczały umieraniu, klęcząca przy nim matka z przerażeniem liczyła jego płytkie oddechy, zanikające tętno i goniła wzrokiem odpływające spojrzenie. Drwale, świadkowie wypadku, do dziś twierdzą, że to duch starego hrabi nie mógł znieść szczęścia swojej narzeczonej u boku innego mężczyzny. Opowiadają też, że pani Waleria nie uroniła wtedy ani jednej łzy. Kiedy jej mąż skonał, roztała na policzku wilgoć jego ostatniego tchnienia i uciekła w las. Rozpacz zagłuszała śpiewaniem, które echem niosło się hen, aż do wsi. Ludzie mówili, że pani Waleria straciła z żalości rozum. Ale ona wróciła następnego ranka

spokojna, oczyszczona, gotowa na wyzwania, które stawiało przed nią życie.

Równie silna i zrównoważona była jej młodsza córka, Rozalia. Właśnie teraz, gdy zadumana wracała z koszem pełnym ziół, uświadomiła sobie, że znów jest kwiecień i znów śmierć zbyt blisko kręci się wokół ich domu. Zimny strach przebiegł jej po plecach, gdy ostrożnie, powoli otwierała drzwi, jakby bała się zbudzić przyczajony cień nadciągającego opuszczenia i żałoby.

Wyżły wtargnęły do sieni pierwsze. Otrząsnęły sierść z wieczornej mgły i pobiegły do kąta, gdzie czekały na nie pełne, przygotowane przez Wiesię miski. Rozalia, zostawiwszy koszyk pod kuchennymi drzwiami, położyła dłoń na klamce drzwi wiodących na krótki korytarz, a stamtąd do sypialni matki. Cofnęła ją jednak i uchyliła te po prawej stronie przestronnej sieni, pełniącej rolę głównego holu. Minęła jadalnię, gdzie czekał nakryty do kolacji stół, i weszła do salonu. Tu przez większe niż w pozostałych pomieszczeniach okna wpadał zmierzch, pogrążając w napływającej szarości drewniane podłogi, bielone ściany zdobione wizerunkiem ukrzyżowanego Jezusa nad wejściem i portretem księcia Józefa Poniatowskiego nad kominkiem. Rozalia nie rozumiała, dlaczego zajmuje on honorowe miejsce w reprezentacyjnym pokoju. Uważała, że jego reputacja pozostawiała wiele do życzenia. Waleria jednak zawiesiła obraz przez wzgląd na męża, który nie zwracał uwagi na kompromitujące wyczyny przystojnego szlachcica, widział w nim natomiast znakomitego i zdolnego przywódcę wojsk. Przy tymże kominku, na pokrytym wytartym zielonkawym aksamitem, starym fotelu zwykł zasiadać Zygmunt. Lubił, gdy drewno płonęło, mieniąc się jaskrawymi kolorami, a ogień drżał podobnie jak jego przejęty głos, gdy czytał swoje dzieła z egzaltacją i nadmiernym patosem.

Salon urządzony był przypadkowo, nagromadzonymi w poprzednich epokach meblami, tak starymi, jak stary był ród Stalickich. Pokolenia pozostawiły po sobie nadgryzione zębem czasu safianowe fotele, szafy z książkami, palisandrowe komody i hebanowy fortepian, na którego klawiaturze swoje białe palce układała niegdyś babka Rozalii. I choć Walerię stać było na dobudowę skrzydła dworku i wyposażenie go w najmodniejsze sprzęty, uznawała podobny pomysł za profanację, bowiem to właśnie dawny klimat sprawiał, że dom miał duszę. Niezwykłości temu miejscu dodawały niepowtarzalne pamiątki, figurki i bibeloty zebrane w podróżach oraz zdobiące ściany grafiki i ryciny w prostych, skromnych ramach. Obrzucone kilimkami zydle, sofa obita adamaszkiem i stojące w rogu salonu krzesła, przed którymi w zapadającym mroku majaczył dębowy stolik do gry w szachy, pozostawały teraz puste. Domownicy rozpiezchli się po swoich pokojach i spędzali czas w samotności, gdyż choroba babki Walerii napełniała wszystkich smutkiem i przygnębieniem.

Rozalia odruchowo poprawiła wiszące w oknach ciężkie portiery, strzepnęła firanki i ruszyła do swojej sypialni, żeby przebrać się przed kolacją. Tu miejsce honorowe zajmowało łóże z drewnianą ramą, na którym otrzymał życie Edward, jedyny syn jej i Jana. Pod ścianą, między dwoma niewielkimi oknami stał sekretarzyk. To przy nim spędzała wolny czas, pisząc listy do kuzynki Eulalii, rozliczając drobne rachunki, układając receptury na rozmaite dolegliwości. Znad sekretarzyka, z portretu oprawionego w szeroką ramę zerkał na żonę łagodnie, nawet trochę filuternie Jan, jakby chciał powiedzieć: „jestem tu, czuwam nad tobą, moja kochana”. Na środku niewielkiego pomieszczenia stał stolik z rzeźbionymi nogami, a przy nim dwa wyściełane krzesła. W rogu, zdobiona unikatowymi ornamentami szafa, stanowiąca kość niezgody między Rozalią i jej starszą siostrą Felicją, która pragnęła mieć ten mebel we

własnym domu. Na szczęście matka nie wyraziła na to zgody i szafa pozostała w komplecie z niziutką komodą, ustawioną po lewej stronie łoża.

Rozalia zrzuciła roboczą sukienkę, nalała z dzbana wody do stojącej za parawanem miednicy i zaczęła zmywać całodzienne zmęczenie.

Dlaczego kobieta wciąż musi się przebierać? – myślała ze złością. Do śniadania trzeba zasiąść w porannej sukni, do wyjścia albo domowej krzątany należy mieć suknię dzienną, a po południu wieczorną. Oczywiście konieczne jest posiadanie sukni na uroczyste okazje i na bale, do tego rozmaite błyskotki i dodatki oraz odpowiednie buciki. Zajmowanie się sobą ogromnie irytowało Rozalię, która uznawała poświęcony temu czas za stracony. Poza tym trzeba się pilnować, żeby nosić to wszystko umiejętnie, nie ośmieszyć się zbyt eleganckim strojem rano, jak niegdyś Godziewiczowa, która zorganizowała u siebie śniadanie. Do dzisiaj w okolicy uznawana jest za osóbkę wielce śmiałą, jeśli nie wulgarną. Zbyt skromny strój wieczorem też nie przystoi. Rozalia doświadczyła tego na własnej skórze podczas przyjęcia u Felicji. Cóż to była za kompromitacja... – odegnała nieprzyjemne myśli i wezwała Marynę, by ta zapięła niezliczoną ilość drobnych guziczków na plecach prostej, lecz eleganckiej sukni.

– Czy Józia czuwa przy pani Walerii? – zapytała, gdy służąca poprawiała jej potarganą wiatrem fryzurę.

– Tak, proszę pani – dygnęła Maryna, młoda, zdrowo wyglądająca dziewczyna z grubym czarnym warkoczem zaplecionym wokół głowy. Nie była urodziwa, ale przyciągała uwagę energicznym i wesołym usposobieniem i dość masywną sylwetką. – Kazała powiedzieć, żeby pani Rozalia się nie martwiła, bo starsza pani czuje się lepiej. Zjadła nawet trochę gotowanych jarzyn i odrobinę kurzego mięsa.

– Ale kto kazał tak powiedzieć? Pani Waleria?

– Nie! – zaprzeczyła żywo Maryna. – Starsza pani nic nie mówi, tylko tak świszczę, kiedy oddycha. Józia kazała powiedzieć.

– Ach, Józia... A doktor był?

– Jutro przyjedzie. Przysłał wiadomość, że dziś musi pilnie do pani Godziewiczowej jechać.

– Do Godziewiczowej? – zdziwiła się Rozalia, bo mieszkająca w sąsiednim majątku wdowa wydawała się okazem zdrowia. – A z nią co?

– Nie wiem. Pan doktor nie napisał – dygnęła znów Maryna i podała Rozalii lusterko. – Ładnie? – zapytała bardzo z siebie zadowolona.

Rozalia rzuciła okiem na swoje odbicie, potem karcąco na Marynę i zbywszy jej ciekawość milczeniem, kontynuowała wątek choroby sąsiadki.

– A kto odebrał wiadomość od doktora?

– Pan Edward.

– Pan Edward – powtórzyła i pokręciła głową z dezaprobatą. – No właśnie, pan Edward. To skąd wiesz, co doktor napisał, a czego nie? – zapytała uszczypliwie.

– Bo... Bo pan Edward rzucił list do kosza z drewnem, co przed kominkiem stoi, więc musiałam sprawdzić, czy to aby nie ważny dokument, bo pan już raz wyrzucił jakiś weksel i była awantura, no więc przeczytałam... – odparła skruszona.

Ku zaskoczeniu Maryny Rozalia pochwaliła jej czujność, kazała zapalić świece w lichtarzach i podawać kolację. Sama zaś udała się do sypialni matki.

Nie spodziewała się zastać tam synowej. Najmłodsza pani Stalicka, Eliza, siedziała przy łóżku na niziutkim stołeczku i trzymając w obu dłoniach rękę babki, mówiła coś do niej z przejęciem. Rozalia odetchnęła z ulgą na widok przytomnego spojrzenia i dobrotliwego uśmiechu

malującego się na twarzy chorej. Wycofała się na palcach i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Eliza nie mogła dłużej znieść wypełnionego ciszą, gęstego powietrza. Dlatego stała tutaj, wśród ledwo zmartwychwstałej zieleni kwietniowych łąk. Wśród chwytnych łapczywie chwil, które dobiera się jedna do drugiej, składa w kufrze pamięci, bo tak szybko zmieniają się w wieczność.

Nikt nie zauważył, gdy wymknęła się chyłkiem i szeleszcząc suknią, zniknęła za owocowym sadem. Przeczeka tu w modlitwie milczenia. Nie chce wracać. Za kurtyną szerokich drzwi dworku dusza babki Walerii opuszcza właśnie scenę i nasycona wiecznością wędruje w nieznane.

I to właśnie teraz, gdy ona, Eliza, odkryła w sobie nowe życie, więc nie wie, co uczynić z sercem, bo zdarzenia w jednej chwili i bolą, i cieszą. Powtarzalność narodzin i śmierci, którym towarzyszy jedynie samotność, obmyślił Bóg. Tylko On wie, jak się z nimi rozprawić.

Jasnowłosa, o wielkich, szarych, jakby wiecznie zdziwionych oczach, Eliza Stalicka z Mrudowskich, córka średniozamożnych ziemian, od sześciu lat mieszkała pod dachem męża w niewielkim białym dworku na wschodnich rubieżach. Edwarda poznała nie przypadkiem, lecz za sprawą Eulalii Wojarskiej, która była jednocześnie przyjaciółką matki Elizy i cioteczną siostrą matki Edwarda, Rozalii. Owa dystygowana warszawianka, zaprosiwszy do siebie Stalickich i Mrudowskich,

zaaranżowała spotkanie młodych w karnawale. Odtąd Eliza już zawsze miała wracać wspomnieniem do chwili, gdy po raz pierwszy ujrzała przyszłego męża. Młody, przystojny, w doskonale skrojonym na wzór angielski fraku, prezentował się wytwornie. Po prezentacji musnął jej dłoń ustami, nad którymi czernił się krótko przystrzyżony wąsik, i porwał ją do pierwszego tańca. Było to siedem lat temu, w roku tysiąc osiemset dwudziestym trzecim. Chociaż władze zaborcze niezbyt przychylnie patrzyły na huczne zabawy, czas od Trzech Króli aż do Środy Popielcowej wypełniał się balami, trwającymi do białego rana. Karnawał ściągał gości z okolicznych miasteczek i majątków ziemskich. Całe rodziny przybywały z bagażami wypełnionymi sukniami, pudłami kapeluszy, perfumami, różami, pudrami i żelazkami do karbowania włosów. Bez tych drobiazgów i różnych fatałaszków trudno się było przecież obejść. Mrudowscy, nadwątliwszy domowy budżet, wynajęli hotelowy apartament, by umożliwić jedynej córce smakowanie wielkiego świata i zabawy. Nade wszystko liczyli, że ich delikatna i nieśmiała jedynaczka nie odrzuci zalotów podstawionego przez Eulalię kawalera. Karnawał był ogromną szansą dla dziewcząt, które pod czujnym okiem matek uwodziły przystojnych młodzieńców, lecz ta niezwykle urodziwa, ale nazbyt spokojna panienka nigdy nie próbowała flirtów z mężczyznami.

Ku satysfakcji Eulalii i radości Mrudowskich Eliza i Edward przypadli sobie do serca. Rodziny zainicjowały przedślubne rytuały, przyglądając się sobie wzajemnie pod względem statusu i zamożności, podczas serii obowiązkowych wizyt. O ile trzydziestoletni Edward musiał się wreszcie ustatkować i cieszył się z wyboru panny o delikatnej urodzie polnego kwiatu, a przy tym dobrze wykształconej, dla Elizy małżeństwo miało znaczenie nobilitujące. Oto, mając lat dziewiętnaście, uwolni się spod rodzicielskiej kurateli i przejdzie pod opiekę męża. Kochała rodziców, to

jednak dzięki małżeństwu nareszcie zacznie liczyć się w towarzystwie. Cóż dopiero, gdy pojawią się dzieci! A Eliza, jako jedynaczka marzyła o całej ich gromadce.

Ślub był paradny, a miesiąc miodowy upłynął na podróżach, podczas których para młoda odwiedzała wszystkich członków rodziny nieobecnych na uroczystościach. Przenosiny do domu męża młoda żona suto skropiła łzami, tęskniąc za matką już w drodze do Przylipia.

Dworek, którego dach tonął w zielonej koronie rosnącej obok olbrzymiej lipy, nie był może wielkopański i wystawny, ale w miarę szykowny, poza tym bez zarzutu spełniał swoje zadania. Był miejscem odpoczynku, pracy i zatrudnienia dla nielicznej służby. Zdarzało się, że latem podejmowano tu gości, którzy przyjeżdżali z miasta dla wytchnienia. W czasie karnawału natomiast rzadko organizowano uczyty i spotkania w szerszym gronie. Rozalia, stanowcza i wyniosła świekra Elizy, nie była zbyt towarzyska. Po stracie ukochanego męża przyjmowała rozrywki z niechęcią i przykrością. Rezydujący w Przylipiu szwagier, poeta, może i miałby ochotę na jakieś inspirujące spotkania, ale nie śmiał się dopominać. Dziwiło to Elizę, która szybko odkryła, że pod chłodnym usposobieniem świekry znajdowało się dobre i wyrozumiałe serce. Zarówno synowej, jak i pierworodnemu wnukowi, który przyszedł na świat rok po ślubie, Rozalia nie szczędziła łagodności i serdecznego ciepła. Podobnej czułości doznawała od babki Walerii, która pokochała żonę swojego wnuka jak własne dziecko.

I oto teraz, gdy Eliza, oparta o pień smukłej brzozy, drzeniem serca przypominała spłoszonego wróbla, a minuty wstrzymywane niepewnym oczekiwaniem parskwały niecierpliwie, w sypialni nestorki rodu rozgrywały się bolesne i dramatyczne chwile.

Czy to prawda, że ponura kostucha w ostatniej godzinie pokazuje się ludziom? – myślała w trwodze. – Mówiły o tym kobiety przy robocie w kuchni. Kucharka opowiadała, że jeśli u wezgłowia śmiercicha stanie, to człowiek może wykaraskać się jeszcze z choroby. Gorzej, jeśli w nogach, o, wtedy nic już nie pomoże. Wtedy wiadomo, że po księdza trzeba posłać i płaczki umawiać. Konie, które stajenny zaprzęgał dla doktora z miasteczka, też jakieś niespokojne były. Wierzgały i prychały, jakby zło jakieś stało im na drodze. A te krecie kopczyki w ogrodzie? Podobno nie wróżą nic dobrego, gdy koło domu jeden po drugim wyrastają jak grzyby. Psy też wyły nad ranem, aż Edward musiał do nich wstawać i jakimś psim przysmakiem uspokajać.

Elizie mgłą zaszyły oczy. Otarła je wierzchem dłoni i zamruwała szybko, żeby nikt płaczu po niej nie poznał. Wszakże Rozalia przy każdej sposobności napomina ją, że stateczna żona i matka sześćoletniego syna powinna już panować nad sentymentami. Bardziej one podlotkom przystoją niż dojrzałej kobiecie. Cóż, gdy jej serce miękkie jak gęsie pierze. Zwłaszcza gdy o babkę chodzi, która ją od pierwszego poznania jak matka do piersi przytuliła i córuchną nazwała. To przy niej Eliza spędzała najurokliwsze chwile na długich i szczerych rozmowach. To jej właśnie wyszeptała kilka dni temu w wielkiej tajemnicy, że chyba drugie dziecko nosi pod sercem i nawet Edward jeszcze nic o tym nie wie.

– Nazwij ją Zofią, córuchna – poradziła rozczulona babka. – Zofia Męczennica, matka trzech córek, Wiary, Nadziei i Miłości, będzie jej patronować. Wtedy możesz być spokojna o jej los.

– Babcia mówi z taką pewnością – zaśmiała się Eliza. – Ale może urodzić się chłopiec.

– O, nie – babka uniosła wskazujący palec do góry i potrząsnęła nim sugestywnie. – To będzie dziewczynka. Tutaj – położyła dłoń na piersi –

w sercu to czuję.

Zaraz na drugi dzień pani Waleria zemdląła w ogrodzie i od tej pory słabła z każdą godziną.

Eliza oderwała się od białego pnia, do którego przytuliła twarz dla ochłody, strzepnęła suknię, poprawiła na ramionach stargany szal. Trzeba wracać zanim ktoś spostrzeże, zanim zaczną jej szukać.

Na dziedzińcu powóz. To siostra Rozalii, Felicja przyjechała żegnać matkę. Eliza poznała jej letnią dorożkę. Trzeba będzie wejść do zaciemnionej alkowy, przywitać się z nielubianą krewną, a potem pozostać u łóża babki i patrzeć na jej cierpienie. Całe szczęście, Staś w rękach bony, nie musi towarzyszyć matce w tym przygnębiającym wydarzeniu.

Wszyscy już są: świekra, ciotka Felicja, jej mąż Gustaw, obok uczepona jego ramienia szesnastoletnia córka Małgorzata i jej starsi bracia Marek i Mateusz. Jest także Edward, który na widok zarumienionej z emocji twarzy żony uniósł brew w zdziwieniu i delikatnym napomnieniu. Brakowało tylko Zygmunta, lecz on, uznawszy, że jego wrażliwość zostanie wystawiona na zbyt bolesną próbę, nie chciał uczestniczyć w tym smutnym i według niego intymnym pożegnaniu. Eliza podeszła do ciotki i powitała ją chłodno. Podała dłoń Gustawowi, a Małgorzacie i młodzieńcom odpowiedziała zaledwie lekkim skinieniem głowy. Potem stanęła u boku męża i opuściła wzrok na żółte jak wosk i posiekane zmarszczkami oblicze babki. Ta leżała nieruchomo, wodząc jedynie po zebranych na wpół przymkniętymi oczami. W alkowie było duszno, mrocznie i cicho. Słyszeli tylko tykanie ściennego zegara i nierówny oddech konającej.

O stałej porze, bo wszystko w Przylipiu musiało być stałe i odwieczne, pozostawiwszy chorą pod opieką Józki od lat usługującej starszej pani, zasiedli do obiadu. Gospodyni z wyćwiczoną grzecznością próbowała

konwencjonalnych pogawędek. A to o wyboistej drodze wiodącej z majątku Felicji do Przylipia, o podanych potrawach, a także o kolejnym przeziębieniu Zygmunta, który przy pierwszym ociepleniu miał nieostrożność zapomnieć przed wyjściem na spacer kapelusza. Felicja jednak nie zamierzała podtrzymywać tej rozmowy. Z wrodzonym sobie chłodem zapytała:

– A cóż z biżuterią matki? Nie będziesz przecie łakomić się na wszystkie jej błyskotki?

Eliza poczuła na policzkach rumieniec zażenowania, chciała powiedzieć, co myśli o sugestii Felicji, która nawet w takiej chwili nie może powstrzymać swojej chciwości.

– Myślę, droga siostró, że nie pora na takie dysputy – odparła Rozalia, której szyję i policzki pokryły rozległe, różowe plamy. – Matka, póki co, klucza z szyi nie zdjęła i majątkiem nie zadysponowała. Tym szczególnym majątkiem – podkreśliła. – Poza tym jeszcze żywa leży, więc pewnie nieraz przyjdzie ci spojrzeć w jej oczy i ze wstydu płonąć.

Felicja uśmiechnęła się nieznacznie. Piękna i kosztowna biżuteria skrywana w żelaznej skrzynce, do której kluczyk na złotym łańcuszku spoczywał na zwiędłej szyi konającej, warta była folwarku z inwentarzem. Waleria nie otworzyła kufra ani razu, nawet po śmierci męża, gdy niedopilnowane gospodarstwo mocno podupadło. Rozalia rozumiała, że matka nie czuła się właścicielką tych skarbów, bo wciąż wierzyła, że zgłosi się po nie prawowity spadkobierca. Felicja była innego zdania. Uważała, że kosztowności dawno powinny zostać sprawiedliwie rozdzielone. Teraz, gdy matka odejdzie, nie da się tak łatwo zbyć. Będzie walczyć o należną jej część na posag dla Małgorzaty. Ale dobrze, póki chora nie wydała ostatniego tchnienia, może udawać obojętność.

Nikt nie dostrzegł w niej zapalczywości, gdy siłąc się na spokój, skinęła na lokaja i zażądała mniej wypieczonej porcji kurczęcia. Rozalia zaś, chcąc pominąć niewygodny temat, lekko podniesionym z irytacji głosem zaczęła namawiać gości do spożywania posiłku, częstować plastrami pieczonego mięsa i świeżą sałatą.

Tego dnia kobiety nie wyszły na zwyczajową poobiednią przechadzkę, lecz czujnie nasłuchując odgłosów z wnętrza domu, przysiadły na krzesłach, które służba wyniosła na szeroki ganek. Mężczyźni wymknęli się do gabinetu Edwarda wypalić fajki, by już po chwili towarzyszyć paniom przy herbacie. W iluzji ceremoniału nikt nie ważył się poruszać ani bolesnej kwestii umierającej babki, ani sprawy spadku. Owijając słowa w woal uprzejmości i ukrywając niepokój, mówiono o rzeczach nieważnych i oswojonych. Pod tym pozornym spokojem zdawało się, że nic złego nie może się wydarzyć, a wezwany doktor przybył jedynie z kurtuazyjną, przyjacielską wizytą. Eliza, wciąż jeszcze nieprzyzwyczajona do podobnej hipokryzji, siedziała niespokojna u boku Edwarda.

– Może pójde do niej? – szeptała dyskretnie, uśmiechając się dla niepoznaki.

– Nie trzeba, doktor tam jest – odpowiadał cierpliwie mąż i całował jej drobne palce.

Pozorna beztroska skończyła się, gdy doktor po długiej wizycie u chorej wyszedł wreszcie do nich. Zatrzymał się przy drzwiach, schował do kieszeni binokle i pokręcił z rezygnacją głową.

– Nie ma nadziei – rzekł grobowym głosem. – Dziś, najdalej jutro będzie koniec.

Felicja poruszyła się nerwowo, ale pod piorunującym spojrzeniem siostry nie odezwała się ani słowem.

– Herbaty, doktorze? – zaproponowała Rozalia łamiącym się głosem, lecz ten wymówił się taktownie czekającą go jeszcze tego dnia wizytą.

– Dziękuję, droga pani. Prosto stąd jadę do Sępina. Od tygodnia pani Godziewiczowa narzeka na zdrowie.

– Godziewiczowa? Ha, ha! Nie może być! – zaśmiała się Felicja i zaraz umilkła, napotkawszy wzrok doktora.

– Może być, paniusiu – zauważył kwaśno. – Zapewniam panią, każdego choroba może dopaść. No, życzę hartu ducha – dorzucił, zwróciwszy się do Rozalii, po czym skinął na woźnicę.

Minął wieczór, a babka wciąż pojękiwała z cicha na swoim posłaniu. Po kolacji, gdy zasmucona Eliza w zaciszu swojej sypialni modliła się o zdrowie Walerii, ktoś delikatnie zapukał.

– Starsza pani prosi – zakomunikowała Józia i z cichym pochlipywaniem wycofała się do ciemnego korytarza. Była przywiązana do swojej pani i trudno się dziwić, bo łagodna babka Waleria nigdy nie okazywała złości i zniecierpliwienia, a dzieci, od własnych zaczynając, a na prawnuku Stasiu kończąc, uczyła szacunku wobec innych.

– Mnie? – zdziwiła się Eliza, ale nie doczekała się odpowiedzi. Józia oddaliła się prędko, szeleszcząc wykrochmalonym fartuszkim.

Na widok wchodzącej Elizy czuwające przy matce Rozalia i Felicja z ociąganiem odsunęły się od łoża, ale nie spuszczały oka z poźółkłej i skurczonej jak zwinięta pięść twarzy chorej. Ta zaś poleciła Elizie zdjąć sobie łańcuszek z szyi i drżącą z wysiłku ręką zacisnęła kluczyk w jej dłoni.

– To twoje – powiedziała z trudem. – Dla córki. Dla Zosi.

Z piersi Felicji wyrwał się ni to okrzyk, ni pełne oburzenia westchnienie. Zrobiła gwałtowny krok do przodu, lecz Rozalia powstrzymała ją mocnym chwytem za ramię. Na szczęście Eliza nie widziała, co działo się za jej plecami.

– Dobrze – obiecała gorączkowym szeptem, bo tylko tyle mogła zdławionym głosem wydusić ze zboląłego serca.

– Nie mam sił. Idź, niech cię... Bóg błogosławi...

– Babciu – załkała Eliza. – Babciu...

Babka Waleria przymknęła oczy i więcej się nie odezwała. Tylko ledwo wznosząca się i opadająca pierś świadczyła, że duch jeszcze się w niej kołacze. Eliza ścisnęła kluczyk mocno, aż zaczął pulsować w rytm szybkiego bicia jej serca, po czym szybko opuściła sypialnię, by nie wybuchnąć wzbierającą w niej rozpaczą.

Gest i słowa umierającej są święte i niepodważalne, dlatego Felicja zacisnęła zęby i odprowadziła Elizę zawistnym spojrzeniem. Rozalia zaś zastanawiała się, o jakiej Zosi mówiła matka. Być może ledwie przytomna, wydawała jakieś dziwne i nedorzeczne dyspozycje, ale nie czas był w tej chwili o tym myśleć.

Dopiero teraz, gdy matka była jeszcze na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie jej duch oddalał się z każdą minutą, zaczęła uzmysławiać sobie nieuchronność śmierci. Bała się jej, ale dopóki śmierć przechodzi obok, dotyka innych ludzi, wygodniej udać, że jej nie ma.

Nocą, leżąc u boku Edwarda, Eliza nie mogła zasnąć. Obdarzona niespodziewanym prezentem, nie czuła się uszczęśliwiona. Bardziej martwiła się zarówno tym bogactwem, którego pochodzenia nie знаła, jak i niespełnieniem woli babki, jeśli urodzi się syn. Położyła ostrożnie dłoń na płaskim brzuchu i ledwie poruszając wargami, szepnęła:

– Musisz być dziewczynką, kochanie. Musisz być Zosią.

Uspokojona tym zaklęciem, zasnęła.

Ze snu wyrwał ją harmider. Na korytarzu rozlegało się szybkie tupanie. Domyśliła się, co to znaczy.

– Edwardzie – trąciła ramię męża. – Zbudź się, to już...

Zerwali się jednocześnie. Edward narzucił szlafrok, ona chwyciła wiszący na oparciu krzesła lekki peniuar. Niemal biegli słabo oświetlonym korytarzem do pokoju babki, gdzie anioł i diabeł targowali się o bezbronną duszę. Okalające łoże świece drżącym światłem przypominały ulotność życia. Gęste od topionego wosku i ludzkich oddechów powietrze było nie do wytrzymania. A tu jeszcze Rozalia zapaliła poświęconą gromnicę i zacisnęła na niej zimne palce matki. Potem kazała Józi wyjąć spod głowy pani poduszkę i odkryć pierzynę, żeby chorej lżej było odejść. Służąca, szlochając, wykonała polecenie, a w miejsce puchowej poduszki wsunęła tłumoczek wypełniony trocinami.

– Idź, pobudź wszystkich, bo jeszcze kto we śnie za nią pójdzie – mruknął do Józi Gustaw. Natychmiast zerknął na żonę w obawie, że wyśmiej jego polecenie, ale Felicja w milczeniu przymknęła oczy i skinęła głową na znak aprobaty.

Gromnica przechyliła się nagle i w jednej chwili Eliza chwyciła ją, żeby ogień nie zajął koszuli babki. Wtedy ta, ostatnim gestem wpiła się palcami w jej rękę i tak skoła.

Edward skoczył czym prędzej i wydarł ze śmiertelnego uścisku dłoń żony.

– Wyjdź stąd – syknął przerażony. – Wyjdź, bo zabierze cię z sobą!

Z samego rana wezwano wiejską babinę, Olechnę, która była nie tylko najśłynniejszą akuszerką w okolicy, znawczynią ziół i wszelkich chorób, zajmowała się również posługą umarłym. Za dobrą zapłatą myła ich i ubierała, a przy tej robocie śpiewała skoczne piosenki, żeby oblicze Najwyższego, przed którym przyjdzie im stanąć, rozjaśniały radosne, a nie ponure dusze. Rodzinie zakazywała dotykać umarłych, aby jakimś trafem

któreś nie wybrało się za nieboszczykiem na tamten świat. Dlatego na wieść, że Elizę w chwili śmierci połączył z babką silny dotyk, kręciła z niepokojem głową i odmawiała stosowne modlitwy. Krzątając się wokół umarłej, ułożyła monety na jej powiekach, a brodę podwiązała czarną wstążką, bo przez usta albo oczy dusza może powrócić do ciała. Nowiutką suknię z czarnego atłasu przejrzała dokładnie, wyrównując szwy i pozbywając się supłów. W przeciwnym razie dusza mogłaby o nie zaczepić i uwięznąć na stałe. O, Olechna była dokładna i uważna. Ludzie z odległych wsi po nią posyłali, bo z podobną troską odnosiła się do żywych i do umarłych.

Józi nakazała przykryć lustra, bo a nuż uwieczni się na nim odbicie zmarłej. Zatrzymano też wszystkie zegary, by nie zakłócały ciszy i spokoju zaświatów. Wszak czas ziemski był dla umarłej skończony. Do trumny, którą przywieziono przed południem, włożyła poświęcone zioła dla bezpieczeństwa duszy w dalszej drodze, po czym dyskretnie wsypała garstkę maku.

– A po co to? – zapytała Józia, której uwadze nic nie mogło umknąć.

– Niech się tam nieboszczka zajmie liczeniem ziarenek, zamiast myśleć o powrocie do żywych – burknęła Olechna.

Przez trzy doby w domu panowała cisza zakłócana jedynie zawodzeniem kobiet dobiegającym z alkowy babki oraz szuraniem butów i wzdychaniem odwiedzających. Posiłki były skromne, podłogi zakurzone, gdyż zwyczaj nakazywał, by służba i domownicy ograniczali codzienne obowiązki. Nawet Eliza upomniana przez świekre zmarszczeniem brwi, musiała odłożyć haftowanie. I już nie umiała zająć rąk. Snuła się z kąta w kąt i pochlipywała w chusteczkę.

Rozalii serce kroilo się na ten widok. Jej samej żal ścisnął gardło, ale dyscyplinowała emocje, zamykała się w skorupie własnych myśli,

odkładała je na później, kiedy w obecności świętych obrazów będzie mogła ten żal wyrzucić, wymodlić, błagać Boga o pocieszenie.

Otoczyła synową ramieniem i spoglądając jej uważnie w oczy, powiedziała półgłosem:

– Są wypadki, kiedy trzeba się poddać, moja droga. To trudne, ale czasem nic innego nie pozostaje, niż godzić się z rzeczami, na które nie masz wpływu. Trzeba przejść obok tego, przełknąć jak gorzkie lekarstwo. A potem wrócić do życia, robić swoje.

Eliza pokiwała głową i wtuliła się w czarne koronki sukni świekry.

Przez trzy puste noce wypalono prawie cały zapas świec podczas nocnego czuwania. Modlący pilnowali się wzajem, by nikt nie zasnął, bo i tu czyhało zagrożenie, że dusza podczas snu opuści ciało, spotka duszę babki i na wieki z nią odejdzie.

Wreszcie trzeciego dnia przysłała chwila ostatecznego pożegnania i ostatniego spojrzenia na wygładzoną wiecznym odpoczywaniem twarz nieboszczki. Trumnę zamykali przywołani na tę okoliczność służący, którzy wynieśli ją nogami do przodu, żeby zmarła nigdy nie wracała i nie straszyla mieszkańców. Józia z tego samego powodu szybko przewróciła stołki, na których trumna była ustawiona. Konie wypożyczone na tę smutną ostatnią drogę od sąsiada, bo własnych nie powinno się zaprzęgać, wstrzymywano trzykrotnie na znak żałoby. Ostatni raz przy rozstaju dróg, gdzie stała kapliczka przystrojona świeżymi gałązkami brzozy.

Długo jeszcze Eliza nie mogła pogodzić się z odejściem swojej ukochanej przyjaciółki. Nawet Edward, chociaż jako mąż był serdeczny i czuły, nie poświęcał jej tyle uwagi i troski, ile niegdyś babka Waleria. Eliza nie miała mu tego za złe. Przecież oddawał się gospodarskim obowiązkom, z którymi po śmierci ojca został sam. Było co robić w majątku liczącym hektary pól i łąk, kawał lasu, a także okazały inwentarz. Folwarcznej służby nie było wprawdzie wiele, lecz należało nią pokierować, rozdysponować pracę ogrodnika, leśnika i parobków gospodarskich. Trzeba było wydać dyspozycje furmanowi, stajennym i pastuchom, wreszcie robotnikom pracującym w lesie i w polu, których doglądał regularnie, objeżdżając konno włości. Po powrocie zajmował się dokumentami i rachunkami w swoim gabinecie. Brakowało mu czasu dla rodziny. Ale, co nie zdarzało się zbyt często w małżeństwach kojarzonych dla ukrócenia męskich namiętności bądź dla majątkowych interesów, kochał swoją nad wyraz łagodną i piękną żonę. Przepadał również za Stasiem, pierworodnym synem. A teraz, gdy dowiedział się o rychłym przyjściu na świat nowego dziecka, znów rozpieńczyła go dumą i radością.

Po śmierci Walerii Eliza często patrzyła w lustro, przymierzała starość, przysze zmarszczki i siwiznę. Trzeba będzie przez to godnie przejść, nie ośmieszać się przedłużaniem młodości rozmaitymi kobiecymi sztuczkami

jak Godziewiczowa z sąsiedniego majątku. Ech, czy warto przywiązywać się do świeżego obrazka młodości? Bezwzględna śmierć i tak wykpi wszystko, odbierze.

Dotykała wypukłości brzucha i zastanawiała się, jakie ma prawo dawać życie, skoro wszystkim czeka taki koniec. Egzystencja pod zaborami też życia nie ułatwia, jest niepewna i trudna. Jakaż więc przyszłość czeka jej dzieci, bez ojczyzny, z carem na tronie?

Eliza westchnęła. Dopiero co koronowano Mikołaja I na króla Polski. Kuzynka Eulalia pisała, że monarcha zdobył się na gest, by wjechać do Warszawy w polskim mundurze. Chciał przypodobać się dumnym Polakom, a i tak szemrano o planowanym zamachu, więc cara musiał chronić kordon wojska.

Nikt nikomu nie ufa, nie wierzy. Władca poddanym, a poddani władcy – myślała posępnie.

Ożywiła się dopiero na dobiegający zza okna wesoły szczebiot Stasia. Bawił się z folwarcznym chłopcem pod opieką bony. Rozalia ganiła taką poufałość, ale Eliza twierdziła, że dziecku potrzebne jest towarzystwo rówieśników i dopóki jego rodzeństwo nie przyjdzie na świat, może zadowolić się zabawą z synem parobka. Poza tym powinien zbliżyć się do nich. Kiedyś będzie musiał pójść w ślady ojca, zarządzać majątkiem, a więc pracą tych ludzi.

Tego czerwcowego, pogodnego dnia, gdy zasiadano w altanie do podwieczorku, nieoczekiwanie na dziedziniec zajechał powóz. Niezapowiedziana, ale też nieproszona, Felicja wywołała zdumienie i konsternację. Wsiadła w towarzystwie Małgorzaty i nie zważając na gwar dobiegający z altany, energicznym krokiem podążyła w stronę domu. Spokojna zwykle Rozalia pobladła lekko, ale nie wstała od stołu i starała się zachować spokój. Nawet Zygmunt, wyprostowany dotąd jak struna, skulił

się w kącie altany i wielką białą chustką otarł pot z czoła, chociaż kto jak kto, ale on nie miał najmniejszego powodu do wpadania w popłoch i rozstrój nerwowy. Eliza nieznacznym ruchem palców dotknęła kluczyka spoczywającego między jej krągłymi piersiami i ścisnęła dłoń Edwarda. Odwzajemnił uścisk i uśmiechnął się do niej uspokajająco. Mimo to wstrzymała oddech, ujrawszy ponownie ciotkę Felicję, która wracała z wypisaną na twarzy furią. Tuż za nią drobnym kroczeniem podążała Małgorzata. Ta z kolei miała obojętną, a nawet lekko znudzoną twarz, jakby nie jej dotyczyła sprawa utraconego posagu. Rozalia powoli podniosła się z miejsca i przyłożyła dłoń do gardła, co było oznaką silnego wzburzenia.

– Niechże mama usiądzie – odezwał się Edward, po czym udając, że nie zauważył tego całego napięcia, wyszedł gościom na spotkanie.

– A toście nam niespodziankę zgotowały, droga ciotciu! – zawołał, nadrabiając miną. – Właśnie do stołu siadamy, więc posilicie się z nami, zapraszamy.

Małgorzacie zaświeciły się oczy do czerwoniutkich truskawek suto zalanych śmietaną, lecz Felicja obrzuciwszy szybkim spojrzeniem stół, zachnęła się oburzona.

– Niech mi siostrzeniec podwieczorkiem oczu nie mami. Nie przyjechałam tu jeść, tylko sprawę Małgosi uczciwie załatwić.

– Proszę zatem usiąść – odparł grzecznie, ale stanowczo i ciotka, o dziwo, przysiadła ulegle na wskazanym krześle. Małgosia zajęła miejsce przy Stasiu, a on, uczony od najmłodszych lat uprzejmych ceremonii, usłużnie podsunął jej półmisek z owocami. Zwykle w takich chwilach wszyscy uśmiechali się i chwalili chłopca, lecz dziś nikt nie zwrócił na ten gest uwagi.

– Jakąż to sprawę kuzynki Małgorzaty pragnie ciotcia z nami załatwić? – zapytał spokojnie, nakładając jej porcję truskawek i podsuwając

dzbanuszek ze śmietanką. – Nic mi o tym nie wiadomo – dodał, wiodąc zdziwionym albo raczej zaciekawionym spojrzeniem po wszystkich zgromadzonych.

– Nie udawaj, mój drogi – Felicja poderwała się z miejsca i potrząsnęła wskazującym palcem przed nosem Edwarda. – Dobrze wiesz o majątku babki Walerii. Ja to wszystko sobie przemyślałam i twierdzę, że moja matka, nieprzytomną będąc, twojej żonie przez pomyłkę wszystko przekazała. Tymczasem Małgosia za mąż idzie, a jej posag pod ręką tej... tej przybłądy! – ostatnie słowa wypadły histerycznie i piskliwie.

Gdyby ciotka wykazała się choć odrobiną ogłady, życzliwości i dobrej woli do osiągnięcia porozumienia, Edward zdecydowałby o podzieleniu majątku babki. Ton głosu jednak, złośliwość i zادیorność Felicji, rozjuszyły go tak dalece, że porwał się z krzesła, wsparł rękami o stół i przechylony w jej stronę wycedził:

– Niech ciotka tak mojej żony nie nazywa! Ciotka niech na słowa uważa, bo dobre zawsze wracają, ale i złe rykoszetem się odbijają i silnie ugodzić mogą. Nie życzę kuzynce Małgorzacie, żeby w rodzinie jej przyszęłego męża ktoś tak o niej mówił. Co do posagu, babka Waleria nikomu go nie obiecywała, zrobiła z nim więc, co chciała. Obie z moją matką widziałyście, jak babka kluczyk wcisnęła do ręki Elizy. Nie ciotce sądzić o przytomności jej umysłu. Co powiedziała, święte. I wedle jej woli nie Małgorzata, a moja córka ten posag dostanie.

– Nie unós się, Edwardzie – napomniała go Rozalia. – Proponuję układ. Spojrzał na nią zagniewany.

To niesamowite, ile jadu można zmieścić w jednym spojrzeniu – pomyślała, zaskoczona jego tak gwałtowną reakcją.

– Ja w żadne układy z nieuczciwością i pazernością wchodzić nie będę – warknął.

– Przyznać jednak musisz, że płeć dziecka nikomu nie jest znana. Może być, że urodzi się chłopiec. Babka tymczasem majątek przyznała dziewczynce – mitygowała jego wzburzenie Rozalia. – Proponuję podział sukcesji w przypadku narodzin syna.

– Nie zgadzam się – zaoponował i dodał złośliwie: – Do trzech razy sztuka. – Po tym oświadczeniu zerknął z leciutkim uśmieszkiem na żonę, która pod tym spojrzeniem zarumieniła się jak panienka. – Jeśli i następnym razem będzie syn, podzielimy majątek.

– Ha! – zawołała wściekła Felicja, unosząc ramiona. – Wy będziecie zabawiać się w alkowie, tymczasem Małgorzatę wpędzicie w staropanieństwo! Po moim trupie!

Edward roześmiał się z ironią.

– Ciotka niech własny trzosik przetrząśnie i z córką majątkiem się podzieli. Wasz folwark ze trzy razy większy od naszego, a do grobu ciotka przecie go nie zabierze – rzucił jej w twarz, po czym usiadł i spokojnie zabrał się za truskawki.

Pąsowa ze złości Felicja poderwała się z miejsca i nie pożegnawszy się nawet, pospieszyła do powozu, popychając przed sobą niemrawą Małgorzatę.

Rozalia, której nie w smak była kłótnia z siostrą, spojrzała z wyrzutem na syna.

– Mogłeś darować sobie tę zuchwałość. Trudno się dziwić, że o swoje walczy.

– Jej ciągle mało – obruszył się rozjątrzony. – Posag miała przecież hojny. A babka inne przeznaczenie obmyśliła dla tego majątku. Miała do tego prawo, skoro tak szczerze hrabia ją obdarował.

– Hrabia? – odezwała się po raz pierwszy Eliza. Jej wielkie szare oczy otworzyły się jeszcze szerzej w szczerym zdumieniu.

– Tak było – potwierdziła Rozalia. – Stary wdowiec, za którego moja matka wcale iść nie chciała, choć po królewsku był bogaty i wielce w niej zakochany. Umarł bezdzietnie i samotnie, złożony chorobą niedługo przed ślubem. Przedtem jednak wszystkie rodzinne kosztowności ukochanej Walerii podarował. Narzeczona dar przyjęła i złożyła w kufierku. Nigdy z niego nie skorzystała. I tak do dzisiaj tam leży – westchnęła.

– Walerio, która śnisz w błękitnym krajobrazie, niech Twoje imię rozpieszczane słońcem niosą na skrzydłach przejrzyste anioły. Z mojej tęsknoty odejść, bo wszędzie Cię pełno. Odbierasz moje myśli, a zostawiasz własne. Walerio, przyjaciółko, która jesteś we mnie, opuść moją skołataną głowę i odejść do wieczności – szeptała w myślach Eliza, brodząc po wysokiej, wilgotnej trawie.

Lubiła umykać przed ludźmi i zanurzać się w samotność, gdzie myśli mogły krążyć swobodnie, nie natykając się na obce koncepcje, sądy i diagnozy. Cóż, gdy od śmierci babki, nie potrafiła ani na chwilę uwolnić się od jej obecności i czuła, jakby Waleria snuła się za każdym jej krokiem, towarzyszyła w każdej przeżywanej chwili. Nie mówiła o tym z nikim, ale obawiała się, że ten ostatni przedśmiertny dotyk połączył je na zawsze.

Kilka metrów przed nią maszerował Staś, przy którym krążyły nieodłączne wyżyły. Płowe włoski syna jaśniały nad zielenią traw, pojawiając się, to znów znikając za przydrożnym krzakiem lub pagórkiem. Eliza lubiła czasem uwolnić od obowiązków bonę i zabrać syna na przechadzkę, tym bardziej że chłopiec nie był dokuczliwy, nie marudził i nie zadawał szeregu irytujących pytań, nie oczekując odpowiedzi. Teraz szedł dziarsko, zatrzymując się jedynie przy nadętej ropusze, zwinnej jaszczurce czy żuku z opalizującymi skrzydełkami. Jeszcze trzy, cztery miesiące temu Eliza dotrzymałaby chłopcu żwawego kroku, lecz w miarę, jak jej brzuch stawał się coraz cięższy, chodziła coraz wolniej i teraz

niekiedy nawoływała syna, by za bardzo się nie oddalał. A Staś miał swoje ścieżki, swoją wcale nie dziecięcą zadumę i, chyba po ojcu, swoje zdanie, którego potrafił zaciekle bronić. Interesował się wieloma rzeczami wykraczającymi poza wiedzę matki. Na przykład wczoraj spędził prawie dwie godziny w stajni, wypytyując o konie, uprząż i inne sprawy. A znów kilka dni temu, wymknąwszy się bonie, zajrzał do kuchni, gdzie najpierw przyglądał się sposobom wyrabiania masła i sera, a potem zabrał się do wachania rozmaitych przypraw, którymi wypełnione były lniane woreczki ułożone w małych szufladkach kredensu. Rozpytywał przy tym o ich nazwy i koniecznie chciał wiedzieć, do czego są stosowane. Dziewki kuchenne śmiały się z tej ciekawości i podsuwały mu orzechy, rodzynki i inne smakołyki. Eliza nie broniła mu nowych doświadczeń, Rozalia jednak z dezaprobatą kręciła głową, twierdząc, że to nie miejsce dla chłopca, który powinien trzymać się bony i uczyć się jedynie tego, co chłopcom przystoi. Z jednej strony Eliza ufała doświadczeniu świekry, która bez zarzutu wychowała Edwarda, z drugiej zaś nie chciała ograniczać chłopcu zaspakajania ciekawości w żadnym aspekcie. Wystarczy, że ona, jako panienska z dobrego domu podlegała rozmaitym konwenansom i ograniczeniom. Oczekiwano od niej skromności, uległości i niewinności, podczas gdy nieraz miała ochotę towarzyszyć odwiedzającym ich chłopcom w ich zabawach albo śmiało i dobitnie wypowiedzieć własne zdanie. Musiała jednak zrozumieć, że urodziwszy się dziewczynką, stawała się materiałem kształtowanym na posłuszną żonę i matkę. Uczono ją zatem czytania, pisania i prostych rachunków. Uszczknęła odrobinę wiedzy z historii i geografii, a po sprowadzeniu francuskiej guwernantki zaczęła całkiem składnie grać na fortepianie i szczebiotać w języku swojej nauczycielki. Na szczęście nie zabraniano jej książek, mogła więc czytać do woli i poszerzać wiedzę. Poza tym miała być kobieca i gospodarna. W tym

celu większość dnia spędzała przy matce, pomagając jej w obowiązkach pani domu i ucząc się ręcznych robótek. Myśląc o tym, zastanawiała się, czy powinna świadomie ograniczać córce horyzonty, czy raczej przemyślać między układnym wychowaniem wszystko, co wyrobiłoby w niej stanowczość i hart ducha. Czasy były trudne, tu i ówdzie przebąkiwano o niezadowoleniu chłopów i arogancji zaborców. Czyż można w takim czasie uczyć dziewczynkę łagodności i posłuszeństwa? Wszyscy mają teraz wspólne zadanie oswobodzenia się z poddaństwa, odzyskania narodowej niepodległości i ludzkiej godności. Ta ciernista droga wymaga wysiłku mężczyzn i rozsądku kobiet i tylko mądre wychowanie coraz to nowych pokoleń pozwoli wyjść spod niewoli, zasypiać i budzić się bez lęku. Od niej, od matki przecież zależy, jaką przyszłość zgotuje swoim dzieciom.

Gdy tak dumiała, krocząc powoli z naręczem polnych kwiatów, Staś przeskakiwał wysokie trawy, droczył się z psami, żył beztroską dziecięcej nieświadomości.

Wróciwszy ze spaceru, zastała Edwarda w ocienionej winoroślą altanie gwarzącego z Antonim Danickim, zamożnym ziemianinem z sąsiadującej z Przyłipiem Olszówki. Obaj palili fajki i popijali domowe piwo z ciężkich kufli. Eliza lubiła tego sympatycznego, choć czasem pozwalającego sobie na zbyt jawną adorację jej wdzięków, jegomościa. Odesławszy Stasia pod opiekę bony, podeszła, by go przywitać. Na jej widok odgarnął strzechę jasnych włosów, poderwał się gwałtownie i aż zarumienił z zachwytu, jaki w nim wzbudzała.

– Obawiałem się, że nie ujrzę dziś najpiękniejszego kwiatuszka, jak z tego bukietu, co go pani ublichała – rzekł, odbierając z jej rąk kwiaty, które z pietyzmem ułożył na stole. – Pozwoli pani rączki ucałować i o zdrowie zapytać – przyłgnał wargami do jej dłoni z takim oddaniem, aż

Edward uniósł do góry brew, a ona delikatnie, lecz stanowczo cofnęła rękę, maskując zakłopotanie szybkimi słowami:

– Dziękuję, panie Antoni. Bogu dzięki, czuję się dobrze. A jak żona? Dzieci?

– Helenki licho nie weźmie – zaśmiał się frywolnie i mrugnął okiem. – Silna baba, a i na zdrowiu jej nie zbywa. Dzieci, hm... Haneczka rumiana, całymi dniami na powietrzu. A Jędrusiowi jutro czwarty rok stuknie. Chłop na schwał, co?

– To pięknie – uśmiechnęła się Eliza. – Proszę przywieźć ich wszystkich kiedyś do nas. Staś będzie zachwycony towarzystwem do zabawy, a ja chętnie pogawędzę z Heleną.

– A przywiozę, przywiozę – odparł, przy czym znów pochwycił jej dłoń i ścisnął je serdecznie. – Ale innym razem, bo my tu z Edwardem lubimy po męsku schłodzić się zimnym piwem i porozmawiać o polityce. A Helenka tego nie znosi.

Eliza uśmiechnęła się uprzejmie i zgarnęła kwiaty ze stołu.

– Nie będę zatem panom przeszkadzać.

– Ależ pani Elizo droga! – zawołał z udanym przerażeniem. – Przecież pani nas nie opuści, co? Ja właśnie chciałem zapytać, czy nie pogardzi pani naszym towarzystwem i raczy uczynić nam zaszczyt swoją obecnością.

– Chętnie odpocznę w cieniu – zgodziła się skwapliwie z przewrotnym uśmiechem i skinęła na dziewczkę, która sypała kurom odpadki z kuchni. – Kaziu, powiedz Józi, żeby mi robótkę przyniosła z bawialni.

– Dobrze, proszę pani – dygnęła tamta i otarłszy dłonie fartuchem, zniknęła w sieni.

Eliza siedziała, haftując, i przysłuchiwała się rozmowie. Mężczyźni istotnie zajmowali się polityką. Udawała, że nie ma nic do powiedzenia,

choć drżała na myśl, że Edward, zapalony patriota, mógłby nagle wpaść na pomysł wystąpienia przeciwko władzy jako czynny opozycjonista.

– My tutaj, Edwardzie, siedzimy jak u Pana Boga za piecem, co? – kontynuował Antoni przerwana nadejściem Elizy myśl. – Mamy swoją ziemię, która nas wykarmi, i ludzi, którzy zasieją i zbiorą żniwo. Na co nam ta cała polityka, kiedy nam nic nie grozi, co?

– Ależ co mówisz! – uniósł się Edward. – Ty żyjesz jakąś utopią! Czas zapomnieć o tym, co było, i pożegnać się z tą bajką. Car dał nam konstytucję po to, żeby samemu ją łamać. Ludzie się burzą, spiskują, zakładają tajne ugrupowania. Ty też jesteś Polakiem, więc jakim prawem czujesz się bezpiecznie?

– Ciszej, ciszej, Edwardzie – zamachał rękami Antoni. – Każde słowo teraz to kryminał.

– A widzisz – sapnął z satysfakcją Edward i ciągnął, ani na jotę nie zniżając głosu – Przed chwilą cieszyłeś się, że nam nic nie grozi. Kryminał. Cóż kryminał, gdy serce samo rwie się do buntu, do walki, bo trudno znieść myśl, że Królestwo było tylko figurantem, za którym czai się obłudna Rosja ze swoimi rządami. Co się dzieje teraz, sam powiedz, Antoni. Na słowo pisane, cenzura. Na mówione, donosiciele i więzienie. Nawet myśleć po polsku już nie można. Lud prowadzą ku ciemnocie, zakazują gromadzić się, pisać, mówić, żeby nikt nie rozpamiętywał krzywd i nie skarżył się przed światem na naszą niedolę. Żeby nie wspominać, jaki był nasz kraj, i nie marzyć, jakim mógłby być, gdyby nie rozdrapali, nie rozgrabili...

– Ciszej, na miły Bóg, Edwardzie... – syknął Antoni, przechylił się i odgarnąwszy winorośl, zlustrował otoczenie, czy aby ktoś niepożądany ucha nie nadstawia. Na koniec zerknął zmieszany na Elizę, która ze stoickim spokojem przewlekała nitkę przez białe płótno. Przyzwyczajona była do takich rozmów.

– A to dlaczego? – zaperzył się Edward. – Trzeba walczyć. Grecja odzyskała niepodległość, we Francji rewolucja, w Belgii powstanie narodowe przeciw Holendrom, a my gorsi? Dość mieszania się w nasze sprawy, dość nieprzestrzegania naszych praw i swobód, dość represji! Ja się nie boję. I gdyby nie to, że tutaj jestem potrzebny... Ech! Czas się podnieść, przypomnieć sobie, co to ojczyzna.

Eliza opuściła robótkę na kolana i z naganą spojrzała na męża. Ojczyzna jest ważna, ale nie można zapomnieć, czym jest rodzina – pomyślała.

– Krążą pogłoski, że car chce wysłać nasze armie z interwencją do Francji i Belgii. Słyszałeś co? – rzekł półgłosem Antoni.

– No więc cóż? – rozjuszył się Edward. – Będziemy czekać, aż to się stanie? Niech więc ta iskra wreszcie rozbłyśnie, niech zapłonie walką o niepodległość. Gdyby Staś był starszy...

Eliza znów podniosła głowę znad robótki i spojrzała na Edwarda surowo.

– Edwardzie – bąknęła przerażona. – Nasz syn?

– A tak, tak, moja kochana. Nasz syn ma wyrosnąć na patriotę i bohatera. Już ja się o to postaram.

Eliza poszukała spłoszonym wzrokiem Stasia. Siedział dumnie na ulubionym koniu, którego stajenny prowadził za uzdę po podwórku. Bona dreptała obok ze znużoną miną. Coraz mniej miała zajęcia przy wychowanku. Eliza pomyślała, że czas rozejrzeć się za guwernantką.

– Tak, drogi Antoni – rzekł już spokojniej Edward. – Polska musi wrócić Polską, a Warszawa stolicą wolnego kraju, a nie zdeptanym miastem, pełzającym u stóp imperium Romanowów.

– Że też tak mówić się nie boisz, co? – pokręcił głową Antoni i jednym haustem wychylił resztę piwa z kufla.

– Jakby wszyscy bali się jak ty teraz, nic by z tego nie wyszło – burknął Edward. – A ja wiem z pewnych źródeł, że coś się szykuje.

– Nie boję się, ale trzeba ostrożniej...

– Powstaniemy, to kwestia tygodni, dni – zatarł dłonie Edward.

– Edwardzie – upomniał go Antoni i znów poruszył się niespokojnie.

– Wypijmy za to! – roześmiał się Edward i uderzył swoim kuflem o pustą szklanicę Antoniego. – A niech to, ty nic w kuflu nie masz... Alojzy! Alojzy! – zawołał w kierunku ganku, po którym kręcił się służący. – Nalej no panu Danickiemu zimnego piwa.

Słońce stało nad horyzontem, gdy sąsiad dosiadł swojego konia i pokłusował drogą, wzbijając tumany kurzu. Patrzyli za nim, dopóki nie zniknął za wzgórzem.

– Nie uważasz, że byłeś nazbyt śmiały? – zapytała niepewnie Eliza. – A jeśli doniesie?

– Komu doniesie? – roześmiał się Edward. – Na sąsiada doniesie?

– W dzisiejszych czasach nikomu nie można ufać. Musisz być ostrożniejszy w sądach i nie wyrażać ich tak jawnie, kochany.

– A ty musisz być brzydsza, żeby mi ciebie nie bałamucił – otoczył ją ramieniem i w cieniu winorośli scałował całą słodycz z jej rozchyłonych ust. Kiedy oderwał się od niej, miał już całkiem inną twarz. Z pociemniałymi zawziętością oczami położył dłoń na jej brzuchu i odezwał się przez zaciśnięte zęby:

– Tutaj jest pokolenie, któremu trzeba naprawić przeszłość, naszykować godną przyszłość. Czym zasłużyły nasze dzieci, że my, nasi ojcowie, dziadowie pozwoliliśmy na to zniewolenie?

– Pozwoliliśmy? Nasza to wina? – zdziwiła się Eliza.

– A myślałaś, że czyja? Nie sami zaborcy zawinili – potrząsnął głową. – Oni tylko wykorzystali okazję, naszą słabość, niefrasobliwość i pazerność szlachty, która trzęsła portkami o własną pozycję. Kto zrywał sejmy, nie pozwalał przeprowadzać reform? Kto doprowadził do upadku armii, gospodarki? Szlachta, ci posłowie, którzy swoim liberum veto udaremniali każdą rozsądną uchwałę. Bo drżeli o własne tył... O własne...

Chrząknął i ucałował dłoń żony.

– Przepraszam cię, Elizo, wiem, że to nie dla twoich uszu, ale tutaj przecież z nikim innym porozmawiać nie można! – zdenerwował się na nowo. – Nawet z wujem Zygmuntem, bo niemal apopleksji zaraz dostaje.

– Dlaczego? To i jego historia – odezwała się spokojnie Eliza.

– Właśnie dlatego, że dobrze o tym wie. Dlatego, że był wśród tych, którzy do tego dopuścili. Kiedy byłem chłopcem i żył jeszcze mój ojciec, próbował mi tłumaczyć nasze położenie, zasłaniając się historią. A to potopem szwedzkim, to wojnami o tron, przemarszami wojsk, to znów zawiścią carycy Katarzyny i tak dalej. Tak, to wszystko prawda, to osłabiło nasz kraj. Ale gdy dorosłem, otworzyłem szerzej oczy. Ojcu już nic nie powiem, bo go nie ma, ale przyznam się przed Stasiem, żeśmy sami sobie też zawinili. Przyznam się po to, żeby nasze dzieci nie popełniły tych samych błędów, bo nie wolno kosztem całego kraju dbać tylko o własne interesy. To zbrodnia! Konstytucja miała pomóc rozprawić się z tym wszystkim. I co? I nic. Car ją ignoruje! – syknął. Potem spojrzał na drżące ramiona żony i natychmiast się zreflektował. – Ależ tobie zimno, kochanie moje! – otoczył ją ramieniem. – Nic nie mówisz, a ja cię tu zanudzam polityką. Przepraszam, najdroższa, ale z kimże mam rozmawiać, jak nie z tobą? Wracajmy do domu. Staś! Staś! – zawołał w kierunku chłopca. – Zeskakuj z konia. Dość na dzisiaj.

Rozalia, która dyskretnie zza firanki obserwowała młodych, westchnęła tęsknie.

Tyle w tobie podobieństwa do ojca, synu... Wydawałoby się, że tak niedawno i ja tam stałam, a Jan zamykał mnie w ramionach – pomyślała z rzewnym uśmiechem. – Dziś wyglądałby inaczej. Życie, podobnie jak we mnie, wyźłobiłoby w jego twarzy każdą troskę, każdy szczęśliwy śmiech. Tymczasem czas kroczy wiernie przy mnie, a jego zostawił w miejscu. Daleko, coraz dalej w tyle. Jakie to przewrotne, że im dalej jest teraz, tym bliżej do naszego spotkania.

Sierpień odfrunął niespodziewanie jak bociany z podmokłych łąk. Zostawił ściernisko na polach, ociążałe od owoców drzewa, zagony kapusty, kartofli i buraków. Rozalia miała teraz pełne ręce roboty wokół swojej, kobiecej części gospodarstwa. Trzeba było spieszyć się z zapasami, dopilnować skrzętnego zebrania plonów z warzywnika i sadu, nadzorować smażenie konfitur, kiszenie, suszenie i kopcowanie warzyw. Musiała też przygotować apteczkę na falę jesiennych infekcji, kiedy to strumieniami przyplłyną chorzy ze wsi. Eliza, zwykle towarzyszyła jej w tej pracy, tym razem została zwolniona z obowiązków ze względu na swój stan. Spędzała samotne godziny, łapiąc ostatnie promienie słońca na przechadzkach, szyjąc wyprawkę dla niemowlęcia lub bawiąc się ze Stasiem w chwilach, kiedy był wolny od lekcji pod okiem nowo przyjętej guwernantki.

Początek września przyniósł obfite deszcze.

– Dach przecieka, Józia na poddaszu zauważyła mokrą plamę – oznajmiła Rozalia przy obiedzie, po czym zwróciła się do syna: – Powiedz Kajetanowi, żeby załatał, zanim grzyb się wda.

– Dopóki będzie padać, Kajetan na dach nie pójdzie – oznajmił Edward.
– Bardziej martwię się o kartofle, na polu całkiem w błocie zgniją. Kapusta

też niezebrana. Jak tak dalej pójdzie, przednówek będzie ciężki. Dobrze, że choć ze zbożem zdążyliśmy.

– W niedzielę dam na mszę. Niech się proboszcz pomodli.

– O co? – zapytał nieco kąśliwie Edward.

– O ustanie opadów – odparła.

– O ustanie opadów – zachnął się. – A dwa miesiące temu prosiła mama o deszcz. No więc jest deszcz – skwitował kpiąco.

– Nie bluźnij, synu – upomniała go matka. – Wszystko na tym świecie od woli Boga zależy. Ludzie za dużo grzeszą, to i Bóg się gniewa.

Eliza milczała. Tak ją wychowano, że nie odzywała się niepytana. Poza tym nie była tu jeszcze gospodynią, więc i tak niewiele miała do powiedzenia. Rozalia zauważyła tę skromność. Pogładziła jej splecione na kolanach dłonie i powiedziała:

– Nawet się nie obejrzysz, gdy starość mnie przygniecie i klucze oddam w twoje ręce.

– Ależ ja wcale o tym nie myślałam – zarumieniła się Eliza. – Oby mama jak najdłużej pozostała w dobrym zdrowiu.

Rozalia ujęła jej ciepłą dłoń i zamknęła w swoich jak ślimaka w skorupie. Eliza płytkie miała w tej chwili spojrzenie i nietrudno było odkryć, co leży na dnie jej serca. Za tę szczerotę Rozalia kochała ją najbardziej.

– Nigdy nie wiadomo, jak to będzie. Lepiej, żebyś wszystkiego nauczyła się wcześniej. Najważniejsze, to służbą dobrze pokierować i do spiżarni nie puszcząć. Wszystko sama musisz wydać kucharce. To samo z apteczką. Apteczka to wyłącznie twoja sprawa. Musisz pamiętać, żeby zawsze ją dobrze zamknąć...

– Widziałem w apteczce mrówki w słoiku – przerwał jej Staś.

– A tak – potwierdziła Rozalia i łypnęła okiem na Edwarda, który właśnie gromił wzrokiem chłopca. Jej syn bardziej w prawdziwą medycynę wierzył niż w jakieś tam mrówki. – Zalałam je spirytusem. To na reumatyzm – wyjaśniła.

– Czy pokaże mi je babcia jeszcze raz? Proszę, bardzo babcie proszę.

– Nie naprzykrzaj się, Stasiu – upomniała go Eliza, natomiast Rozalia uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Pokażę, kiedy będziesz starszy – obiecała. – Kto wie, czy w przyszłości doktorem nie zostaniesz?

– Będę żołnierzem – oświadczył z powagą.

– Już ty się do tej wojaczki nie zapalaj – ofuknęła go. – Kiedy dorośniesz, będziesz gospodarzył tu, na tej ziemi.

– Będę żołnierzem – powtórzył stanowczo, a Elizę przejęła groza na myśl o wojennej tułaczce syna. Nie po to go chowała, pieściła, uczyła dobrych manier, żeby poniewierał się w szeregach armii.

Milczący dotąd Zygmunt zauważył jej przerażenie.

– Nie martw się – pocieszył ją. – Zanim dorośnie, wiele jeszcze zrozumie.

– Co zrozumie, wuju? – zapytał zaczepnie Edward.

– Już niedługo i ty będziesz to wiedział. Niech tylko Polska o wolność się upomni.

Po obiedzie wszyscy rozeszli się do swoich zajęć. Edward poszedł do gabinetu rozliczać rachunki, Rozalia do kuchni przypilnować roboty przy powidłach śliwkowych, których zapach roznosił się po całym domu, Eliza zaś przeszła do bawialni i z robótką w rękach zasiadła przy oknie, by skorzystać jeszcze z dziennego światła. Deszcz spływał po szybach monotonnie i sennie. Lubiła wsłuchiwać się w jego szum, obserwować strużki wody toczące się rozgałęzionymi ścieżkami. Dziecko poruszyło

się pod sukienką, przypomniało o swoim istnieniu. Nie mogła się doczekać, gdy ukołysze je wreszcie w ramionach.

Drzwi otworzyły się nagle i do pokoju wbiegł Staś, trzymając coś w zaciśniętych piąstkach.

– Niech mamusia zobaczy! – zawołał podekscytowany i wyprostował palce. Po podłodze potoczyły się z hałasem dwie drewniane kulki. – Dostałem od Józinka!

– Syneczku, nie mówi się: „niech mamusia zobaczy”. To niegrzecznie – upomniała go Eliza.

– A jak jest grzecznie? – zapytał. Podniósł kulki i ponownie nimi rzucił. Upadły z łoskotem.

– Mówi się: „proszę zobaczyć”, albo „proszę spojrzeć” – pouczyła Eliza i aż skrzywiła się od tego hałasu. – Od jakiego Józinka? – zainteresowała się. – Kim jest Józinek, kochanie?

– To chłopiec z czworaków – wyjaśnił i znów rzucił kulką. Zaraz potem drugą.

– Stasiu, nie hałasuj, proszę – zacisnęła powieki i dotknęła palcami skroni. Czuła, że za chwilę pęknie jej głowa.

– Ja nie hałasuję, bawię się, mamusiu – sprostował.

– Lepiej będzie, jeśli pobawisz się misiem – poradziła.

– E, to już nie będzie zabawa – zmarkotniał.

– Dlaczego? Lubisz przecież bawić się nim.

– Lubię, kiedy nikt mi nie każe. Taka nakazana zabawa nie jest zabawą.

– Nie? – uśmiechnęła się. – A czym jest według ciebie?

– Kiedy ktoś coś każe, to jest obowiązek – wyjaśnił poważnie.

– Niczego ci nie nakazuję, tylko proponuję – roześmiała się i zwichrzyła płowe włoski syna. – W takim razie wybierz sam jakąś

zabawkę.

– Mogę pobawić się guzikami z tego pudełka? – zapytał bez entuzjazmu.

– Tak. Pod warunkiem, że później je pozbierasz.

– Pozbieram – zgodził się skwapliwie i wysypał guziki na podłogę. Przez chwilę układał je w równy rząd, lecz zaraz je porzucił. – Guziki są nudne – stwierdził zniechęcony.

– Hm... Nie chcesz misia ani guzików – rzekła z udawaną troską Eliza.
– Czego chciałbyś wobec tego?

– Chciałbym mieć mądre buty, mamusiu – rzekł, a jego twarz natychmiast się rozjaśniła.

– Jak to mądre buty? – nie zrozumiała.

– Takie buty, które zawsze trafią z powrotem do domu.

– A dokąd się wybierasz? – zaciekała się.

– Teraz nigdzie, ale później, jak już będę żołnierzem, pójdę bardzo daleko. Chciałbym stamtąd wrócić.

– Och, Stasiu... – rozczuliła się. – To nie buty muszą być mądre, tylko głowa.

Zapadał zmierzch. W kuchni Wiesia zapaliła łojówki i ustawiła je na dębowym stole, przy którym wraz z Kazią i Anielą wydrążyły śliwki na powidła. Rozalia nie lubiła zapachu skwierczącego łoju, dlatego, wydawszy polecenia, szybko umknęła do salonu.

– Dobrze, że jesteś – aż podskoczyła na dźwięk niskiego, zmysłowego głosu, zanim z mroku wyłonił się Zygmunt. Nie zauważyła go wcześniej. Widocznie siedział w ulubionym fotelu, gdzie zwykle bezczynnie wyczekiwał na swoją żonę. Płonący w kominku ogień i żarząca się fajka w jego dłoni były jedynym źródłem światła.

– Ty tutaj? – odezwała się zaskoczona. – Dlaczego świec nie kazałeś palić? Przestraszyłeś mnie.

– Przestraszyłem – powtórzył z goryczą. Podeszedł do niej i odgarnął kosmyk włosów wymykający się spod ozdobnej klamry. – To nic nowego. Boisz się mnie, odkąd tu przyjechałem.

– Odejdź – syknęła. – Wcale nie boję się ciebie – dodała impulsywnie i sięgnęła po pięcioramienny lichtarz ustawiony na pianinie.

– Tak, masz rację – rzekł gorzko, posłusznie odsuwając się o pół kroku. – Źle się wyraziłem. Boisz się nie mnie, tylko mojego uczucia.

– Och, nie zaczynaj znowu! – rzekła z irytacją. Podeszła do kominka i pochyliła się nad koszem z drewnem. Poszukała długiej drzazgi, za pomocą której wykradła z paleniska drżący płomyk. Zapalała świece jedną po drugiej, a padające na jej twarz złote refleksy wygładziły jej policzki, przykryły posrebrzone skronie i dodały blasku oczom.

– Jesteś tak samo piękna jak wtedy, tam, w kościele... – szepnął z zachwytem. – Stałaś u boku mojego brata, a pieśń...

– Nikt nie śpiewał żadnej pieśni – przerwała mu sucho.

– Tak, tak... Masz rację – zmienił ton i zaśmiał się cicho, urągliwie. – Nie pieśń, tylko fałszywe rzępolenie organisty...

– Boże mój – przerwała z oburzeniem. – To była cudna *Aria na strunie* Bacha, jak można tego nie pamiętać?

– O, tak – podchwycił zapalczywie. – Ty zapamiętałaś wszystko: Bach. Książd. Mój brat i twoja szlochająca ze szczęścia matka. Była tak szczęśliwa, że udało się jej zagłuszyć tego kiepskiego organistę. Wszystko pamiętasz, tylko nie to, że patrzyłaś wtedy na mnie. Stałem tak blisko i nie mogłem oderwać wzroku od twoich roziskrzonych oczu. A ty, na miły Bóg, Rozalio! Patrzyłaś na mnie, nie na mojego brata! – Drobne kropelki śliny padały na jej twarz, gdy impulsywnie, niemal fanatycznie cedził słowa,

coraz mocniej na nią napierając. Świecznik, który trzymała w dłoni, niebezpiecznie balansował pomiędzy nimi.

– Nie kłam. Wymyśliłeś to sobie – wydusiła, przyparta do rozgrzanej ściany kominka. – Chcesz wzmocnić swoją pozycję u mojego boku. Nic z tego.

– Nieprawda. To przez te twoje oczy przyjechałem tutaj. Przez to twoje patrzenie. Dobrze o tym wiesz, prawda? – tchnął jej prosto w twarz.

– Puść! Rozum ci odjęło! – szarpnęła się, aż świece zgasły, a wosk z przechylnego lichtarza popłynął gorącą strużką po jej dłoni, po sukience.

– Nie potrzebuję cię tutaj. O niczym innym nie marzę, tylko żebyś stąd wyjechał, na zawsze! Niestety, przyrzekłam twojemu bratu...

– Czarownica! – rzucił w ciemność przez zaciśnięte zęby – Zakłęś mnie, urzekłaś...

– Nie zakłęłam, ale wbiłeś to sobie do głowy, bo niełatwo mnie odgadnąć. Jestem dla ciebie zamkniętą tajemnicą i to cię najbardziej pociąga. Otworzyć mnie, przetrząsnąć moje myśli, to twój cel, nic więcej!

Drzwi salonu otworzyły się nagle i do środka wkroczył Edward. Zygmunt odskoczył od Rozalii, poprawił przekrzywioną kamizelkę i wysoki, sztywny kołnierz koszuli. Po omacku odnalazł stojący pod ścianą zydel i przysiadł na nim, nonszalancko zakładając nogę na nogę.

– Jest tu kto? – zapytał wesoło Edward. – Zdaje się, że kogoś słyszałem.

– Ja tu jestem, synu – odparła nieswoim głosem Rozalia. Nie zdążyła jeszcze ochłonąć po natarczywości Zygmunta.

– O tej porze nie zapalono jeszcze światła? – zdziwił się Edward. – Zawołam Alojzego.

– Nie trzeba, sama to zrobię – uprzedziła go matka. – Nie zapalałam jeszcze, bo świece drogie, a wosku tego roku też za wiele nie zebraliśmy – mówiła szybko, nerwowo, chociaż starała się panować nad roztrzęsionym

głosem. – Poza tym ja lubię szarą godzinę – dodała jakby na usprawiedliwienie.

– Aha – uśmiechnął się Edward, a widząc, jak matce drżą ręce, wyjął z jej rąk lichtarz i sam zapalił świece. – Szara godzina tłumaczy chwilowe próżniactwo i cieszy wolnym czasem. To bardzo przyjemny schyłek dnia... O, wuj również tutaj? – zdziwił się na widok siedzącego pod ścianą Zygmunta.

– Owszem. Wuj również tutaj – rzekł Zygmunt, chrząknął i poprawił się na zydelku.

Edward wykrzywił usta w niechętnym uśmiechu, obrzucił szybkim spojrzeniem matkę, po czym zauważył:

– Wszyscy lubimy szarą godzinę, mamó. – Odstawił lichtarz na pianino, skłonił się lekko i dodał: – Pójdę po Elizę. Może zechce do nas dołączyć?

Wyszedł, starając się nie dociekać powodu zakłopotania tych dwojga.

Rozalia uśmiechnęła się gorzko. Była zmęczona tym wiecznym udawaniem dzielnej kobiety. O ile starała się rozumieć innych, najtrudniej jej było pogodzić się z sobą. Gubiła się w plątaninie własnych domysłów i cudzych emocji. Dlatego potrzebowała prawdziwej, szczerzej czułości i zrozumienia.

W tym dziwnym czasie, gdy już zbyt ciemno na zajmowanie się robotą, ale jeszcze nie pora na zapalanie świec, Stalicycy zwykle zbierali się w salonie. Najchętniej oddawali się luźnym rozmowom, żartom i wspominkom lub omawiali ważne sprawy. Czasem Zygmunt emfaticznie deklamował swoje wiersze, czasem Eliza zasiadała do pianina i przy tym akompaniamencie śpiewała rzewne albo skoczne piosenki, to znów Rozalia przyciszonym, matowym głosem opowiadała baśnie. Kierowała je wprawdzie do Stasia, lecz wszyscy przysłuchiwali się im z upodobaniem.

Tego wieczoru opowieść nie szła składnie. Rozalia gubiła wątek lub popadała w zamyślenie, aż Staś delikatnie potrząsał jej dłonią i dopominał się o ciąg dalszy.

– Proszę, niech babcia opowiada...

Rozalia westchnęła i pogładziła wnuka po włosach.

– Może jutro, Stasiu – rzekła przepraszająco. – Dziś mam strapienie i nie mogę o niczym innym myśleć.

– A jakie to strapienie, mamu? – odezwała się ze swojego kąta Eliza, po czym wyciągnęła do syna obie dłonie. – Chodź do mnie, Stasiu, nie zaprzataj głowy babci bajkami.

– Eulalia dawno nie pisała z Warszawy – rzekła Rozalia. – Nie wiem, czy u nich wszyscy zdrowi. Biedulka narzekała na uporczywe zawroty głowy. Poradziłam, żeby kazała sobie przystawić pijawki. Nie ma lepszego lekarstwa na tę dolegliwość. Och, dlaczego ona nie pisze? Może coś dzieje się z Henrykiem? A może jaki kłopot z Witusiem?

– Z Henrykiem? – obruszył się Edward. – Ten jej mąż silny jak tur, licho go nie weźmie.

– A Wituś wstąpił do Szkoły Podchorążych – wtrącił Zygmunt. Wrzucił od niechcienia polano do ognia i zatarł ręce. – Pisał mi – dodał po chwili lekko wyniosłym tonem – że tam, u Eulalii, za rodzinę go uznali i wtajemniczają go w domowe sprawy.

– Wiem. I mnie Eulalia wspominała kiedyś, że jej syn chce to zrobić – odezwała się chłodno Rozalia, unikając wzroku szwagra. – Ostatnio jednak ani słowa o tym...

– Bo to, rozumiecie – Zygmunt powiódł po wszystkich wszechwiedzącym i pewnym siebie spojrzeniem – Ona w listach nie może o tym pisać. – Zniżył głos i syknął: – Cenzura jest!

– Ależ to brednie – obruszyła się Rozalia. – Jak to, nie może pisać? Słyszałam, że to bardzo dobra szkoła. Brat samego cara, księżę Konstanty ją założył. Wituś będzie podporucznikiem – dodała z dumą. – Co ma do tego cenzura?

– A ma – włączył się do rozmowy Edward. – Chodzą słuchy, że jeden z wykładowców, niejaki Wysocki, założył tam tajny związek patriotyczny. Mówił mi o tym Antoni Danicki. Wituś pewnie do tego związku należy.

Zygmunt położył palec na ustach.

– Byłbym ostrożniejszy – rzekł tonem przyjacielskiej rady. – Ściany mają uszy.

– A kto tu usłyszy? Dziewki kuchenne? – zaśmiał się cynicznie Edward, bardziej tą poufałością niż dobrą radą rozdrażniony. Nigdy nie przepadał za wujem, a po dzisiejszym dziwnym incydencie poczuł do niego jeszcze większą niechęć. – Niech wuj się nie obawia. Niedługo i tak będzie o tym głośno.

– Ja też będę podporucznikiem – odezwał się nagle Staś, przypominając o swojej obecności.

– Ach, zapomniałem, że ty tu jesteś, szkrabie jeden! – zawołał Edward ze zdumieniem. – Siedzisz cicho jak mysz pod miotłą.

– A jakże, jest – potwierdziła Rozalia. – I Eliza jest. I też wcale się nie odzywa.

– Eliza nie lubi gadać po próżnicy. Trzy razy pomyśli, zanim coś powie. To niesłychanie rzadka u kobiet cnota, prawda, kochanie? – uśmiechnął się do żony serdecznie.

– Niewiele wiem o kobietach – odparła spokojnie Eliza.

– Będę podporucznikiem jak kuzyn Witold – powtórzył dobitnie Staś w obawie, że wszyscy zignorują jego słowa.

– Podjąć decyzję, to nie wszystko, Stasiu – pouczyła go Rozalia. – Najpierw trzeba ją dobrze przemyśleć, dopiero później ruszyć do przodu. I to za głosem rozsądku. Nogi, chłopcze, pójdą wszędzie, ale to tu – popukała się palcem w czoło – w głowie powinno się wszystko zaczynać.

Dzień po dniu tak szybko teraz upływały. Na szczęście przestało padać i można było zebrać z pól warzywa. Przechodząc miedzą, Eliza widziała kobiety w podkaszanych spódnicach, z szerokimi motykami, wygrzebujące z ziemi kartofle. Mężczyźni na furach odbierali od nich ciężkie kosze. Między grzędami tliły się małe ogniska. Siwy dym z płonących kłaczy snuł się nisko aż pod las, gryzł w oczy.

Nieco dalej chłopci wyciągali z ziemi buraki, które Edward sprzeda później w cukrowni. Kobiety z dużymi nożami obcinały z nich liście i odrzucały na bok. Posłużą na paszę dla zwierząt. W gospodarstwie nic nie mogło się zmarnować.

Od lasu ciągnął chłód. Słońce spieszyło się teraz i szybko zapadało za horyzont. Trzeba wracać.

W kuchni było gorąco i parno. Wiesia i Kazia uwijały się między parującymi garnkami, Aniela strofowała je gderliwie jak zawsze przy ważnej robocie. A przy zamykaniu przetworów na zimę niczemu nie wolno uchybić.

Staś kręcił się między nimi, podjadał ciemne winogrona i orzechy, które samodzielnie rozbijał małym młotkiem.

– Stasiu, a cóż ty tutaj robisz? Nie jesteś na popołudniowych lekcjach? – zdziwiła się Eliza, stając w progu. Jej zarumieniona od zimnego powietrza twarz przyciągała zachwycony wzrok pracujących tu kobiet. Lubily Elizę i podziwiałały jej delikatną urodę i spokojne usposobienie.

– Nie, bo panna Joanna musiała pojechać do miasteczka – wyjaśnił chłopiec.

– Dlaczego nic o tym nie wiem?

– Bo panna Joanna nie mogła mamusi znaleźć, więc powiedziała o tym babci Rozalii.

– Czy stało się coś ważnego?

– Nie wiem, mamusiu. Proszę zapytać babci.

Słusznie – pomyślała Eliza. Sama upominała syna, by nie wtrącał się w sprawy dorosłych.

– Hm... No dobrze – bąknęła. – A ty nie przeszkadzasz tu, Stasiu? – upewniała się jeszcze, zanim wyszła.

Aniela otarła pot z czoła i łypnęła okiem na chłopca, ale jej pomocnice natychmiast podniosły raban.

– Niech zostanie, proszę pani! On nie przeszkadza. Jest taki pocieszny.

Pierwsze przymrozki nadeszły wraz z końcem października. Ścięły ziemię przykrytą zbutwiałyymi liśćmi, zmroziły zrudziałe trawniki, łodygi przekwitłych dalii i krwawników. Kajetan, majster od wszystkiego, wstawił podwójne okna, a szczeliny poobtykał mchem i słomą, żeby ciepło nie uciekało na zewnątrz. Rankiem służące przepalały w kominkach najczęściej używanych pomieszczeń, a po południu w sypialniach, żeby państwo bez szczękania zębami mogli się umyć i przebrać w nocny strój. Pozostałe pokoje z oszczędności zamknięto aż do wiosny.

Dokuczliwe zimno i ciężki brzuch przeszkadzały Elizie w spacerach, więc za radą Rozalii pozostawała w domu. Teraz ona siadała w fotelu w pobliżu kominka z książką lub robótką w rękach. Zygmunt niechętnie ustąpił jej to miejsce i ku niezadowoleniu Edwarda przeniósł się do jego gabinetu.

Powoli zbliżały się święta, więc Elizę, jak co roku o tej porze, zajmowało szykowanie prezentów dla folwarcznych dzieci. Robiła z wełny czapeczki i rękawiczki albo szyła kaftaniki z białego perkalu. Wyprawkę dla własnego maleństwa dawno zgromadziła w kufrze i teraz odliczała ostatnie dni dzielące ją od porodu. Edward po ukończeniu prac polowych miał znacznie więcej wolnego czasu, a ponieważ lubił towarzystwo żony,

starał się spędzać przy niej jak najwięcej chwil. Siadał blisko niej i czytał głośno ulubione przez nią romanse. Sam się na nie krzywił. W upodobaniu do nich i w wypłukiwaniu łzami raniących zdań o nieszczęśliwej miłości widział coś masochistycznego. Zdecydowanie wolał prowadzić z Elizą zajmujące rozmowy. I, mimo że nigdy nie skarżyła się na dolegliwości, pytał z troską każdego dnia:

– Jakże się dziś czujesz, kochanie?

– Dobrze – odpowiadała niezmiennie, spoglądając na niego z miłością. Tak było i tego wczesnego przedpołudnia. Wprawdzie w nocy poczuła delikatne bóle, które powoli się nasilały, ale według doktora do porodu zostały jeszcze dwa tygodnie, była więc spokojna. Martwiło ją coś innego, dlatego zaglądając z niepokojem w oczy męża, oznajmiła:

– Boję się czegoś, Edwardzie.

– Czego się boisz, najdroższa? – przytulił ją serdecznie i ucałował stroskane czoło.

– Śniła mi się babka Waleria. Boję się, bo nigdy nie przychodziła do mnie w snach. A teraz, gdy zbliża się ten dzień... Gdy dziecko ma przyjść na świat, pokazała mi się. Wyciągała ręce. Tak drapieźnie, jakby chciała mnie wyrwać z tego świata!

– Ależ to przesady, moja kochana! – zawołał wesołym, beztroskim tonem, biorąc ją w objęcia. – Nic nie może się stać. Urodziłaś już przecież pięknego, zdrowego syna. Doktor umówiony, obiecał, że w spodziewanym terminie nigdzie nie będzie wyjeżdżał. A ja, gdy tylko coś się zacznie, natychmiast poślę po niego konie. Przy tobie będzie czuwać moja matka. Wszystko omówione w najdrobniejszych detalach. Naprawdę, nie powinnaś się kłopotać.

– No więc nie będę się martwić – uśmiechnęła się blado, bez przekonania.

Edward kołysał ją lekko w ramionach, starał się utulić jej lęki, dodać otuchy. W kominku trzaskały cichutko pachnące żywicą polana. Miękki i ciepły blask drżących płomieni rozlewał się po ścianach, kładł się na jej policzkach, koił, wyciszał delikatne skurcze pod jej suknią.

I nagle w tę spokojną harmonię falowania ciał i oddechów, wdarł się przeraźliwy krzyk Stasia.

– Mamo! Mamusiu!

– Jezus Maria! – zawołała. Wyrwała się z ramion męża i rzuciła do drzwi. – Co tam się stało?!

– Zostań tu, ja zobaczę – próbował ją powstrzymać, ale ona przejęta lękiem, odepchnęła go i tak szybko, na ile jej duży brzuch pozwalał, wybiegła na korytarz.

Staś szamotał się w ramionach nauczycielki, podłogę znaczyły ślady krwi, która spływała nie wiadomo skąd.

– Co się stało?! Pani Joanno?! – pytała Eliza, starając się opanować nerwy. Jednocześnie usiłowała zabrać chłopca z rąk równie roztrzęsionej guwernantki.

– Zostaw, kochanie, ja go wezmę – rzekł Edward i odsunął ją łagodnie. – Proszę zawołać tu moją matkę – zwrócił się do Joanny. – Niech tam weźmie coś z apteczki do zaopatrzenia rany. Później pani wszystko nam opowie.

Nauczycielka skinęła głową i pobiegła w kierunku kuchni. Staś tymczasem nie przestawał płakać, a Eliza dygocząc z nerwów, szukała rany. Odgarnąwszy włoski chłopca, ujrzała rozbity i obficie krwawiący łuk brwiowy. Uspokoili się dopiero, gdy na horyzoncie ukazała się Rozalia zaopatrzona w jodynę i bandaże.

– Wracaj do salonu – poleciła stanowczo, popychając synową w kierunku drzwi. – Staś zaraz do ciebie przyjdzie. A ty zajmij się nią –

szepnęła do Edwarda. – Błada jest jak ściana, zaraz zemdleje – dodała, po czym pochyliła się nad Stasiem i zaszczębiotała – No już, nie płacz, dzielny żołnierzu. Babcia zobaczy, co tu się stało. Cicho, cicho... Nie będzie bolało...

Z korytarza nie dobiegały żadne odgłosy, gdy Edward pomagał żonie usiąść w fotelu, nalewał z karafki wodę, podsuwał jej szklankę do ust.

– Wypij, kochanie – namawiał. – Cała się trzęsiesz.

Nie minął nawet kwadrans, gdy w drzwiach ukazał się Staś z obandażowaną głową i kropelkami łez na rzęsach. Tuż za nim weszła Rozalia, a za nią Maryna z tacą, na której stała parująca filiżanka.

– To melisa dla ciebie – oznajmiła Rozalia, lustrując z uwagą twarz Elizy. – Podaj pani napar, Maryniu, i możesz odejść – poleciła.

Staś przypadł do matki i wtuliwszy się w fałdy jej sukni, odetchnął spazmatycznie.

– No więc wszystko już wiem – oświadczyła Rozalia. – Guwernantka dumiała o niebieskich migdałach, Staś tymczasem dokazywał. Był przy tym tak nieostrożny, że potknął się o dywan i uderzył głową o kant stołu. Rozbił czoło, ale niegroźnie. Do wesela się zagoi. A pannę albo należy obudzić, albo odesłać, skąd przyszła.

– Nie odesłać, nie! – zaprotestował Staś. – Ja ją lubię!

– No więc trzeba z nią porozmawiać i przypomnieć jej obowiązki – skwitowała Rozalia. – To twoja rola, Edwardzie. Natomiast ty, Elizo, powinnaś odpocząć teraz w łóżku. Nie były ci potrzebne tak silne wrażenia.

– Nie, nie – sprzeciwiła się szybko. – Zostanę tutaj, a Staś dotrzyma mi towarzystwa – uśmiechnęła się czule do syna.

– Jak wolisz – zgodziła się Rozalia.

Jaka wrażliwa ta Eliza – myślała, idąc do kuchni. – Nigdy nie trzęsłam się nad Edwardem. Cóż by z niego był za mężczyzna, gdybym go tak

rozpieszczała? A z tą guwernantką jednak sama porozmawiam. Zakochana lala – parsknęła zirytowana.

W kuchni, gdzie odbywało się kiszenie kapusty, panował rozgardiasz.

– Więcej kminku! – Aniela szturchnęła w bok Kazię, która przesypywała kapustę przyprawami i ubijała ją w beczce. – A ty szatkuj prędzej, nie gap się – napadła na młodziutką, dopiero co najętą dziewczynę.

– Niechże Aniela przestanie – upomniała ją surowo Rozalia. – Do czego tak się spieszyć? Kapusta nie ucieknie.

Podeszła do drobnej zielonookiej dziewczyny i zapytała:

– Od Miętków jesteś?

– Od Miętków – odparła przestraszona.

– A jak ci na imię? – przepytowała łagodnie.

– Wanda. Wanda Miętkówna – przedstawiła się, spoglądając lękliwie na swoją nową panią.

– Wanda. Ładnie – uśmiechnęła się do niej Rozalia. – Zamień się z Kazią, niech teraz ona szatkuje.

– Ale ja, proszę pani, sól do kapusty sypię – broniła się Kazia. Przy tej nowej stała się zadziorna, bo przecież była tu już jak u siebie.

– Zamień się, zamień, Kaziu – powtórzyła zmęczonym głosem Rozalia i opadła ciężko na krzesło ustawione przy małym stoliku, gdzie własnoręcznie sporządzała ziołowe nalewki.

Nic tak jak alkohol nie wyciągało z suszonych roślin ich leczniczych walorów. Rozalia odmierzała go z aptekarską dokładnością, zalewała zioła, szczerlnie zakręcała gotowe buteleczki i oznaczała je napisami: na żołądek, na serce, na przeziębienie, na migrenę... Ustawiała je potem na półkach aptecznej szafy, gdzie miały leżakować do czasu, aż płyn stanie się ciemny

i klarowny. Szafę zamykała na klucz, żeby nikt nie pokusił się o podbieranie tych medykamentów.

Kuchnia była długa i miała tylko jedno małe okno. Poczerniała od wiecznego deptania ceglana podłoga i okopcone ściany potęgowały wrażenie nieustannego półmroku. Zwłaszcza gdy tak jak teraz niebo było chmurne i siąpił deszcz. Dlatego trzeba było wcześniej palić łożówki, chociaż ich zapach był trudny do zniesienia.

– Pani Rozalia tak się o drugich frasuje, a śmiercicha jak ma zabrać, to i tak zabierze – burczała kucharka, podjadając świeżą kapustę prosto z beczki. – Mówiłam, więcej kminku! – zrugła tym razem szerokobiodrą Wiesię, czuwającą nad przyprawami.

– Niech Aniela takich rzeczy nie opowiada – obruszyła się Rozalia. – Po to są lekarstwa, żeby do tego nie dopuścić. Moje nalewki niejednego z choroby wyciągnęły.

– Iii tam – machnęła lekceważąco ręką Aniela, po czym solidnym kuksańcem ugodziła w bok Kazię. – No, co się gapisz? Tnij kapustę!

Rozalia uśmiechnęła się nieznacznie. Łatwiej było z chorobami wojować niż z tą przekorną kucharką, która przez wszystkie lata służby u Stalickich dobrze już obrosła w piórka.

W kuchni zapadło milczenie, tylko szurgot szatkownicy, głuchy dźwięk ubijanej kapusty i skwierczenie łożówek zakłócały ciszę.

Nagle gwałtownie otworzyły się drzwi, podekscytowana Maryna poszukała wzrokiem ukrytej w mroku Rozalii i zawołała z przejęciem:

– Proszę pani!

– Co takiego? – odezwała się ze spokojem Rozalia, nie ruszając się od stolika. – Pali się?

Maryna przymknęła oczy i pokręciła głową.

– Nie.

– Cóż więc? Zaczęło się? Pani Eliza?

– Nie, pani Eliza jest u siebie, pije herbatę. Ale państwo Zaniewscy przyjechali!

– Wszyscy?

– Nie. Nie ma młodych panów, tylko panienka Małgorzata z nimi.

– Proś do salonu, zaraz przyjdę.

– Potrzebni tu jak dziura w moście – pozwoliła sobie na uwagę kucharka.

– Moja Aniela – zbeształa ją Rozalia. – Niechże się Aniela nie wtrąca.

Felicja nie skorzystała z wygodnej kanapy ani z miękkiego fotela przy kominku, z którego umknął na widok gości Zygmunt. Stała przy oknie i skubała nerwowo frędzle portiery. Nie obejrzała się, ani nie odpowiedziała na słowa powitania.

Gustaw również stał skrzywiony, jakby cytrynę zjadł. Tylko Małgosia przycupnęła skromnie na brzeżku krzesła i oczu nie spuszczała z matki.

– No tak. Przyszło mi po radę do ciebie przyjechać – odezwała się z pretensją w głosie Felicja, a Rozalia na ten ton uniosła wysoko brwi. – Gustaw coś niezdrów. Od kilku dni kolka go o tu... – Felicja odwróciła się wreszcie od okna i po raz pierwszy spojrzała na siostrę. Wskazała miejsce pod lewym żebrem i dokończyła: – Tutaj go łapie. No pokażże sam, gdzie cię boli – ofuknęła męża, na co on szybko złapał się za bok. – O właśnie – rzuciła z satysfakcją Felicja. – I tak trzyma. Gucio ani siedzieć, ani obrócić się na bok nie może.

– Odpuszcza czasem? – zainteresowała się Rozalia.

– Odpuszcza – przyznała Felicja, zanim Gustaw zdążył otworzyć usta.

– Ale jak tylko się schylę, na nowo łapie – wtrącił.

– Mówiłam, że po doktora poślę, ale on uparł się: nie i nie. Do ciebie wolał przyjechać, że niby znasz się na tym.

– Znam, czy nie znam, lepiej doktorowi pokazać. Nie chcę nikogo brać na sumienie. Po mojemu to trzewia chorują albo od żołądka boli. Może nic takiego, ale może tam być poważna choroba. Po doktora jedź.

– Właśnie tak mu powiedziałam – rzuciła. – Powiedziałam, że Rozalia całą wieś wyleczy, ale nam nie pomoże, bo złość do mnie ma. I miałam rację – zakończyła triumfalnie.

– Oj, Felu... Jak ty niczego nie chcesz zrozumieć – westchnęła Rozalia i zwróciła się do szwagra: – Pokaż no ten bok. Tutaj boli?

– Tutaj – jęknął.

– A grochu się nie najadłeś? Albo fasoli?

– U nas takie rzeczy służba jada – obruszyła się nadąsana Felicja.

– Moim zdaniem to od żołądka. Dam ci kropli miętowych. I na razie jedz gotowane warzywa. I pij bulion, ale na chudym mięsie z kury – zastrzegła. Jeśli to nie pomoże, po doktora poślij.

– Dobrze, dobrze, Rozalko – zapewnił i ucałował jej obie ręce.

Rozalia wyszła po krople, do salonu tymczasem wpadła Maryna. Po rozbieganych oczach można było poznać, że znów kogoś szuka.

– Nie ma tu naszej pani?

– Nie ma. Poszła do kuchni – odpowiedziała milcząca dotąd Małgorzata, ponieważ matka nie raczyła się odezwać, a ojciec jęczał, skupiony na własnym cierpieniu.

– Pani Eliza ma bóle! Zaczęło się! – krzyknęła Maryna i wybiegła jak wichur.

– No proszę, jak to pcha się na świat – burknęła Felicja. – Spieszno jej sprzątnąć ci wiano sprzed nosa – spojrzała na córkę.

– Mamo... – Małgorzata z dezaprobatą pokręciła głową. – Taka była wola babci, nam nic do tego.

– Nigdy na swoje nie wyjdiesz – skarciła ją matka. – Za dobra jesteś. Tymczasem twój narzeczony do Warszawy czmychnął i wcale nie spieszy się z ożenkiem. Nawet się nie obejrzyś, jak majątniejszą znajdzie.

– Mamo... – jęknęła znów Małgorzata.

– Mamo, mamo – burczała Felicja, ale już strzygła uchem, bo z korytarza dobiegał zaniepokojony głos Rozalii:

– Prędko, prędko! Niech Edward po doktora pośle!

– Nic tu teraz po nas – odezwał się Gustaw. – Ruszajmy w drogę.

– A te krople? – sprzeciwiła się Felicja. – Nie wyjdę bez kropli dla ciebie – skwitowała stanowczo.

Eliza, ułożona przy pomocy Edwarda na łóżku w sypialni, raz po raz zagryzała z bólu wargi. Rozalia, zbita z tropu wcześniejszym niż założono porodem, zupełnie zapomniała o gościach oczekujących na nią w salonie. Odesłała Stasia pod opiekę guwernantki, sama zaś zakrzętnęła się przy naparze dla rodzącej. Mieszała liście maliny, kwiatów rumianku, lipy, ziela melisy i owoców czarnego bzu. Te zioła podawała synowej od siódmego miesiąca ciąży, ponieważ ułatwić miały poród. Eliza na ich widok skrzywiła się i odsunęła z obrzydzeniem filiżankę:

– Nie mogę już tego pić. Sam zapach mnie odstręcza...

– Nie bądź niemądra – skarciła ją szorstko Rozalia. – Pij. Lżej będziesz rodzić. Od kiedy masz bóle?

– W nocy poczułam pierwszy raz.

– I nic nie mówiłaś?

– Nie sądziłam, że to już. Przecież doktor mówił, że dopiero za dwa tygodnie.

– Doktor mówił – zachnęła się. – Doktor może się mylić. A ty jeszcze tym Stasiem się zdenerwowałeś. No leż spokojnie i niczym się nie martw. Oddychaj głęboko. Doktor zaraz przyjedzie i wszystko będzie dobrze – pocieszyła i pogłaskała synową po włosach.

Edward stał przy oknie i niecierpliwie spoglądał to na drogę, to znów pełen troski na swoją cierpiącą żonę. Kiedy zaturkotała bryczka, osobiście wybiegł na ganek, witać doktora. Ale powóz był pusty.

– Doktora nie ma, wyjechał – oznajmił stangret. – Wróci jutro wieczorem.

Edward złapał się za głowę.

– Zaczekaj tu! – zawołał i zniknął w sieni. Drogę zastąpiła mu zniecierpliwiona Felicja.

– A gdzie Rozalia? – zapytała, nie zważając na pośpiech i zdenerwowanie siostrzeńca. – My tu czekamy na krople miętowe.

– Zaraz, ciociu, zaraz – rzucił Edward nieprzytomnie, zupełnie nie rozumiejąc jej słów. – Eliza rodzi, a doktora nie ma...

– Po Olechnę poślij – poradziła. – Lepiej to zrobi od doktora.

– Tak ciocia myśli? – zapytał niepewnie. – Po Olechnę? Ona tylko do wieśniaczek chodzi...

– A cóż to, twoja żona inaczej rodzi niż wieśniaczki? Poślij, poślij – powtórzyła i zniknęła w salonie.

Edward znów wybiegł na ganek.

– Jedź po babkę Olechnę – polecił stangretowi. – Powiedz, że we dworze młoda pani rodzi. Jedź, a żywo!

Stangret skinął głową i zaciął konie. Edward tymczasem wrócił do sypialni i odciągnął na stronę matkę, by Eliza nie przysłuchiwała się rozmowie.

– Nie ma doktora – szepnął. – Ciotka Felicja radziła po Olechnę posłać.

– Po Olechnę? – oburzyła się Rozalia. – Będzie mi tu gusła odprawiać? Chyba nie posłałeś?

– A co miałem robić? Nie ma innej akuszerki w okolicy.

– Niedobrze – zasępiła się. Zaraz potem machnęła ręką. – Ach, mój Boże, przypomniałeś mi Felicję. Krople miałam jej zanieść. Zostań z Elizą, dam im, co trzeba, i niech już jadą. Nie mam teraz głowy dla gości.

– Czy doktor przyjechał? – zapytała Eliza, patrząc na męża z nadzieją. Edward zmieszał się.

– Doktora nie ma w miasteczku, ale zaraz przyjedzie akuszerka.

– Jaka akuszerka?

– No... Olechna.

– Ta sama, co babkę Walerię do trumny kładła? – przeraziła się. – Ta sama, Edwardzie?

– Ależ nie masz się czego obawiać, kochanie. Olechna zna się na tym. Niejeden poród odebrała.

– Nie chcę jej – powiedziała spokojnie, lecz stanowczo Eliza. – Może prosto od umarłego tu idzie. Jeszcze mi śmierć na plecach przyniesie... – Nagle zamilkła, zacisnęła zęby, a jej palce, aż białe z wysiłku zamknęły się na brzegach łóżka.

– Boli – jęknęła.

Edward bezradnie rozejrzał się po pokoju. Nie umiał pomóc żonie i nie mógł doczekać się obecności matki, przy której w tych okolicznościach czuł się pewniej i bezpieczniej. Kiedy ból minął, Eliza sama sięgnęła po przygotowany przez świekrę napar i wypła go niemal duszkiem. Potem opadła z ulgą na poduszki.

Pół godziny później do sypialni wtargnął chłód, a wraz z nim pachnąca suchym zieleń i wiatrem babka Olechna. Po drodze zrzuciła z pleców grubą, wełnianą chustę i burcząc pod nosem, bezceremonialnie wyprosiła z pokoju Edwarda. Drepczącej za nią Marynie nakazała przynieść gorącej wody i stos prześcieradeł. Nawet Rozalii nie pozwoliła zbliżyć się do rodzącej.

– Im mniej będzie tu was się kręcić, tym lepiej – mruknęła. – Jedna mi wystarczy – wskazała na Marynę, a po krótkim wahaniu również Józję.

Rozalia wzniosła oczy ku niebu i westchnęła, ale usunęła się posłuszenie. Prawdę mówiąc, poczuła ulgę, że ktoś znający się na takich sprawach weźmie kłopot w swoje ręce. Przeszła do salonu i dla uspokojenia nerwów chwyciła w ręce różaniec, który zaczęła szeptem odmawiać w intencji szczęśliwego rozwiązania.

Edward przechadzał się korytarzem tam i z powrotem, nasłuchując odgłosów z sypialni. Pomyślał, że dla lęku nie ma społecznych różnic. Lepi się do wszystkich serc jednakowo i czy dotyczy zwykłego chłopca, czy pana ze dworu, w obliczu strachu wszystko inne spychane jest na margines. Kiedy nie ma doktora, obdarza się zaufaniem ciemną, wiejską babinę i wierzy w nieuczzone w szkołach doświadczenie. Teraz łowił głos Elizy przepełniony bólem, który na granicy krzyku i łkania przypominał raczej skowyt zwierzęcia. Zbierał te strzępy, sklejał w urywane zdania, by po chwili umierać z niepokoju w sączącej się z sypialni tajemniczej i złowróźbnej ciszy. Wreszcie zatrzymał się przy usytuowanym naprzeciw sypialnianych drzwi oknie i obrzucił wzrokiem rozległy dziedziniec. Tam bez zmian, nie licząc starego dębu, którego uczepione rdzawe liście utraciły świeżą zielenią i teraz furkotały na listopadowej wichurze. Dym z komina zjednoczył się z sinym zwalistym niebem, nabrzmiął deszczem i wieszcząc bliską ulewę, zawisł nad dachami budynków.

Zapadał zmierzch, z jadalni dobiegało pobrzękiwanie naczyń zapowiadające podwieczorek. Korytarzem przemknął Zygmunt. Zatrzymał się przy Edwardzie, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko ścisnął jego ramię, odwrócił się na pięcie i poszedł z powrotem. Ledwo zniknął za drzwiami, gdy pojawiła się Cesia z naręczem drewna. Należało dołożyć do kominków, podtrzymać ciepło. Dopiero teraz Edward odczuł przejmujący ziąb, jaki panował w korytarzu. Drzwi sypialni uchyliły się z nienacka i na korytarz wybiegła zaaferowana Józia.

– Co się dzieje? – Edward uchwycił jej ramię, zatrzymał w biegu.

– Nic jeszcze, proszę pana. Lecę po świece, ciemno!

– Ach... No to leć, leć – wypuścił ją i przez szczelinę w drzwiach zajrzał do pokoju. W półmroku dostrzegł jedynie kręcące się przy łóżku sylwetki Olechny i Maryny, zarys mebli, błysk ognia w kominku. Nie widział twarzy żony, na czym najbardziej mu zależało. Słyszał jedynie jej ciężki, zmęczony oddech.

Józia wróciła, niosąc kilka świec i po chwili drzwi ponownie się zamknęły.

Edward odmówił podwieczorku, do którego zachęcała go matka, i nadal warował pod drzwiami. Z radością przyjął towarzystwo Stasia, który wymknął się spod opieki Joanny i teraz zabawiał ojca nic nieznaczącymi opowiastkami. Raz tylko zapytał o matkę, lecz natychmiast zrozumiał, że bezpieczniej jest zmienić temat, gdyż Edward przerwał rozmowę i zaczął niespokojnie chodzić po korytarzu. Uspokoił się po bardzo długiej chwili. Zbliżył się do syna i otoczył go ramionami.

Razem wpatrywali się w gęstniejący za oknem mrok.

Zaraz po kolacji, której Edward również nie tknął, rozległ się przejmujący krzyk Elizy, a niedługo potem wyraźny płacz noworodka.

– Bogu niech będą dzięki – szepnął z ulgą i ukrył zmęczoną, lecz szczęśliwą twarz w dłoniach.

Zosia miała szare jak matka oczka i jasny, prawie niewidoczny meszek na kształtnej główce. Była drobniutka i śliczna, chociaż Staś z rozczarowaniem oświadczył, że siostrzyczka przypomina bardziej żabę niż prawdziwą dziewczynkę. Eliza śmiała się i tuląc do serca syna, zapewniała, że po kilku dniach jego siostra będzie wyglądała znacznie lepiej.

– Chodź, Stasiu – napominała chłopca Rozalia. – Zosia musi mieć teraz dużo spokoju. Twoja mamusia również – dodawała, patrząc z troską na bladą twarz synowej.

Wprawdzie babka Olechna zapewniała, że wszystko przebiegło jak należy, ona jednak nie ufała do końca samozwańczej akuszerce. Zaraz drugiego dnia po porodzie posłała po doktora, który miał ocenić stan położnicy. Doktor przyjechał, obejrzał dziecko i matkę, po czym stwierdził, że niczego niepokojącego nie widzi. Dziecko zdrowe, a osłabienie kobiety wynika z przedłużającego się porodu i jest rzeczą naturalną. Cieszył się też, że Eliza nie uległa niemądrym modom i zdecydowała się karmić niemowlę bez udziału mamki. Uspokojona Rozalia zleciła kucharce codzienne przygotowanie pożywnego rosółu, sama zaś poiła synową wzmacniającymi naparami. Edward każdą wolną chwilę spędzał przy łóżku żony. Nie mógł też nacieszyć się córeczką, którą zachwycał się nieustannie.

Czwartego dnia Eliza poczuła się gorzej. Jej nienaturalnie błyszczące oczy wskazywały na wysoką gorączkę, a ból w podbrzuszu zdawał się rozrywać wnętrzności. Wezwany doktor tym razem nie miał dobrych wieści.

– Pani Rozalio – oświadczył po opuszczeniu sypialni Elizy. – Nie jest dobrze. Podejrzewam gorączkę połogową. Mogły wdać się bakterie.

– Ale skąd? Dlaczego? – przeraziła się Rozalia.

– Wiejskie baby nie myją rąk – syknął. – Nie wspomnę już o dezynfekcji. Trzeba było doktora z sąsiedniego miasteczka sprowadzić, a nie babkę brać!

– Boże kochany – chlipnęła Rozalia. – Co robić?

– Pościel najlepiej spalić. Higienę utrzymać. Izbę dobrze wietrzyć. Poza tym nie ma lekarstwa – rzekł, nie kryjąc złości. – Teraz trzeba się modlić, może organizm sam się wybroni.

Wyszedł zdenerwowany, nie pożegnawszy się nawet.

– Wyleczę ją – szepnęła do siebie Rozalia. – Choćbym na głowie miała stanąć, wyleczę!

Edward zastał ją przy aptecznej szafie, gdy przygotowywała mieszankę rozmarynu, goździków i bazylii, najlepszych na stany zapalne i gorączkę.

– Co powiedział doktor? – zapytał, zerkając jednocześnie na Wandę siekającą z zapalem ząbki czosnku.

– Trzeba szukać mamki – dała wymijającą odpowiedź. – Eliza nie da rady dziecka karmić.

– Ale ona nie chce mamki – zaprotestował. – Twierdzi, że Zosia przyzwyczai się do obcej kobiety, a na jej widok będzie płakać.

– Czy słyszysz, co mówię? – Rozalia opuściła ręce i spojrzała na Edwarda stanowczo. – Potrzebna mamka. Natychmiast.

Serce skurczyło jej się z żalu, bo twarz syna stężała nagle w cierpieniu. A jego cierpienie zawsze bardziej bolało ją niż własne.

– We wsi jest taka jedna – wtrąciła nieśmiało Wanda, która chcąc nie chcąc przysłuchiwała się rozmowie. – Jej synek dopiero co umarł. Dwóch tygodni nie dożył.

– Kto taki? – podchwyciła Rozalia. Nie roztkliwiała się nad śmiercią małego chłopca. Potrzebowała jego matki.

– Malwina od Wojniaków.

– Od Wojniaków? Nie znam...

– Jej ojciec jest zarządcą u Danickich...

– Ach, u Danickich! No, tak! Znam przecież Wojniaków! Rzeczywiście – przypomniała sobie Rozalia. – Porządna rodzina. To ich córka za męża wyszła?

– A już ci, wyszła – wmieszała się w rozmowę Aniela, która dotąd dmuchała na ogień, bo pod kuchnią słabo się palił. – Akurat! Nikt nie wie, kto jej dzieciaka zmajstrował. Dla niej to i lepiej, że go pochowała.

– Niech Aniela tak nie mówi – oburzyła się Rozalia. – Każde życie jest świętością. Bóg kiedyś Anielę pokarze za takie słowa.

– Iii tam – zaburczała Aniela nad garnkiem pełnym rosółu. – Mnie pokarze. A za co? Co też pani Rozalii po głowie chodzi?

– Wandziu, zostaw ten czosnek – Rozalia zignorowała słowa kucharki i zwróciła się do dziewczyny. – Biegnij no do Anatola. Niech weźmie bryczkę i przywiezie mi tu Malwinę. Rozpytam, co i jak.

Eliza leżała na wznak, półprzytomna z bólu i gorączki. Gdzieś z otchłani wynurzał się rozdzierający płacz dziecka. Nie miała sił unieść nawet głowy, cóż dopiero wstać, nakarmić i utulić Zosię. Gdyby Edward tu

był, Rozalia, Maryna albo chociaż służąca, która przychodzi palić w piecu... Nie ma nikogo, a dziecko aż się zanosi z tego płaczu.

Eliza wysunęła stopę spod kołdry, gdy jednak usiłowała się podnieść, prześcieradło zaczerwieniło się od krwi, a jej pociemniało w oczach.

– Nie dam rady – rozplakała się. – Boże, nie dam rady...

Drzwi uchylły się i do pokoju cicho wsunęła się Rozalia. Eliza poczuła jak nabrzmiewają jej piersi, z których zaczęło sączyć się mleko. Świekra wyjęła z kołyski dziecko, ale zamiast podsunąć synowej do karmienia, wyniosła je bez słowa.

Wróciła po chwili, a tuż za nią przydreptała Maryna, niosąc na tacy parujące zioła i cieniutką kromkę chleba suto obłożoną czosnkiem. Eliza odruchowo odwróciła głowę. Zbierało ją na wymioty.

– Zabierz to, Maryniu – zażądała. – Nie mogę... Ten zapach...

– Wiem – odezwała się rzeczowo Rozalia. – Ale musisz. To zabija bakterie, które masz w sobie. Jeśli chcesz wyzdrowieć, zjedz to i wypij zioła. Pomogę ci usiąść.

– Nie mam sił... Nie dam rady usiąść.

Rozalia odchyliła kołdrę i aż zbladła na widok takiej ilości krwi. Opanowała się jednak, żeby nie przestraszyć chorej.

– Maryniu – zwróciła się do służącej. – Przyprowadź tu pana Edwarda. Pospiesz się.

– Dobrze, proszę pani – dygnęła dziewczyna i odstawiła tacę na nocny stolik. Zapach czosnku wywołał znów odruchy wymiotne, nad którymi Eliza zapanowała z trudem.

Edward, przywołany chyba z gabinetu, gdyż biła od niego intensywna woń tytoniu, zjawił się natychmiast. Na znak Rozalii chwycił żonę na rękę i skierował się do dawnego pokoju babki Walerii.

– Jesteś taka lekka – zauważył z troską. – Ważysz niewiele więcej niż ptaszek.

– Gdzie Zosia? – zapytała słabym głosem. – Muszę ją nakarmić. Gdzie ona jest?

– Nie martw się o Zosię, skarbie. Jest w dobrych rękach – odparł wykrętnie.

– W jakich rękach? Czyich? Chcę ją nakarmić, przynieś mi ją!

– Jesteś teraz zbyt słaba, Elizo.

– Jestem matką, muszę nakarmić swoje dziecko! – zażądała płacząco, boleśnie.

– Zosię karmi mamka, Elizo – wyznał w końcu. – Ty nie masz na to sił.

Nie odezwała się więcej. Zacisnęła powieki, a spod nich wytoczyły się łzy, na których widok Edwardowi pękło serce.

– Dlaczego mnie tu przyniosłeś? – szepnęła histerycznie, gdy układał ją na łożu babki Walerii. Ostatnie wspomnienia wiązały się z jej śmiercią i Elizę ogarnęło przerażenie. – Zabierz mnie stąd, tu się umiera!

– Ależ co ty mówisz, kochanie? – przysiadł na łóżku i ujął jej dłoń w swoje duże i chłodne ręce. – Twoją sypialnię należy dobrze wywietrzyć, Maryna zmienia pościel. Niedługo tam wrócisz, przestań się wszystkiego lękać.

– Boję się Walerii, Edwardzie. Będzie tu przychodzić. Zabierze mnie. Boję się śmierci – szeptała gorączkowo.

– Nie opowiadaj głupstw – ofuknął ją. – Nie umrzesz, nie pozwolimy na to – uśmiechnął się ciepło i ścisnął mocniej jej dłoń. – Musisz tylko pić te wszystkie ziółka, co ci matka parzy, a zaraz wyzdrowiejesz, wierzysz mi?

– Tak, tobie wierzę – odparła. – I twojej matce też. Ona mi pomoże, prawda?

– Oczywiście, że ci pomoże, kochanie.

Ukojona jego obecnością i słowami, które przyniosły jej ulgę, zasnęła. Edward podniósł się z ciężkim sercem. Martwił się o żonę, była coraz słabsza.

W nocy gorączka wzrosła. Majaki przywiodły babkę Walerię, która przysiadła na brzegu łóżka i wpatrywała się w jej twarz przenikliwym wzrokiem. Eliza chciała krzyknąć, ale nic prócz histerycznego szeptu nie mogło przedrzeć się przez zaciśnięte gardło.

– Odejdź – błagała. – Idź sobie...

Rankiem Rozalia zastała ją przerażoną, z podkrążonymi oczami, zlaną potem.

– Poty idą, to dobrze. Gorączka powinna odpuścić – mówiła, zmieniając jej nocną koszulę.

Ale gorączka nie spadała. Eliza cierpiała tak bardzo, że trzeba było ponownie wzywać doktora. Zbadał chorą, podał jej jakieś medykamenty i zafrasowany opuścił pokój. Pod drzwiami Edward z Rozalią czekali na diagnozę.

– Podałem jej krople uśmierzające ból – powiedział tylko i odjechał.

– Idź tam do niej – Rozalia ścisnęła ramię syna. – Niech nie leży sama. Strach w samotności jest wielokroć silniejszy. – A widząc jego posępną minę, dodała z mocą: – A ty się nie bój. Przecież mówiłam ci, wyciągnę ją z tego. – Po tych słowach, skrywając narastające zwątpienie, udała się do swojej aptecznej szafy.

Edward ufał matce i wierzył w wyzdrowienie żony, chociaż blada jak pergamin twarz i zamglone oczy wcale na to nie wskazywały. Eliza zapadała w krótkie drzemki, po których budziła się roztrzęsiona nawiedzającymi ją koszmarami. Tuż przed południem gorączka nieco ustąpiła i chora dała się namówić na kilka łyżek tłustego rosołu, co

wszyscy, nawet Aniela i jej pomocnice, przyjęli z wielką ulgą. Wydawało się, że Eliza nabiera sił, dlatego Rozalia zgodziła się na wizytę dzieci, za którymi synowa tak tęskniła. Zosia spała w ramionach mamki, więc Eliza ucałowała tylko jej mięciutki puszek włosów i pozwoliła Malwinie zabrać małą. Staś natomiast przypadł do matki i tkwił w jej ramionach, dopóki Rozalia nie odsunęła go delikatnie, widząc, że Eliza opada z sił.

– Nie, proszę – zaprotestowała słabo. – Czuję się lepiej. Zostań, Stasiu.

– Dobrze, mamusiu – rzekł cichutko. Onieśmiałą go choroba matki. Zwykle tryskający energią, teraz zupełnie nie wiedział, jak powinien się zachować.

– Synku, chciałabym, żebyś kochał Zosię – powiedziała. Zanurzyła dłoń w jego miękkie, jasne włosy i przez chwilę bawiła się nimi bezwiednie. Po jej twarzy błędził niewyraźny grymas. Zbyt mało było w niej mocy, by uczynić go uśmiechem.

– Kocham ją przecież, mamusiu – zapewnił chłopiec i zerknął na przysłuchujących się wszystkiemu ojca i babcię. – Chociaż...

– Stasiu – zawisł w powietrzu ostrzegawczy głos ojca, opatrzony groźnie zmarszczonym czołem.

– Pozwól mu powiedzieć – uśmiechnęła się blado Eliza. – Mów, kochanie – zwróciła się do syna.

– Chociaż... wolałbym braciszka – wyznał Staś i umknął wzrokiem gdzieś w kąt pokoju. – Mężczyźni nie są tacy delikatni jak dziewczynki i można bawić się z nimi w bitwę – dodał z rozbrajającą szczerością. – Ale siostrę też będę kochał – obiecał na pocieszenie.

– To dobrze. Dbaj o nią, Stasiu, opiekuj się nią. Jesteś przecież starszym bratem, prawda?

– Tak, mamusiu... – chłopiec nie skrzywił się jedynie dlatego, że Edward uniósł do góry brew i nie spuszczał z syna napominającego

wzroku.

– Dobrze, kochanie. Pocałuj mnie teraz i możesz iść.

Staś dotknął ustami jej rozpalonego policzka i już miał w towarzystwie Rozalii opuścić sypialnię, gdy Eliza w ostatniej chwili chwyciła go za rękę.

– Stasiu, wyrośniesz na dzielnego mężczyznę, ale i Zosia nie musi być taka delikatna, wiesz? Jak podrośnie, ucz ją tych wszystkich męskich sztuczek.

– Naprawdę? – ucieszył się Staś i wyszczerzył ząbki w uśmiechu.

– Naprawdę, kochanie – odparła ostatkiem sił, po czym opadła na poduszkę. Poszukała dłoni męża i przyłożyła ją do swojego rozpalonego czoła. Westchnęła z wyraźną ulgą, bo dotyk był chłodny, przyjemny.

– Edwardzie...

– Tak, kochanie? – musiał się nad nią pochylić, by dosłyszeć jej słowa.

– Ja naprawdę chciałabym, żeby Zosia wyrosła na dzielną kobietę, nie taką słabą jak ja.

– Ależ kochanie...

– Zaczekaj, pozwól mi powiedzieć... Wierzę, że wyzdrowieję, już mi lepiej – zapewniała. Jej oczy błyszczały nienaturalnie, a policzki znów płonęły niezdrowym rumieńcem. – Ale jeśli coś mi się stanie, naucz Zosię walczyć o własne poglądy. I pozwól jej poznawać, doświadczać. Niech uczy się nie tylko kobiecych robótek od twojej matki, ale i od ciebie wszystkiego, co robisz. Nie chcę, żeby kiedyś była zależna od kogokolwiek. Naucz ją tego.

Edward pochylił się nad jej dłonią.

– Jeśli zależy ci na tym, sama ją tego będziesz uczyć – powiedział i ucałował koniuszki jej palców.

– Tak, tak Edwardzie, wiem. Muszę tylko wyzdrowieć. Dla dzieci, dla ciebie. Postaram się o to ze wszystkich sił. Ale lżej mi, gdy mówię o tych ważnych rzeczach.

– Rozumiem, kochanie.

– Teraz chcę spać, powieki mam takie ciężkie. Przepraszam, pozwól mi się zdrzemnąć, tylko chwilkę...

Przymknęła oczy i odetchnęła głęboko, z ulgą, jakby zrzuciła z siebie ogromny ciężar.

Edward wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi. Eliza została sama. Zacisnęła dłonie w pięści i zagryzła je mocno, żeby hamowany szloch nie wydostał się poza ściany sypialni. Odwróciła twarz do okna, za którym gęstniał mrok. Firanka poruszała się wraz z podmuchami wiatru wdzierającymi się szczelinami. Widocznie Kajetan nie dość dobrze poobtykał okna mchem i słomą.

Brakowało jej obecności Edwarda, lecz nie chciała, żeby patrzył na jej cierpienie. Czuła się fatalnie. Wiedziała już, że zioła, które z takim oddaniem szykuje dla niej kilka razy dziennie świekra, nic tu nie pomogą. Cuchnąca wydzielina, tworząca się w jej ciele wypełniała nieprzyjemną wonią pokój, lepiała się do ud. Zakażenie nie ustępowało, rozwijało się w zabójczym tempie, a gorączka wskazująca na zaciekłą walkę organizmu, osłabiała do reszty.

Bała się śmierci. Potwornie bała się nieistnienia, zakończenia wszystkiego, utraty świadomości, tożsamości, siebie. Czuła paniczny lęk nie tylko przed samym umieraniem, ale i nieznaną przyszłością. Nie chciała przekonywać się na własnej skórze, co zobaczy w zaświatach, jak babka Waleria, która tak kurczowo chwyciła ją za rękę. Przerazało ją to, co jest po drugiej stronie. I to, że będzie musiała pójść tam sama. Bez Edwarda, bez ukochanych dzieci czy choćby Maryny, która w tym znanym bezpiecznym

świecie czesze jej włosy i sznuruje buty. To straszne, że wszyscy zostaną tutaj, a ona samotnie zmierzy się z nieuchronnością śmierci. Nie potrafiła, nie chciała oswoić tej myśli.

Eliza zagryzła palce, by nikt prócz Boga nie słyszał jej błagania o darowanie życia. W tych krótkich momentach, gdy odzyskiwała nieco sił, tłumaczyła sobie, że niepotrzebnie uległa hysterii. Wcale nie zamierza umierać. Wyzdrowieje. Przecież przed nią tyle jeszcze do poznania, doświadczania, do zrobienia. Tyle do kochania.

Ale w tej chwili nieporadną, obolałą i pozbawioną godności, znów wypełniła nieopisana trwoga, paniczny strach.

Kończył się listopad. Eliza traciła wiarę, że doczeka świąt.

Od trzydziestu siedmiu lat, które Edward przeżył w poczuciu bezpieczeństwa i spokoju, po raz pierwszy prawdziwie się bał. Skurczony żołądek hamował apetyt, dlatego znów podziękował za kolację i uciekł w samotność, ponieważ trudno mu było znosić beztroskie szczebiotanie Stasia, dyskusje o niczym z Zygmuntem i znaczące westchnienia matki. Teraz, stojąc na ganku, poddawał się porywom trzeźwiącego wiatru, nasłuchiwał odgłosów nadchodzącej nocy zakłócanych jedynie dobiegającym z jadalni pobrzękiwaniem sztućców. W sypialni babki Walerii umierała jego żona i nawet jej uspokajające słowa, że czuje się lepiej, nie zdołały go zwieść. Przez zagrodę drzwi, gdy kładł dłoń na chłodnej klamce, nieraz słyszał płacz i strzępy błagalnej modlitwy. Wycofywał się wtedy ze ściśniętym gardłem, z raną w sercu. Nie chciał jej narażać na hamowanie łez, ocieranie ich ukradkiem wierzchem dłoni, wymuszony uśmiech. Bywało, że znalazł w sobie siły, żeby tam wejść. Układał się obok niej, przytulał do drobnego ciała żony, napawał się jej kruchą obecnością. Milczeli, przyglądając się drzewom za oknem, kroplom

deszczu, opadającej mgle. Odkąd zachorowała, słońce nie ukazało się ani razu.

Nie umiał teraz zajmować się czymkolwiek. W gabinecie piętrzyły się zaległe dokumenty, rachunki, nieprzeczytane gazety. Prócz Elizy nic dla niego nie istniało. Udawał sam przed sobą, że nadal jest tak samo śliczna i pełna uroku jak w dniu, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Starał się nie czuć drażniącego zapachu jej choroby, nie dostrzegać zaplamionej koszuli, zapadniętych policzków i zaniedbanych włosów. Mimo wszystko rozpierało go szczęście, że spotkał ją na swojej drodze i dane mu było kochać tę wyjątkową istotę, matkę jego dzieci. Teraz odchodziła własną drogą, powoli, jak wtedy, gdy widział ją z daleka wśród traw na łące, skubiącą od niechcenia płatki maków. Choroba dawała mu czas na oswojenie nadciągającej pustki.

Minęła dwudziesta. W tej samej chwili, gdy pochłonięty troską o żonę Edward zmagał się z rozpaczą, Wituś Wojarski, syn Eulalii, zaciskał gotowe do walki pięści. Oto jego mentor, Piotr Wysocki, przerwał wykład w Szkole Podchorążych w Warszawie i wezwał do buntu: „Polacy! Wybiła godzina zemsty. Dziś umrzeć lub zwyciężyć potrzeba! Idźmy, a piersi wasze niech będą Termopilami dla wrogów”. Witold wstrzymał oddech. Wszak Termopile to symbol poświęcenia życia na polu bitwy. Ach, jakże pragnął walki, zwycięstwa, wolności! Pochmurny dzień dwudziesty dziewiąty listopada tysiąc osiemset trzydziestego roku dobiegał końca, gdy spiskujący przeciwko carskiej władzy wojskowi zdecydowali się uderzyć na Arsenał. Warszawiacy nie spali tej nocy. Eulalia ukryta za koronką firanki szeptała pacierze, modląc się o uchronienie syna od śmierci. Część mieszkańców razem ze spiskowcami ruszyła pod zbrojownię, gdzie komendant rosyjskiego wojska już wysyłał pułk wołyński. Po wymianie ognia

wołyńcy wycofali się. Ale z naprzeciwka nadciągał już drugi rosyjski oddział.

– Na Arsenał! – wykrzykiwał wraz z innymi Witold. – Na Arsenał!

Wreszcie zdobyli zbrojownię, zabrali broń i dali początek tworzeniu się kolejnych bojowych oddziałów.

Tej samej nocy, gdy Eliza toczyła dramatyczną walkę ze śmiercią, rozpoczął się wielki zryw niepodległościowy jej rodaków.

Zaczęło się! Zaczęło się! – wołał, nie zsiadając z konia, Antoni Danicki. – Gdzie pan Edward, co? – zakrzyknął do kręcącego się po podwórzu Kajetana. – Wołaj mi tu pana, a żywo!

Kajetan czapkę zdjął i z zafrasowaniem podrapał się po głowie.

– Pan Edward u żony.

– To niech zostawi żonkę, jeszcze się nią nacieszy. Tu odbywają się sprawy większej wagi.

– Kiedy tego... – bąknął Kajetan. – Nieszczęście, panie...

– Jakie znów nieszczęście, co? Nasi za broń wzięli! Powstali do walki, tu się cieszyć trzeba! – ekscytował się Antoni.

Zsiadł z niecierpliwie przestępującego w miejscu konia, rzucił Kajetanowi szpicrutę i przeskoczywszy po dwa schodki ganku, zniknął za drzwiami budynku. Zatrwożył się dopiero w sieni, gdzie uderzył go zapach kadzideł i strzępy żałobnego śpiewu płaczek:

– Dobry Jezu, a nasz Panie...

– Na Boga – bąknął i rozejrzał się bezradnie. – Na Boga, co tu się stało?

Zdjął z głowy kapelusz i trzymając go kurczowo przy sobie, poszedł za głosem żalosnych pieśni. W mrocznej alkowie, gdzie zasłonięto okna, a jedynym źródłem światła były płonące świece, zebrał się spory tłum żałobników i trudno było dostrzec, kogo tak boleśnie oplakują. Edward

siedział w kącie pokoju, z dala od wszystkich. Jego zgięta w pół sylwetka i nieruchoma, skamieniała twarz wyrażały nieopisaną rozpacz.

– Niemożliwe – szepnął bezgłośnie wstrząśnięty Antoni i aż zachwiał się z wrażenia. Zimny pot wystąpił mu na czoło. – To nie może być! Chryste Panie, przecie jej nam nie zabrałeś, co? Nie zabrałeś nam jej!

Wycofał się bezszelestnie, dosiadł konia i śmigając batem, pognął przed siebie na złamanie karku.

Edward nie zauważył Danickiego. Nie widziała go też Rozalia, która stojąc przy trumnie, wpatrywała się w woskowe oblicze synowej.

Tyle zostało we mnie niewypowiedzianych słów – myślała przygnębiona. – I tyle tych słów zostało w niej. Być może zabrała do grobu te najważniejsze, najskrytsze. Może niektórych się lękała albo chciała zachować je na bardziej odpowiednią chwilę... Boże, Ty jeden wiesz, kiedy tych chwil nam zabraknie.

Mogiłka była nieduża i mimo grudnia zasypana kwiatami, które Edward regularnie sprowadzał z pobliskich oranżerii. Czerwień róż odcinała się od śniegu jak świeże krople krwi. Potrafił godzinami przesiadywać na cmentarzu, zaniedbując obowiązki. Tutaj rozpamiętywał chwile spędzone u boku ukochanej żony, po powrocie zaś do domu zamykał się w swoim gabinecie, zapowiadając, że nie chce widzieć nikogo. Rozalia uważała, że należy dać mu czas na żałobę, ale Staś w żaden sposób nie mógł pojąć, dlaczego zabraniają mu spotkań z tatusiem. Śmierć matki przyjął boleśnie, ale ze spokojem tak niezwykłym u siedmioletniego dziecka.

Rozalia uważała, że potrzebny jest czas na żałobę, bo i ona zapadła się w sobie. Szukała pocieszenia w modlitwie, lecz przebierając palcami paciorki różańca nie potrafiła się na nim skupić.

Czym jest umieranie? – myślała. – Nadzieją, że przechodzi się z tego trudnego i zakłamanego świata w lepszy? Który z nich jest prawdziwy? A może tam, po drugiej stronie nic nie ma? Może licząc na dalsze życie tam, karmimy się złudzeniami, budujemy zamki na lodzie?

– Pan Edward całkiem zmarnieje – utyskiwała Wiesia, a pierze z przeznaczonej na obiad kury wymykało się spod jej palców i fruwało po całej kuchni.

– Już ty się nie martw – parsknęła Aniela. – Całą zimę będzie płakać, a wiosną nowej żony zacznie szukać. Krew nie woda.

– Mój Boże! Aniela to chyba serca nie ma – wytrzeszczyła oczy Kazia i z rozmachem wrzuciła do miski ostatnią obraną pietruszkę. – A pan Edward prawdziwie kochał panią Elizę – dodała tęsknie.

– Kochał – wzruszyła ramionami Aniela. – A bo to chłop potrafi prawdziwie kochać? – zawahała się i dorzuciła mniej pewnym głosem: – No, może on i kochał. Ale przekonasz się, rok minie, a znów się ożeni. Dzieciakom matka potrzebna.

– Przecież jest pani Rozalia – zauważyła nieśmiało Wanda. – Ona dla nich jak matka.

– Pani Rozalia wieczna nie jest – oznajmiła twardo Aniela. – Tylko patrzeć jak się posypie i śmiercicha jej w oczy zajrzy.

– Pan Edward do Borowic, do Zaniewskich pojechał i ciotkę Felicję od najgorszych wyzwiał, że Olechnę do pani Elizy poradziła wzywać – oznajmiła nagle szeptem Wiesia.

– A ty skąd wiesz? – oczy Kazi rozszerzyły się z ciekawości. – Mówił ci kto o tym?

– Maryna. Sprzątała korytarz, a drzwi do salonu były uchylone i wszystko słyszała. Tylko ty nikomu nie mów! – przykazała, na co Kazia z zapalem najpierw pokiwała, potem pokręciła głową, bo nie mogła się

zdecydować, które zapewnienie będzie silniejsze. – Maryna w wielkiej tajemnicy mi powtórzyła. Pani była bardzo niezadowolona, gniewała się, bo nie życzy sobie takich kłótni w rodzinie.

– I so pan Edward na to? – dopytywała Kazia, coraz bardziej wytrzeszczając oczy.

– On podobno nic sobie z tego nie robił. Powiedział, żeby matka o kłótnie się nie martwiła, bo zabronił ciotce Felicji do Przylipia przyjeżdżać. I jeszcze...

– Co jesse? – Kazia aż oddech wstrzymała z ciekawości.

– A nie powiesz nikomu? – Wiesia zmrużyła oczy i przez chwilę patrzyła na Kazię podejrzliwie.

– Nie! – uderzyła się kułakiem w piersi Kazia.

– Powiedział, że jak tu ciotkę Felicję zobaczy, to bez wahania zastrzeli.

– I bardzo dobrze – wtrąciła Aniela, która do tej pory przysłuchiwała się w milczeniu. – To zła kobieta. Niech ją piekło pochłonie! – dodała z mocą.

W kuchni zapanowało milczenie, tylko ogień trzaskał pod fajerkami i zupa smakowicie bulgotała w garnku.

– Tak, tak, śmierć nie wybiera – westchnęła w zadumie Wiesia. I nikt nie wiedział, czyją śmierć ma na myśli, póki nie dodała: – Mnie się wydaje, że to stara Waleria upomniała się o panią Elizę. Jakby jej wtedy za rękę nie złapała...

– To nie babki Walerii wina – zaprzeczyła żywo Kazia. – Ja wiziałam, jak młoda pani w lustse się psegładała, choć jesse dwa tygodnie nie minęły, jakeśmy starsą panią pochowali. Kazdy wie, że w lusterku psegładać się nie wolno, póki załoba nie minie.

– Za robotę się wreszcie weź, zamiast gadać po próznicy – zniecierpliwiła się Aniela. – W lusterko można patrzeć zaraz po pogrzebie.

– Mnie najbardziej boli, że pani Eliza sama w nocy była, kiedy kostucha po nią przyszła. Źle tak odchodzić samemu – bąknęła Wanda.

– Et, gadanie – prychnęła Aniela. – Toć dla niej lepiej, że nikt jej lamentowaniem nie zatrzymywał. Po co przedłużać cierpienie, skoro dusza się rwie do wieczności? Poza tym może we śnie umarła?

– Nie, na pewno nie – zaprzeczyła żywo Wiesia. – Olechna mówiła, że takie przerażenie miała w oczach, jakby coś straszego zobaczyła. Cesia znów opowiadała, że wieczorem, kiedy u młodej pani do kominka polana kładła, fotografia babki Walerii z komody sama spadła, aż ramka pękła.

– Pewnie Seśka nogą komodę trąsiła, niezgraba jedna – bagatelizowała Kazia, która od dłuższego czasu rozplatała i zaplatała warkocz, wciąż gapiąc się w okno. Obawiała się, że pan poeta wyszedł już na spacer, a ona tego nie zauważyła. Nieoczekiwanie inny obrazek przykuł jej uwagę. – O, paccie, Malwina! – zawołała nagle, zbliżając nos do szyby. – Paccie no, jak to dumnie izie!

– Do roboty, mówię! – zezłościła się na dobre Aniela. – Nic dziś nie robisz, ino się gapisz. Garnki umyj, czekają! – Sama jednak podeszła do okna i dyskretnie, znad głowy Kazi przyglądała się ubranej w kożuszek i okutanej w grubą chustkę Malwinie. – Damulka – burknęła. – Myślałby kto.

– Pani Rozalia powiedziała, że Malwina z Zosieńką w pokoju po babce Walerii będzie mieszkać – odezwała się Wanda z nutką dumy, bo przecież to ona robotę mamki dziewczynie naraiła.

– Komu powiedziała? – zdziwiła się Aniela. – Tobie? To ty w takich łaskach u pani, że powiernika w tobie znalazła? – zapytała z nutką zazdrości.

– Nie, skąd znowu mnie... – Wanda aż skuliła się pod świdrującym wzrokiem kucharki. – Nauczycielce powiedziała. Nauczycielka Józi,

a dopiero Józia mnie...

– No, ja myślę – uspokoiła się Aniela.

Do kuchni zajrzała zniecierpliwiona Rozalia. Ubrana w czarną suknię, wyglądała na starszą niż w rzeczywistości. Aż żal było patrzeć na jej poszarzałą, smutną twarz. Wszyscy wiedzieli, jak bardzo przywiązana była do synowej i z jakim poświęceniem walczyła o jej zdrowie.

– Moja Anielu – odezwała się spokojnym, trochę znużonym tonem. – Będziemy mieć Danickich na kolacji. Podaj mięsa, sery i białe pieczywo. Aha i nie zapomnij o gotowanej cielęciny, pani Danicka nie jada innego mięsa. A ty, Wando, chodź ze mną do piwnicy. Weź koszyk, przyniesiemy kilka butelek wina. – Głos jej przy tym nieco zadrżał, bo naruszanie świętych zasobów piwnicy było dla niej niezwykle silnym przeżyciem.

– Żołądek pani Danickiej delikatny niczym u naszej Zosi – zauważyła cierpko Aniela.

– Niech Aniela zajmie się kolacją – upomniała ją Rozalia.

– Jeszcze pani Eliza dobrze w grobie nie ostygła, a tamtym już przyjęć się zachciewa – burczała niezrażona.

Rozalia zmierzyła ją chłodnym spojrzeniem i bez słowa wyszła z kuchni.

W duchu przyznawała kucharce rację. Nie była jeszcze gotowa na przyjmowanie gości, ale pan Antoni nawet o to nie pytał. Był niezmiernie podekscytowany, ponieważ przejazdem bawił u niego kuzyn z Warszawy. Przywiózł najświeższe wieści i Danicki koniecznie chciał się nimi podzielić z Edwardem. Rozalia obawiała się, że jej syn nie opuści swojego gabinetu i goście będą zmuszeni zadowolić się towarzystwem jej i Zygmunta.

Edward wprowadził towarzyszył przy kolacji, lecz mimo starań Antoniego, był posępny, a słowa gościa zdawały się nie robić na nim wrażenia.

– Gdyby Rosja, drogi Edwardzie, nie wdała się w wojnę z Turcją i nie posłała tam swoich wojsk, nasi nie byłiby tacy śmiali, co? Spiskowcy ruszyli, bo zajęta uwaga Rosji dodała im odwagi. Walenty mówił, że Warszawa aż kipiała! Jedni na Arsenał, a drudzy na Belweder, na księcia Konstantego. – Antoni gestykulował tak szeroko, aż Helena, jego żona, która siedziała obok, odsunęła się na bezpieczną odległość. – No, nie udało się, nie udało – westchnął strapiony. – Tylko Arsenał wzięli, co? A na Belwederze tak niewiele brakowało! – uderzył pięścią w stół, aż zabrzęczały stojące na nim naczynia, po czym kontynuował ze swadą: – Bo Konstanty, rozumiesz, nie wierzył, że ktoś odważy się porwać na niego. No jakże! Jest gubernatorem przecie, bratem samego cara Mikołaja. Wystąpienie przeciwko niemu to jakby bunt przeciwko carowi. A tu klops, co? – ciągnął podekscytowany. – Wieczorem, gdy ucinał sobie drzemkę, wdarli się powstańcy. Ha, pojął, że to nie przelewki, wyskoczył z łóżka, i tak jak stał, w nocnej koszuli, uciekł na strych! Nasi zaczęli go szukać, a już ruskie się zwiedzieli, już wysłali na pomoc gubernatorowi wojsko. Naszych było mało, nie daliby rady, wzięli odwrot. A Wielki Książę, rozumiesz, mój drogi, w samej koszuli czy jakiejś tam panińskiej sukience, uciekł z miasta. Wymknął się pod osłoną żołnierzy jak szczur, co? – zakończył z żalem.

– Szkoda, wielka szkoda – przyznał półprzytomnie Edward i znów popadł w zadumę.

– Długo spała Polska święta, długo Biały Orzeł spał, lecz się ocknął i pamięta, że on kiedyś wolność miał – zamruczał pod nosem Zygmunt. – Tak to teraz śpiewają. Polacy się ocknęli, najwyższy czas.

– Jakby Konstantego zabili – wtrąciła z zastanowieniem milcząca dotąd Rozalia – może ci Polacy, którzy upatrują w nim legalną władzę,

przejrzeliby na oczy. Przecie to widać, że Konstanty do niepodległości nigdy nie zamierzał nas prowadzić.

– Oj, to, to! – zawołał Antoni i spojrzał na nią tak, jakby dopiero teraz dostrzegł jej obecność. – To racja, pani Rozalio, święta racja. – Podniósł do ust jej dłoń i ucałował ją z atencją. – Moje uszanowanie za te słowa, kochana pani – rzekł z szacunkiem.

– Na mój rozum – ciągnęła spokojnie – gdyby go złapali, raczej powinni w niewolę wziąć i siłą zmusić do podpisania manifestu.

– Jakiego manifestu? – zapytała Helena, ledwo powstrzymując się przed ziewnięciem. Nie interesowały jej te sprawy. Wolałaby przedyskutować z Rozalią najnowsze fasony wieczorowych sukien.

– O niepodległości Królestwa Polskiego – wyjaśniła Rozalia.

– Hm... Ale co wtedy na to car, co? – zasepił się Antoni.

– Car? Nie miałby tu nic do gadania – włączył się flegmatycznym głosem Zygmunt. – Widzisz pan, prawowitym następcą rosyjskiego tronu był Konstanty, ale jego ojciec przyznał koronę Mikołajowi. Konstantemu dał zachodnie rubieże, więc car po mojemu nie mógłby takiemu dokumentowi się sprzeciwić. Nawet wymuszonemu.

– Może i tak... Może i tak – przyznał bez przekonania Antoni. – A co ty o tym sądzisz? – zwrócił się do markotnego Edwarda, chociaż bardziej zależało mu na ożywieniu gospodarza niż na jego zdaniu.

– Co ja myślę? – rzekł z zastanowieniem Edward. – A to, że skoro Konstanty uciekł, Polacy jeszcze bardziej się podzielą. Jedni uznają władzę Mikołaja, drudzy będą parli do zbrojnej walki z nim.

– Może i tak... Może i tak – powtórzył z zadumą Antoni i podkreślił węża.

W pokoju kredensowym uwijał się Alojzy. Służący, który na co dzień usługiwał Edwardowi, teraz z zapałem czyścił srebra i miękką ściereczką przecierał porcelanę. Wieczere wigilijną w domu Stalickich celebrowano wyjątkowo okazale. Fajansowe kubki i talerze nie znajdują miejsca na długim świątecznym stole, ustawionym w jadalni. Józia rozkładała na nim bielutki obrus, pod który pieczołowicie wsuwała wiązki siana. Kajetan już rozrzucił przed domem gałązki świerka, mające chronić domowników przed chorobami, a teraz wniósł do jadalni obwiązane sznurkiem snopki słomy z ostatniego ściętego zboża i z przejęciem ustawiał je w kątach pokoju. Zaraz przybiegła Maryna i ozdobiła je kolorowymi, suszonymi liśćmi i owocami. Wiosną ziarna z tych właśnie snopów rozpoczną siewy. Niech się darzy na nowy rok, niech plony szcudrze Bóg pobłogosławi.

Choinka, w tajemnicy przed Stasiem ustrojona owocami, pierniczkami, szyszkami i parafinowymi świeczkami, czekała w lśniącym od czystości salonie. Miała być największą atrakcją i niespodzianką po wieczerzy. Staś jednak podejrzwał Marynę, gdy ubierała drzewko, i teraz nie mógł doczekać się otwarcia drzwi salonu.

Cienki sopranik Cesi, której zadaniem było rozpalanie kominków, a dziś również w pokojach gościnnych, dobiegał nawet do kuchni, gdzie aż wrzało

od roboty, bo nikt tego dnia od niej nie stronił.

*Niebiosa, rosę spuście nam z góry;
Sprawiedliwego wylejcie, chmury.
Roztwórz się ziemio, i z łona twojego,
Wydaj nam, wydaj już Zbawcę naszego.*

– Załoba w domu, a ta wyje na sałe gardło – zżymała się Kazia, zerkając raz po raz na Rozalię. Była okazja przypodobać się pani, która wciąż opłakiwała synową.

– Niechże śpiewa, moja Kaziu – uśmiechnęła się pobłaźliwie Rozalia. – To piękna antyfona, a Cesia ma przyjemny głos. Myślę, że i naszej drogiej Elizie miło posłuchać... No jak tam, Anielciu – zwróciła się do kucharki. – Ciasta dobrze wyrosły?

– O drożdżowe się martwię. Koło pieca stoi, a tu taki rejwach. Trzeba szanować czas potrzebny do wyrośnięcia ciasta. Moja mamusia zawsze mówiła: cisza, ciasto rośnie. I trzeba było na paluszkach wokół niego chodzić i szeptem mówić. Nie do pomyślenia, co się teraz wyrabia. Zakalec jak pięść będzie... No i o mięso denerwuję się okropnie – dodała strapiona. – Kazia, gapa, taką piękną sztukę zepsuła.

– Co ty mówisz? Zepsuła? – zdziwiła się Rozalia i spojrzała na Kazię, która poczerwieniała, pochyliła się nad rybą i zaczęła ją skrobać z niespotykaną u niej werwą.

– Zamiast sparzyć octem, jak kazałam, zasoliła całą wołowinę. A toć mówiłam, że sól soki wyciąga i mięso staje się twarde i suche. Nie wiem, co gościom jutro podamy. Pani Felicja będzie miała na rok gadania.

– Pani Felicja? – wyrwała się Wiesia i zagryzła wargi.

– Zapomniałam... – bąknęła Kazia i aż się skurczyła pod gromiącym wzrokiem Anieli.

– Ona zapomniała, a gadać będą o mnie – fuknęła.

– Niech się Aniela tak nie przejmuje – łagodziała Rozalia. – Jaka Wigilia, taki cały rok. Nie trzeba się gniewać. Podamy wieprzowinę, kurczęta i dziczyznę. Nikt z głodu nie umrze. A moja siostra, owszem, przyjedzie – zwróciła się do Wiesi. – Skąd to zdziwienie?

– Nic, nic – bąknęła Wiesia i zerknęła na Kazię, która bezradnie rozłożyła ręce.

– Za starszej pani takiego pobłażania nie było – wróciła do tematu Aniela. – Nikt o niczym nie zapominał, chociaż pani Waleria nikogo nie pilnowała i była dobra, że do rany przyłóż.

Rozalia uniosła kąciki ust w mimowolnym uśmiechu. Jej matka doskonale potrafiła udawać, że wielu uchybień nie dostrzega.

Przed samą Wigilią, gdy przed domem płonęły już ogniska dla zbłąkanych dusz, w rzęsiście oświetlonej jadalni czekał zastawiony potrawami stół, ze srebrzystych kandelabrow spływało drżące światło na cieniutkie opłatki, a wszystkim domownikom po całodziennym poście bardzo już dokuczał głód, gdzieś w dali odezwały się dzwonki sań.

– Jada! – zawołał Staś i przypadł do okna.

Na dziedzińcu stanęły sanie. Edward ze swojego gabinetu widział, jak służba wybiegła przed dom, by odebrać bagaże i pomóc gościom przy wysiadaniu. Spod baranich skór wygramoliła się Felicja, tuż za nią Małgorzata, z tyłu zaś mężczyźni: Marek, Mateusz, a na samym końcu Gustaw, który zawoławszy na stajennego, żeby konie wyprzęgał, zaraz dogonił małżonkę i trzymając ją pod rękę, przekroczył próg dworu Stalickich. Edward witać się z Felicją nie zamierzał, a jej obecność zgodził

się znosić jedynie dla matki, która wysłała do Borowic specjalny list z zaproszeniem.

Jeszcze nie zdążyli się przywitać, gdy nadjechali Wojarscy, po których Edward sanie aż do miasteczka wysłał, dokąd z Warszawy dojechali powozem pocztowym. Henryk w czarnym paltocie i wysokim cylindrze oraz Eulalia w aksamitnej pelerynie obszytej futerkiem prezentowali się nader elegancko. Małgorzata wprost nie mogła oderwać oczu od sukni kuzynki z nad wyraz szerokimi bufami, tak modnymi w tym sezonie.

Gwar zwabił Zygmunta, który wynurzył się ze swojego pokoju, żeby witać gości. W tym czasie dotarła też samotna wdowa z sąsiedztwa, Karolina Godziewiczowa, i jeszcze jeden sąsiad, Alfred Konicki, zatwardziały kawaler. Tradycją było, że ci dwoje spędzali święta we dworze Stalickich i traktowani byli jak rodzina.

Nagle ciche i smutne ostatnimi wydarzeniami pokoje rozbrzmiały radością i ożywieniem. Ucichło dopiero, gdy Edward jako główny gospodarz, podniósł koszyczek z opłatkami i nie ukrywając wzruszenia, przemówił:

– Wdzięczny jestem, że znów udało nam się spotkać przy wspólnym stole. I choć smutno, że nie wszyscy zasiądą z nami, cieszymy się swoją obecnością, tym, co mamy, i tym, co przyniesie nadchodzący rok. Podzielmy się opłatkami.

Zaszumiało jak w ulu. Goście i domownicy ruszyli ku sobie, padali w objęcia, całowali się i składali życzenia. Kiedy ucichło, drzwi jadalni uchyliły się i do środka zajrzała Aniela. To był sygnał, by ruszyć do kuchni i przełamać się opłatkami ze służbą.

Dopiero potem zaszurały w jadalni krzesła i każdy zajął wyznaczone miejsce.

Joanna, która również miała zaszczyt uczestniczyć w wieczerzy, usiadła obok Stasia i starała się pilnować dobrych manier wychowanka. Była onieśmielona towarzystwem, a na domiar tego, ilekroć podnosiła znad talerza oczy, napotykała na figlarny uśmiech to Mateusza, to znów Marka Zaniewskich. Zauważywszy to, Felicja ugodziła bliżej siedzącego syna kuksańcem w bok, przywołując go do porządku. Ten zaś trącił brata, który roześmiał się tylko, nic sobie nie robiąc z oburzenia matki.

– A gdzie podziewa się Witold? – zagaiła Rozalia i skierowała wzrok na Eulalię.

Ta pokręciła w milczeniu głową i spojrzała łzawo na męża.

– Nie wiemy, gdzie on teraz – pospieszył z wyjaśnieniem Henryk. – Żadnych wiadomości.

– Słyszałem, że w Warszawie niespokojnie – podjął temat szpakowaty, wysuszony jak śliwka i lekko przygarbiony Alfred Konicki. – Robotnicy i rzemieślnicy się burzą, bo ostatnio wzrosło bezrobocie, a do tego ceny żywności coraz wyższe – oznajmił skrzekliwym głosem.

– Tak – potwierdził Henryk. – Co chwilę gdzieś są rozruchy. Warszawiacy zajęci walką o własną egzystencję. Nasi spiskowcy raczej nie mają co liczyć na ich pomoc w powstaniu.

– Bo jak tu myśleć o wyższych sprawach, gdy garnek pusty? – zauważyła Rozalia.

– A wiesz, Rozalko – Eulalia osuszyła rąbkiem chusteczki oczy i uśmiechnęła się blado – że mój Henryś został dowódcą gwardii?

– Jakiej gwardii? – zdumiała się Rozalia. – Henryk?

– A tak – potwierdził, kiwając z dezaprobatą głową. – Straż Bezpieczeństwa wydała nakaz, że każdy właściciel domu w Warszawie ma być dowódcą gwardii osób w obwodzie swojego domu. Słyszał kto coś

podobnego? Tak więc pilnuję mojej kamienicy, a moja śliczna Eulalia jest członkiem tej gwardii – dodał i ucałował ręce żony.

– Ech, gdyby generał Chłopicki zaufał naszym żołnierzom i uwierzył, że Rosję da się pokonać, może inaczej to wszystko by przebiegało – wmieszał się do rozmowy Zygmunt. – A on sam hamuje działania powstańców.

– To dlaczego go wybrali na dyktatora powstania? – zdziwił się Gustaw i nie wiadomo dlaczego nadał się jak indor.

– A któryż generał był na to chętny? – odparł zaczepnie Henryk.

– Ach, zostawmy politykę – zreflektowała się Rozalia. – Mamy święta. Jedźmy i radujmy się z Narodzenia Pana.

– A gdzież Zosieńka? – zawołała nagle Eulalia. – Pokażecie nam ją? – spojrzała prosząco.

– Zosia śpi pewnie – odparła Rozalia. – Ale zaraz poproszę tu jej mamkę – dodała i skinęła na Alojzego stojącego u drzwi w oczekiwaniu na polecenia.

Po chwili w progu jadalni stanęła Malwina. Wszyscy zamilkli, bo tyle było dumy w jej postawie, tyle wyzwania na twarzy. A ona jakby spodziewała się zaproszenia, bo ciemny, gruby warkocz miała pięknie zapleciony, a białą bluzkę przystroiła koralami. Od jej wielkich, brązowych oczu blask taki bił, że obaj synowie Felicji natychmiast stracili zainteresowanie Joanną i wzroku nie potrafili oderwać od tej zuchwale wyprostowanej panny. Śliczna była Malwina i świeża jak wiosenny poranek. W ramionach tuliła niemowlę. Dziecko spało i nie reagowało na panujący w jadalni gwar.

Eulalia poderwała się z miejsca i wyciągnęła obie ręce po małą. Malwina zerknęła na Edwarda, a gdy ten przyzwalająco skinął głową, podała tłumoczek z wahaniem. Nie spuszczała jednak oka z rąk Eulalii

nawet na moment. Było w tym spojrzeniu przyczajone ostrzeżenie, pierwotna cecha drapieżnego zwierzęcia, że za wszelką cenę będzie chronić swoje małe. Gdy otrzymała niemowlę z powrotem, spojrzała na nie z taką dumą i miłością, że w Edwardzie zadrżało serce.

Taką czułością obdarzyłaby Zosieńkę jedynie Eliza – pomyślał wzruszony.

A Rozalia uchwyciła to spojrzenie i pojęła je opacznie. Niby rozumiała syna. Jeśli dzielił z ukochaną kobietą każdy dzień, noc, każdą myśl, nic dziwnego, że po tak bolesnej stracie nieświadomie szukał jej cech w innych kobietach. Powinien jednak wiedzieć, że ich nie znajdzie, bo każda jest inna, z niepowtarzalną duszą, nawet jeśli na zewnątrz tak samo piękna.

Zosią zachwycali się wszyscy z wyjątkiem Felicji, która popatrywała na małą dziedziczkę hrabiowskich skarbów z prawdziwą niechęcią. Edward zauważył jej wzrok, dlatego powiedział z przekorą:

– Alojzy, niechże Kajetan kołyskę tu do nas przyniesie. Zosieńka z nami zostanie, a Malwinie zrób miejsce przy stole.

– Oj, dobrze – wyrwała się z ulgą w głosie milcząca dotąd Małgorzata i zaraz zamilkła pod surowym spojrzeniem matki.

– Nie rozumiem, dziecko – uśmiechnęła się kwaśno Felicja.

– Policzyłam, że jest nas tutaj trzynaście, a nieparzysta liczba osób przynosi nieszczęście – bąknęła skrzepowana Małgorzata, bo goście dali spokój Zosi i skupili się teraz na niej. – Śmierć...

– Och, dosyć tych śmierci już było – zatrzepotała rękami Rozalia. – Siadaj z nami – skinęła na Malwinę.

Dziewczyna zrobiła gest, jakby starała się wymówić, ale Edward nie chciał o tym słyszeć. Wziął Zosie w ramiona, a Alojzy natychmiast odsunął wolne krzesło, wskazał je Malwinie, po czym wyszedł na poszukiwanie

Kajetana. Znalazł go w kuchni, gdzie przy dużym, dębowym stole biesiadowała służba.

– Pan Edward prosi Kajetana kołyskę do jadalni zanieść – rzekł oficjalnie i przełknął ślinę, bo rad byłby do kolacji ze wszystkimi zasiąść. Niestety, musiał czekać, aż pani Rozalia pozwoli mu odejść.

– To Malwina wreszcie do nas przyjdzie – ucieszyła się Wanda.

– Malwina z państwem ucztuje – oznajmił Alojzy i chyba z przyzwyczajenia lekko skłonił się przed Wandą.

– Paccie ją! – zaperzyła się Kazia. – Byle latawica ze wsi do stołu z państwem siada. Uch... dałabym jej...

– Cicho bądź – zbeształa ją Aniela. – Nie twoja sprawa. A przy Wigilii głosu nie podnoś, nie uchodzi.

Kazia zacisnęła usta i rzuciła Anieli nadąsane spojrzenie.

– Nie chciałyś przeżyć tego, co przytrafiło się biednej Malwinie – odezwała się cicho Wanda. – Gdybyś wiedziała, nie zazdrościłabyś jej.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią, aż skonfundowana zagryzła wargi.

– A cóż jej niby takiego się przytrafiło? – zakpiła Kazia. – Od biegania za parobkami bzuch jej urósł? We wsi gadają, że sama dzieciaka się pozbyła.

– Nie mów tak – powiedziała Wanda. – Nic nie wiesz.

– No to mi powiedz – Kazia aż z miejsca wstała i wzięła się pod boki. Wyglądała jak targująca się przekupka.

– Siadaj – rzekła Aniela. Po jej tonie można było wywnioskować, że zachowanie spokoju to tylko kwestia czasu. – Nie twoja to rzecz. A ty, Wanda, cicho siedź. Nie czas i miejsce na takie gadanie. Wigilia jest.

Kazia usiadła z takim impetem, że potrafiła talerz z barszczem, który rozlał się czerwoną plamą po lnianym obrusie, a leżąca obok łyżka spadła

na podłogę.

Zapadła cisza. Wiesia, która wszystkiemu przysłuchiwała się w milczeniu, pobladła z przejęcia.

– Łyżka spadła – rzekła grobowym głosem. – To zły znak. Źle wróży... Widać fatum jakieś nad tym domostwem wisi. Przekleństwo.

– Trzeba zmienić obrus – poderwała się Wanda.

– Trzeba zmienić – podchwyciła Aniela – bo plama jak ta krew się rozlała. Jak krew...

Edward tymczasem wpatrywał się w twarzyczkę Zosi, doszukując się w niej rysów Elizy. Dziewczynka jakby poczuła jego wzrok, bo zmarszczyła kształny nosek, otworzyła na moment oczka i ziewnęła szeroko. Potem mlasnęła i skrzywiła się. Edward, dalece pochłonięty obserwowaniem tych rozczulających reakcji, nie zauważył na sobie uporczywych oczu Godziewiczowej. Jedyne zawsze czujna Rozalia dostrzegła jakieś podniecenie i leciutki uśmiech, czający się w kącikach ust wdowy.

Karolina Godziewiczowa dobiegała sześćdziesiątki. Niewysoka, o okrągłych kształtach, bujnych siwych lokach i rozbieganych oczach, wyglądała, jakby rejestrowała każdy gest i każde usłyszane słowo. Mimo że rozmaite choroby przerzuciły przez błękitny most niemal całą jej rodzinę, w duszy kobiety pozostała radość życia i nieustanna chęć urządzania świata. Zwłaszcza los samotnych nieszczęśliwców ranił jej serce do tego stopnia, że starała się układać im życie, czy chcieli tego, czy nie. Jedyne Alfred Konicki opierał się tym usilnym staraniom i marszcząc czoło, konsekwentnie odrzucał wszelkie propozycje. I oto w osobie Edwarda energiczna wdowa znalazła nowe pole do matrymonialnych działań. Trzeba tylko przeczekać czas żałoby, pozwolić na okrzepnięcie bólu i czym prędzej

zabrać się do dzieła. Tym bardziej, że Zosia i Staś potrzebowali matki, a ona miała na oku bardzo atrakcyjną kandydatkę...

Wspomnienie Elizy rozlało w sercu Edwarda falę smutku i rozgoryczenia. Ostrożnie ułożył córeczkę w kołysce, po czym niepostrzeżenie wymknął się z jadalni i wiedziony nieutuloną tęsknotą udał się do dawnej sypialni babki Walerii, gdzie ukochana żona spędziła ostatnie chwile. Tu w ciszy i skupieniu mógł oddać się wspomnieniom i nie musiał wstydzić się łez. Zapalił świecę, podniósł lichtarz i omiótł wzrokiem niewielką przestrzeń. Pokój wydał mu się obcy. Obecność Malwiny jawiła się w porzuconych na oparciu krzesła fatałaszkach, drobiazgach wypełniających półki, trzewikach równiutko ustawionych przy łóżku. Nawet roznosząca się woń wiosennych fiołków tak bardzo różniła się od zapachu choroby i śmierci, którą z tego wnętrza zapamiętał. Na stojącym w rogu biurczku rozłożona książka. Uśmiechnął się nieznacznie. Malwina nie pasowała do tych wszystkich wiejskich dziewcząt, które spotykał. Twarz miała śliczną, ale dumną, trochę nawet wyzywającą. Mimo to nie brakowało jej dziewczęcego wdzięku, który usilnie starała się poskromić, próbując nadać postawie niepasującą do jej pozycji ceremonialność i dystynkcję.

Edward podszedł do okna i uniół firankę. Na podwórku płonęły niewielkie ogniska, mające wskazywać drogę zbłąkanym duszom umarłych. Pojedyncze iskry odrywały się od ognia i wzbijały w niebo. Darmo wypatrywać ich podniebnych sióstr, ponieważ niebo przykrywały dziś czarne, nabrzmiące śniegiem chmury. Pewnie przed północą, gdy ludzie ruszą na pasterkę, rozpęta się śnieżycą, lecz na razie panująca za oknem cisza i widok nieruchomych drzew przynosiły spokój i ukojenie.

Drzwi cichutko skrzypnęły, w mroku korytarza zamajczyła niewyraźna sylwetka.

– Przepraszam... – usłyszał głos Malwiny, którego ton wyrażał wahanie i zdziwienie. Wciąż stała w miejscu, jakby obawiała się przekroczyć próg.

– Wejź – zachęcił ją lekko ochryłym z niedawnego wzruszenia głosem. Chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz speszony, nie znalazł słów.

– Przyszłam tylko na chwilę – oznajmiła. – Chciałam... – jękając się, chaotycznie przerzucała złożone w kosteczkę dziecięce ubranka. – Zosia potrzebuje czapeczki. Chłodno w jadalni.

Znalazła wreszcie obsyty koronką czepeczek i nie podnosząc na Edwarda oczu, ruszyła szybko w kierunku drzwi.

– Zaczekaj – odezwał się wreszcie, gdy ochłonął po pierwszym wrażeniu. Malwina zaskoczyła go, podobnie jak on ją. Tyle że on przecież mógł spodziewać się jej tutaj.

Zatrzymała się, ale nie odwróciła głowy.

– To ja przepraszam – rzekł z poczuciem winy. – Nie powinienem tu wchodzić. Ale widzisz – tłumaczył się nieudolnie. – Tutaj... To miejsce kojarzy mi się z moją żoną i...

– Rozumiem – przerwała sucho. – Ma pan do tego prawo. Proszę sobie nie przeszkadzać – dodała, po czym wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi.

Druga połowa stycznia przyniosła siarczysty mróz. Wanda, oddelegowana do kurnika, wyścielała kolejną grubą warstwę ściółki, żeby drób przetrwał zimę. Kajetan co rusz poprawiał uszczelnienie okien i ocieplenie zewnętrznych ścian słomą, bo mroźny wiatr wdzierał się do środka, a Cesia nie nadążała z podkładaniem do kominków. Trzeba było zamknąć wychłodzony salon, a życie towarzyskie przenieść do znacznie mniejszej bawialni. Rozalia nie lubiła tego pokoju. Miał tylko jedno małe okno i był ponury, chociaż dokładała wszelkich starań by nadać mu choć namiastkę przytulności. Mimo wysiłków służącej temperatura i tutaj nie przekraczała piętnastu stopni. Wyłączając sypialnię Rozalii, pokój Malwiny i Zosi oraz kuchnię i pokoik Stasia, było to jednak najcieplejsze pomieszczenie w dworku. Odtąd tam właśnie przyjmowano nielicznych gości, którzy mając na względzie nieciekawą sytuację polityczną, rezygnowali z karnawału i zaszywali się w domowym zaciszu Stalickich. Tutaj, z uwagi na żałobę, nikt nie myślał o hucznych zabawach. Najczęściej wpadali Daniccy, ale i Karolina Godziewiczowa nie stroniła od wizyt, odkąd w przystojnym Edwardzie dostrzegła kandydata na męża dla swojej urodziwej, lecz niemajątej siostrzenicy. Nie wiedział o tym sam zainteresowany i bardzo się dziwił, obserwując wlepione w siebie oczy sąsiadki.

Częstym, choć niepozornym przyjęciom lubił towarzyszyć Staś, jeśli tylko mu na to pozwalano. Zawsze można było pochwycić ciekawe słowo z ust wujaszka Antoniego, który przywoził najświeższe wiadomości i chętnie się nimi dzielił. A poznawszy upodobania chłopca, starał się dużo mówić o wojsku i żołnierzach.

– Widzę, Stasiu, że już dzisiaj rad byłbyś żołnierski mundur włożyć, co? – żartował. – Ale nawet generał Chłopicki wstąpił do wojska, gdy ukończył nie siedem, a czternaście lat.

– To jeszcze drugie tyle – zmartwił się chłopiec, który szybko porachował na palcach różnicę.

– A tak, tak... Siedem lat – westchnął z udanym żalem Antoni i mrugnął do Rozalii, która niespokojnie poprawiała się na krześle.

Skąd u wnuka takie zamiłowanie do wojaczki? – pomyślała.

– Szkoda, wielka szkoda, że Chłopicki podał się do dymisji – wtrącił Zygmunt. – Liczyłem na niego. Tak dzielnie walczył w obronie konstytucji.

– Przecież on od początku nie chciał przewodzić powstaniu – obruszył się Edward. – A zrezygnował z dyktatury, bo nie mógł dogadać się z carem. Wierzył w przywrócenie wolności i poszanowanie konstytucji, a w odpowiedzi otrzymał nakaz kapitulacji.

– Zamiast się z nim układać, mógł wykorzystać zapal powstańców – burknął Zygmunt. Od kilku dni obnosił po domu swój zły humor. Odkąd zamknięto salon, nie mógł znaleźć dla siebie miejsca. – Ja bym tak zrobił.

– To dlaczego wuj nie jest generałem? – zdziwił się Staś. – Albo powstańcem? – dodał po długiej chwili, znacznie ciszej, bo Zygmunt zamiast odpowiedzi, łypał na niego nieprzychylnym okiem.

– Na szczęście Sejm rozprawił się z carem, co? – przerwał niewygodne milczenie i zatarł dłonie Antoni. – Chwała Bogu, nie jest polskim królem.

– Tak, ale po pozbawieniu go korony powstanie przerodzi się w wojnę polsko-rosyjską – pokręcił głową Edward.

– No to ją wygramy! – zawołał zapalczywie Antoni.

– Daj nam, Boże – westchnął Edward.

Gdy panowie oddalili się do gabinetu zapalić fajki, a Staś został odesłany pod opiekę Joanny, Helena wstała od stołu i przechadzając się po bawialni, zagadnęła:

– Wyobraź sobie, droga Rozalio, założyłam szkółkę dla włościańskich panien. Chciałam uczyć je haftu i szycia.

– Jakże sobie radzą? – zapytała uprzejmie Rozalia.

– Wcale sobie nie radzą, bo żadna nie przyszła – naburmuszyła się Helena i odstawiła z hałasem marmurową figurkę sowy, którą właśnie podziwiała.

Rozalia uśmiechnęła się zdawkowo. Była pewna, że to nie niechęć do szycia powstrzymała panny, a trudne usposobienie Heleny.

– Cóż... – bąknęła. – Mnie w ubiegłym roku nie udały się kursy pielęgnacji ozdobnych kwiatów. Tak bywa.

– Rozleniwiły się panny – westchnęła Helena.

Rozalia chrząknęła i dyskretnie obejrzała się na drzwi.

– Jeśli już o pannach mowa, chciałabym pomówić z tobą o naszej Malwinie – rzekła zniżonym głosem. – Wszak to córka waszego rządcy, prawda?

– No tak – przyznała Helena zdziwiona pytaniem. – Przecież od początku o tym wiedziałas.

– Wiedziałam, moja droga, ale widzisz... Trudno mi było o tym rozmawiać.

– Mów. Coś z nią nie tak? – Helena przysunęła bliżej krzesło i nastawiła ucha.

– Nie, skąd – uśmiechnęła się Rozalia. – Wprawdzie jest dumna jak księżniczka, ale zachowuje się nienagannie. I Zosię kocha bardziej niż to wskazane, bo ciężko jej będzie kiedyś rozstać się z dzieckiem. Nieraz słyszę, jak szczebiocze do małej. Widzę, z jaką czułością do niej przemawia, jak troskliwie pielęgnuje. Ale... Heleno, chciałabym się czegoś dowiedzieć o tej dziewczynie.

Twarz Heleny na moment stężała, ale już po chwili rozjaśniła się w uśmiechu.

– Cóż takiego chciałabyś wiedzieć, moja droga?

– Kto jest ojcem dziecka, które zmarło?

– Ach, droga Rozalio – zawołała Helena i roześmiała się perliście. – Czyż ja jestem zdolna upilnować wszystkie panny, które kręcą się we dworze? Mój Boże... Pewnie któryś ze służących, chłopak stajenny albo folwarczny parobek.

– To nie widziałaś, kto się interesuje Malwiną? Ja wiem o wszystkich, którzy u mnie mieszkają..

– Moja kochana, ja mam więcej służby niż ty – oznajmiła wyniośle Helena, lecz po jej oczach, które umknęły gdzieś w bok, Rozalia poznała, że Danicka coś przed nią ukrywa.

No cóż – pomyślała. – Każdy ma swoje sekrety. Może dlatego, że popełnia błędy i nie zamierza się z nich zwierzać ani nad nimi roztkliwiać. Może to i racja, bo błędów i tak zwykle nie da się naprawić.

Cmentarz. Groby bliskich jak anons śmierci dla żywych. Niewielkie kopce usypanej ziemi, pomniki z tego świata.

Edward, nie zważając na przenikliwy mroźny wiatr, wciąż stał nad mogiłą żony. Można pomyśleć, że przemienił się w oczekiwanie własnego kresu. Jednak gdzieś tam, w głębi serca budziło się pragnienie życia. Świadomość i wola egzystencji w pustce, jaką pozostawiła po sobie Eliza. Do tego przeszywającego chłodem lutowego dnia oswajał śmierć, lecz wczoraj coś w nim drgnęło.

W nocy nie mógł spać, a dziś z samego rana przyszedł tutaj, prosić Elizę o wybaczenie.

Zimowy bezruch przyrody w żadnym wypadku nie utożsamiał się z beczynnością ludzi. W szopie naprawiano narzędzia, szykowano nowe pokrycie dla dziurawego dachu, Kajetan rąbał drewno i składał je w drewnutni, ze stodoły słychać było uderzenia cepów, którymi parobcy młócili zboże. Z kuchni zaś dobiegały rzewne piosenki, nucone przez dziewczęta przy wyplataniu koszyków. I właśnie ten śpiew zwabił Edwarda, beczynnie blakającego się po pokojach. Przez dyskretnie uchylone drzwi biło ciepło. Kuchenne wonie mieszały się z zapachem wikliny, a śpiew dziewcząt z sykiem imbryka stojącego na rozgrzanej płycie. Na ławie pod samym oknem Malwina karmiła niemowlę. Niezauważony przez nikogo Edward wbił wzrok w biel jej piersi i przez chwilę z nabożeństwem przyglądał się nadzwyczajnemu spektaklowi macierzyństwa. A Malwina była piękna we wdzięcznym pochyleniu głowy, w czułości, z jaką spoglądała na Zosię, w prawdziwie matczynej miłości. Być może spełniała własne utracone macierzyństwo, niemniej Edward porażony tym widokiem nie mógł oderwać od niej oczu. Z trudem wycofał się i zamknął cicho drzwi.

– Ktoś tu zaglądał? – zdziwiła się Wiesia, wkładając do brytfanki przyprawioną czosnkiem i majerankiem wieprzowinę.

– Zdawało ci się – odezwała się Kazia i zaraz kichnęła od unoszącego się w powietrzu pieprzu, którym Wiesia posypywała jeszcze mięso. – Musis obsiąć końcówki tej szynki – pouczyła.

– Dlaczego? – zdziwiła się Wiesia, przyjrzała się porcji mięsa i wzruszyła ramionami.

– Bo Aniela zawsze tak robi – odparła Kazia. – Zaraz tu psyjzie, więc sama jej zapytaj.

Po chwili zdyszana od wysiłku Aniela wniosła kosz warzyw i postawiła je przed Wandą.

– Obieraj – nakazała. – A pospiesz się, żebym do kolacji mogła podać.

– Kazia mówi, żeby obciąć końcówki szynki – zwróciła się do Anieli Wiesia. – Mogę to zrobić, ale nie wiem, po co.

– Jak to po co? Nie pytaj, tylko obcinaj – obruszyła się Aniela. – Moja matka, u której się uczyłam jeszcze za starszej pani Walerii, zawsze obcinała.

– Ale po co? – upierała się Wiesia.

– Bo tak trzeba – ucięła Aniela i zajrzała do pieca, gdzie rosły razowe chleby.

Zosia zaczęła cichutko kwilić i wiercić się w ramionach opiekunki.

– Dobrze mi tu z wami – oznajmiła Malwina, spoglądając na Wandę, jakby chciała dać do zrozumienia, że zwłaszcza jej towarzystwo ceni sobie najbardziej. – Ale muszę przewinąć Zosię.

– Is, nikt się tu nie tsyma – odparła Kazia, która nie darzyła Malwiny sympatią. Uważała ją za zarozumiałą snobkę.

Dziewczyna uśmiechnęła się leciutko, przytuliła dziecko i wyszła. A Kazia, Józia, Maryna i Cesia zabrały się za sprzątanie wikliny i omiatanie podłogi. Zbliżał się czas kolacji, trzeba było zostawić tę robotę, wytrzeć

naczynia, nakryć do stołu, dołożyć drewna do kominków. Nie brakowało pracy przez cały dzień.

Do kuchni weszła Rozalia, by dowiedzieć się o wieczorny posiłek.

– Przypominam, moja Aniela – odezwała się jak zwykle lekko znużonym głosem – że pani Godziewiczowa będzie dziś u nas gościć. Mam nadzieję, że znajdzie na stole swoje ulubione warzywa.

– Znajdzie, znajdzie – mruknęła Aniela i obejrzała się na Wandę, która właśnie je obierała.

– To dobrze – uspokoiła się Rozalia i uchyliła ściereczkę przykrywającą brytfankę. – A cóż ta szynka taka okrojona? – podniosła w zdziwieniu brwi.

Wiesia i Kazia spojrzały po sobie, po czym zawiesiły niepewny wzrok na Anieli.

– Świętej pamięci moja mamusia, kucharka naszej starszej pani, tak robiła – pospieszyła z odpowiedzią skonsternowana Aniela. – Podobno pani Waleria kazała...

Rozalia przygryzła wargi w hamowanym śmiechu. A ponieważ nie pozwalała sobie na żadne emocje w obecności służby, powróciła do z lekka wyniosłego tonu.

– Moja matka radziła mięso okroić, gdy się w brytfannie nie mieściło – wyjaśniła i z trudem powstrzymując śmiech, opuściła kuchnię.

Przysadzista Karolina Godziewiczowa w rozłożystej sukni, obszytej futrem pelerynie i okazałym, ozdobionym sztucznymi kwiatami kapeluszu, przelała się przez próg na podobieństwo ukwieconego wzgórza. Wniosła za sobą zimowy chłód oraz ostry zapach mięty i szaławii przyjemnie muskający nozdrza. Zarówno strój, jak i blada, przysypana pudrem cera miały ukazać nie tylko jej kobiece walory, ale również status materialny, który lubiła podkreślać. Edward, nigdy nieprzepadający za jej towarzystwem, a od

pewnego czasu wręcz unikający go, i tym razem miał ochotę czmychnąć do swojego gabinetu. Został jednak na specjalne życzenie matki, choć zżymał się wobec natarczywości i poufałości gościa. Nie miał pojęcia o zamiarach Godziewiczowej, dlatego podwaliny pod nader obiecujący związek, które metodycznie budowała, przyjął z niesmakiem, jako jej własne zaloty. Starał się odrzucać je uprzejmie, lecz dobitnie i klarownie. Długo nie rozumiał, dlaczego ta leciwa dama upatrzyła sobie właśnie jego. Śmiał się z tych prób w duchu, dopóki jej przymilne i wielce sugestywne słowa nie zaostrzyły w nim czujności.

– Ach, jakże rozumiem pański smutek po utracie bliskiej i kochanej osoby. Tę samotność i pustkę w sercu. Wszakże mój mąż osierocił mnie bardzo jeszcze młodą. Nie ma pan pojęcia, drogi Edwardzie, jak teraz żałuję, że nie uległam któremuś ze starających się i nie wyszłam ponownie za mąż. A było ich niemało, oj, niemało – podkreśliła i zatrzepotała kokieteryjnie rzęsami, na co Edward zachnął się i rzucił matce niespokojne spojrzenie. Ta jednak siedziała niewzruszona, popijając herbatę z cieniutkiej porcelany w różyczki.

– Dzisiaj nie pora na małżeństwo i wdowę do końca już zostanę – ciągnęła pani Karolina, na co Edward zareagował z wyraźną ulgą. – Ale pan, drogi Edwardzie, zaklinam! Niech tego błędu nie popełnia. Życie jest jedno i szkoda go na tęsknotę za umarłymi marnować.

– Toż samo mu mówię – wyrwał się Zygmunt i postukał fajką o brzeg stołu, dając do zrozumienia, że konwersacja go nudzi i rad by do gabinetu umknąć.

Edward na słowa Godziewiczowej poruszył się niecierpliwie, Rozalia natomiast uśmiechnęła się smutno.

– Trzeba zdać się na czas – stwierdziła. – On leczy rany. Mnie samej brakuje naszej kochanej Elizy, cóż dopiero Edwardowi, który każdy dzień

i każdą noc z nią dzielił przez siedem lat. Zostawmy to, trzy miesiące niespełna minęły. Grób jeszcze nie ostygł.

– A czy ja mówię, że już? – święcie oburzyła się Karolina. – Wiosną – przeciągnęła po Stalickich rozmarzonym spojrzeniem. – Wiosną, gdy ptaki nawołują się do pary, a bzy majowe roztaczają powabną woń, czas najlepszy na miłość. Prawda, panie Edwardzie? – zmrużyła oczy, a jej pokryta rdzawymi plamkami dłoń spoczęła na jego splecionych na obrusie palcach.

Edward chrząknął i nic nie odpowiedział. Jego wzrok spoczął na tej dłoni, która paliła go żywym ogniem, aż miał ochotę strącić ją jak żabę.

Czego chce ode mnie ta kobieta? – myślał z gniewem, odsuwając się nieznacznie, gdyż od Godziewiczowej ciągnęło apteką. – Wszak oświadczyła, że za mąż się już nie wybiera.

– Skromność to piękna cecha – mówiła tymczasem Karolina, uśmiechając się znacząco. – I jeszcze jedna do wszystkich cnót, jakie o panu zebrałam i już niedługo przedstawię pewnej urodziwej pannie. Nie! – podniosła energicznie dłoń, zauważywszy zaskoczony wzrok Edwarda. – Niech pan się nie wzbrania. – Po czym dodała słodko: – Pan jeszcze nie widział Antoniny, mojej siostrzenicy, a ja zapewniam, że to najpiękniejsza dziewczyna, jaką można sobie wyobrazić. I słodka jest jak miód. Przyjedzie do mnie właśnie przed Wielkanocą. I wtedy ją tu przyprowadzę.

Edward jakiś czas jeszcze rozmyślał o tym w swoim gabinecie, w końcu machnął ręką i sięgnął po dostarczony przez Alojzego swój ulubiony „Kurier Polski”.

– *Różne Wiadomości* – odczytał. – *Z niewypowiedzianą radością pospieszam donieść o pierwszej próbie waleczności naszych wojowników*

w starciu się z nieprzyjacielem. Wysłany przez Mniszew na prawy brzeg Wisły generał Dwernicki odniósł zwycięstwo w bitwie pod Stoczkiem.

A to pięknie – pomyślał z dumą, lecz gardło i piersi ścisnęła mu żałość, że to nie on z żołnierzami tam wojował, nie on przyczynił się do ratowania honoru Polski. Wprawdzie bitwie pod Stoczkiem nie przypisywano wielkiego strategicznego znaczenia, ale dla rodaków to pierwsza walka z wojskiem potężnego imperium carów. Jakaż to duma narodowa, jaka siła do dalszej walki! O, teraz Polska dla cara nie będzie uniozonym sługą. Teraz naród odważnie upomni się o swoje prawa. Z bronią w ręku.

Wróble na krzakach jaśminu wszczęły zgiełk. Puszczone wolno psy uganiały się po podwórzu, obszczekiwały Poldka wyprowadzającego konie. Czas je przegonić, oczyścić ze stajennego powietrza, zabrudzonej słomy. Początek marca dobrodusznie podarował kilka słonecznych promieni, trochę ciepła. Wanda otworzyła kurnik, rozpostartymi ramionami płoszyła drób, przeganiała go na powietrze. To czas składania jaj, należy umożliwić męskiej części ptactwa skuteczne zaloty. Edward obserwował to wszystko z okna bocznego pokoju, wychodzącego na część gospodarczą podwórza.

I nagle ta dziewczyna, zbliżająca się wdzięcznie do Wandy. Z kolorowej wełnianej chusty, którą jest omotana, jaśnieje niemowlęca twarzączka. Edward odruchowo odsunął się od okna. Firanka drgnęła lekko i zwabiła wzrok Malwiny. Przez chwilę patrzyła w tę stronę, a nie zauważywszy niczego szczególnego, wróciła do rozmowy z Wandą. Tamta śmiała się i wesoło o czymś opowiadała. Lecz to Malwina z powściągliwym uśmiechem i pewną siebie postawą przyciągała oczy i fascynowała Edwarda. Spod zgrabnego czepka wymykały się kosmyki włosów. Ściągnięte brwi rysowały czarną kreskę nad wyrazistymi, uważnie patrzącymi oczami. Była taka inna. Inna od pospolitych dziewcząt, inna od delikatnej jasnowłosej Elizy...

– Ach, tutaj jesteście! – drzwi rzadko używanego pokoju otworzyły się zniecierpliwiona, a w progu stanęła Rozalia z listem w ręku. – Szukam cię, bo od Eulalii przyszła wiadomość.

– Jakież wieści o Witoldzie?

– Nie wiem jeszcze. Proszę, czytaj! – rzekła podekscytowana i podała mu list.

– Adresowany do mamy. Niech mama sama czyta. Po co mi wiedzieć o waszych kobiecych sprawach?

– Jakież tam kobiece sprawy? Ani ja, ani ona nie mamy tajemnic przed rodziną. No, czytaj, czytaj...

– Nie tutaj. Przejdźmy do salonu, będzie nam wygodniej – zdecydował i jeszcze raz zerknął na podwórko, ale tam tylko Wanda sypała ziarno kurom. Po Malwinie nie było już śladu.

– W salonie Zygmunt siedzi – rzuciła Rozalia.

Edward skrzywił się lekko i spojrzał z ukosa na matkę. Zygmunt. On nie ma nic do tego. Nie jest nawet spokrewniony z Wojarskimi, a Witolda widział może ze dwa razy. Och, jakże on nie lubił tego leniwego nicponia, tego pozał się, Boże, poety.

Zygmunt jak zwykle zajmował fotel przy kominku. Twarz miał skupioną, oczy przymknięte, a fajka, którą trzymał w dłoni, wystukiwała powolny rytm o poręcz fotela. Niewątpliwie układał coś w głowie. Może nowy poemat, który nigdy nie zostanie zapisany? Na widok Rozalii ożywił się, lecz mina mu zrzędła, gdy zza jej pleców wynurzył się Edward.

– Nie przeszkadzamy? – zapytał sarkastycznie bratanek. Chętnie wziąłby wuja za fraki i wyrzucił z Przylipia. Nie znosił wymądrzających się, nic nierobiących bęcwałów.

– Owszem – rzekł wyniośle Zygmunt. – Właśnie pracowałem.

– Ach, pracował wuj – powtórzył zgryźliwie Edward. – Kiedy zobaczymy efekty tej pracy?

– Edwardzie! – odezwała się oburzona Rozalia. Zawsze uczono jej szacunku do starszych. I ona również wpajała takie wychowanie swojemu synowi. Jak widać, nic z tego nie wyszło.

– Mój gabinet jest wolny – oznajmił niezrażony Edward. – Znajdzie tam wuj spokój.

– Posiedzę tutaj – odparł nadąsany. – Kręgosłup mi dokucza. Tylko ten fotel jest dla mnie odpowiedni.

Edward rzucił szybkie spojrzenie matce. Rozalia machnęła ręką i usiadła na kanapie.

– Czytaj, synu – poleciła.

Droga Rozalio,

Na wstępie spieszę donieść, że my z Henrykiem zdrowi jesteśmy, nie licząc moich zawrotów głowy i wątrobowych kolek Henia. Witusia mieliśmy radość widzieć w ubiegłą niedzielę. Był tylko jeden dzień i nie mogliśmy się nim nacieszyć. Twarz miał mizerną, ale ogólnie zmężniał, spoważniał. Dumna jestem z mojego żołnierza, choć serce matki drży o każdy jego dzień, każdą godzinę. Witold brał udział w bitwie, tej, co była ostatnio, pod Białoleką. Na pewno i u was było o niej słyhać. Strasznie było. Została po niej ziemia usłana trupami i rzeka krwi. Witold opowiadał o niebywalej zaciętości obydwu stron, aż oddziały polskie musiały się wycofać. Naszych wprawdzie mniej zginęło niż tamtych, ale zginęli! Dlatego nie przestaję zamartwiać się o swojego syna.

Jakże ja Wam zazdroszczę Przylipia! Obserwuję to, co dzieje się w Warszawie, i tęsknię za Waszym spokojem i pełną spizarnią. Tutaj bieda, bieda, bieda. Wyobraź sobie Rozalko, że tworzyć się tu zaczęła jakaś

przedziwna grupa społeczna. Myślę, że są to konsekwencje dużych zakładów i fabryk, które budowano jeszcze przed powstaniem. Teraz widać, że okazały się one zabójcze dla drobnych rzemieślników, którzy potracili swoje małe warsztaty i sklepiki. I teraz mamy mnóstwo zubożałych mieszczan, wydaloną przez nich służbę, czeladników, majstrów, kramarzy, wszystkich tych, którzy już są bez środków do życia, ale nie są jeszcze zupełnymi nędzarami. Jednym słowem: plebs. Pewnie zastanawiasz się, dlaczego o tym piszę. Ano dlatego, że ci plebejusze czynszu nie chcą płacić! Ach, może i chcą, ale nie mogą. Henryk jak wiesz, jest właścicielem dwóch kamienic, więc widzi, jaka trudna jest sytuacja z mieszkaniami. Ludzi w Warszawie coraz więcej i coraz mniej miejsca do mieszkania. Te zubożałe rodziny żyją w ciasnocie i niewygodzie, a komorne jest coraz wyższe. Oczywiście lokatorzy mają do Henia pretensje, że drogo. A co on ma zrobić, skoro i jego obłożyli podatkiem kwaterunkowym na rzecz wojska? Skąd ma wziąć? Wobec tego te pieniądze musi wyciągnąć od lokatorów.

Drożyzna straszna. Wyobraź sobie, że funt masła kosztuje trzydzieści groszy. Funt wieprzowiny dziewięć groszy, za dziesięć jaj trzeba zapłacić aż pięćdziesiąt osiem groszy. I jak tu ściągać komorne od robotnika, który za cały dzień pracy zarobi zaledwie pięćdziesiąt cztery grosze? Na Powiślu i na Starym Mieście, gdzie mieszkają najubożsi, do pracy posyła się dzieci! To już zupełna zgroza. A teraz, po wybuchu powstania, jeszcze więcej wyrobników i czeladników zostało bez pracy, ponieważ pozamykano fabryki. Właściciele przerwali produkcję i czekają na upadek powstania, któremu nie są przychylni, z kolei rzemieślnicy poszli w tym powstaniu walczyć.

Ach, nie wiadomo, kiedy to wszystko się skończy.

Rozalko, może na Wielkanoc przyjedziemy do Was. Tak spragniona jestem świeżego, wiejskiego powietrza. Tymczasem bądźcie zdrowi.

Eulalia

Edward złożył list i podał go matce.

– No i tak... – westchnął.

– No i tak... – zawtórowała.

Pachnące świeżą ziemią wiosenne powietrze przeszył dziewczęcy śpiew, dobiegający z ganku za domem. Na białe mury, połyskliwe okna, rosnące nieopodal krzaki bzu i jaśminu zapadła już mroczna kurtyna. Dopiero teraz służba wyległa za dom odetchnąć rześkim powietrzem, popatrzeć, jak niebo roni srebrzystość, złapać jej okruch byстрыm wzrokiem i szybko wypowiedzieć życzenie, bo wiara w gwiazdy przynosi nadzieję spełnienia.

Marcowy chłód wdzierał się za kapoty, przenikał wełniane chustki i furkające na wietrze spódnice, ale nikomu nie chciało się wracać do domu. Tam tyle jeszcze do zrobienia, noc zbyt krótka na odpoczynek, a ranek zbyt wczesny.

Rozumiała to Rozalia i chociaż śpiew i wesołe rozmowy wdzierające się przez uchylone okno jej alkowy przeszkadzały w wieczornym pacierzu, nie ofuknęła młodych, by rozeszli się na nocleg. Przeciwnie, zarzuciwszy własne modlitwy, łowiła uchem ich śmiechy i przekomarzanie.

Trzeba łapać takie chwile – pomyślała. – Czyjś śmiech, wesołą paplaninę, radosne podśpiewywanie, serdeczne przytulenie. Trzeba zbierać skrzętniej niż monety i odkładać na czarną godzinę, gdy nie będzie już czym się wzruszać ani czym radować.

– Kazia – odezwała się zaczepnie Wieśka. – Widziałam wczoraj jak poeta z nauczycielką pod altaną flirtował.

– I po co mi takie zeczy opowiadasz? – nadęła się Kazia.

– Nie słuchaj jej – śmiała się Cesia. – Ona drażni się z tobą. Zresztą, do czego ci taki staruch? On ma chyba z sześćdziesiąt lat!

– Pan Zygmunt inną ma wybranekę – wtrąciła Maryna. – Wiem, kto to jest.

– Kto by nie wiedział – zachichotała Cesia.

– Cicho bądźcie – burknęła Józia i rzuciła spłoszone spojrzenie w kierunku okna. – Ściany mają uszy.

– Według mnie to z tym poetą coś nie tak – ściszyła głos Wiesia. – Snuje się taki udęczony, zadumany... Ani do roboty żadnej, ani do ożenku się nie nadaje.

– Psecies to poeta – wzięła go w obronę, jak zwykle, Kazia. – Jeden pisze wiersze, a drugi gnój psezuca – odcięła się, bo już dawno zauważyła, że Romuś, co świniami w chlewie się zajmuje, słodkie oczy robi do Wiesi.

– Lepszy parobek, który wie, do czego ręce służą, niż taki dziwak – wzruszyła ramionami Wiesia.

– Juz ja tam wolę, jak kto perfumami, a nie gnojem zalatuje – naburmuszyła się Kazia.

– O, jaka to dama z ciebie – zauważyła Cesia.

– Ona dama? – parsknęła Wiesia. – Malwina to dopiero dama!

Głosy zamilkły i tylko Wanda, tak cicha, że prawie niewidzialna, odezwała się po długiej chwili.

– Nie znam nikogo bardziej nieszczęśliwego od Malwiny. Dajcie jej spokój.

Przed Wielkanocą pani Rozalia kazała bielić ściany, czyścić meble, szorować do białości podłogi i pokostem malować drzwi i okiennice w całym dworku. W pokoju kredensowym uwijał się Alojzy, bo nikt jak on takiej zręczności nie miał w rękach, by nie stłuc ani jednej sztuki cieniutkiej porcelany albo kryształowego kielicha. Nikt tak pięknie jak on nie czyścił sreber i nie polerował samowara. Praniem dywanów, które po zimie należało przesytać ususzoną lawendą i leśnym rozmarynem, a później zwinąć i przez lato przechować na strychu, zajęła się Cesia, która po zimie pozbyła się obowiązku palenia w kominkach. Maryna z Józią prały zasłony, firany i obrusy. Takie wiosenne porządki odbywały się każdego roku i co roku Rozalia, a wcześniej jej matka zawsze wynagradzały ten wysiłek każdemu ze służących, dlatego nikt głośno nie narzekał na nadmiar pracy.

Również Edward wczesnym rankiem opuścił swój gabinet i ruszył konno wypatrywać śladów wiosny, by na czas zarządzić prace w polu. Kiedy mijał poczerńiałe od długo zalegającego śniegu łąki, serce skurczyło mu się z tęsknoty za Elizą, która tak chętnie przechadzała się po nich latem. Lubił patrzeć na nią z daleka, gdy płynęła wśród fal świeżej trawy, a nad jej głową jaśniał ruchomy kwiat koronkowej parasolki. Odgonił ten obraz, przełknął dławiące w gardle łzy i czym prędzej ruszył w stronę pól leżących pod brzozowym zagajnikiem. Dość sentymentów. Już marzec. Tuż po Wielkanocy trzeba zatrudnić robotników sezonowych, rozmówić się z ogrodnikiem, nająć pastuchów do krów. Będą pracować u Stalickich aż do jesieni, do pustych pól i zrudziałych pastwisk.

Po powrocie, zziębnięty, zaczepił w sieni Alojzego i posłał go do kuchni po gorące kakao, sam zaś zniknął za drzwiami swojego gabinetu. Załedwie otworzył księgę rachunkową, by zagłębić się w drobnych robaczkach cyfr, Alojzy zaanonsował Danickiego.

– Proś do gabinetu – rzucił i z westchnieniem złożył rachunki.

– A to kakao... Czy podać? – upewniał się Alojzy.

– Podać, podać. Tylko przynieś dwie filiżanki – mruknął i zaraz uśmiechnął się szeroko na widok Antoniego, który wyłonił się zza pleców Alojzego. – Dawno u nas nie byłeś, mój drogi – zawołał i szeroko rozłożył ramiona. – W karnawale chyba. Czyżby nadmiar obowiązków cię przytłoczył?

– Już niedługo tak będzie, kochany Edwardzie, już niedługo. Wiosna jest przyjemna, ale przez tę robotę nie ma kiedy się nią cieszyć. Póki co, przyjechałem zaprosić cię na polowanie. Stół wielkanocny warto ozdobić jakim cietrzewiem, nieprawdaż? – zatarł ręce. – Na wiosenne łowy dużo strzelb nie zaproszę. Ot, doktora z miasteczka, Konickiego z Bobrowej, no i ciebie, mój drogi. Teraz czterech nas będzie, a jesienią zrobimy większe łowy.

Do gabinetu wszedł Alojzy ze srebrną tacą, na której ustawiono dzbanek i filiżanki z cienkiej porcelany. Obok, na talerzyku, którego brzeg ozdobił złoty paseczek, spoczywały dwa małe owsiane ciasteczka. Dwa. Edward uśmiechnął się rozbawiony, gdy ujrzał w tym ułożeniu i w owej oszczędności Anielę, jak zżyma się po swojemu: „Panu Edwardowi kakao się zachciewa, gdy ja przed obiadem nie wiem, w co ręce włożyć. Masz, Alojzy, zanieś panu. A dwa ciastka, żeby za Anielą zatęsknił i po więcej przysłał”.

– No, jak? – zapytał Antoni i wydobyl fajkę. – W poniedziałek, co? Cietrzewie do Wielkiej Nocy muszą skruszeć.

– Pojadę. Czy ja ci kiedy polowania odmówiłem? – zaśmiał się Edward i również zapalił fajkę.

Zapadła cisza. Takie męskie upajanie się pierwszym dymem i chwilowe zadumanie nad tym, co się powiedziało lub co powie się za chwilę. Antoni podszedł do okna, odgarnął firankę i w milczeniu spoglądał na dziedziniec.

– No, jakże ona, co? – zapytał nagle, stukając leciutko końcem fajki w szybę.

Edward stanął tuż za jego ramieniem, skąd miał doskonały widok na dziedziniec i spacerującą po nim Malwinę. Włosy uwolnione spod czepka wymykały się zapince i rozsypywały na wietrze, muskając zarumienione policzki. Zosia pewnie spała i nie wymagała uwagi, bo twarz dziewczyny nie wyrażała żadnych uczuć. Była martwa, kamienna, a wszelkie doznania i myśli zostały uwięzione za zaciśniętymi wargami. Jak zawsze, gdy Malwina nie spodziewała się czyjegoś wzroku.

– Księżniczka – skwitował. – Zresztą, co ja mogę o niej powiedzieć? Karmi Zosię, a Zosia rośnie. Cóż więcej?

– Zapewne powiedziałbyś więcej, gdybyś sam tulił się do tej krągłutkiej piersi, co? – mrugnął okiem Antoni i zaśmiał się z własnego dowcipu. – Ale powiem ci, nie masz co próbować. Uroda bogini, serce mniszki – roześmiał się nieszczercze.

Malwina jakby wyczuła, że mowa jest o niej, bo gwałtownie odwróciła twarz w stronę okna. Na widok roześmianych mężczyzn oczy jej pociemniały z gniewu, a wzburzona twarz zbladła jak płótno. Zaraz też odwróciła się na pięcie i już po chwili zniknęła im z oczu.

– No, a co u twojego kuzyna oficera? Wiesz co nowego? – gładko zmienił temat Antoni.

Edward, który nie potrafił tak łatwo przejść do porządku nad oburzeniem Malwiny, nie zrozumiał pytania.

– Przepraszam – zamrugął oczami. – Co mówiłeś?

– Pytałem o twojego kuzyna z Warszawy, Witolda. Masz jakieś wieści, co?

– A, Witold... Nie. Kuzynka Eulalia też ostatnio nie pisała do matki.

– Powiem ci, Edwardzie, że gdyby Rosja wiedziała, co ją czeka, to może by nam w paradę nie laźła.

– A co ją niby czeka? – półprzytomnie zapytał Edward, bo myślami był jeszcze przy Malwinie.

– No jak to? – Antoni zasiadł w skórzanym fotelu i zaciągnął się fajką.
– Rosja planowała błyskawiczną ofensywę na Warszawę. Spodziewali się jednej krótkiej bitwy, w której nas rozgromią, zajmą Warszawę i zakończą wojnę. Przecież Rosjanie nie spodziewali się takiego oporu z naszej strony, co? A tu już w pierwszej bitwie pod Stoczkiem nie daliśmy się zaskoczyć i rozbiliśmy carską armię. W „Kurierze” o tym pisali. A co? Nie dodali nam ducha, co?

– Dodali – przyznał Edward, a świeże wspomnienie przenikliwych oczu Malwiny prześwidrowało go na wskroś.

– I wojsko ma teraz większą wolę walki – ciągnął Antoni. – Dumne jest! Tym bardziej, że młokosy szkolone siedem dni przed bitwą, a potężnemu przeciwnikowi dali radę. To dowód na to, że Polacy nie są unizonym sługą Rosji i o swoje prawa potrafią upomnieć się zbrojnie, co?

– Niewątpliwie masz rację – zgodził się Edward. – Czytałem o tym w gazetach. Trzeba przyznać, że ta nieopierzona armia Dwernickiego śmiało udowodniła, że nie da się tak łatwo złamać.

– A nie da. I nie podda się wrogim rządóm cara. Wiesz, Edwardzie, jak o tym myślę, taka duma mnie rozpiera, taka duma, że ech! – uderzył pięścią w poręcz fotela, a twarz pojaśniała mu w ekstazie. – I jeszcze ci powiem, że tym, co chcą z carem porozumienia, bo niby zbyt silny dla nas, też wytrącają atut z ręki. A co!

– Niewątpliwie dało to początek zwycięstwom w kolejnych bataliach. Nasi dzielni żołnierze obalili mit wielkości i siły armii rosyjskiej. Ale cóż, mój Antoni, będą jeszcze inne bitwy, a jedna jaskółka wiosny nie czyni.

Poza tym to nie koniec powstania. Nie wiadomo, co jeszcze może się zdarzyć.

– Nie kracz, nie kracz – zirytował się Antoni. – Gdyby w armii żołnierze byli tacy jak ty, bez wiary i nadziei, ani jednej bitwy by nie wygrali.

– Nie wiem. Może masz rację, ale zachłystywać się też nie można. Nigdy nie wiadomo, jak to wszystko się potoczy.

– Ech, to twoje czarnowidztwo, to twoje krakanie... – nadąsał się i zdecydował zniecka: – Czas na mnie. Jadę. To do poniedziałku, co?

– Tak, do poniedziałku – odpowiedział bez entuzjazmu Edward.

Zaledwie Antoni opuścił gabinet, wtargnęła Rozalia. Była poruszona i zanim wyjawiała, z czym przyszła, opadła ciężko na fotel i w zdenerwowaniu zbierała słowa.

– Co się stało, mamó? – zapytał Edward, zaciekawiony, lecz zniecierpliwiony i niezadowolony zarazem. Jego spokój, którego tak strzegł we własnym gabinecie został po raz drugi w tym dniu naruszony.

– Pytasz, co się stało? – powtórzyła, z trudem panując nad irytacją. – Mój Boże, Edwardzie, ja rozumiem, że wciąż oplakujesz Elizę. Nam wszystkim po niej smutno. Ale ty, wpatrzony w czubek własnego nosa, zupełnie nie wiesz, co wokół się dzieje. Obawiam się, że zapomniałeś już jak wygląda Zosia, bo chyba nie widziałeś jej od Bożego Narodzenia. Tymczasem przypominam, że dziecko jest twoje, a Malwina jest zaledwie mamką, która zresztą teraz... Ach, to jest tak zła wiadomość, że nie wiem, jak ubrać ją w słowa. Otóż Malwina dziś zakomunikowała mi, że odchodzi. Rozumiesz, co mówię, Edwardzie? Zosia ma zaledwie cztery miesiące, a Malwina odchodzi. I to teraz, już. Natychmiast.

Rozalia podniosła się z fotela, nerwowo poprawiła włosy i ruszyła ku drzwiom. Położywszy dłoń na klamce, odwróciła się jeszcze i dodała

ostrzegawczo:

– Posłuchaj, synu. Jeśli nie pójdiesz do niej i nie zatrzymasz jej, choćby do czasu znalezienia nowej mamki, będziemy mieli prawdziwy dramat.

– Nowej mamki? – przerażenie, które wypełzło na twarz Edwarda, nie mogło umknąć uwadze Rozalii.

– Ach, więc nie jesteś tak obojętnym ojcem, jak mi się wydawało – odetchnęła z ulgą. – Zdajesz sobie sprawę, że Zosia przywiązała się do swojej opiekunki i na każdą inną mogłaby reagować płaczem, może histerią. Ale pomijając tę zażyłość, ważniejsze jest mleko, mój drogi. Przecież nie znamy tych kobiet z nizin, co się zajmują za mamki. Może która na gruźlicę choruje albo co gorszego. Może samogon bez umiaru pije. Nic nie wiemy. A pamiętaj, że spożywanie skażonego mleka Zosia może przypłacić życiem. Co ja mówię: może. Ona na pewno przypłaci to życiem!

Edward spoglądał na matkę dziwnym wzrokiem. Nie myślał o tym wszystkim. Zwłaszcza o mleku. Nie miał pojęcia, że jakieś mogłoby szkodzić. Mleko to mleko.

Myślał o sobie. Myślał o tych chwilach, gdy ścigał wzrokiem dumnie wyprostowaną sylwetkę dziewczyny przemykającej korytarzem, gdy zza firanki obserwował jej wdzięczną postać przechadzającą się po dziedzińcu, gdy odpowiadał niby obojętnym skinieniem głowy na jej lekki, trochę wzgardliwy uśmiech. Gdy była. Po prostu była gdzieś obok, od kilku miesięcy wpisana w krajobraz tego domu, podwórka, wydeptywanych każdego dnia ścieżek. Karmiła go swoim widokiem jak Zosię mlekiem i ta obecność mu wystarczała. Nawet przed samym sobą nie potrafił wyjaśnić tej fascynacji, tego przyciągania. Tłumaczył to zaufaniem do opiekunki swojego dziecka, wdzięcznością, że wzięła za nie odpowiedzialność, że je pokochała jak matka. Tak sobie tłumaczył, ale w głębi duszy czuł, że

niezupełnie tak jest. Czuł, że znalazł się pod urokiem tajemniczej, osobliwej i niedostępnej czarodziejki.

– Porozmawiasz z nią? – wdarła się w jego myśli Rozalia.

– Tak, mam – obiecał.

– To idź. Idź, czym prędzej, póki tam jeszcze jest.

– Idę – odparł, ale z krzesła podniósł się z wahaniem. Nie miał pojęcia, jak powinien przeprowadzić tę rozmowę. Malwina była niedostępna, skryta. Nie wiadomo, czy uda mu się do niej dotrzeć. Wolał rozmawiać z nią bez świadków. Dlatego uprzedził matkę:

– Niech mama tam za mną nie idzie. Spróbuję dowiedzieć się, o co chodzi, dlaczego podjęła taką nagłą decyzję.

– Nie sądzę, że ci się zwierzy – odparła ze zważaniem. – Mnie, kobiecie, nie powiedziała, a tobie powie? Ale idź, próbuj.

Edward wyszedł, a ona zawiesiła wzrok na tarczy zegara. Minuty mijały, lecz czas się dłużył. Może dlatego że znaczyły go niepewność i obawa. Taki czas wypełniony troską nie miał z zegarem nic wspólnego.

Z dawnej sypialni babki Walerii nie dobiegał żaden szmer. Sądząc, że Zosia śpi, a Malwina być może czyta podczas czuwania nad kołyską, Edward starał się otworzyć drzwi najciszej jak potrafił. Skrzypnęły mimo tej ostrożności, skrzywił się więc i pchnął je energiczniej. Jego wtargnięcie spłoszyło Kazię, która dygnęła przed nim, oblała się rumieńcem i z zakłopotanym uśmiechem opuściła pokój, unosząc w ramionach Zosię. Kiedy go mijiała, chciał zapytać o Malwinę, lecz zaskoczony, zapomniał języka.

Wszedł do środka, przysiadł na brzegu szerokiego łóża, na którym umierała jego żona, i rozejrzał się po wnętrzu.

Pokój wydał mu się opuszczony. Na komodzie leżały pedantycznie złożone niemowlęce kaftaniki, koszulki i pieluszki, lecz należące do Malwiny drobiazgi i fatałaszki poznikały. Edwarda przeraziła myśl, że przyszedł za późno, nie zdążył zatrzymać dziewczyny i nie zobaczy jej nigdy więcej.

Muślinowe firanki nie drżały od świeżego powiewu, gdyż okno było na głucho zamknięte, podobnie jak odłożona na staroświeckie biurczko książka. W powietrzu utrzymywał się jeszcze ten szczególny zapach, który świadczył, że ona była tu niedawno.

Zafrasowanie, gdzie tak szybko znajdzie nową mamkę, bezwzględnie ustąpiło miejsca głębokiemu jak studnia smutkowi i niczym nieuzasadnionej tęsknocie. Przecież nic nie łączyło go z tą dziewczyną. Zamienili z sobą zaledwie kilkanaście zdań przy okazji wspólnego pochylenia się nad dzieckiem. Ale właśnie te momenty zapadły w duszę Edwarda najmocniej. Ta pachnąca wiosennymi fiołkami kobieca obecność, ta delikatność przy jednoczesnej wyniosłości i sile charakteru, to bezpieczeństwo i spokój o dziecko, gdy była. Wreszcie niezapomniany obraz jej białej piersi, który łakomie pochwycił, gdy karmiła niemowlę na ławie w kuchni.

Melancholia i rezygnacja zalewały falami serce Edwarda, pozbawiały go jasności umysłu i woli działania. Doskonale wiedział, że musi natychmiast wziąć sprawy w swoje ręce, znaleźć nową mamkę i zaspokoić podstawowe potrzeby Zosi. Jednak ogarniająca go apatia i beznadzieja pozostawiały go w odrętwieniu. Omiatał ściany i sprzęty markotnym spojrzeniem, dopóki jego oczy nie spoczęły na tłumoku przewiązanym konopnym sznurkiem. Leżał na podłodze, zaraz za łóżkiem, w towarzystwie wełnianej chustki, którą Malwina w chłodne dni zarzucała na plecy.

Otępienie, które przed chwilą nim władało, ulotniło się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Oto uświadomił sobie, że ona gdzieś tu jest, że jeszcze ją zobaczy. Poderwał się z miejsca, chociaż nie miał pewności, czy jej szukać, czy raczej czekać w tym pokoju, do którego przecież wróci po swoje rzeczy. Zanim podjął decyzję, drzwi stały otworem, a w nich Malwina. Jakże piękna w swoim osłupieniu, spłoszeniu, roztrzęsieniu. Cofnęła się o krok. Jej pierś falowała gwałtownie, a pociemniałe oczy pały mieszanią gniewu i przerażenia. I właśnie to

przerażenie zdumiało Edwarda. Zdumiało, lecz jednocześnie wypełniło go niezwykłą czułością.

– Na Boga – szepnął. – Ty się boisz? Boisz się mnie?

Błyskawicznie znalazł się przy niej. Chwycił za rękę i chociaż się opierała, wciągnął do środka i zamknął drzwi. Drobnej, chłodnej dłoni jednak nie wypuścił i teraz czuł jej pulsowanie, jakby schwytał strwożonego wróbla. Malwina szarpnęła się, uwolniła rękę, dopadła drzwi i oparła się o nie plecami.

– Niech pan Edward mnie nie dotyka – syknęła. W tej chwili nie różniła się niczym od schwytanego w sieć dzikiego zwierzęcia. Kąsałaby, gdyby mogła.

– Nie, nie dotykam – zapewnił i podniósł obie dłonie w poddańczym geście. – Nie bój się mnie. Chcę tylko porozmawiać.

– Niech pan Edward pozwoli mi odejść – zażądała, spoglądając to w jego oczy, to znów na swój węzełek. Najchętniej porwałaby go jednym ruchem i uciekła.

– Malwino – zaczął łagodnie, ale już po tym słowie dostrzegł, że spięła się cała, zbladła, a na jej czoło wystąpiły drobne kropelki.

– Niech pan Edward pozwoli mi odejść – powtórzyła. Głos jej drżał, podobnie jak dłonie zaciśnięte w pięści, które przyciskała mocno do siebie.

– Pozwolę ci – rzekł, żałując, że zabronił matce tu przyjść. Z pewnością poradziłaby sobie znacznie lepiej. – Proszę tylko o chwilę rozmowy. Chcę, żebyś wyjaśniła mi powód swojej decyzji.

Milczała, patrząc mu prosto w oczy. Zaczepnie, wyzywająco.

– Nie bój się mówić – zachęcał. – Jeśli ktoś sprawił ci przykrość, zmyję mu głowę i wyrzucę na bruk.

Przez chwilę stała, ważąc słowa. Potem wyprostowała się i uniosła dumnie podbródek.

– Mogę już odejść? – zapytała.

Chciałby ją zatrzymać jakimś rozsądnym, przekonującym argumentem, lecz nie znalazł słów. Pogubiły się, potoczyły w zaułki bezradności.

– Możesz – westchnął zrezygnowany. Wstrzymał oddech, gdy mijał ją w drzwiach, żeby nie budzić zmysłów jej zapachem, żeby nie przechowywać go w pamięci.

Jego szybkie kroki wybijały dwa słowa, których nie chciał powiedzieć: mo-żesz-o-dejść, mo-żesz-o-dejść...

Nie zdziwił się wcale, gdy w swoim gabinecie zastał matkę. Stała przy oknie i spoglądała na dziedziniec, zupełnie jak on z Danickim dwie godziny temu.

Rozalia odwróciła się od okna, a widząc, że Edward sięga po fajkę, poczekała, aż ją zapali. Dopiero, gdy rozsiadł się w fotelu, zapytała:

– No i jakże? Po minie widzę, że nic nie wskórałeś.

– Nie wskórałem. Ta dziewczyna kategorycznie chce odejść, a moje pytania o powód tej decyzji zbywa milczeniem. – Zamilkł, zaciągnął się dymem i po dłuższej chwili dodał: – Ale właśnie przyszło mi do głowy, że może jest na mnie obrażona.

– Obrażona? A za cóż to? – zdziwiła się, a zaraz potem zaniepokoiła się Rozalia. – Chyba jej nie bałamuciałeś, Edwardzie?

– Skądże – obruszył się. – Oczywiście, że nie bałamuciałem. Ale dziś, gdy spacerowała z Zosią po dziedzińcu, zauważyła, że patrzyliśmy na nią z Danickim przez okno.

– I cóż z tego, że patrzyliście? – zapytała z nutką zniecierpliwienia. – Każdemu wolno patrzeć.

– Och, nie o to chodzi, że patrzyliśmy, tylko że byliśmy przy tym patrzeniu bardzo rozbawieni. Mogła pomyśleć, że z niej kpimy, bo zbladła

jak papier i uciekła. Zaraz po tym wydarzeniu pobiegła z informacją, że odchodzi. Może więc ma to jakiś związek.

– Ech, gadanie – zachnęła się Rozalia. – Przecież to nic nieznacząca sprawa.

– Też tak myślę, ale innego powodu znaleźć nie mogę.

Rozalia wróciła na dawne miejsce przed oknem i stała tam długą chwilę w zadumie. Edward w tym czasie pykał nerwowo swoją fajkę i zastanawiał się, skąd weźmie nową mamkę, w dodatku z dobrym mlekiem. I jak to, do licha miałyby sprawdzić?

Kiedy Rozalia ponownie odwróciła się do syna, była wstrząśnięta nagłym odkryciem, a w jej oczach malowało się święte oburzenie. Chociaż Edward spoglądał na nią pytająco, nie zamierzała zdradzać, co znalazła w zlepku uzbieranych przez te kilka miesięcy pogłosek, informacji i cisnących się do głowy własnych myśli. Zresztą, w imię dobrych stosunków z Danickimi może nie powie mu o tym nigdy. Bez słowa opuściła gabinet i udała się ponownie do pokoju Malwiny z nadzieją, że jeszcze ją tam zastanie.

Malwina siedziała na krześle z Zosią w ramionach. Znoszone trzewiki i elegancki kapelusz, który kiedyś otrzymała w prezencie od Rozalii, wskazywały, że jest gotowa do wyjścia. Zatrzymał ją żalospny płacz głodnej Zosi, wyrzuty sumienia i dziewczka kuchenna, która teraz jak kat sterczała nad jej głową. Kazia jako chwilowa opiekunka była tak przejęta, że dla należytnej dziecku porcji mleka gotowa była Malwinę zakuć w kajdany i uwięzić.

Rozalia usiadła w małym, trzciniowym foteliku i cierpliwie czekała, aż Kazia zabierze nakarmioną niemowlę do bawialni. W tym czasie obserwowała twarz Malwiny, która coraz mocniej zaciskała usta, a na jej policzki stopniowo wypełzał szkarłatny rumieniec.

Dlaczego ona tak się denerwuje? – myślała z irytacją. – Zosia będzie przez to niespokojna.

Kiedy za Kazią zamknęły się drzwi, a Malwina zapinała guziki bluzki, Rozalia, która zwykle była uosobieniem dystynkcji i taktu, natarła na nią bez ogródek:

– Nie chcę być niedelikatna, moja droga, ale proszę, odpowiedz mi, czy odchodzisz dlatego, że bywa tu pan Danicki?

Malwina, która od dawna spodziewała się pytania o tego człowieka, podniosła się z krzesła, strzepnęła spódnicę i zapytała nad wyraz spokojnie:

– On sam o tym powiedział?

Rozalia z trudem powstrzymała grymas niepozabawiony satysfakcji.

– A więc nie pomyliłam się w domysłach – szepnęła z nieskrywaną pogardą. – To Antoni Danicki jest ojcem twojego biednego chłopczyka. Flirtowałeś z tym człowiekiem na oczach jego żony i jego dzieci! Jak śmiałaś po tym wszystkim tak wysoko nosić głowę?

Malwina aż zbladła z urażonej godności. Jej oczy płonęły z nienawiści i obrzydzenia.

– Nie flirtowałam z nim, proszę pani. A wobec jego żony byłam zawsze uczciwa. Pomagałam przy wychowaniu dzieci i biegłam na każde jej zawołanie. Kiedy zbliżał się pan Danicki, oczy wbijałam w ziemię, żeby go czym nie sprowokować, bo widziałam, jak na mnie patrzy. Bałam się tych spojrzeń i wolałam go omijać z daleka. – Podniosła wzrok na Rozalię i cedząc z odrazą słowa, ciągnęła: – Dopadł mnie w komorze, gdzie odesłała mnie pani Helena do przeglądania przetworów, czy co nie pleśniej... – zamilkła na chwilę, bo głos uwiązł jej w gardle. I tylko te oczy pałające obrzydzeniem i żądzą zemsty, ukazywały jak bolesne i wstrętne jest to wspomnienie. Przełknęła łzy i mówiła dalej:

– Po wszystkim zagroził, że jak komu o tym powiem, to mnie zabije. A ja wolałam śmierć od życia w hańbie, więc opowiedziałam wszystko pani Helenie.

Dłoń Rozalii powędrowała do gardła i tam pozostała na wypadek, gdyby chciały się z niego wyrwać niestosowne słowa.

– Cóż na to Danicka? – zapytała nieswoim głosem.

Malwina odwróciła twarz do okna. Patrzyła długo na niespokojne gałązki tańczące w tle ciemniejszego nieba, zanim się odezwała.

– Poprosiła, żebym o tym milczała. Później, gdy było już wiadomo, że dziecko przyjdzie na świat, zapowiedziała, że odeśle mnie do Warszawy, znajdzie dla mnie posadę w mieście, żebym panu Antoniemu zeszła z oczu. Tak się jednak nie stało, bo mój synek umarł, a zaraz potem Wanda sprowadziła mnie tutaj, do Przylipia.

– Wanda wie o wszystkim?

– Wie.

– Czy ktoś jeszcze?

– Pani.

Rozalia zbierała się w sobie, zanim zapytała:

– Edward... Pan Edward cię nagabuje? Mów prawdę.

– Nie... Co znowu? Nie! – zaprzeczyła Malwina i nerwowo przełknęła ślinę.

– To dobrze – odetchnęła Rozalia. Podeszła do Malwiny i położyła na jej ramieniu dłoń chłodną z przejęcia. – Dlaczego więc chcesz stąd odejść?

– zapytała i zacisnęła palce, jakby zamierzała zatrzymać Malwinę na zawsze.

– Przez niego. Przez pana Danickiego. Nie chcę go widzieć ani znać, a on tu przyjeżdża szydzić ze mnie.

– Ech! – zachnęła się Rozalia. – Nie bądź głupia. I dokąd zamierzasz pójść? Bo przecież nie wrócisz do nich, do Olszówki.

– Nie wrócę. Przed siebie pójdę. Do ludzi. Umiem szyć, na krawcową się najmę albo na praczkę.

– Pomyśl, czy on wart twojego poświęcenia? Dla niego zostawisz Zosię, którą pokochałaś jak własną? – uderzyła w czuły punkt Rozalia i przeszła Malwinę uważnym spojrzeniem. – Ona też przyzwyczała się do ciebie. Za nikim nie wodzi tak oczkami jak za tobą.

Malwinie zaszkliły się oczy, a potem wielkie łzy, jedna po drugiej spłynęły po policzkach.

– Zosia to jedyna istota, która mnie kocha – szepnęła. – Którą ja kocham. Tylko tę kruszynę mam na świecie...

– Zatem zostań – powiedziała spokojnie Rozalia, zwolniła uścisk i pogładziła Malwinę łagodnie po plecach. – Obiecuję, że nie spotkasz tu Danickiego.

– A pan Edward?

– Pan Edward? Co masz na myśli? Mówiłaś, że cię nie nagabuje. Chyba nie boisz się Edwarda – zaśmiała się nerwowo. – Zresztą, mój syn żyje wspomnieniem po swojej zmarłej żonie. Nie wiadomo, kiedy się otrząśnie. Jego żal za tym, co się skończyło jest silniejszy od doczesnych przyjemności. Nie musisz się go obawiać. – Rozalia przerwała i przyjrzała się Malwinie, która siedziała z nieodgadnionym wyrazem twarzy. – No? Coś się tak zadumała? – zapytała niepewnie.

– Myślę o tym, co pani powiedziała o panu Edwardzie. Mnie się wydaje, że nie można czekać z decyzją, że czas zacząć być szczęśliwym.

– Co to znaczy? – nie zrozumiała Rozalia.

– Nie można sobie powiedzieć, że teraz przepłaczę, przecierpię, a potem będę szczęśliwa. Na co tu czekać? Aż życie przestanie być trudne? To

nonsens.

– Nonsens? Bo życie zawsze jest trudne? – domyśliła się Rozalia.

– Tak.

– Boże, jak dobrze, że ty o tym wiesz – wyszeptała z ulgą Rozalia. – Zostaniesz, bo wiesz, że gdzieś tam łatwiej niż tu nie będzie. Och, jakże mnie to cieszy... Uwierz, to ważne również dla mnie, dla Edwarda, a przede wszystkim dla Zosi. Jesteś tu potrzebna, moja kochana. Bardzo potrzebna, rozumiesz?

– Rozumiem, proszę pani.

– To dobrze. Dobrze... A ja powtarzam: nie spotkasz tu Danickiego. Dopóki będziesz z nami, jego noga tu nie postanie. Obiecuję.

Powiedziawszy to, wybiegła z pokoju. W korytarzu na posadzce i na ścianach układał się świetlisty rzucik. Dopiero teraz Rozalia zauważyła, że przez okna wlewa się wiosenne słońce.

W gabinecie Edwarda nic się nie zmieniło. Siedział wciąż w tym samym miejscu, zapatrzony w prześwietlone słońcem nagie gałęzie. Tylko fajka, zapomniana w nieruchomych palcach, już się nie tliła.

– Edwardzie – odezwała się sucho Rozalia. – Nie chcę, żeby bywał tu Danicki.

– Co? – bąknął zaskoczony. – Danicki? A jakże niby mam tego dokonać, skoro on bez zaproszenia i znienacka wpada?

– Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz. Danicki ma tu nie bywać, jeśli chcesz, żeby...

– Zostanie? – Edward poderwał się z fotela, chwycił obie dłonie matki i zajrzał jej w oczy. – Czy ona tu zostanie?

Rozalia oswobodziła ręce i przyjrzała się synowi podejrzliwie.

– Zostanie, zostanie – mruknęła. – O ile nie będzie Danickiego.

– Ha! – zawołał z satysfakcją. – Tego się właśnie domyślałem. Obraziła się na nas za te śmieszki przez okno.

– Może – rzekła zimno Rozalia. – Myśl, jak chcesz.

Drugiego kwietnia Rozalia wstała wcześniej niż zwykle. Przez okno słyszała już szuranie brzozonej miotły, którą Kajetan zamiatał dziedziniec. Ten dźwięk uświadomił jej, że to Wielka Sobota, czeka ją więc więcej roboty niż zwykle. Ledwie obmyła twarz, a już do sypialni zapukała nieśmiało Maryna z pytaniem, czy może być pomocna przy wkładaniu sukni i układaniu fryzury.

– Ach, jakiej tam fryzury – obruszyła się Rozalia. – Biegnij prędko na dziedziniec, powiedz Kajetanowi, niech Waław z Alojzym stoły ustawiają. Nie wiadomo, kiedy proboszcz będzie, może z samego rana przyjechać, a tu nic jeszcze niegotowe!

– Przed gankiem te stoły ustawić? – upewniła się Maryna.

– A co tak pytasz? Przed gankiem, jak co roku – rzuciła niecierpliwie Rozalia, odprawiła służącą ruchem dłoni, sama zaś ubrała się pospiesznie i pobiegła do kuchni dopilnować dekorowania półmisków.

Edward obserwował ze swojego okna przedświąteczne zamieszanie. Szykowanie i święcenie niemożliwej ilości pokarmów, a przy tym wielogodzinna wstrzemięźliwość od jedzenia, która wydawała mu się bezzasadna... Uważał tę tradycję za głupią i niepotrzebną. W rzeczywistości jednak brakowało mu radości i zachwytu Elizy, która te święta wprost uwielbiała.

– To taki pastelowy, delikatny czas – mówiła rok temu, ustawiając w wazonach narcyzy i żonkile. – Wszystko takie ozłoczone słońcem, przewietrzone wiosną. Ach! Jakież to wszystko jest piękne! Życie jest piękne, Edwardzie! Rozejrzyj się tylko wokół siebie, wsłuchaj się, powąchaj. Czyż nie jest cudownie? A nasz Staś... Spójrz tylko, mój kochany, jaki mężczyzna rośnie z niego!

Edward przełknął zaciskające gardło wspomnienie i zamrugnął powiekami. Nie czas na cisnące się spod powiek wciąż niewypłakane łzy. Z drugiej strony, czy przyjdzie kiedyś czas na nie?

Przed gankiem ustawiono już stoły. Ten środkowy, przykryty białym obrusem, niebawem ugnie się pod ciężarem potraw przygotowanych we dworze. Maryna zebrała gałązki bukszpanu, a teraz pobiegła aż za sad po pędy widłaka i świeże fiołki do przystrojenia stołu i półmisków. Rozalia co rusz wyglądała koni, które księdza ze święconą wodą miały przywieźć. Nigdy nie było wiadomo, o której godzinie proboszcz raczy zaszczyścić wiernych, dlatego bywało, że konie pod plebanią, a wieśniacy na dziedzińcu czekali nieraz do wieczora. W takich wypadkach kobiety pomstowały z cicha, bo tyle jeszcze roboty w domu, mężczyźni zaś ze spokojem przysiadali, na czym się dało, wydobywali swoje fajki i pykali w milczeniu lub oddawali się niespiesznym pogawędkom.

Aniela poganiała i musztrowała swoje pomocnice, które i tak uwijały się jak w ukropie. Aż furkały ich nakrochmalone fartuszki, gdy biegały w pośpiechu w jedną i drugą stronę. Już po chwili na środku stołu królowała pieczona głowa prosięcia z białym jajkiem w pysku, a obok pieczony baranek, który kilka dni temu hasał jeszcze po pastwisku. Baranek był ważny, jego kostki zostawiano wieśniakom, aby mogli zakopać je w granicach wioski. Bez tego zabiegu wieś mogłaby spłonąć od burzy, grad stłukłby pola i sady, albo jeszcze gorszy kataklizm mógłby się przytrafić.

Edward obserwował, jak dziewczki ustawiają półmiski pełne gotowanych i wędzonych szynek, pasztetów, dalej rzędem cielęce i baranie udźce. Kazia zносиła nadziewane indyki, gęsi i kapłony wrzeszczące niedawno na podwórzu. Jakże pokornie i cicho leżały teraz, odcinając się od białych obrusów brązowozłotą, smakowitą skórką. W wielkich koszach ułożono wieńce białych i wędzonych kielbas, dziczyznę, a obok, na kuchennych deskach, ptactwo: głuszce przystrojone rozpostartymi jak wachlarze ogonami, bażanty i cietrzewie. Tę obfitość mięs i wędlin wieńczył pięknie obrośnięty rzeżuchą krzyż, dzieło ogrodnika. Na dwu bocznych stołach stały kosze różnokolorowych pisanek, do których nie tylko Stasiowi, ale i Zosieńce, której już piąty miesiąc szedł, świeciły się oczy. Pomiedzy tymi koszami Wiesia, Wanda i Kazia ustawiły ostrożnie wniesione wysokie wielkanocne baby w lukrowanych czapkach, kolorowe mazurki, które Rozalia osobiście ozdobiła kajmakiem i czekoladą, placki drożdżowe z bakaliami oraz sękacz sporządzony z kopy jaj. Spośród ciast wynurzał się baranek z cukru, który po święceniu trafi w ręce Stasia.

Wszystkim smakowitościom przyglądali się wieśniacy, którzy przybyli ze słomianymi kobiałkami wypełnionymi dużo skromniejszym jądłem, przystrojonym gałązkami siwych bazi i zielonością, którą koło obejścia można było znaleźć. Stojąc wokół dziedzińca, czekali cierpliwie na księdza proboszcza i jego błogosławieństwo. Na szczęście tym razem wielebny przyjechał tuż przed południem. Zaraz też na ganek wyległa Rozalia, u jej boku zatrzymał się Zygmunt, za którym jak cień wysunęła się Joanna trzymająca Stasia za rękę i Malwina z Zosią w objęciach. Edward przyszedł ostatni i wbrew powadze chwili dość ostentacyjnie i z niejaką nonszalancją wsparł się o kolumnę ganku. Pod krótko przystrzyżonym wąsikiem wykwił delikatny uśmieszek, wiele mówiący o jego stosunku do podobnych celebracji. Na szczęście znajdował się poza zasięgiem wzroku matki, której

nie spodobałaby się taka postawa, jak i jego spojrzenie, które niby przypadkiem zaczepiło o twarz Malwiny i do końca modlitw tam pozostało.

Cała domowa służba Przylipia ustawiła się po obu stronach stołów, gotowa w razie potrzeby odgonić zwabionego zapachem psa albo wszędobylskie koty. Z przodu do ganku, niczym rój brzęczących pszczół, zbliżyli się wieśniacy ze swoimi kobiałkami. Kajetan cebrzyk z wodą postawił przed księdzem, który odmawiając stosowne modlitwy, sypnął doń szczyptę soli, po czym zanurzył w tej wodzie kropidło i suto skropił jądo oraz wszystkich zgromadzonych. Po obrzędach chłopci podchodzili do cebrzyka i nabierali poświęconej wody do małych buteleczek, by zawsze mieć ją pod ręką. Teraz można było wrócić do chałupy i do wieczora opowiadać, co kto na dworskich stołach wypatrzył.

Lukier zastygły na wielkanocnej babie lśnił niczym szron na górskim szczycie. Tuż za nim, na wprost oczu Edwarda, chwiała się kwietne ogrody zdobiące kapelusz trzęsący się na ruchliwej, utapirowanej głowie Karoliny Godziewiczowej. Obok drżały dwa pawie pióra uczonego skromnego nakrycia głowy Antoniny, jej siostrzenicy. Edward za ledwie muskał przelotnie drobną sylwetkę i nieposłuszne sprężynki rudych loków panny. Bezwiednie zatrzymał wzrok na zgrabnym, lecz gęsto usianym piegami nosku dziewczyny, który ciotka Karolina przed wyjściem desperacko tuszowała grubą warstwą pudru. Teraz dostrzegła znikomy efekt tych zabiegów, dlatego obrzuciła dyskretnym spojrzeniem zgromadzone przy stole dziewczęta, czy aby która nie prezentuje się korzystniej od jej siostrzenicy i nie zwróci uwagi Edwarda.

Kilka krzeseł dalej siedziała towarzysząca Stasiowi Joanna. Niebrzydka, ale z lekkim grymasem opuszczonych kącików ust, wodziła trochę nieobecny spojrzeniem po sprzętach, potrawach i twarzach gości z jednakowym zubożeniem i rezygnacją.

Trzeba być frustratem i samobójcą, żeby zająć się kimś takim – pomyślała Godziewiczowa i przeniosła wzrok na Małgorzatę. – Ta jest całkiem ładniutka, ale jako kuzynka Edwarda, w dodatku z narzeczoną walczącym gdzieś tam w powstaniu, nie stanowi zagrożenia.

Od końca stołu rozlegał się wesoły szczebiot i to właśnie tam najczęściej wędrował wzrok Edwarda, za którym teraz drapieżnie podążała pani Karolina. Nie przepadała za małymi dziećmi, ale chcąc przypodobać się dumnemu ojcu, uśmiechnęła się na widok ubranej w białą, wyszytą angielskim haftem, sukieneczkę małej księżniczki. Zosia starała się uchwycić czerwone korale swojej opiekunki, a gdy te wymykały się z jej nieporadnych rączek, śmiała się w głos, przykuwając uwagę gości.

– Cóż to za urocze maleństwo – złożyła ręce jak do modlitwy Godziewiczowa, łypiąc jednocześnie okiem na brzoskwińskie policzki i nieodgadnione spojrzenie Malwiny. Uroda tej dziewczyny była niepokojąca, dlatego należało natychmiast skontrolować stopień fascynacji Edwarda.

– Córeczka taka podobna do pana – roztkliwiła się fałszywie, bo każdy widział, że Zosia stanowiła niemal kopię Elizy. – Jednak do wychowania dziewczynki potrzebna jest kobieta – zerknęła znacząco na swoją siostrzenicę. – Matka!

– Nie brakuje tu kobiet – rzekł lakonicznie Edward. – A Malwina jest bardzo oddaną opiekunką.

– Malwina? – zgorszyła się. – Drogi panie Edwardzie, ta wieśniaczka nie wpoi dziecku manier, jakie przystają w naszej sferze. Trzeba małą jak najprędzej powierzyć komuś odpowiedniemu...

– Panno Antonino – zagłuszył ją głos Rozalii. – Słyszałam o pani niezrównanych talentach. Jednym z nich jest gra na fortepianie. Czy to prawda?

– Tak – ożywiła się Antonina, a pawie pióra na jej kapeluszu zachwiały się gwałtownie. – Umieć grać. I lubię.

– Bardzo proszę zatem zaprezentować nam jakąś pieśń powstańczą. Eulalia tak tęskni za swoim synem, naszym dzielnym Witoldem, prawda moja kochana? – ostatnie słowa skierowała do kuzynki, która natychmiast podniosła chusteczkę do zwilgotniałych oczu.

– Och, tak, droga Rozalio – podchwyciła. – Tak dawno go nie widziałam.

– Zagram *Białą chorągiewkę* – uśmiechnęła się Antonina. Jej twarz aż pojaśniała od tego uśmiechu, a piegowaty nosek zmarszczył się figlarnie. Wstając od stołu, rzuciła krótkie, trochę wyzywające spojrzenie Edwardowi. Te oczy prześwidrowały go i pozostawiły po sobie dziwne, nieokreślone wrażenie. Zaintrygowany poruszył się niespokojnie. Antonina na pewno nie należała do piękności, ale miała w sobie jakąś wewnętrzną moc i niezaprzeczalny urok.

– Przejdźmy zatem do salonu – zaproponowała Rozalia.

Głos Antoniny był matowy, czysty i miły dla ucha.

Warszawianka, dla kochanka

Szyła białą chorągiewkę,

To płakała, to wzdychała,

Szląc modły do Boga.

Edward wszedł do salonu jako ostatni. Oparł się ramieniem o futrynę i z tej odległości przyglądał się przebiegającym po klawiaturze palcom Antoniny. Jej rdzawe loki tańczyły wokół twarzy, zasłaniały profil. Po śmierci Elizy nikt nie zasiadał do tego instrumentu, dlatego serce Edwarda skurczyło się boleśnie. Pozazdrościł Antoninie dotyku śladów tamtych

dłoni i zapamiętał się w dźwiękach, w obrazie ruchliwych palców tak bardzo, że w jej miejscu ujrzał swoją żonę. Ocknął się na dźwięk oklasków.

– Brawo, brawo! – zawołał Zygmunt, po czym rozchylił surdut i sięgnął za połą wzorzystej kamizelki, skąd wy dobył złożoną w cztery, zadrukowaną stronicę jakiegoś czasopisma. – A to panna znasz? – zapytał, podsuwając Antoninie pod nos drobny tekst.

Przebiegła po nim wzrokiem i pokręciła przecząco głową.

– Bo to świeże jak poranna rosa – oznajmił z dumą i zademonstrował pozostałym gościom stronicę „Polaka Sumiennego”. – Pierwsze wydanie, proszę państwa – potrząsnął gazetą. – Oto *Warszawianka*! Już niedługo zabrzmi we wszystkich domach. Posłuchajcie tylko:

*Powstań, Polsko, skrusz kajdany,
Dziś twój tryumf albo zgon!*

Wyrecytował z patosem, a po chwili dorzucił wzruszony:

– Pijmy, panowie! Wypijmy za tryumf! Za wolną ojczyznę!

– Za ojczyznę trzeba walczyć, a nie pić – zauważyła chłodno Rozalia.

Zygmunt zwięził oczy i zniżył głos. Jego słowa, jak smagnięcie biczem, zostawiły na jej policzkach szkarłatne plamy.

– Ja już nie mam do walki śmiałości. I nie mam na to sił. Bo nic gorszego nie mogło mi się trafić niż spotkanie ciebie. Całą energię zużyłem na tę walkę: z tobą i o ciebie, Rozalio.

Wysłuchiwała się w jego słowa i wydawało się jej, jakby jedno po drugim spadały gradem na głowy zebranych. A oni zbierali je skrzętnie, oglądali z każdej strony, żeby lepiej je poznać i lepiej zrozumieć. Teraz zawsze będą je pamiętały, bo słowa są trwałe i ani przestrzeń, ani czas ich nie zniszczą.

Poruszona zuchwałym wyznaniem Zygmunta i wymownym milczeniem gości, rzekła ostro:

– Zamilcz. To nie czas i miejsce na takie słowa.

Zygmunt podszedł do niej blisko, chwycił ją za ramiona, potrząsnął mocno i wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Słowa już nie mieszczą się w głowie, w sercu, w ustach ich pełno i ani połknąć, ani wypluć już ich nie można, a ty każesz szukać dla nich czasu i miejsca?

– Zostaw! – syknęła, odpychając jego dłonie. – Wszyscy patrzą.

Zygmunt jakby oprzytomniał. Rozejrzał się wokół, a ujrawszy rozgniewanie Edwarda i rozszerzone ciekawością oczy Godziewiczowej, zwolnił uścisk i energicznym krokiem opuścił salon. Na twarzy Rozalii wykwitł zakłopotany uśmiech. Edward, nie mogąc znieść bezczelności wuja i upokorzenia matki, ruszył za nim. Rozalia jednak zatrzymała go silnym uściskiem.

– Nie idź za nim – szepnęła. – Niech sam się opamięta. – Potem sięgnęła do włosów, by poprawić nieistniejący nieład, i głosem, nad którym niezupełnie jeszcze panowała, zwróciła się do Antoniny:

– Czy jeszcze jakim utworem może nas pani zaszczyścić?

Twarz dziewczyny pojaśniała.

– Umiem grać wiele utworów – rzekła z uśmiechem. – Szkoda jednak, że w domu zostawiłam litografie nutowe, bo rozkwitła nam w ostatnim czasie twórczość powstańcza. Z pewnością i pan Zygmunt mógłby się swoją liryką pochwalić, bo żaden poeta obok tego, co obecnie się dzieje, nie przechodzi obojętnie. Tyle teraz bohaterów, tyle znaczących miejsc i zdarzeń. Nawet zwykli dyletanci wzięli się za pióro i układają całkiem zgrabne strofy.

– No to będą mieli o czym pisać – odezwał się z dumą Henryk – bo dopiero co nasze wojska odniosły znów zwycięstwa nad Rosjanami.

– Słyszałem – wtrącił Gustaw. – Kilka dni temu zwyciężyli pod Wawrem.

– Tak – podkreślił węża Henryk. – I pod Dębem Wielkim. Wczoraj ulicami Warszawy przeszedł tryumfalny pochód wojskowy. Żołnierze wymachiwali sztandarami zdobytymi w tych bitwach. Tłumy warszawiaków stały po dwóch stronach ulicy i podziwiałały pochód, przed którym grała orkiestra wojskowa. Poszliśmy tam z Eulalią świętować razem ze wszystkimi.

– Mój Boże – westchnęła Eulalia. – Ja nawet takie święta łzami okupuję. Żebym chociaż wiedziała, gdzie nasz biedny Wituś. Żadnej wiadomości od niego.

– Proszę nam zagrać, Antonino – odezwała się znów Rozalia. – Dziś weselić się trzeba ze Zmartwychwstania Pańskiego, a nie o wojnach rozprawiać. Może Chopin? On sam daleko, to chociaż jego muzyka niech w kraju zostanie.

– Nie – sprzeciwił się Henryk. – Poproszę o Ogińskiego, jeśli łaska. *Pożegnanie Ojczyzny*. Mam swoje lata, kto wie, czy jeszcze wolny kraj zdążę zobaczyć.

Dźwięki fortepianu towarzyszyły szeptom odświętnych sukien, szelestom sztywnych mankietów i kołnierzy, milczeniu błyszczących kryształów, w których odbijały się wpadające przez okno smugi słońca. Edward dyskretnie obserwował roziskrzone niedawnym wzburzeniem oczy matki, melancholię Eulalii, skrywane znudzenie Felicji i wzruszenie Henryka. Palce Antoniny, smukłe, nieubrane nawet w najskromniejszy pierścionek, zwinnie przesuwały się po klawiaturze, budziły dźwięki. Na zydelku pod oknem przycupnęła Malwina. Zosia zabawiała się kosmykiem

jej włosów, a ona sama, zastygła w zaskłuchaniu, zagubiona w swoich zmiennościach i niepewnościach, tuliła małą do serca tak naturalnie, jak tylko prawdziwa matka potrafi. Wzrok Edwarda pochwycony przez Godziewiczową pospiesznie przeniósł się na Stasia, który pod niedbałym okiem Joanny przywiązywał długie frędzle jej szala do oparcia krzesła. Uśmiechnął się na widok tej psoty i odwrócił głowę, udając, że niczego nie dostrzegł. Jego wzrok znów spoczął na profilu Antoniny, na jej przymkniętych powiekach, pod którymi skrywała nieodgadnione myśli.

Karolina Godziewiczowa śledziła w napięciu wędrówkę jego oczu, zdołała twarz w życzliwy uśmiech, jakby chciała ukryć, że chce mu uszyć ubranie, nie biorąc miary, i przekonać, że tylko ono będzie pasować, że posłuży mu przez resztę życia.

Zawitaj, Pani świata, niebieska Królowa.

Witaj, Panno nad panny, gwiazdo porankowa...

Cesia przerwała śpiewanie Godzinek i przyjrzała się krytycznie poręczom, które z zapalem polerowała Józia – Te wszystkie zawijasy porządnie wyczyść – poradziła z wyższością, bo dotąd dbanie o schody i poręcze wyłącznie do niej należało. – Pani Rozalia złości się, jak kurz zostaje.

– Wiem, że się złości i dokładnie czyszczę – odcięła się Józia. – Nie trzeba mnie pilnować.

– Tak tylko mówię – złagodniała Cesia, zniżyła głos i dodała: – Dzisiaj Godziewiczowa przyjedzie, a ona jak mało kto po kątach się rozgląda.

– Ostatnio nie ma tygodnia, żeby tu nie była – mruknęła z niezadowoleniem Józia.

– Ale dzisiaj przyjedzie z panną Antoniną – szepnęła Cesia. – Podobno coś ma powiedzieć.

– Kto? Godziewiczowa? – Józia aż zatrzymała się w swojej robocie, a jej pełne wyczekiwania spojrzenie zawisło na twarzy Cesi. Ta jednak uśmiechnęła się tajemniczo i wróciła do śpiewania:

Jak było na początku, i zawsze, i ninie,

Niech Bóg w Trójcy jedyny na wiek wieków słynie...

– Kto ma powiedzieć? – szturchnęła ją Józia. – Godziewiczowa czy ta ryża panna?

– Nie mów tak o niej – oburzyła się Cesia. – Ona jest całkiem miła. I mądra.

– Ale brzydka – wyduła usta Józia. – Zresztą dla ciebie każdy jest mądry, kto wie choć trochę więcej niż ty. A ja nie lubię panny Antoniny, bo jest... bo jest... – szukała właściwego określenia.

– No? – uśmiechnęła się kpiąco Cesia. – Jaka ona niby jest? Nic nie powiesz, bo złego słowa na nią nie znajdziesz. A brzydka nie jest. Może nie taka piękna jak była pani Eliza, ale z charakteru całkiem do niej podobna.

– Do pani Elizy podobna? Też coś – obruszyła się Józia. – Powiedz lepiej, kto...

– Ciiii... – Cesia położyła palec na ustach i ze zdwojoną energią zaczęła wycierać podłogę. – Ktoś idzie.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i po chwili przez hol przemknęła jak wichur pani Rozalia. Za nią zamaszystym krokiem podążał Zygmunt.

– Zaczekaj – prosił. – Nie skończyliśmy rozmowy.

– Ja skończyłam. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia – rzuciła przez ramię.

Dogonił ją, złapał za rękę i obrócił ku sobie.

– Masz – powiedział powoli z nienaturalną, teatralną wręcz, łagodnością. – Masz, Rozalio.

Potem spojrział wymownie na zajmujące się porządkami służące, a ponieważ obie przerwały robotę i wlepiły w niego zaciekawione spojrzenia, pociągnął ją do salonu i zamknął za sobą drzwi.

Rozalia, zmęczona tym wiecznym nagabywaniem, nie kryła irytacji. Usiadła na sofie i wbiła w Zygmunta pełen zniecierpliwienia wzrok.

– Czego znów chcesz ode mnie? – zapytała.

– Och – fuknął. – Nie mów do mnie tym bezdusznym, surowym tonem. Nie mogę z tobą rozmawiać, gdy czuję, że coś wisi w powietrzu.

– Co wisi w powietrzu? – zapytała zaczepnie i odwróciła twarz w stronę uchylonego okna. Błękitne niebo i zieleń majowych drzew poruszanych leciutkim wiatrem działały uspokajająco, porządkowały myśli.

– Twój gniew. Te twoje sekrety przede mną. I twój lęk, że je odkryję. Dlaczego nie potrafisz otworzyć się przede mną? Nie chcesz wyznać mi prawdy.

– Skąd możesz wiedzieć, co czuję? – zaśmiała się gorzko. – Skąd wiesz, czy mam jakąś swoją, niedostępną ci prawdę?

– Wiem... – szepnął. Z kącika jego ust potoczyła się strużka śliny. Otarł ją wierzchem dłoni.

– Ach tak – rzekła z ironią. – No to dalej, mów, skoro wiesz to lepiej ode mnie.

Podsunał krzesło, usiadł na nim tak blisko, że ich kolana zetknęły się, i tchnął jej prosto w twarz:

– Nosisz w sobie chłód, ostre lodowe sople, które ranią moje wnętrze. Gdybyś przez te wszystkie lata, gdy jestem obok ciebie, obdarzyła mnie choć raz uśmiechem, życzliwym spojrzeniem. Tylko jeden, jedyny raz! Opadłaby kurtyna tych twoich tajemnic, rozwiałby się niepokój i ta niewidzialna aura, która nas otacza...

– Nic nas nie otacza – przerwała sucho. – Mnie i ciebie nic nie otacza. Nic nas nie łączy. Nie mamy nic wspólnego, rozumiesz? – podniosła głos.

– Nie – szepnął, mrużąc oczy. – Nie kłam. I nie broń się. Kochasz mnie i ja o tym wiem. Wtedy, tam, w kościele patrzyłaś na mnie, nie na niego.

– Bzdury! – rzekła zmęczonym głosem. – Wymyśliłeś to sobie i karmisz się tą myślą każdego dnia, aż do znudzenia. Robisz to, żeby usprawiedliwić swoją obecność w moim domu. Nie masz za grosz honoru, za to masz obsesję!

– Boże – szeptał, przysuwając twarz tak blisko, że czuła na sobie jego wilgotny oddech. – Boże... Patrzę w twoje oczy, a jakbym w przepaść jakąś patrzył. W czarną otchłań... Nie próbuj mnie zwodzić, ja wiem, co tam leży na dnie. To ciężar niedopowiedzeń, przemilczeń, jakie między nami legły. Twoich obaw i moich pragnień. Twoich sekretów i moich domysłów. Wrzuciłaś tam, na dno wszystkie nasze dni z całym bagażem zdarzeń, które powinniśmy przeżyć razem. Wrzuciłaś tam nasze przeznaczenie.

– Odejdź. Lepiej idź pisać swoje wiersze. Albo najlepiej wyjedź stąd i nigdy nie wracaj – powiedziała zimno.

– Wyjedź? Boże drogi! Jakże mam wyjechać? Nie mogę, przez wzgląd na mojego brata. Obiecałem mu opiekować się tobą. Poza tym cię kocham. I ty mnie! – Gorączkowo poszukał jej dłoni, chwycił je i obie przycisnął do serca.

– Och – wyrwała mu się. – Gdzie twój rozum? Niczego Janowi nie obiecywałeś. A we mnie budzisz jedynie obrzydzenie. Co ty masz w głowie? Chyba jesteś chory – rzuciła ze wstrętem.

Przez chwilę milczał, jakby zastanawiał się nad jej słowami.

– Jaki jestem, przekonasz się, kiedy mnie już nie będzie – syknął w końcu, a jego oczy pociemniały z gniewu. – Ani tu, ani nigdzie – zagroził.

Zanim zdołała się odezwać, wstał gwałtownie z krzesła, przewracając je z hałasem. Kiedy w pośpiechu opuszczał salon, minął się w drzwiach z Edwardem.

– A cóż wuj taki wzburzony? – zwrócił się z pytaniem do matki, bo po Zygmuncie pozostał tylko zapach tytoniu i chłód poruszonego powietrza.

– Ech, chora głowa – machnęła ręką. Udawała opanowanie, ale Edward widział, jak jest roztrzęsiona.

– Dlaczego musimy znosić jego obecność? – irytował się.

– Jan chciałby tego. Zawsze hołubił brata i chciałby, żeby znalazł u nas dom.

– Usiądź na chwilę, synu – poklepała dłonią miękkie obicie sofy obok siebie. – Chciałabym z tobą porozmawiać. I nie o nim – zerknęła na zamknięte przed chwilą drzwi – a o tobie.

Nie usiadł. Zerknął natomiast na ścienny zegar i skrzywił się nieznacznie.

– Nie mamy zbyt dużo czasu – zauważył. – Lada moment będą tu goście.

Rozalia zauważyła jego grymas.

– Ja właśnie o tym chciałam pomówić, Edwardzie – oświadczyła, przybierając ton, którego nie lubił. Wydał mu się mentorski, a przecież dawno wyrósł spod kurateli matki.

– Słucham więc – rzekł sucho, podszedł do okna i zakładając do tyłu rękę, zagapił się na białe pąki jaśminów. Jeszcze chwila, a wybuchną kwiatami, tą cudną, kremową bielą, którą Eliza lubiła wpinać we włosy...

– Spójrz na mnie, Edwardzie – słowa matki wdarły się w to wspomnienie, zatrzasnęły je wraz z innymi pod grobową płytą. Odwrócił się z ociąganiem.

– Wiem, o czym mama chce mówić. I oświadczam, że nie zamierzam się żenić – rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Przymknęła oczy, potrząsnęła głową i uśmiechnęła się gorzko gdzieś w głąb siebie. Zbierała myśli.

– Synu – zaczęła łagodnie. – Nie wiem, ile czasu będę jeszcze żyć na tym świecie. Dopóki mi sił wystarczy, pomogę ci zaopiekować się dziećmi. Ale dobrze wiesz, że nikt nie jest wieczny, a im potrzebna jest matka.

– Eliza jest matką. To się nie zmieni. Niech się mama tym nie kłopotuje. Będę uczył Stasia i Zosię pamięci o niej. Nauczę ich szacunku i miłości.

– Och – zniecierpliwiła się. – Dobrze wiesz, o czym mówię. Nie można za życia mościć sobie posłania pod kłęczami trawy. Rozumiem twój żal za Elizą, ale ona niczego już twoich dzieci nie nauczy, a dla ciebie również nie będzie już nigdy żoną. Opamiętaj się wreszcie, otrząśnij z przeszłości. Ty żyjesz, Edwardzie!

– Żyję – przyznał. – I co z tego?

O brukową nawierzchnię zaturkotały koła powozu. Rozalia poderwała się gwałtownie i podeszła do okna.

– No i są – oznajmiła i spojrzała na Edwarda w taki sposób, jakby to on je zaprosił, w dodatku nie w porę. – Przyjechały.

– Jakże, drogi panie Edwardzie, już po siewach? – zagała Godziewiczowa, gdy tylko usadowiła się przy stole nakrytym do poobiedniej herbaty. Antonina usiadła obok i umknąwszy wzrokiem od spojrzenia Edwarda, uporczywie przyglądała się własnym dłoniom, zaplatając i rozplatając drobne palce.

– Jak wszędzie – odparł. – Tak sędzę – dodał szybko, gdyż wyraz twarzy pani Karoliny wydał mu się nieprzychylny.

Patrzyła nadal, więc dorzucił:

– A u pani... hm... też po siewach?

– Ha, ha, ha! – roześmiała się nagle, czym do reszty zbiła go z tropu. – O czymże teraz mężczyźni z kobietami próbują rozmawiać, ha, ha, ha! A ja jechałam tu z nadzieją, że pan wreszcie co powie!

– Powiem? – bąknął i zerknął na matkę, która natychmiast uśmiechnęła się do niego zachęcająco, tymczasem sama myślała gorączkowo:

Mój Boże... Czy on tę pannę pokocha? Cóż z tego, że Antonina gładka i zadbana, że nosi ładne suknie. Ale czy nosi też coś w sobie? Jakąś myśl głębszą, mądrość wyuczoną, bo o doświadczeniu chyba nie może być jeszcze mowy. A z miłością to tak dziwnie bywa. Nie wiadomo, przyjdzie, czy nie przyjdzie... Człowiek sam przecież nie umie się do niej zmusić, ani od niej odwieść. Cóż dopiero ktoś postronny?

Antonina spiekła raka, uniosła dłoń i powachlowała się chusteczką.

– Oczywiście, panie Edwardzie! – zawołała Godziewiczowa. – Proszę powiedzieć o zamiarach wobec mojej siostrzenicy. Jakże pan ją widzi?

– Ależ, ciociu – szepnęła skonsternowana tą bezceremonialnością Antonina.

– Jak widzę pannę Antoninę? – zdumiał się Edward. – Skąd takie pytanie?

– No... – zaczęła Godziewiczowa i poszukała wsparcia u Rozalii. Ta uniosła nieznacznie ramiona w geście bezradności. I nie wiadomo, jak potoczyłaby się rozmowa, gdyby do salonu nie wtargnął znienacka Staś.

– Suka się oszczeniła! – zawołał na całe gardło. – Naprawdę! Arena ma sześć dzieci!

– Sześcioro! – odruchowo poprawiła Antonina, a jej oczy zapłonęły w radosnej ekscytacji. Edward po raz pierwszy zauważył ich intensywną zieleń.

– Stasiu! – zawołała ze zgrozą Rozalia. – Dlaczego biegasz sam? Gdzież Joanna?

– Pannę Joannę głowa boli – wyjaśnił. – Pozwoliła mi pójść do stajni. A tam, na sianie, właśnie rodziły się dzieci Areny.

– I ty na to patrzyłeś? – przeraziła się Rozalia.

– Tak, babciu. Pomagałem Kajetanowi.

– Mój Boże – westchnęła przejęta Godziewiczowa. – Tak to jest, jak dziecko nie ma matki...

Zanim Rozalia zdążyła się obruszyć, Staś podszedł do Godziewiczowej i rzekł poważnie:

– Moja mamusia pozwoliłaby mi być przy Arenie. Ona kochała psy.

– Ja też je lubię – odezwała się Antonina i zerknęła wyzywająco na ciotkę. – Chętnie obejrzę szczenięta.

– Naprawdę? – ucieszył się Staś. – Jeśli babcia i tatuś mi pozwolą, zaprowadzę tam panią.

Rozalia zacisnęła usta, co Staś uznał za wyrażenie zgody i skierował pytający wzrok na ojca.

– Tak – rzekł Edward, wzruszając ramionami, unosząc brwi i potrząsając głową jednocześnie, co miało oznaczać, że nic go to wszystko nie obchodzi. – Proszę.

Uradowany Staś podbiegł do drzwi, otworzył je szeroko i skłonił się przed panną Antoniną.

– Panie przodem – rzekł kurtuazyjnie, co w jego dziecięcych ustach zabrzmiało groteskowo.

W chwili, gdy rozbawiona Antonina przekraczała próg, Edward pochwycił na sobie zgorszone spojrzenie Godziewiczowej i wymowne matki. Spokojnie dopił herbatę, westchnął i podążył do stajni.

Antonina w pistacjowej, obszytej koronką sukni i wyhaftowanych złotą nitką bucikach wyglądała dość osobliwie na tle przybrudzonych ceglanych ścian stajni i kamiennych żłobów. Konie wyprowadzono na pastwisko, więc boksy były puste, tylko w jednym z nich, pod samą ścianą ciemniała ruchliwa gromadka szczeniąt cisnących się do ciepłego brzucha matki.

Kajetan, który doglądał tę psią rodzinę, odsunął się od legowiska, by jaśnie państwo mogli sobie bez przeszkód popatrzeć.

– Jakie śliczne! – zachwyciła się Antonina, przykucnęła przy Arenie i wyciągnęła dłoń, żeby pogłaskać jedno ze szczeniąt.

Arena warknęła ostrzegawczo, a ponieważ nieznana ręka nie cofnęła się wcale, kłapnęła zębami, raniąc dotkliwie delikatny nadgarstek.

– Och! – zawołała zaskoczona Antonina i błyskawicznie odsunęła się na bezpieczną odległość. Z rany popłynęła krew.

– Jakże mi przykro – przejął się Edward. – Chodźmy stąd, szybko! Trzeba opatrzyć ranę. Mam chusteczkę, proszę ją przyłożyć...

– To nic takiego, nic takiego – powtarzała Antonina, ale pobladła twarz i przygryziona zębami warga świadczyły o bólu i przerażeniu.

– Arena, coś ty zrobiła, coś ty zrobiła – lamentował Staś, spoglądając to z wyrzutem na psa, to znów z poczuciem winy na pannę Antoninę, którą tu przyprowadził i naraził na podobny wypadek.

– Nie dziwota – wyrwał się Kajetan. – Każda matka swoich dzieci broni. Po co z rękami się pchać?

Edward spiorunował go wzrokiem, ujął zdrową rękę Antoniny i trzymając ją pod ramię, przeprowadził przez podwórko i sień, wprost do salonu.

– A toż co? Cała suknia krwią uwalana! – zawołała na widok siostrzenicy Godziewiczowa.

– Arena dzieci broniła – uprzedził wszelkie wyjaśnienia Staś.

– Czy rana głęboka? – poderwała się natychmiast Rozalia. – Trzeba przemyć i opatrunek założyć. Józiu! Józiu! – zawołała na widok przemykającej korytarzem dziewczyny. – Z apteczki skrzyneczkę z opatrunkami przynieś. A żywo!

– Dobrze, proszę pani – dygnęła służąca, ale nie ruszyła się z miejsca.

– No? Na co czekasz? Leć! – zniecierpliwiła się Rozalia, widząc jak na chusteczce Antoniny rośnie czerwona plama.

– Kiedy apteczka zamknięta – wyjaśniła Józia.

– Ach, no tak... Dobrze, idź sobie, gdzie miałaś iść. Edwardzie, masz tu klucz, przynieś, proszę, opatrunki.

Zanim wszedł do kuchni, gdzie stała apteczna szafa, zatrzymał się zaintrygowany. Przez uchylone drzwi dobiegły go słowa, w których rozpoznał głos Kazi:

– Mówię wam, że się z nią ozeni. Pseciez widaś, jaki zakochany. Psez cały ziezinić pod rękę ją prowaził. A ona...

– A może jej kto inny jest po sercu – przerwała brutalnie Aniela. – Szoruj tę brytfankę, do pieczenia potrzebna.

– Jaki inny? – zdziwiła się Kazia. – Inny? A skąd Aniela wie?

– Wróble na płocie świergotały – ucięła krótko. – Umyłaś?

– Jesce chwila, dno strasnie psypalone – odparła i spłoszona spojrzała na drzwi, w których stanął Edward.

– Coś panu potseba? – zapytała skonsternowana.

– Poradzę sobie, dziękuję – odparł zdawkowo i zawiesił wzrok na siedzącej pod oknem Malwinie.

Udawała, że go nie widzi, a może rzeczywiście nic jej nie obchodził, bo nie zmieniła niczego w swoim zachowaniu. Nadal kołysała na kolanach Zosię i nuciła jej coś cichutko. Spod luźno spadającego warkocza jaśniała subtelnie naznaczona kość policzkowa i różowiło się drobne ucho zdobne w drżący kolczyk. Tyle było wdzięku w tym pochyleniu głowy, tyle świeżości w brzoskwiniowej skórze, że niemal poczuł zapach fiołkowego powietrza. Ach zanurzyłby twarz w tym przyciągającym wzrok miejscu, gdzie odgarnąwszy niedbałość włosów ujawnia się ledwie smagniętą słońcem skórę na karku.

– Kuchenne opary to niewłaściwe miejsce dla dziecka – rzucił wbrew sobie, zły, że Malwina przysłuchiwała się paplaninie Kazi na jego i Antoniny temat. Jeszcze gotowa pomyśleć, że to wszystko prawda.

Zimne spojrzenie oczu zmrużonych, jakby skąpanych w kropli miodu, stanowczość w geście, z jakim zabrała z ławy porzucony szal, i natychmiastowe podporządkowanie się jego słowom, ukazały przepaść między nimi. Opuściła kuchnię w milczeniu, ale ono było wymowniejsze niż rzucone w twarz słowa. Natychmiast pożałował tego napomnienia, podkreślającego jego wyższość i różnicę między nimi, bo nie miał w zwyczaju wynosić się nad innych.

Rozalia sprawnie opatrzyła rękę Antoniny, ale Godziewiczowa nadęła się jak gradowa chmura.

– Powinieneś pan lepiej strzec powierzoną sobie pannę – fuknęła na Edwarda.

– Ależ, ciociu – wzięła go w obronę Antonina. – Proszę nie boczyć się na pana Edwarda. Przecież to Staś mnie zaprosił, nie on.

– Jako zadośćuczynienie proszę pozwolić zaprosić się na przechadzkę – wtrącił szybko Edward.

Godziewiczowa napuszyła się jeszcze bardziej, ale Antonina, ku zaskoczeniu wszystkich przekornie odparła:

– Jest pan bardzo zarozumiały, panie Edwardzie, sądząc, że spacer z panem zrekompensuje mi szkodę, jakiej doznałam.

– Antonino! – oburzyła się Godziewiczowa, czując, jak jej wysiłki, by skojarzyć tę parę, idą na marne.

Rozalia obrzuciła uważnym choć przelotnym spojrzeniem syna, a on jedynie uniósł lekko brwi. Szczerze mówiąc, był zadowolony z takiej odpowiedzi. Nie zniósłby przymilania się potulnej i posłusznej panny,

zamierzającej przypodobać się, a następnie wydać się za niego. Taka nieoczekiwana riposta sprawiła, że po raz pierwszy spojrział na Antoninę ze szczerym zainteresowaniem.

– Cóż – westchnął obłudnie. – W takim razie pójdę sam.

Rozalia powstrzymywała się przed wszelkimi uwagami. Uważała, że nikt jeszcze za nikogo życia nie przeżył i każdy musi zrobić to sam. Lepiej więc nie mówić, jak kto ma żyć, bo jeśli wbrew sobie albo wbrew losowi posłucha, może kiedyś za to kląć swojego doradcę.

– Pójdziemy wszyscy – podchwyciła prędko. – Taka piękna pogoda, aż żal z niej nie skorzystać.

Godziewiczowa poprawiła kapelusz i jako pierwsza poderwała się od stołu.

– Chętnie obejrzę twój ogród, moja droga. Zawsze zachwycił mnie o tej porze roku.

Rozalia posmutniała.

– Zwykle zajmowała się nim Eliza. Sprowadzała kwiaty zza granicy i spędzała całe dni wśród ogrodników. Kiedy jej zabrakło nikt nie ma na to czasu, więc i ogród na tym stracił. Ale altana jak zawsze ukwiecona – dodała z ożywieniem. – Zawołam Marynę, poda nam tam herbatę z konfiturą.

Na schodkach ganku zastali Wandę, która zamiast pomagać Anieli w kuchni, zabawiała Zosię. Na widok wychodzących spłoszyła się, lecz było już za późno na ucieczkę.

– A co ty tutaj robisz? – zdziwiła się Rozalia. – I to z Zosią. Gdzie jest Malwina?

– Kajetan mówił, że goście dziś będą – bąkała Wanda.

– Są goście. Co to ma do rzeczy? – zauważyła ostro Rozalia.

– Malwina myślała, że pan Danicki... – szepnęła zakłopotana Wanda. – Nie chciała go widzieć.

Na dźwięk tego nazwiska Rozalia zacisnęła usta.

– No dobrze – rzekła łagodniej. – Jego nie będzie. Poszukaj Malwiny, niech zajmie się dzieckiem. A ty wracaj do kuchni.

– Dobrze, proszę pani.

– Zresztą daj mi Zosię i najpierw powiedz Maryni, niech herbatę do altany przyniesie. Z konfiturą.

– Dobrze, proszę pani...

– I szal mi przynieś, chłód po plecach ciągnie. Potem poszukaj Malwiny.

– Dobrze, proszę pani – dygnęła Wanda i czmychnęła do sieni.

– A jednak, jeśli pani pozwoli, ponowię propozycję spaceru – zwrócił się Edward do Antoniny, gdy dotarli już do altany.

– Pozwolę i skorzystam – uśmiechnęła się, choć dość powściągliwie.

– Pójdziemy drogą w stronę jeziora – dodał niezrażony.

– Jak to? – zgorszyła się Rozalia. – Sami?

– Ależ, moja droga, czy tu można być samemu? – obruszyła się Godziewiczowa i spojrzała na nią znacząco. – Teraz po polach ciągle ktoś się kręci. Niechże idą.

– No, skoro tak... Niech idą – zgodziła się niepewnie Rozalia.

Przez pierwsze kilkadziesiąt kroków nie mówili do siebie ani słowa. Jedynie świerszcze odzywały się głosem suchym, jak rozpieszczone słońcem kłosa. Po miedzach, krzewach i w koronach przydrożnych drzew nawoływały się ptaki.

A ci dwoje jakby nie byli w tym wszystkim obecni. Tylko przyspieszone od szybkiego marszu oddechy płynęły nad nimi, chwytaly

może zawstydzone, a może zbyt śmiałe myśli, których nie wypadało zamienić w słowa.

I dopiero gdy mijali wyblakłą Maryję, skrytą w białej kapliczce, cisza stała się dla Edwarda niewygodna. Uwierała jak ciasny but, więc chrząknął i poklepał się po ubraniu w poszukiwaniu fajki. Musiał ją zostawić na biurku, gdyż kieszenie okazały się puste. To go zdenerwowało nie mniej niż wyimaginowana pruderia bądź kokieteria, jakiej spodziewał się po swojej towarzysze. Zaryzykował pogawędkę, lecz rozdrażniony, wcale nie silił się na grzeczność:

– Nic o pani nie wiem – rzekł zdawkowo. – Proszę opowiedzieć o sobie.

– Ciotka nie mówiła? – aż przystanęła, by obdarzyć go szczerze zdziwionym i całkowicie pozbawionym frywolności spojrzeniem. – Sądziłam, że nasza znajomość to ustalona transakcja, dobrze obmyślony interes.

Cóż za obcesowość. Myślał, że będzie się krygować, udawać, oczekiwać zalotów z jego strony czy czegoś w tym rodzaju. A ona bez żenady mówi o transakcji, o wyrachowaniu.

– Nic nie mówiła – odparł drewnianym głosem. – Pani coś wiadomo?

Spojrzenie miała bystre, przenikliwe.

– Owszem – rzuciła. – Wiadomo. I chcę z panem o tym porozmawiać.

Edward powiódł wzrokiem po rozciągających się wzdłuż drogi polach, po obłokach, które pierzaście gromadziły się na niebie, po olchowym zagajniku.

– Przejdźmy przez lasek – zaproponował. – Tuż za nim jest jezioro. Można tam usiąść na kamieniu albo na pniu drzewa. Można porozmawiać.

Stała boso, a przecież to zaledwie maj. Poza tym prawie zmierzch. Tło malowane zachodem odbierało konturom ostrość, ale widział jej kształty

pod lepką koszulą. Widział, jak wilgoć tkaniny opina jej piersi, brzuch, biodra. Drobne fale obmywały jej stopy z trudem utrzymujące się na śliskim kamieniu. Drżała. Ramiona obejmował chłód. I on to poczuł, i boleśnie zapragnął temu zaradzić. Ale wtedy dostrzegła go właśnie. Oczy błysnęły gniewem, może lękiem. Skoczyła na brzeg, chwyciła porzuconą tam sukienkę, pobiegła, zostawiając ślady stóp na mokrym piasku. Spłoszone ptaki poderwały się z drzew, czarnym ściegiem zaszyły niebo. Resztę wchłonęła mgła. A może horyzont.

Łania. Gazela. Dzikość – przemknęło mu przez głowę.

– Czy to nie Malwina, o którą pytała pańska matka? – wyrwał go z tego zachwyty głos Antoniny. – Czy to nie ona?

Nie od razu odpowiedział. Patrzył jeszcze długo za znikającą plamą.

– Czy Malwina? – ocknął się wreszcie. – Tak, to ona. Pewnie przyszła się wykąpać.

– Osobliwe, w chłodny, majowy wieczór – uśmiechnęła się Antonina.

– Bo ona sama jest osobliwa – rzekł powoli, z rozmysłem. – Ale nie o niej mieliśmy rozmawiać – dodał, rozglądając się po brzegu. Upatrzwszy prawie białą od fal i wiatru kłodę drewna, ruszył w jej kierunku.

Antonina podążyła za nim, zbierając palcami suknię, żeby nie powalała się szlamem i mokrym piaskiem.

Śmieszna ta dbałość, skoro i tak poplamiona jest krwią – pomyślała.

– Pięknie tu – zauważyła, zanim usadowiła się na gładkim, pozbawionym kory pniu.

– Tak – przyznał. – Kiedyś w tajemnicy przed matką przepłynąłem to jezioro. Nie jest szerokie.

– I co tam? Po drugiej stronie?

– Najpierw zarośla – ożywił się. – I ścieżyna między nimi. Widziałem ślady zwierząt, pewnie podchodziły tamtędy do wodopaju. Ale chyba nie tylko one, bo idąc dalej ścieżką, odkryłem drewnianą chatę.

– Dawno to było?

– Dawno. Miałem może siedemnaście lat.

– I któż mieszkał w tej chacie?

– Nie wiem. Nikogo nie widziałem, a w domu bałem się pytać, żeby za to pływanie bury nie dostać – zaśmiał się.

Znów zamilkli. On podniósł z ziemi kamyk, którym bawił się, podrzucając go do góry, ona nawijała na palec źdźbło trawy. Dyskretnie obserwował jej profil. Prawie niewidoczne, jasne rzęsy, ledwo zarysowane brwi, piegi na małym, lekko zadartym nosku. Trudno było mówić o urodzie, jednak Antonina miała niewątpliwy urok i jakąś magnetyczną siłę przyciągania. Jej bliskość przestała mu ciążyć, nie krępowała, a nawet zaczęła sprawiać mu przyjemność.

– Chcę, żeby pan o czymś wiedział – odezwała się znienacka, odwracając ku niemu twarz. Oczy patrzyły chłodno, niemal odpychająco, mimo to nie mógł oderwać od nich wzroku.

– Słucham, proszę mówić – rzekł, siląc się na obojętność.

– Nie zależy mi na zamążpójściu – oznajmiła zwyczajnie, jakby informowała, że nie boi się żab i pajaków.

Wyznanie było tak zaskakujące, że nie potrafił się do niego odnieść. Spoglądał w tę wyzywającą zielenią oczu i szukał odpowiednich słów.

– Tak? – zapytał wreszcie. – I dlaczegoż pani mi o tym mówi?

Odwróciła głowę. Zapatrzyła się w połyskliwe zachodem jezioro. Marszczył się ten blask, kołysał, tonął wraz ze słońcem. Zmrużyła oczy.

– Ponieważ wiem, że moja ciotka dąży do skojarzenia nas.

Wiedział o tym. Tylko ślepy nie zauważyłby podobnych wysiłków. Poza tym Godziewiczowa wcale z tym się nie kryła.

– Ależ proszę się tym nie przejmować – uspokoił ją ze śmiechem. – Odkąd pamiętam, pani Karolina zawsze zajmowała się swataniem. Czasem z powodzeniem, a czasem nie.

– Czy mogę liczyć na to, że pan nie będzie starał się o moją rękę? – zapytała, wbijając w niego wzrok.

Patrzyła już w inny sposób. Nie z wyzwaniem, a spojrzeniem współnika, który wchodzi w pewien układ, albo kupca, który dobija targu. I tyle było zacięcia w tym spojrzeniu, tyle nadziei, że jej plan się uda.

– Może pani liczyć – odparł rozbawiony. – Proszę mi tylko wyjaśnić tę niechęć. Tak bardzo nie podobam się pani?

– Nie wiem – przyznała szybko, dla ukrycia zakłopotania podniosła z ziemi kamyk i rzuciła go do wody. Patrzyli oboje, jak roztacza wokół kręgi. Coraz szersze i szersze. – Nie wiem – powtórzyła. – Nie zastanawiałam się nad tym.

– Ale nad ewentualnością małżeństwa zastanawiała się pani, skoro poruszyła ze mną ten temat. Powiedziałbym nawet, że obawiała się jej pani. Dlaczego?

Znów plusk kamienia. I kręgi jeszcze szersze. I dłuższe milczenie.

– Kochałam kogoś – wyznała w końcu. Jej oczy zapłonęły jakimś nieznanym mu ogniem.

Wydała mu się prawie ładna. I bardzo niedostępna.

– Rozumiem – odrzekł krótko. – Ja również kochałem.

– Niczego pan nie rozumie – rzuciła w złości. – Pan nadal kocha. I nigdy nie rozczarował się tą miłością. Pańska żona nie zawiodła, nie porzuciła. Umarła. To zapewne boli, ale, na miłość boską, nie upokarza!

– Rozumiem – powtórzył. – Proszę mi wierzyć, że rozumiem – ujął jej dłoń i musnął wargami chłodne palce. – Uszanuję to pełne goryczy rozpamiętywanie.

Nie była pewna, czy w jego głosie zabrzmiał szacunek czy kpina.

Dopiero teraz zauważyli, że dzień opuścił mroczną kurtynę. Niebo roniło pierwsze gwiazdy, a po drugiej stronie jeziora zamigotały ledwo widoczne, ruchome świetliki. Może ktoś rozpałił ognisko, a może lampy naftowe rozświetliły małe okienka drewnianej chaty? Koncert na szum wiatru w trzcinach, plusk fal i daleki głos jakiegoś ptaka zagłuszał panującą między nimi ciszę. Siedzieli na gładkim pniu drzewa tak blisko, że mieszały się oddechy, a jednak tysiące mil dzieliło ich od siebie.

– Tylko prawdziwa, szczerza miłość zdolna jest zniszczyć poprzednią – rzekł, jakby do siebie Edward. – Tylko taka potrafi na nowo wzbudzić zaufanie, dać wiarę. Chodźmy już – dodał po chwili i wyciągnął do Antoniny dłoń. – Będą się o nas niepokoić.

Edward nie mógł skupić się nad tabelami pełnymi drobnych cyfr, mieniących się przed oczami na podobieństwo czarnych, ruchomych robaczków. W gabinecie panowała cisza przerywana jedynie bzykaniem upartej muchy, przenoszącej się z miejsca na miejsce w swoim chaotycznym, irytującym niezdecydowaniu. Drażniła go tak, że podjął nawet kilkakrotną próbę uśmiercenia jej leżącą na biurku gazetą. Stokroć jednak gorsze od nachalnego owada były natrętne myśli, prześladowające go od ostatniego spotkania z Antoniną. Rozpanoszyły się w jego głowie i chociaż prócz umiarkowanej sympatii nie miał dla niej innych uczuć, nie mógł uwolnić się od obrazu, jaki w nim pozostał i natarczywości słów, które między nimi padły. Może to podświadome urażone ego, że odtrąciłyby jego zaloty, gdyby ich próbował, a może ona sama, taka wiotka, eteryczna i kobieca zakiełkowała głęboko w jego psychice? W duszy?

Mucha znów nad jego głową, na biurku, na otwartej księdze rachunkowej. Zamach i chybione trzepnięcie gazetą, a następnie nowy atak irytacji przerwał tętent końskich kopyt dobiegający z dziedzińca. Edward wyjrzał ciekawie oknem i struchlał na widok Danickiego, który według nakazu Rozalii, miał trzymać się od Przylipia z daleka. Tyle że nikt mu o tym nie powiedział. Bo niby jak? Jaki należałoby podać powód tej niegościnnosci? Edward nie miał na to pomysłu, dlatego teraz wybiegł

z gabinetu jak strzała i pewien, że prócz stajennego nikt Antoniego nie widział, chwycił go za rękaw i wciągnął potajemnie do gabinetu.

– Rozumiem, żeś się stęsknił, bom dawno tu nie był. Ale takiego powitania nigdy od ciebie nie zaznał – śmiał się Antoni, uradowany, że żalobny nastrój Edwarda wreszcie minął. – Witaj, przyjacielu – wziął stropionego gospodarza w ramiona i poklepał serdecznie po plecach.

– Siadaj, Antoni, siadaj – Edward wskazał mu fotel, sam natomiast podszedł do okna i szybkim ruchem zaciągnął portiery. – Zgrzany pewnie jesteś, nie chcę, żeby słońce ci dokuczało – wyjaśnił fałszywie.

– Dziękuję, mój drogi. Bardzo to doceniam, ale słońce? W tym ponurym gabinecie? Co?

Edward zignorował uwagę, jakby jej nie dosłyszał. Zapalił lampę i otworzył szafkę, gdzie przechowywał butelkę koniaku. Ukrywał ją przed wujem, który twierdził, że nic tak jak mocny trunek nie wspomaga jego weny twórczej.

– Napijmy się – zaproponował i zerknął na drzwi. W zwykłych okolicznościach przywołałby Alojzego i posłałby go po ciasto do Anieli, ale w sytuacji, gdy musiał ukrywać swojego gościa przed matką, nie mógł tego zrobić.

– A u mnie w domu duże zmiany – zaczął gawędziarsko Antoni, przyjmując skwapliwie kieliszek z rąk Edwarda.

– Zmiany, mówisz? – zainteresował się Edward. – Rozumiem, że remont chcesz zrobić? Nie za późno się za to zabierasz? Już czerwiec. U nas, mój drogi, matka takie zmiany wprowadza każdej wiosny, jeszcze w marcu. Każe wynosić sprzęty i bielić wszędzie ściany. Wiem coś o tym. To prawdziwa rewolucja.

– Ha, ha, ha! – zarechotał Antoni, aż ściany się zatrzęsły, a Edward skulił się cały od hałasu mogącego zwabić Rozalię. – Remont! Ha, ha! Nie

o takich zmianach mówię. Moja Helena, rozumiesz, jest... jak to się mówi, przy nadziei.

– Co ty mówisz? – Edward klasnął w ręce. – Rodzina Danickich rośnie w siłę!

– I twoja będzie rosła, co? – Antoni szturchnął łokciem Edwarda i mrugnął okiem. – Już niebawem, gdy tylko z tą rudowłosą panną się ożenisz.

– A kto ci powiedział, że będę się żenić? – zdziwił się Edward.

– A doktor – śmiał się Danicki.

– A ten skąd wie?

– Od samej Godziewiczowej.

– Spieszno jej – skrzywił się Edward. – Chociaż ja słowa żadnego jeszcze nie dałem. Nie oświadczyłem się wcale i na razie nie zamierzam.

– To błąd, mój Edwardzie. Duży błąd – zasepił się Danicki. – Wprawdzie niezbyt dobrze znam pannę Antoninę, ale dużo o niej słyszałem.

– I cóż takiego słyszałeś?

– Podobno wpadła w oko komuś, kto nie chce zwlekać.

– Tak? – zapytał obojętnie Edward, choć serce drgnęło mu niespokojnie.

– A kto?

– Tego ci, mój drogi, powiedzieć nie mogę. Ale miej się na baczności.

– Na baczności – prychnął Edward. – Kiedy ani mnie na pannie, ani jej na mnie nie zależy. Niech tamten się żeni, proszę bardzo. Ja na drodze stawać im nie będę – dodał obłudnie, sięgnął po koniak i ponownie napełnił kieliszki.

– Oj – pogroził palcem Antoni. – Gdyby tak było, ręce by ci teraz nie drżały, co? Nie udawaj, przecież widzę, jak cię to obeszło.

– Czegóż ty chcesz ode mnie? – zirytował się Edward. – Moja to rzecz, czy będę się żenić. A musisz wiedzieć, że jeszcze nie zapomniałem Elizy. Jeszcze ją kocham.

– Elizę zawsze będziesz kochać. Rozumiem to, bo drugiej takiej próżno ze świecą szukać. Zresztą... – chrząknął i zakręcił wąsa. – Teraz mogę powiedzieć, co mi tam. Ja sam w twojej Elizie podkochiwałem się. Ale...

– Gdyby garbaty rzekł, że jest garbaty, tak samo by mnie zaskoczył – zakpił Edward. – Zawsze o tym wiedziałem.

Danicki uśmiechnął się z zakłopotaniem, uniósł do góry kieliszek, zmrużył oczy i przyjrzał mu się pod światłem lampy. Złocisty płyn kołysał się lekko, wysyłając delikatne świetliste refleksy.

– Antonina może nie taka ładna, ale mądrości jej nie brakuje – rzucił. – Na twoim miejscu...

– Słuchaj – przerwał mu Edward. – To do ciebie niepodobne, żebyś był tak natarczywy ze swoimi sądami, zwłaszcza że panny nie znasz. Przysłał cię ktoś?

– Może tak, może nie – rzekł tajemniczo Antoni. – Pannę znam ledwo co, ale i tak wiem, że ona warta jest twojej uwagi.

– Zalety Antoniny znam i przekonywać mnie do nich nie trzeba. Niemniej ani ja, ani ona nie myślimy o małżeństwie – oznajmił Edward.

– Gdybyś wiedział o niej to, co ja, może zmieniłbyś zdanie – przekonywał przyjaciel.

– Już wiem. Ktoś stara się o nią. Nie będę zatem przeszkadzał – skwitował Edward. Ogarniała go coraz większa złość.

– Co tam, że ktoś się stara – rzucił Danicki. – To nic nie znaczy, jeśli wybrałaby ciebie. Ale słyszałem, że ona postanowiła...

Hałas gwałtownie otwieranych drzwi przerwał mu w pół zdania. W progu stanęła Rozalia i nie mówiąc ani słowa, wymownie spoglądała to

na syna, to znów na przybysza. Zdziwiony takim zachowaniem Antoni odstawił kieliszek i podniósł się z miejsca.

– Jakże się cieszę, że widzę panią w dobrym zdrowiu – rzekł, kłaniając się uprzejmie. – Pozwoli pani ręce ucałować...

– Nie pozwolę – odezwała się ostro, zaplatając nerwowo palce. – Mam nadzieję, że nie będzie pan zwlekał i natychmiast opuści mój dom.

– Ależ...

– Proszę to zrobić, jeśli pragnie pan zachować choć odrobinę honoru.

– Ależ ja nie wiem, w czym zawiniłem! – zawołał i wlepił wzrok w przyjaciela.

– Mamo – próbował ratować sytuację Edward. – Wprawdzie znam życzenie, żeby Antoni tu nie bywał, ale czy moglibyśmy poznać również powód?

– Ty nie wiesz, synu? – zdziwiła się szczerze. – I pan nie wie? – zwróciła się do Antoniego.

– Jak mi Bóg miły, nie wiem – odparł żarliwie.

– Może i pan nie wie – przyznała uszczypliwie i pokiwała głową. – Może i nie wie, bo nie widuję pana u boku Malwiny przy grobie waszego synka.

Danicki poczerwieniał, a oczy Edwarda zapłonęły nagłą wściekłością.

– To prawda? – syknął. – Zrobiłeś to Malwinie?

Antoni umknął wzrokiem.

– Wiem to od niej samej – rzuciła zimno Rozalia, patrząc gdzieś poza Antoniego, jakby był powietrzem. – Skrzywdził ją. I dlatego właśnie w moim domu nie ma i nie będzie dla niego miejsca.

Przy drzwiach ustawiła się w taki sposób, by Danicki mógł swobodnie przejść obok. Kiedy wyszedł, rzekła w zamyśleniu:

– Za przeszłością można tęsknić albo ją nienawidzić. A jeśli się nienawidzi, chciałoby się ją jak najszybciej zapomnieć, co wcale nie jest takie łatwe. Jako matka chcę ci tylko przypomnieć, że to od ciebie zależy, jaką przeszłość za sobą zostawisz. Danicki się zapomniał, ale ty nie waz się tknąć Malwiny.

Powiedziawszy to, nawet na niego nie spojrzała. Wyszła.

Edward, wciąż patrząc za nimi, automatycznie upchnął tytoń w wygasłej fajce, po czym wrzucił ją do kieszeni, chwycił z biurka kapelusz i wybiegł na drogę.

Przyglądał się, jak uniesiona mgła zmienia się w siność nieba. Jeszcze chwila, a stoczy się nabrzmiętymi kroplami z powrotem do jeziora. Odnalazł zwietrzałą, wygładzoną deszczem i wiatrem kłodę drewna, lecz nie usiadł jak wtedy, z Antoniną. Z tamtego brzegu, gdzie tak niedawno spoglądali oboje, widział las. Nad nim daremne starania słońca, pragnącego wynurzyć się spod chmur, unieść nad ścianę drzew, pozostać jeszcze chwilę na podobieństwo ognistej, drżącej kuli. Wiatr rozproszył ciężkie, wilgotne powietrze, przesunął niewidzialnym cielskiem po srebrzystej tafli. Potem przemykał między zaroślami, szeptał, rozgarniał szuwary. Niósł zapach ryb, mokrego piasku, stęchłej trawy.

Z tamtego brzegu nadciągały stłumione pomruki, mieszały się z gniewem Edwarda, który nagle zapragnął podjęcia wysiłku, kontaktu z wodą. Bez wahania zrzucił ubranie i na podobieństwo dawnych wspomnień, zanurzył się w jeziorze. Chłodna, orzeźwiająca woda w pierwszej chwili skurczyła mu mięśnie, wstrzymała oddech. Potem płynął już gładko, rytmicznie poruszając ramionami.

Pomruki były coraz bliższe, wyraźniejsze, wiatr przybierał na sile, spychał go z obranego kursu. Zły na siebie za ten lekkomyślny, niemal

chłopięcy czyn, wypatrywał znad falującej przed oczami wody przeciwległego brzegu. Bolały go ramiona i zaczynało brakować tchu, lecz był zaledwie w połowie jeziora. Teraz nie mógł odpocząć, musiał płynąć.

Oślepiający błysk, który rozdarł niebo, uświadomił mu własną głupotę i niebezpieczeństwo, w jakim się znalazł. Policzył do trzydziestu zanim rozległ się groźny, przeciągły grzmot. Zdeterminowany starał się przyspieszyć, ale woda hamowała jego ruchy. Znów ten błysk i pierwsze grube krople deszczu.

Teraz wszystko przestało być ważne. Wszystko, prócz życia, które w jednej bezmyślnej chwili powierzył żywiołom. Pomyślał o Elizie. Może tak miało być, że dziś się spotkają. Na tamtym brzegu.

Wzburzenie Rozalii przełożyło się na złe samopoczucie. Obecność pod jej dachem Danickiego, który tak bezwstydnie, tak niegodziwie, tak haniebnie postąpił z Malwiną, była nie do przyjęcia. Rozalia wprawdzie pokazała mu drzwi, lecz od tej chwili zaczęła zmagać się z narastającą migreną i kołataniem serca. Zanim udała się do salonu, gdzie czekały na nią rozpoczęte już robótki związane z przygotowaniem świątecznych upominków dla folwarcznych dzieci, postanowiła przygotować napar nasercowy, który złagodziłby jej rozdrażnienie. Była zła na Edwarda, który nie liczył się z jej żądaniem i nie zabronił Danickiemu wizyt w Przylipiu.

W kuchni, mimo otwartego na oścież okna, panował zaduch. Dziewczęta uwijały się przy szorowaniu garnków, czyszczeniu stołu i omiataniu podłogi. Aniela w pozycji pólężącej spoczywała na krześle. Nie drgnęła nawet na widok dostojnej postaci pani Stalickiej, która nie wiadomo po co przychodzi tutaj w porze sprzątnania.

Rozalia obrzuciła uważnym wzrokiem widoczne spod podciągniętej do kolan spódnicy nogi kucharki i zmarszczyła brwi. Nie wyglądały dobrze.

Obrzmiałe kostki i wypukłe powrozy żył zdawały się rozsadzać napiętą skórę.

– Boli? – zapytała, zapominając natychmiast o własnych dolegliwościach.

– Co ma nie boleć, proszę pani – burknęła Aniela. – Na burzę się zbiera, to i boli.

Rozalia odruchowo zerknęła w okno. Błękitne niebo i stojące jeszcze wysoko słońce nie wskazywały na burzę, ale duszne powietrze i pojawiające się tu i ówdzie jeszcze niewinne, białe obłoki, zapowiadały ją nieuchronnie.

– Nalej zimnej wody do miski i wsyp tam garść soli – zwróciła się do Wandy, która właśnie skończyła zamiatać. – Niech Aniela wymoczy nogi, to przyniesie ulgę. Ja tymczasem zmieszam lawendę z pokrzywą do picia. Powinny pomóc.

– Dziękuję – westchnęła z ulgą Aniela. – Nikt tak jak nasza pani Rozalia cudzym cierpieniem się nie zajmie. No... – zawahała się. – Skłamałabym, gdybym nie powiedziała, że starsza pani Waleria jeszcze lepiej umiała wszystkich wyleczyć.

Kąciki ust Rozalii niemal niezauważalnie powędrowały w górę. Szczerłość Anieli rozbierała jej najbardziej minorowy nastrój.

Przysłuchując się paplaninie Wiesi, szykowała napar z pokrzywy dla Anieli, dla siebie zaś zmieszała rozkruszony owoc głogu i ziele serdecznika.

Przez okno dobiegał szczebiot Zosi, która w obecności czujnej Malwiny raczkowała po trawie, dalekie szczekanie psów, gruchanie gołębi. Kilka z nich wzbiło się do lotu, poszybowało w niebo.

Mój Boże – pomyślała. – Jeszcze niedawno mnie młodej też na czymś zależało. A teraz do pełzania mi bliżej.

Daleki turkot dorożki wdarł się w to rozmyślanie, nasilił napięcie. Nie spodziewała się gości, chociaż w letniej porze zdarzało się zaprzyjaźnionym mieszczuchom zatęsknić za spokojem wsi i czystym powietrzem. Mogła to być również Felicja albo Karolina Godziewiczowa, która nie zwykła zapowiadać wizyt.

Rozalia odczekała chwilę, sądząc, że brzmienie tego turkotu i końskich kopyt zaintryguje Edwarda, wywabi go z gabinetu. Syn jednak, widocznie wciąż przejęty incydentem z Danickim, nie raczył wyjść z pieczary.

Na dziedziniec wybiegła Maryna w towarzystwie Alojzego, zaraz za nimi Józia i Cesia nerwowo poprawiająca fartuszek. Wszyscy zaskoczeni, ale gotowi witać gości i pomóc przy ewentualnych bagażach.

Rozalia dopiła swoją porcję ziół, strzepnęła spódnice i przy akompaniamencie pomruków Anieli, że każdy w swoim domu powinien siedzieć, dostojnym krokiem ruszyła na ganek. Jakież było jej zdziwienie, gdy ujrzała Eulalię.

– Wszelki Bóg! – zawołała, rozkładając szeroko ramiona. – A to niespodziankę nam sprawiłaś! Gdzież Henryk?

– Nie ma, kochana moja – zawołała dramatycznie Eulalia, wyplątując się z waliz i pudeł na kapelusze. – Nie ma Henryka, sama przyjechałam!

– Stało się co? – zaniepokoiła się Rozalia, biorąc kuzynkę w objęcia. – Chory może?

Eulalia zesztyniała pod czułym uściskiem Rozalii, odsunęła się na odległość pozwalającą spojrzeć jej w twarz i zapytała dobitnie:

– Wyglądam na potwora, który zostawiłby w domu chorego męża? Bez opieki?

– Ależ nie! – sprostowała natychmiast ze śmiechem Rozalia. Obecność ukochanej Eulalii znacznie poprawiła jej nastrój. – Wcale na taką nie wyglądasz! Chodźże do środka, tam chłodniej. Na pewno jesteś zdrożona...

Alojzy, Alojzy! – zawołała na służbę. – Zawiadam pana Edwarda o naszym gościu. Niech przyjdzie do salonu. Maryniu, a ty powiedz Anieli, niech przygotuje napój cytrynowy. I Kajetanowi powiedz... Albo ty, Józiu. Każ mu narwać świeżych czereśni, a żywo!

Zaledwie usiadły w kojącym półmroku salonu, przybiegł Alojzy.

– Pana Edwarda nie ma w gabinecie – zameldował.

– Nie? – zdziwiła się Rozalia. – Może u koni?

– Tam też sprawdziłem. Nie ma.

– A jego klacz stoi?

– Stoi.

– Czyli nigdzie nie pojechał, więc zaraz będzie – uspokoiła się Rozalia.

– Możesz odejść, Alojzy. – Po czym pieszczotliwie ujęła dłoń Eulalii i zagadnęła serdecznie: – No, mów, moja droga, co tam w Warszawie?

– Ach, w Warszawie! – załamała ręce Eulalia. – Teraz Warszawa nie nadaje się do życia. Wy tutaj, w Przylipiu, jak u Pana Boga za piecem. Tam nie liczy się człowiek, tylko sprawa. Powstanie. Rząd na rzecz powstania pobiera coraz wyższe świadczenia. Przez to wszędzie drożyzna, bo z kupców ściągają wysokie opłaty rogatkowe, ale też od spławu statków. A skąd oni mają na to wziąć? Z nas – zapalczywie postukała palcem w mostek, aż zadudniło. – Ze zwykłych ludzi! Żydzi spekulują pieniędzmi, samowolnie podwyższają ceny, prasa szaleje, opisuje bójki między klientami a kupcami, ostrzega władzę, że to do niczego dobrego nie doprowadzi, podaje propozycje, jak temu zapobiec, bo ludzie mają dosyć i to wszystko skończy się rewolucją. O, na przykład wczoraj przeczytałam w gazecie, żeby rzeźników, którzy podnoszą ceny mięsa, przybijając za ucho do jatek, konfiskować im towar, a ich samych rozstrzeliwać. – Głos Eulalii przybrał na sile, a oczy z każdym słowem robiły się coraz większe i większe.

– To straszne – przeraziła się Rozalia. – Dlaczego więc zostawiłaś tam Henryka?

– On przecież nie jest rzeźnikiem – odparła wykrętnie Eulalia, ale pod naporem wzroku kuzynki rzuciła lekko: – Ach, moja droga, przecież Henryk pilnuje naszych kamienic! Nie masz pojęcia, jak wygląda teraz sytuacja mieszkaniowa. Z terenów zagrożonych wciąż napływa nowa ludność, chłopci z furmankami pchają się do miasta, a przecież Warszawie stacjonuje wojsko. Gubernator wysłał nawet na most policję, żeby odsyłała ich za rogatki, bo u nas pomieszczeń i żywności zabrakło. Prywatne domy, takie jak nasze, władze rekwirują na szpitale, mieszkańców eksmitują. Kamienicznicy wykorzystują to i podnoszą komorne. Wielu tak robi, wyzyskuje biedotę, ale nie mój Henryk. Nasi lokatorzy przeważnie uchylają się od komornego – opowiadała chaotycznie.

– Skoro i tak nie płacą, powinien zostawić to wszystko i przyjechać z tobą – upierała się Rozalia.

– Ale on nie mógł tego zrobić – rozplakała się nieoczekiwanie Eulalia. – Naprawdę nie mógł!

Rozalia przyjrzała się jej z uwagą.

– Powiedz, co naprawdę się wydarzyło – zażądała.

Eulalia zakryła twarz dłońmi i pokręciła energicznie głową.

– Kochana moja, powiedz, będzie ci lżej – poprosiła spokojnie Rozalia.

– Dobrze, Rozalio, dobrze... Przepraszam, że nie powiedziałam tego od razu... Henryk odesłał mnie z Warszawy, ponieważ w naszej kamienicy... W naszej kamienicy – rozszlochała się na dobre. – Boże, jeżeli coś mu się stanie, ja tego nie przeżyję – łkała.

– Ale co w waszej kamienicy? – starała się dowiedzieć Rozalia.

Eulalia osuszyła oczy, wytarła nos i oświadczyła zupełnie trzeźwym tonem:

– W naszej kamienicy zaczęli umierać ludzie. Najpierw w jednej, tam, gdzie i my zajmujemy mieszkanie. Ale lekarz, którego wezwał Henryk, powiedział, że niebawem to samo stanie się i w dwóch pozostałych. I w innych też, a nawet w całej Warszawie. To kwestia czasu.

– Ale dlaczego oni umierają? – przeraziła się Rozalia.

– Wybuchła zaraza – wyjaśniła Eulalia. – Cholera – dodała grobowym głosem.

– Boże drogi – szepnęła Rozalia i zrobiła ruch, jakby chciała odsunąć się od Eulalii. – Czy myślisz... Myślisz, że ty i Henryk też? Mogliście się zarazić?

– Każdy mógł – rzekła posępnie. – Dlatego Henryk został.

– A ty?

– Mnie kazał uciekać. Nie bój się – zastrzegła szybko. – Nie stykałam się z tymi ludźmi. W większości przypadków to kwestia braku higieny, złych warunków i niedożywienia. Czytałam o tym w gazecie, gdzie jak na ironię autor zalecał dobre odżywianie i dużo kakao. Nam tego nie brakuje, ale nic nie poradzisz, jeśli w mieście na przykład zakażona jest woda pitna. Lekarz, którego wezwaliśmy do naszych lokatorów, twierdził, że woda jest dobra, a epidemię przywlekli rosyjscy żołnierze.

– Czy ktoś ich leczy? – zatroskała się Rozalia.

– Kogo? Rosyjskich żołnierzy?

– Tych też, ale przede wszystkim tę warszawską biedotę. Ktoś się tymi ludźmi zajmuje?

– Przy ulicy Bagatela otwarto tymczasowy szpital, nasz lekarz wezwał specjalne służby i kazał zabierać chorych. O innych nie wiem.

Do salonu weszła Maryna z tacą w rękach. Dzban cytrynowej lemoniady i soczyste czereśnie pozwoliły na moment oderwać się od tragedii.

– Dziękuję, Maryniu – odezwała się Rozalia. – Czy pan Edward już wrócił?

– Nie widziałam – dygnęła Maryna i figlarnie obejrzała się na drzwi, za którymi przyczaił się Alojzy. – Czy mogę już odejść?

– Możesz, jeśli się spieszysz – odparła Rozalia i odprowadziła ją pełnym zastanowienia spojrzeniem.

Powietrze stało się jeszcze bardziej duszne, burzowe. Rozalia podeszła do okna, rozsunęła firany i wychyliła się, wciągając z rozkoszą powietrze. Pachniało rozgrzaną ziemią.

Pociemniałe, granatowe niebo rozświetliła daleka błyskawica. Kilkadziesiąt sekund później odezwał się stłumiony pomruk. Z okna widać było Malwinę, która chwyciła na rękę rozbawioną Zosię i biegła w kierunku domu. Wanda zbierała za nimi porzucone w trawie zabawki. Kajetan zamykał okiennice, a Poldek odprowadzał właśnie konie do stajni, gdy o kamienny ganek roztrzaskały się pierwsze krople deszczu. Rozalia dostrzegła jeszcze biegnącego drogą Zygmunta, przytrzymującego dłonią kapelusz, i Cesię umykającą z naręczem prania. Potem zatrzasnęła okno.

Eulalia siedziała na sofie. Jadła czereśnie.

Ramiona mdlały, a od przeciwległego brzegu dzieliły go mile. Jezioro falowało rozkołysane gwałtowną wichurą i ulewą. Raz po raz niebo rozdzierały błyskawice, w uszach dudnił huk piorunów. Edwardowi brakowało sił. Kilkakrotnie zachłysnął się wodą, która przykrywała go wzburzoną falą, pragnęła go na wyłączność. Serce, oszalałe z wysiłku i ze strachu, rozsadzało żebra.

Elizo – tłukło mu się po głowie. – Chyba nie chcesz mnie zabierać? Ocal mnie dla naszych dzieci. To nie czas na mnie, nie czas... Proszę, pomóż mi dopłynąć do brzegu...

Słowa więzły w nim, zaciskały gardło. I nic nie zmieniało się prócz tego, że ulewa się wzmogła i teraz bezlitośnie biczowała mu głowę i ramiona. Czuł, że dłużej nie wytrzyma, nie da rady unosić się na powierzchni. Przed oczami pojawiły się świetliste mroczki, wycieńczone i zmarznięte ciało mdlało, odmawiało posłuszeństwa.

– Elizo, błagam! – zawył z rozpaczą, a echo tych słów złączyło się z szalejącą burzą, rozbiegło po jeziorze, zabłąkało wśród szarpanych wiatrem przybrzeżnych drzew.

Ale musiało wznieść się i do nieba, bo wtedy ją zobaczył.

Wielką, rozłożystą gałąź, którą tafla wody niosła jak tratwę, jak obietnicę. Kołysała nią zapraszająco, więc wystarczyło zdobyć się na

jeszcze odrobinę wysiłku, kilka ruchów obolałych ramion. Edward zacisnął zęby i nie zastanawiając się, skąd ona tutaj, na środku jeziora, ostatkiem sił ruszył po ratunek. Chwycił gałąź sztywnymi, zbieleńcami i z ulgą wypuścił wstrzymywane powietrze.

– Niech ci będą dzięki, Elizo – szepnął.

Dryfował w kierunku brzegu powoli, znoszony silnym wiatrem. Burza oddaliła się nieco, ale nie ustępowała. Krążyła nad maleńkim, bezradnym i rozdygotanym punktem na mapie poczerńiałych głębin jak sęp. Edward zdawał sobie sprawę, że skazany jest na jej bezwzględność. Wierzył jednak, że teraz Eliza go nie opuści. I jeśli tylko pozwoli mu dopłynąć do brzegu, on nigdy już nie da Stasiowi wykrętnej odpowiedzi na pytanie, gdzie jest mama.

Z niedowierzaniem przyjął miękkie, muliste grunto pod nogami. A więc jeszcze kilka metrów i będzie mógł chwycić się szuwarów, wypełznąć na ląd. Wiatr zelżał. Pozostały dalekie pomruki i nieustający deszcz, który mącił wodę... Lecz zaraz brzeg. Błotnisty, rozdeptany racicami saren i jeleni, zryty przez dziki. Wyjdzie na brzeg i chociaż jeszcze nie wie, dokąd poprowadzą go kroki, poczuje się znów dzieckiem, które zaczyna od nowa.

Pragnął czegoś stałego, a okazało się, że to właśnie woda utrzymywała go na powierzchni, odbierała ciężar, teraz niemożliwy do uniesienia. Wyrzucone na brzeg ciało było bezwładne, bezwolne jak pozbawiona głębin ryba. Stracił poczucie czasu. Nie miał pojęcia, jak długo tak leżał, chwytając łąpczywie powietrze. Na początku nie czuł nawet zimnych smagnień deszczu, który siekł jego nagie, obolałe plecy i ramiona. Po pewnym czasie jednak rozdygotany, przemarznięty zamarzył o kawałku suchego miejsca i o gościnności chaty widzianej z tamtego brzegu. Z trudem uczeplił się przybrzeżnej olchy, wspiął się do pionu. A potem, krok

po kroku, ruszył zarośniętą ścieżką w kierunku tajemniczej drewnianej chałupy. Obejrzał się jeszcze na rzuconą o brzeg, wczepioną w trawę gałąź, na pomarszczone jezioro, które fala po fali przypływało i odpływało niewyraźną twarzą Elizy.

Pochylona starością chałupa ledwo utrzymywała na sobie poczerńiały wiecheć słomy, którą była kryta. Żerdziowe ogrodzenie, którego tylko niewielkie fragmenty próbowały strzec dawno opuszczonego domostwa, nie otaczały dawnego warzywnika ani owocowego sadu. Piaszczysta, leśna ziemia pełna wysianych wiatrem wiotkich brzóz i anemicznych sosen oraz kęp niewydeptanej sztywnej trawy nie wskazywała na obecność człowieka. Widziane z tamtego brzegu ogniki musiały być złudzeniem.

Starowinka spozierająca pokrytym kurzem i pajęczyną oknem zapraszała ledwo przymkniętymi, niczym niezabezpieczonymi drzwiami. Dla półnagiego, zziębniętego i wycieńczonego Edwarda te cztery chwiejne ściany i kawałek dachu stanowiły wystarczające schronienie. Niech no tylko burza się oddali, deszcz zelżeje, a on nabierze nieco sił, nie bacząc na zapadający zmierzch, jeszcze dziś wróci do domu. Wyobrażał sobie, jak niepokoi się o niego matka, jak dopytuje się Staś.

Pochyliwszy głowę, przekroczył próg i odcinając się od deszczowej muzyki sączącej się przez liście, wszedł w mrok. Odetchnął stęchłym ciepłem, lecz zaledwie zdążył zatęsknić za pozostawioną na tamtym brzegu fajką, coś jak wielka czarna wrona spadło mu na twarz, na plecy, zacisnęło powróż na szyi. Odruchowo szarpnął się do tyłu i waląc na oślep rękami, głową, kopiąc nogami, pozbył się na krótki moment napastnika, rozluźnił ucisk. Zdołał jeszcze zedrzeć z twarzy zasłonę, gdy nowy atak powalił go na zmurszałą podłogę. Przy akompaniamencie wrzaskliwych przekleństw na głowę spadł mu grad silnych ciosów, a potem czyjeś kanciaste ciało przydusiło go całym swoim ciężarem. Napastnik teoretycznie miał

przewagę. Działał z zaskoczenia i nie miał za sobą wyczerpującej podróży wpływ, Edward wyczuł w nim jednak resztkę sił i rozpaczliwą determinację. Zebrał się w sobie i jednym ruchem zrzucił z siebie ten worek kości, ale zanim stanął pewnie na nogach, tamten wycelowaną w szczękę pięścią pchnął go na ścianę i uderzając rytmicznie jego głową o drewnianą belkę, próbował pozbawić go przytomności. Edward, macając na oślep rękami, poszukiwał czegoś do obrony, a nie natrafiwszy na nic, zaparł się o ścianę i z całych sił pchnął przeciwnika nogą. Mężczyzna odpadł od niego jak dojrzała gruszka, uderzając o coś z łoskotem. Edwardowi pociemniało w oczach. Osuwając się po ścianie, poczuł na wargach stróżkę ciepłej krwi. Upadł głucho, miękko.

I już żadnych obrazów więcej. Żadnych głosów.

Zanim podano kolację, burza odeszła. Pojedyncze pomruki docierały jeszcze od strony jeziora, ale powietrze oczyściło się, a na niebo wypełzł zamglony kosmaty księżyc. Rozalia starała się bawić gościa, lecz nie ukrywała zaniepokojenia. W pewnej chwili przeprosiła Eulalię i pozostawiwszy ją w towarzystwie Zygmunta, opuściła salon. Wyszła przed dom, aż na drogę w nadziei, że spotka Edwarda. Mrok połknął zabudowania, trawnik i drzewa, jedynie szeroki, biały ganek dworku jaśniał w padającym z okien mdłym świetle lamp. Uśmiechnęła się rzewnie, bo z tej perspektywy sam dworek jawił się jak pięć minut w architekturze świata, jedynie okazałe schody podkreślały jego znaczenie. Kochała ten dom.

Edward nie nadchodził.

Panującą wokół ciszę przerwało rzenie koni dobiegające od stajni. Serce Rozalii забиło mocniej i mając niemal pewność, że spotka tam syna,

podbiegła do lekko uchylonych wrót. Przez szczelinę wydobywała się nikła smuga światła. Na jej tle ujrzała krzątającego się przy Nimfie Kajetana.

Na dźwięk skrzypiących drzwi uniósł do góry lampę i zmrużył oczy. Rozpoznawszy panią Stalicką, zmieszał się, zdjął z haka zgrzebło i począł czyścić bok zwierzęcia.

– Cóż robisz o tej porze z klaczą pana Edwarda? – zapytała ostro. – Dlaczego Nimfa ma na sobie uprzęż?

– Poldek nie zdjął – odpowiedział wykrętnie.

– Nie kłam – zrugła go. – Nimfa nie była dziś nigdzie. Nie miała uprzęży.

– Ano nie miała – przyznał, nie odrywając się od swego zajęcia.

– W takim razie wyprzęgaj i wracaj do siebie. Mój syn nie będzie zachwycony, gdy mu powiem, że jego konia chciałeś używać – dorzuciła, ruszając ku wyjściu.

– Kiedy właśnie... – zaczął Kajetan, a napotkawszy surowy wzrok Rozalii, zamilkł, ale klaczy nie wyprzęgał.

– Tak? – Przystanęła i wbiła w niego badawczy wzrok. – Wiesz coś o panu Edwardzie? Wiesz, gdzie się podziewa? Mów – zniecierpliwiła się. – W grobie będziesz milczeć.

– Nic nie wiem, proszę pani – odparł zapalczywie. – Ale kto lepiej wie, jak nie jego klacz? Rozpozna miejsca, gdzie bywał. Zaprowadzi.

Spoglądając w szczerą twarz Kajetana, Rozalia zrozumiała, że była niesprawiedliwa dla wiernego sługi.

– Masz rację – rzekła. – Dziękuję. A teraz jedź, szukaj go.

Wróciwszy do domu, zajrzała jeszcze do Zosi, a potem do Stasia. Dziewczynka spała już pod czujnym okiem Malwiny, która siedząc przy lampie, naprawiała dziecięce ubranka. Staś natomiast, leżąc z szeroko otwartymi oczami, czekał powrotu ojca. Usłyszał skrzypienie drzwi

i poderwał się z nadzieją, lecz ujrawszy babcię Rozalię, zaraz opadł z powrotem na poduszki.

– Tato wrócił? – zapytał. W głosie zabrzmiały jednocześnie gniew i niepokój.

– Nie jeszcze. Rano będzie. Śpij – ucięła. Pochyliła się nad nim i ucałowała w czoło, jakby chciała ostudzić ten gniew, złagodzić obawy. – Nie zostawiłby cię przecież – dodała, pilnując, by głos jej nie zdrzął. Bóg jeden wie, jak sama bała się o syna.

Salon tonął w złocistym blasku świec i dźwięku fortepianu. Eulalia, lekko pochylona nad klawiaturą, w zamyśleniu przekładała palce, wydobywając z instrumentu melodię tak modnej ostatnio pieśni:

*Bywaj dziewczę zdrowe, Ojczyzna mnie woła,
Idę za kraj walczyć wśród rodaków koła,
I choć przyjdzie ścigać jak najdalej wroga,
Nigdy nie zapomnę, jak mi byłaś droga.
Po cóż ta łza w oku, po cóż serca bicie?
Tobiem winien miłość, a Ojczyźnie życie!
Pamiętaj, żeś Polka, że to za kraj walka,
Niepodległość Polski to twoja rywalka.*

Boże drogi – pomyślała z trwogą Rozalia. – A jeśli on walczyć poszedł? Może gdzie do partyzantów przystał? Poszedł, zostawił dzieci, mnie... I nic nie powiedział.

Zygmunt stał za plecami Eulalii, śledził ruch jej dłoni i nucił cichutko wraz z nią słowa:

*Nie mów o rozpaczy, bo to słabość duszy,
Bo mię tylko jarzmo mego kraju wzruszy,*

*Gdzie bądź się spotkamy, spotkamy się przecie
Zawsze Polakami, chociaż w innym świecie*

– Prawda, jakież z nas piękny liryczny duet? – odezwał się, widząc, że Rozalia siada na sofie. – Pozwolisz spocząć tu, obok ciebie? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, usiadł tak blisko, że czuła na twarzy jego palący oddech.

Eulalia przerwała grę i obrzuciwszy ich przelotnym, lecz znaczącym spojrzeniem, ziewnęła dyskretnie.

– Zmęczyłam się dzisiejszą podróżą. Myślę, że czas już na mnie. Jutro też dzień, nacieszymy się sobą, prawda, Rozalio?

– Nie, zostań jeszcze chwilę. Chcę porozmawiać – odparła ku jej zaskoczeniu. – Przepraszam cię, Zygmuncie, to kobiece sprawy – dorzuciła chłodno.

– Oczywiście, oczywiście – mrucał, zbierając się do wyjścia. Długo jeszcze czegoś szukał, zbierał porzucone drobiazgi, fukał przy tym i mlaskał jak obrażony kot. Kiedy opuścił wreszcie salon, Eulalia zapytała wprost:

– Wybacz, moja droga, nie chcę być wścibska, ale czy mam szyc suknię na wesele?

– Słucham? – szczerze zdumiała się Rozalia. – A na czyje wesele?

– Na twoje! – klasnęła w ręce Eulalia. – Na wasze! Ach, jakież Zygmunt jest w tobie zakochany!

– Ciii – ostrzegła Rozalia i obejrzała się na drzwi. – Nie chcę, żeby usłyszał, żeby utwierdził się w czymś, co jest tylko wytworem jego szalonej wyobraźni. On nie jest zakochany, Eulalio. On jest chory.

– O tak, tak! – zawołała w euforii. – Bo miłość jest chorobą, moja droga. Jakie to romantyczne!

– Przestań – syknęła Rozalia. – Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz. To fanatyk. Szaleniec. Ostatnio odkrywam, jak bardzo jest niebezpieczny.

– Niebezpieczny? – Oczy Eulalii zrobiły się okrągłe jak spodki. – Dlaczego?

– Szantażuje mnie.

– Boże mój! – Eulalia podskoczyła na krześle i przyłożyła obie dłonie do ust. – Szantażuje! Jak?

– Groził samobójstwem. Obawiam się, że może coś sobie zrobić. Tutaj, w moim domu – podniosła zirytowany głos.

– Och! – oburzyła się Eulalia. – Jakiż to byłby dla was kłopot!

– No właśnie. A Zygmunt zdolny jest do wszystkiego, żeby mnie pogrożyć. Może się nawet zabić.

– Sądzisz, że cię nie lubi? – zapytała z niedowierzaniem.

– Sądzę, że on sam siebie ledwie znosi – odparła kwaśno Rozalia i zaraz dodała: – Ach, dajmy temu spokój – machnęła ręką. – Nie o nim chciałam mówić, bo Zygmunt funta kłaków nie jest wart. Ja... ja martwię się o Edwarda.

– O Edwarda? Wciąż tak bardzo przeżywa śmierć żony?

– Przeżywa, choć czas powoli łagodzi te smutki. Nie uwierzysz, bywały momenty kiedy żałowałam, że go urodziłam, skoro tak bardzo nie umiał po śmierci Elizy żyć. Teraz jest lepiej, poznał nawet pannę, z którą może się ożeni... W każdym razie bardzo bym sobie tego życzyła.

– No więc, czym się martwisz?

– Zniknął. Dziś przed południem.

– Zniknął?

– Tak. Przepadł. Nigdy tego nie robił, to znaczy nie wychodził bez słowa. I zawsze wracał, Eulalio – głos Rozalii załamał się, a z oczu

wytoczyły się dwie wielkie łzy.

– Ależ nie płacz, moja kochana! – przeraziła się kuzynka. Podbiegła i utuliła ją w ramionach. – Zapewniam cię, że nic złego się nie stało. Mężczyźni czasem potrzebują samotności. Ba! Oni potrzebują wolności, przestrzeni jak okręt na bezbrzeżnym oceanie. Myślę, że Edward dość ma matczynej troski. Powinnaś przestać się nim tak opiekować. Jest dorosły, ma własne dzieci. Odnoszę wrażenie, że chciał ci to dać do zrozumienia.

– Tak myślisz? – Rozalia osuszyła łzy i spojrzała w oczy Eulalii pełna nadziei.

– Jestem tego pewna. Spójrz na mojego Witusia. Młodszy od Edwarda, a jak od nas daleko. W powstaniu walczy! Boję się o niego jak to matka, ale tutaj – przyłożyła dłoń do piersi – tutaj, w sercu duma mnie rozpiera. Nawet jeśli... – spojrzała na kuzynkę i przygryzła wargi. – Nawet jeśli będzie musiał zginąć – załkała i tym razem ona rzuciła się w ramiona Rozalii.

Minęła północ, gdy pani Stalicka ze swojej sypialni usłyszała parskanie konia. Ponieważ nie kładła się wcale, narzuciła na sukienkę szal i wyszła na ganek.

– Nigdzie nie ma – zameldował smętnie Kajetan. – Klacz poprowadziła nawet do Olszówki, do Danickich. Ale i tam go nie było.

Wziął za uzdę zgonioną Nimfę i powłókł się do stajni.

Przez bielmo martwego okna, przez szczelinę niedomkniętych drzwi wpadały ruchome smużki porannego światła. Pod zaciśnięte powieki przedostawały się purpurowo, jak plamy krwi. Dopiero teraz Edward podrażniony ich natarczywością zdołał otworzyć opuchnięte oczy. Oślepiiony, natychmiast zamknął je z powrotem. Wprawdzie odzyskał przytomność, lecz zupełnie stracił orientację. Przez długą chwilę usiłował przypomnieć sobie ostatnie zdarzenia. Uświadomiwszy sobie, że nie jest tu

sam i grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo, zerwał się na równe nogi. Ale tylko w zamyśle, skatowane ciało odmówiło mu bowiem posłuszeństwa i w efekcie nadal leżał bezwolny jak sflaczały worek.

Nie poruszając głową, przez zmrużone oczy starał się ocenić sytuację. Obolały i zziębnięty nagle uzmysłowił sobie, że jego lewe ramię styka się z czymś miękkim. Kątem oka, tuż obok, dostrzegł jasną plamę. Ostrożnie zwrócił tam głowę. To była twarz. Krwawa i nieruchoma. Twarz wroga.

Leżeli ramię w ramię jak polegli żołnierze z jednego frontu, wspólnego starcia. Edward wpatrywał się w zastygłe oblicze mężczyzny, w jego wklęsłe oczy skryte pod powiekami. Nie miał pojęcia, czy żyje, bo piersi zapadłej pod strzępem rosyjskiego munduru nie wznosił nawet najłżejszy oddech. Ciało miał wychudzone, kościste policzki. Czarne, zlepione krwią włosy od dawna nie widziały fryzjera, zarostu dawno nie tknęło ostrze brzytwy.

Ledwo zauważalny grymas przemknął przez twarz nieznajomego, potem zmarszczyło się czoło, uniosły powieki, by za moment spotkały się ich oczy. Malowało się w nich to samo pierwsze przerażenie, ta sama wola walki i taka sama niemoc. I mimo niedawnej bójki na śmierć i życie, którą obaj czuli jeszcze w kościach i w każdym drgnieniu mięśni, nie było w tych oczach nienawiści. I nawet lęku już nie było. Jedynie bezradność.

– Kto ty? – wychrypiał tamten. Akcent utwierdził Edwarda w przekonaniu, że ma do czynienia z rosyjskim żołnierzem.

– Polak – odpowiedział po prostu.

– Partyzant?

– Nie... – odparł. – I nie żołnierz – dodał zawstydzony przed sobą. Co robił tutaj, gdy inni walczyli w powstaniu o jego wolność, o przyszłość jego dzieci?

– Ja też nie żołnierz – rzekł cicho tamten.

– A kto?

Długie milczenie.

– Kto? – powtórzył Edward.

– Człowiek – odparł.

Leżeli potem w milczeniu, łapiąc spojrzeniem drobiny kurzu tańczące w tle wąskich strumieni światła, drżącą pajęczynę w kącie izby, bielony sufit podparty dziurawymi od kornika balami.

– Dezerter? – odezwał się wreszcie Edward.

– Ja nie chciałem się bić – uciął krótko tamten i Edward nie wiedział, czy miał na myśli bijatykę między nimi czy wojnę polsko-rosyjską. W gruncie rzeczy czy to nie wszystko jedno, jeśli jest się człowiekiem?

Rozalia zacisnęła ze złości zęby na dobiegający przez otwarte okno głos Danickiego. Dopiero co otworzyła oczy po ledwo muśniętej snem nocy, a ten lekkoduch i bawidamek już tutaj.

– Pan Edward jest? – wołał do Poldka krzątającego się przy koniach.

– Musi w nocy wrócił, bo klacz całkiem zgoniona – odparł Poldek zły, że i koń, i uprząż w błocie uwalane.

– A to nie jego? – zapytał Antoni, rzucając na ganek zwinięte w kłębek ubranie. – I kapelusz – dodał, cisnąwszy go na sam wierzch. – Nie jego?

Rozalia, która obserwowала wszystko zza koronkowej firanki, nie czekała dłużej. Nie bacząc na poranny chłód, w samej tylko sukience wybiegła przed dom.

– Skąd pan to masz? – zapytała z gniewem. – Patrząc na pański niedbały strój, miarkuję, że niejedną kwaterkę gdzieś w karczmie razem wychyliliście, a potem używaliście uciech z karczemnymi dziewczkami – syknęła. – Teraz masz pan jeszcze czelność kpić sobie. I to w obecności służby.

Danicki po tych słowach chciał konia zawrócić i bez wyjaśnień pokłusować do domu. Rad byłby obmyć się z potu i do stołu zasiąść, bo po wieczornej wizycie Kajetana całą noc na szukaniu przyjaciela zmitrężył.

A tu takie przywitanie. Taka wdzięczność. Zeskoczył z konia i mimo gniewu skłonił się przed Stalicką.

– Proszę wybaczyć – rzekł uprzejmie, choć głos mu drżał z oburzenia. – Nie byłem z Edwardem. A odzież całkiem przemoczoną znad jeziora przywożę. Wiem, że przerażę panią, ale zaraz po świtaniu, zaplątaną w szuwarach ją znalazłem.

Rozalia poszarzała na twarzy i nie zważając na usłużną dłoń Antoniego, osunęła się na kamienne schody.

– Chryste – wyszeptała pobielełymi wargami, a jej ramionami wstrząsnął gwałtowny szloch. – Z rozpaczy to zrobił... Po niej, po Elizie... Wybacz mu, Boże...

Antoni stał nad łkającą Rozalią bezradnie, bo żadne słowa pocieszenia nie przychodziły mu do głowy. On sam odganiał od siebie takie myśli, lecz innego wytłumaczenia nie było. Widać, Edward nie dał sobie rady z samotnością. Nie chciał tak dalej żyć. Bez Elizy i bez miłości.

Poldek, Kajetan, potem reszta służby porzuciła swoje obowiązki i jeden po drugim, powoli gromadzili się wokół ganku. Nikt o nic nie pytał, ale kobiety rąbkiem fartuszków ocierały oczy, a mężczyźni popatrywali tylko jeden na drugiego. Pierwszy otrząsnął się Danicki.

– Bierzcie łodzie, kije, sieci, co tam macie! Jezioro trzeba przetrząsnąć – zawołał do mężczyzn. – A wy wracajcie do swoich zajęć – rzucił do damskiej części służby. – Jeszcze nic nie wiadomo, nic straconego – dodał z mocą, chociaż sam w to nie wierzył.

Rozalia, przytłoczona wiadomością, spoglądała zamglonymi oczami, niewiele rozumiejąc z jego słów. Co chce robić? Po co brać łodzie i przetrząsać jezioro?

– Czy mogę panią tu zostawić? – zapytał, podając jej dłoń. – Chciałbym nad jezioro ze wszystkimi, trzeba nimi pokierować, pokazać, gdzie szukać.

- Gdzie szukać – powtórzyła jak echo, ledwo poruszając wargami.
- Odprowadzę panią do domu – zaproponował.
- Nie, nie trzeba, ja sama... Gdzie szukać... Tak, niech pan jedzie, panie Antoni. Niech pan szuka...

Powłócząc nogami, szła do sypialni, do portretu Jana, żeby wyjawic przed nim swoją żalosc i teraz jemu powierzyć opiekę nad synem. W korytarzu natknęła się na spieszącą na lekcje Joannę. Nauczycielka dygnęła i umknęła wzrokiem. Oczy miała czerwone jak królik.

– Ty już wiesz? – Rozalia, nie odejmując od nosa chusteczki, przytrzymała ją za rękaw.

– Tak, proszę pani – chlipnęła Joanna. – Wiem.

– W takim razie wytrzymaj oczy i nie waż się wspominać o niczym Stasiowi – napomniała ją surowo.

– Dobrze, proszę pani – obiecała Joanna, następnie rozplakała się na dobre.

– No, masz – burknęła Rozalia. – Mówię, uspokój mi się zaraz.

– Dobrze, proszę pani – opamiętała się, otarła oczy i zniknęła w pokoju Stasia.

Wszystko było dziś spóźnione, bo i kucharkom leciały garnki z rąk i pokojówki chlipiące i szepczące po kątach z niczym nadażyć nie mogły. Tym bardziej, że Rozalia nie wychodziła ze swojej sypialni i nie sprawowała nad niczym kontroli. Eulalia, wprawiona przez Witusia do myśli o nagłej śmierci, nie brała udziału w tej ogólnej rozpacz. Skazana na towarzystwo Zygmunta, umknęłaby przed nim do altany z książką, ale dzień był zimny i wietrzny, więc zaraz po obiedzie wyprosiła u Malwiny Zosię i zabierając również Stasia, zajmowała się dziećmi w bawialni.

Wszystko zmieniło się, gdy zapadł zmrok i mężczyźni powrócili z niczym.

Nikt teraz nie wiedział, czy dobrze to, czy źle, że pana Edwarda w jeziorze nie znaleziono. Danicki, bardzo przejęty zniknięciem przyjaciela, zarządził dalsze poszukiwania od świtu. Tego wieczoru wyczerpany, przygnębiony i wysmagany wiatrem, odmówił Stalickiej poczęstunku, przyjął jedynie łzawą wdzięczność za pełną zaangażowania postawę i powoli, stępem, odprowadzany ukradkowym spojrzeniem Malwiny, ruszył do Olszówki.

Pierwszy podniósł się Edward. Obolały, z zawrotami głowy, rozdygotany porannym chłodem powłókł się do wyjścia. Chciał wpuścić nieco świeżego powietrza, ale silny po wczorajszej burzy wiatr, wyrwał mu drzwi z rąk i uderzył o ścianę chaty. Edward przestąpił próg i drżąc z zimna, rozejrzał się wokół. Jezioro pluskało wzburzone, a wiatr przeganiał po niebie lekkie obłoki.

Tuż za progiem dopadły go torsje. Dobiegł do najbliższej rosnącej sosny i tam zwymiotował. Po powrocie do izby trząśł się z zimna i osłabienia. Rozejrzał się za jakimś okryciem, a natrafiwszy na brudną derkę, którą poprzedniego wieczoru napastnik zarzucił mu na głowę, podniósł ją i okrył plecy. Przez chwilę krążył bez celu po mrocznej izbie, potykając się o porzucone sprzęty, połamane krzesło, kulawy dębowy stół. Kiedy znów poczuł mdłości, wrócił na dawne miejsce i usiadł na podłodze obok mężczyzny, który nie chciał być żołnierzem.

Ten wciąż leżał na wznak. Oddychał miarowo i miał zamknięte oczy, więc Edward nie potrafił ocenić, czy śpi. Tamten miał tylko jeden but. Prawą, nienaturalnie wykrzywioną nogę owinał szmatami, które nosiły ślady zakrzepłej krwi. Mógł być ranny albo po prostu zgubić but podczas wędrówki, a może ucieczki. Do zniszczonego munduru przypięty był srebrny medal, na którym oko opatrznosci chroniło wizerunek uwiecznzonego laurem Aleksandra I. Edward pochylił się, ostrożnie ujął

odznakę w dwa palce i odwrócił ją na drugą stronę. ЗА ВЗЯТИЕ ПАРИЖА
19 МАРТА 1814 – przeczytał.

– To nie moje – uprzedził jego zdziwienie mężczyzna. – Paryż brał ojciec, nie ja.

– Myślałem, że śpisz – spłoszył się Edward.

– Śpię? A kto cię tam wie, co zrobisz. Ja Ruski, ty Polak. Nie mam zaufania.

– Nie bój się – mruknął Edward. – Z mojej strony nic ci nie grozi. Jak się lepiej poczuję, pójdę sobie.

– I dokąd?

– Tam, skąd przyszedłem. Do domu.

– Ja widział, jak ty płynął. Kto ma dom, nie musi uciekać w deszcz i burzę.

Edward nie potrafił, ani też nie chciał niczego tłumaczyć. Ot, wróci do sił, słońce ogrzeje jezioro, to odpłynie. Rozstaną się na zawsze, bo i on nie chciał nic wiedzieć o nieznanym.

– Milczysz – odezwał się znów mężczyzna. – Znaczy to, że ja mam rację, a ty nie chcesz gadać. Nie gadaj, ja nie ciekaw.

Edward wzruszył ramionami i otuliwszy się szczelniej derką, znów wyszedł z izby. Wciąż miał nudności i łaknął rześkiego powietrza.

Daleko, na drugim brzegu dostrzegł jakiś ruch. To chyba uwijali się rybacy, zarzucali sieci. Nie wiedział, że w zmaconym po burzy jeziorze więcej ryb w sieć się łapie.

– Ej, ty! – dobiegł go głos z chaty. – Ty! Jesteś tam?

Wrócił i pochylił się nad mężczyzną.

– Mam na imię Edward – oznajmił. – Czego chcesz?

– Daj wody – poprosił mężczyzna.

W pierwszym odruchu Edward rozejrzał się po chacie w poszukiwaniu naczynia, ale zaraz zreflektował się.

– A ty sam nie możesz wstać? Weź sobie wodę, skoro chcesz pić.

Mężczyzna uniósł się na łokciach, poruszył nieznacznie owiniętą szmatami nogą i wykrzywił twarz z bólu.

– Wczoraj jakoś dał ja radę, dopóki ty kopniakiem nie doprawił. Dzisiaj nijak kulasem ruszyć nie mogę. Daj wody... – powtórzył.

Edward westchnął i znów się rozejrzał.

– Mnie Boris – wyznał tymczasem mężczyzna. – Tak do mnie mów: Boris.

– Dobrze, Boris – zgodził się Edward. – Czym ci tej wody zaczerpnąć?

– U mnie manierka jest. Weź ją. Na stole stoi.

Dopiero teraz Edward zauważył w półmroku niewielki przedmiot. Chwycił manierkę i wyszedł przed chatę. Poszukał wzrokiem innego źródła wody niż jezioro. Nie było.

Boris pił łapczywie. Na koniec otarł usta wierzchem dłoni i rzekł ze wstrętem:

– Rybą śmierdzi. Ale co zrobić, jak pić się chce?

– Jadłeś coś? – zapytał Edward, bo i sam poczuł ssanie w żołądku. Od wczorajszego obiadu nie miał nic w ustach.

– Kiedy? – zaciekawił się Boris.

– Nie wiem. Może wczoraj, może wcześniej. Pytam, czy jadłeś.

– Ja trzy dni prócz pokrzywy nic nie jadł. Suchary i konserwy pokończyli się. Teraz tylko piję. Raz rybę na brzeg fala wyrzuciła. Na ogniu ja ją upiekł i zjadł.

– Nie bałeś się palić tu ognia, że ktoś zobaczy? – zapytał Edward, mając w pamięci dalekie ogniki, które widział z Antoniną. Ale to było dawno,

wiosną. Może wcześniej zabłąkał się tu jakiś inny żołnierz?

– Bał się ja, ale głód był silny.

– Co ci się stało w nogę?

– Polaki przestrelili. Partyzanty.

– Dawno?

– Będzie trzy niedziele temu. Jak nasza armia natknęła się na nich. Nie spodziewali my się, bo partyzanty zawsze z ukrycia i przez zaskoczenie działają. Tutaj też niebezpiecznie, bo oni po lasach i bagnach się chowają – zniżył głos.

– Podobno nasze oddziały napadają na linie komunikacyjne, transporty i pocztę.

– Ty nie musisz mnie mówić, bo ja był w takiej dywizji, co na partyzantów szła. Ciężko było. Aż nasz komandir dopadł waszych pod Ostrołęką. I zwyciężył, choć całkiem ich nie zniszczył. Dzielny on był. Ale niedługo po tym umarł na cholere.

Boris, sycząc z bólu, podciągnął się na łokciach i oparł o ścianę.

– Plecy bolą leżeć – mruknął.

Edward przyniósł walający się pod stołem plecak, zwinął go i podsunął Borisowi.

– Weź to, oprzyj się. Nie będzie tak boleć.

– No i taaak... – westchnął przeciągle, moszcząc się pod ścianą, Boris.

– Ja Ruski, ty Polak, a pomagasz. I gawarim, jak druh z druhem.

Edward poruszył nieznacznie ramionami, wstał i znów wyjrzał na zewnątrz.

– Zimno – zawołał do Borisa. – Bardzo dziś wieje.

– Słyszę – odparł tamten.

– Pójdę w las, może poziomek nazbieram.

Boris nie odezwał się.

– Boże ty mój – biadoliła Wiesia, nacierając ziołami pieczeń na jutrzejszy obiad. – Kto by to pomyślał, że nasz pan Edward tak szybko za żoną pójdzie. A tu dzieciśka małe. Zosia jeszcze od ziemi nie odrosła... A pani Rozalia nie wieczna przecie.

– Siotka wezmie – zasepleniła Kazia. – Pani Felisja rozona siostra nasej pani. To jej obowiązek.

– Ej, gadasz po próżnicy – zdenerwowała się Aniela. – Ciotka weźmie, powiedziała, co wiedziała. Boże, strzeż przed taką ciotką. Serca nie ma, tylko swojego patrzy – burczała pod nosem. – Zresztą nie wasza to rzecz, a pana Edwarda w jeziorze nikt nie znalazł.

– Nie znalazł, bo jezioro duże i głębokie – odcięła się Kazia. – Niełatwo słowieka w nim znaleźć. Aniela niech lepiej wiesne odposywanie za pana Edwarda zmówi, żeby Bóg mu wybasył, bo sam sobie życie odebrał... – Nagle zamruwała oczami, a twarz jej się rozjaśniła. – Panie poeto – zawołała na widok przekraczającego próg Zygmunta – so potseba?

Zygmunt przygładził wąsy i przymilnie się uśmiechnął.

– Chciałbym wina kapkę – sumitował się. – Noc idzie, a po dzisiejszych wrażeniach ciężko będzie zasnąć.

– Nie ma wina – warknęła Aniela. – Pani Rozalia komory dziś nie otwierała. Smakiem trzeba się obejść.

– A może... – zaczął Zygmunt, rozejrzał się po kuchni i oblizał wysuszone wargi – może gdzieś naleweczka dla zdrowotności się znajdzie?

– Każdemu takiego zdrowia trzeba życzyć, jak masz pan – ucięła Aniela. – Pani Rozalia wszystko pod kluczem trzyma. Nie ma nalewki.

Zygmunt głową pokiwał i wlepił wzrok właśnie w Kazię, która z wrażenia aż pokraśniała i zamruwała oczami. Wiele by dała, by móc

spełnić życzenie poety, ale teraz uniosła jedynie ramiona w bezradnym geście.

– No cóż... – bąknął Zygmunt i zadreptał w miejscu nogami. – No cóż...

Odwrócił się zawiedziony i opuścił kuchnię.

– Pijaczyna i wałkoń – burknęła Aniela. – Aż dziw, że nie przewąchał, gdzie pan Edward koniak schował.

Kazia zastrzygła uszami. Miała słabość do pana Zygmunta i zrobiłaby wszystko, by go uszczęśliwić.

– Kończymy na dziś – zarządziła Aniela i omiotła wysprzątaną kuchnię krytycznym spojrzeniem. – Jutro trzeba wcześniej wstać, o świcie mężczyźni wybierają się znów na jezioro.

Rozalia nie dotrzymała dziś towarzystwa kuzynce Eulalii. Niespokojna o wynik poszukiwań na jeziorze, pogrążona w smutku, spędziła ten dzień w sypialni. Marynie nakazała, by nikogo do niej nie wpuszczała, nawet Stasia, który lubił spędzać czas przy babce i zasypywać ją tysiącem pytań. Nie potrafiłaby dziś odpowiedzieć na żadne z nich, zwłaszcza pytanie o ojca wprowadziłoby ją w nie lada kłopot. Nie wyszła nawet na obiad ku zmartwieniu Anieli, która ugotowała jej ulubiony rosół.

Podeszła do okna i rozsunięszy zasłony, przyglądała się atramentowemu niebu, po którym wiatr przesuwiał zwały chmur.

– Chmury i ziemia – szepnęła. – I on gdzieś pomiędzy nimi...

Przeniosła wzrok na portret męża, zastanawiając się, czy naprawdę jest tu zupełnie sama, jak tego dziś pragnęła. Czy jego rozumne oczy chcą jej coś powiedzieć. I pomyślała, że już nie chce tej samotności, bo jej serce ścisnęła nagle, niewyobrażalna tęsknota i teraz jedynie mądrość cierpliwego czekania na spotkanie z nimi uratuje ją od bezdenne go smutku i zamknięcia

się w sobie na wieki. A przecież musi istnieć, żyć dla tych sierot, jedynych ogniw łączących ją z przeszłością.

– Portret Edwarda – powiedziała do siebie. – Muszę go tu zawiesić, mieć go przy sobie.

Zdjęła ze ściany obraz z martwą naturą, wsunęła go za szafę i z lichtarzem w ręku, pustym korytarzem przemknęła do gabinetu.

Zdumiała ją słaba smużka światła wydobywająca się spod drzwi. Z bijącym sercem nacisnęła klamkę i zastygła na widok kuchennej dziewczki bezczelnie przetrząsającej rzeczy jej syna.

Siedząca przed otwartą szafką Kazia poderwała się z podłogi, aż płomyk świecy, która stała obok, zafurgotał od gwałtownego wiatru. Rozszerzone źrenice i to wznosząca się, to opadająca szybko pierś świadczyły o przerażeniu dziewczyny.

Rozalia, która nigdy nie okazywała emocji przed służbą, opanowała się z trudem. Zamknęła za sobą drzwi i unosząc do góry lichtarz, oświetliła twarz Kazi.

– Co tutaj robisz? – zapytała surowo, lecz spokojnie.

Kazia przełknęła ślinę, a w jej oczach pojawiły się łzy. Sądząc po zaciśniętych ustach, nie zamierzała wyjawić powodu swojej obecności. Rozalia wiedziała o tym, postanowiła jednak ponowić pytanie i dać jej szansę wytłumaczenia tej niefortunnej wizyty.

– Czego szukasz w rzeczach mojego syna?

Uporczywa, przepełniona strachem, cisza.

– Nie chcesz mówić? W takim razie jutro, z samego rana opuścisz mój dom. Nie będę tolerowała kradzieży pod moim dachem.

Kazia ukryła twarz w fartuszkach i załkała. Rozalia potrafiła być surowa, ale miała dobre serce i znając warunki panujące w rodzinnym domu Kazi,

ciężko jej było o stanowczość. Poza tym ten wzrok Edwarda z portretu wiszącego nad biurkiem... Taki pobłażliwy, ludzki.

– Powiem – chlipnęła Kazia. – Wsystko powiem jak na spowiezi świętej. Ja nie kradłam!

– Czego więc szukałaś?

– Wsystko powiem – Kazia otarła fartuszkiem nos i odważnie spojrzała w ściągniętą gniewem twarz Stalickiej. – Wiesorem do kuchni psysedł pan Zygmunt. Mówił, że wina chse albo nalewki, bo nie moze zasnąć. I so tu zrobiś, jak komora zamknięta, a klus u pani Rozalii w kieseni? – Kazia zawahała się przez chwilę, po czym ciągnęła dalej: – Ktoś powieział, że u pana Edwarda koniak jest schowany. Psysłam kapkę dla pana Zygmunta ulaś. O, sklaneskę psyniosłam, żeby sałej butelki nie braś.

– Kto powiedział? – zaciekawiała się Rozalia.

Kazia znów zacisnęła zęby, ukazując, jak nieugięta będzie w milczeniu.

Jakie to dziwne – pomyślała Rozalia – przy mojej rozpaczycy i zrezygnowaniu nagle pojawia się ona ze swoją prostodusznością, nieskrywaną atencją dla tego wałkonja, Zygmunta, i pokazuje, że jej sprawy przy moich są ważniejsze, bo dotyczą żywych, nie umarłych...

– No dobrze, nie mów – westchnęła. – A teraz zabierz swoją świecę i idź do łóżka. Jutro zastanowię się, co z tobą zrobić.

Zabrała portret Edwarda i wróciła do sypialni. Tam oparła obraz o ścianę, pogładziła dłonią namalowaną, chropowatą twarz.

– A ja myślałam, że właśnie ty będziesz przegłądał się w mojej starości – szepnęła. – To ty miałeś uczyć się ode mnie upływu czasu. Taka powinna być kolej rzeczy, synu.

Wiatr i chłód od jeziora kazały docenić przytulność izby, podobnie jak samotność pozwalała dostrzec i uznać obecność Borisa. Garść poziomek

wywołała jego wdzięczność i przełamała lody. Mężczyzna, który nie chciał być żołnierzem, nie chciał też być niczym wrogiem. Zwłaszcza człowieka, który z rozbijającą szczerością wsypywał mu owoce do ust.

– Trzeba się dzielić pożywieniem – twierdził. – Nawet, jeśli tego pożywienia jest mało.

Nocą, nieprzyzwyczajony do spartańskich warunków Edward nie mógł zasnąć na twardej podłodze. Poza tym Boris rzucał się i jęczał, próbując ułożyć się w najbardziej dogodnej pozycji. Nienaturalne ciepło buchające od jego ciała nasunęło przypuszczenie, że ma wysoką gorączkę.

– Nie możesz spać? – zapytał Edward szeptem, jakby bał się obudzić dawnych mieszkańców chaty.

– Boli, psia mać – zaklął Boris. – Strach zaglądać, może tam już gangrena.

– Bzdury mówisz – usiłował uspokoić go Edward, lecz sam wiedział, jak marne to pocieszenie. Nie miał przecież pojęcia, jak wygląda noga Borisa. – Ja też nie śpię.

– Idź w inny kąt, kiedy przeszkadzam – poradził Boris.

– Nie przeszkadzasz – skłamał Edward. – To nie przez ciebie. Wszystko przez to drzewo, co trąca szybę.

– Drzewo?

– Tak. W dzieciństwie straszyla mnie wierzba. Rosła pod moim oknem i miała długie gałęzie, jak ramiona. Przy najlżejszym wietrze wymachiwała nimi na wszystkie strony. W księżycowe noce rzucała czarne cienie. Wtedy bałem się najbardziej, że wchodzi do pokoju. Bałem się otworzyć oczy, żeby nie zanurzyć się w tę wędrującą po ścianach ciemność, bo była jeszcze straszniejsza niż ta moja, oswojona. Rozumiesz?

– Nie.

– Nie szkodzi. Ojciec kazał ściąć tę wierzbę, ale wrażenie zostało. Nie lubię rosnących pod oknami drzew.

– Et, gadasz tak, żeby nie było mi przykro – mruknął Boris.

– Masz rację – tak samo mrukliwie odparł Edward. Potem wstał, okrył plecy derką i wyszedł na brzeg jeziora.

Wiatr powoli zacichał, a wszystkie tajemnice natury ukryte za kurtyną nocy wychylały się w świetle pierwszego brzasku. Po tamtej stronie jeziora ludzie wielkości mrówek uwijali się przy brzegu. Na jezioro wypłynęły pierwsze łodzie.

Godziejczowa wstąpiła do Przylipia niby to przejazdem, niby przypadkiem, ale wewnętrzne roztrzęsienie i napięcie wymalowane na pulchnej twarzy wskazywały, że złe wieści już do niej dotarły. Towarzysząca jej Antonina była blada, ale sprawiała wrażenie spokojnej. Pierwsza przywitała je Malwina, która z Zosią na rękach przechadzała się po dziedzińcu.

– Gdzie pani? – zapytała władczo Godziejczowa, mierząc Malwinę od stóp do głów wyniosłym spojrzeniem. Ta dziewczyna była stanowczo zbyt ładna, zbyt dużo miała w sobie klasy, a przecież to tylko dziewczka do niańczenia dzieci. I ta suknia... Och, od dawna wiadomo, że ubrania mają w sobie moc, od nich wiele zależy. W tej sukni chodziła kiedyś Eliza. Widocznie Rozalia rozdała rzeczy synowej, bo teraz ta tutaj w niej się obnosi. Równie dumna i od Elizy jeszcze piękniejsza. Pomyśleć, że taką oglądał ją Edward, i pewnie się zachwycił. Nic dziwnego, że Antonina nie zrobiła na nim wrażenia, bo przy tej dziewczce wygląda jak mysz. I to musi z przykrością przyznać ona, jej własna ciotka! Ech, ale i tak wszystko stracone. Mój Boże, co za fatalna sytuacja. Taka tragedia! I to teraz, gdy po długich namowach, Antonina wreszcie zaczęła kruszeć i zgodziła się na ponowne spotkanie. Co teraz robić? Co robić?

– Pani u siebie, w sypialni. Od wczoraj nie wychodzi – odparła Malwina, lekko skłoniła głowę i szeleszcząc suknią, zniknęła w sieni.

– No proszę! – oburzyła się Godziewiczowa. – Poszła. I zostawiła nas tutaj.

Na szczęście zaraz wybiegła Cesia i dygnawszy uprzejmie, poprosiła je do salonu.

– Pani Rozalia czuje się niezdrowo, ale w salonie czeka pan Zygmunt Stalicki – zapewniła.

– No, masz... – mruknęła z niezadowoleniem Godziewiczowa. – Na co mnie ten nicpoń?

Cesia z kamienną twarzą, jakby nie usłyszała tej uwagi, uchyliła drzwi salonu i zaanonsowała gościa.

– Takie nieszczęście! Takie nieszczęście! – poderwał się na ich widok Zygmunt i wyciągnawszy obie dłonie, sunął na Godziewiczową jak taran. Antonina przezornie trzymała się z tyłu, choć najchętniej zostałyby na świeżym powietrzu, prosząc o herbatę na ganek.

– A więc to nie plotka! – załamała ręce pani Karolina i opadła rozłożycie na sofę. – Łudziłam się, że ktoś rozsiewa fałszywe wiadomości. Tak, panie Zygmunco. To prawdziwe nieszczęście – dokończyła łzawo.

– Moja biedna szwagierka, Rozalia, włosy rwie z głowy – rzekł boleściwie. – Ale ciiii... – położył palec na ustach i spojrzał wymownie na Antoninę. – Nie chciałbym przy wrażliwej panie wchodzić w szczegóły...

– Chętnie wyjdę na ganek – podchwyciła natychmiast Antonina, zwłaszcza że sama nie miała ochoty tego słuchać. Zdążyła polubić Edwarda i takie wieści sprawiały jej przykrość.

– Piękny dzień świt powołał dziś do życia – sformułował poetycką myśl Zygmunt. – Póki człowiek żyje, powinien z takich dni korzystać, panno Antonino.

Zgodziła się z tym, lecz nie zdążyła jeszcze opuścić salonu, gdy dobiegł do jej uszu smętny głos:

– Szukają go w jeziorze, pani Karolino. W nocy oka nie zmrużyłem. Pisałem poemat i chętnie pani przeczytam...

Z ulgą odetchnęła pachnącym kwiatami i miodnym powietrzem. Wokół gazonu uwijały się pszczoły. Świdrujące w uszach brzęczenie przypominało niedzielne uderzenia dzwonów z dalekich kościelnych wież.

– Hojnie obdarza natura w obrazy, zapachy i dźwięki, ale dla niego nic już nie ma. I on nic dla niej już nie robi – pomyślała Antonina i powoli, bezwiednie, ruszyła bitą drogą nad jezioro.

Na zwietrzałej kłodzie siedział Antoni Danicki, ćmił fajkę i mrużąc rażone słońcem oczy, obserwował krążące po jeziorze łódki. Coraz mniej wierzył w odnalezienie Edwarda. A im mniej w to wierzył, tym gorliwiej zastanawiał się nad prawdziwym losem przyjaciela.

– Pani tutaj? – zdziwił się na widok zbliżającej się Antoniny. Niezbyt dobrze ją znał, łączyła ich zaledwie przelotna znajomość. Ot, widywał ją czasem w towarzystwie tej wścibskiej Godziewiczowej na dobroczynnych kiermaszach, w których brała udział również jego żona, Helena.

Spłoszyła się. Sądziła, że będzie tu sama.

– To miejsce najsilniej łączy mnie wspomnieniem z panem Edwardem – odparła szczerze. – Przyszłam uczcić tę pamięć.

– Ach tak... Rozumiem – bąknął Danicki.

Antonina podeszła bliżej, spojrzała na zwalone drzewo, gdzie siedział Danicki, ale nie śmiała usiąść obok niego. Zapatrzyła się w jezioro. Mieniło się złotem jak łuska olbrzymiej ryby. Fale delikatnie pluskały o brzeg, potęrały trzciny, na których raz po raz przysiadały zielonkawe ważki. I tyle było w tym obrazie spokoju, tyle czułego ukołysania...

– Byłam tu z nim wiosną – odezwała się zniecierpliwiona. – Pan Edward zwierzył mi się z tajemnicy, którą skrywał przed swoją matką.

– Tak? – zainteresował się bardziej z uprzejmości niż z ciekawości Antoni.

– Teraz chyba nie ma już znaczenia, jeśli o tym powiem?

Obejrzał się na nią.

– Nie, chyba nie... – odparł, konstatuując przy okazji, że w oczach tej panny jest jakiś niespotykany magnetyzm. – Proszę spocząć – przesunął się nieznamienicie.

– Dziękuję – uśmiechnęła się, zebrała dłonią fałdy sukni i przysiadła obok. – Opowiadał, że jako młodzieniec przepłynął to jezioro. Na drugim brzegu widział drewnianą chatę, ale nie spotkał tam żadnego człowieka.

– Przepłynął? – ożywił się nagle Antoni.

– Tak. Miał siedemnaście lat. Była tam ścieżka, którą...

Ale Danicki już nie słuchał. Podniósł się z miejsca i zakrzyknął:

– Hej! Niech no który podpłyń tutaj! A chyżo! – Potem obrzucił trochę nieprzytomnym wzrokiem Antoninę. – Proszę mi wybaczyć – powiedział, po czym podbiegł do pierwszej łodzi, która się nawinęła, przejął wiosła i popłynął na drugi brzeg.

Edward gotowy był do powrotu. Wyobrażał sobie niepokój matki i tysiące pytań Stasia. Spoglądał na porzuconą w trawie gałąź, która uratowała mu życie, gdy płynął w tę stronę. Teraz też się przyda. Wesprze się na niej i spokojnie, bez wysiłku przepłyńie jezioro. Dzień był gorący, słoneczny, nie wróżył burzy i nic nie stało na przeszkodzie, by zanurzyć się i ruszyć do domu. Nic, prócz...

Z Borisem było coraz gorzej. Już nie wstawał. Raz tylko, wspierając się na ramieniu Edwarda, pokuśtykał pod sosnę za potrzebą. Od tamtej pory

leżał prawie bez ruchu na podłodze i jęczał. Rozpalone policzki i szkliste oczy wskazywały na rosnącą z minuty na minutę gorączkę. W rannej nodze rozwijało się zakażenie i obaj wiedzieli, że natychmiast powinien zająć się tym doktor. Boris wciąż miał pragnienie i Edward, chcąc nie chcąc, podawał mu cuchnącą rybą i mułem wodę z jeziora. Sam również ją pił, chociaż zdawał sobie sprawę, że może to się skończyć biegunką.

Boris stanowczo nie mógł tu zostać sam, lecz Edward nie miał pomysłu, jak przetransportować go na tamtą stronę. W grę wchodziła jedynie wycieczka na drugi brzeg i powrót po Borisa łodzią. I o tym właśnie chciał z nim porozmawiać.

– No to wracam – zaczął niefortunnie.

Po twarzy Borisa przemknął ledwie zauważalny skurcz, ale nie chciał się przyznać, że go to obeszło, że się boi.

– Wracaj, ja ci nie bronię – wydał zadziornie usta i obrócił twarz do ściany.

– Wezmę moją łódź, Boris, i przyłynę po ciebie – zapewnił go Edward.

– Obejdzie się. – Boris poruszył chorą nogą i syknął z bólu. – Do tej pory ja sobie radziłem i dalej poradzę.

– Bohater – obruszył się Edward. – I po co tak mówisz? Czekaj tu spokojnie. Do wieczora zabiorę cię stąd.

– Dobra, dobra... Masz tam swoich, co ci po mnie?

Edward westchnął. Boris upierał się głupio, więc dyskusja z nim nie miała sensu. Niepotrzebnie zwlekał.

– Czas na mnie.

– No i czas – przyznał Boris, a ich oczy znów się spotkały w spojrzeniu uważnym, głębokim.

– Idę... – Edward wciąż stał niezdecydowany i spoglądał z góry na wyciągnięte na podłodze, zmęczone cierpieniem ciało Borisa, na jego

nienaturalnie rozognioną twarz, spieczone usta. Coś ścisnęło go za gardło.

– Idź. A bacz, co by cię jaki rekin nie zjadł – wysilił się na dowcip Boris. Wielka łza wytoczyła się z kącika oka, spłynęła mu po policzku. Wytarł ją szybko kułakiem i wyszczerzył zęby w nieszczerym uśmiechu.

Edward też się uśmiechnął i ruszył do wyjścia.

Zbiegł ścieżką na brzeg, wyplątał z trawy gałąź i rzucił ją na jezioro. Zanim wszedł do wody, wrócił do chaty i zamknął szczelnie drzwi. Jeszcze jaki lis odwiedzi Borisa albo ryś. Lepiej nie ryzykować. Pobiegnął znów na brzeg i wtedy zobaczył płynącą ku niemu łódź. Mężczyzna ruchy miał pewne, zdecydowane. Wiosłował szybko. Stojącego na brzegu Edwarda ogarnęły mieszane uczucia. Jeśli ten człowiek tu płynie, to dlatego, że odkrył kryjówkę Borisa? Płynie po niego?

Czekał, dopóki nie rozpoznał w przybyszu Danickiego. Poczował ulgę.

– A niech cię! – krzyczał Antoni już z daleka. – Matka cię oplakuje, kucharka wieczne odpoczywanie odmawia, chłopcy jezioro sitkiem cedzą, a wszystkie okoliczne panny łyżę leją! A ty tutaj!

Edward, choć wciąż Malwiny nie mógł mu darować, teraz roześmiał się szczerze i uniósł ramiona w powitalnym geście.

– Z nieba mi spadłeś – odpowiedział. Chwycił za dziób łodzi i ciągnął tak długo, aż zachrząścił pod nią piasek. – Właśnie miałem wracać.

– Najwyższy czas, co? Całą noc zmitrężyłeś. Rozumiem, że wizyta udana? – zagadnął z przekąsem Antoni i zaraz pokręcił głową. – Co to za koncept, matkę ze zmartwienia do grobu wpędzać i całe Przylipie na równe nogi stawiać? Gdyby nie ta twoja ruda ślicznotka, nie domyśliłbym się, że tutaj, w tych krzakach spokoju szukasz. Już proboszczowi chciałem dać na mszę za ciebie.

– Ruda ślicznotka? – zdziwił się Edward, bo Antoniny od dwóch miesięcy nie widział. – Przyjechała?

– A jakże. Na drugim brzegu czeka. Tylko nie gniewaj się na nią, że wyjawiała twoją świętą tajemnicę. Gdyby nie to, wpław byś wracał. No, siadaj, bracie, do łódki. Może twoja matka mi pewne rzeczy wybaczy, gdy ciebie żywego dostarczę, co?

– Malwiny to i ja wybaczyć ci nie mogę – skrzywił się Edward. – Ale nie czas o tym gadać. Było, minęło.

– Będziemy o tym gadać – spoważniał Antoni. – Nie wiem, co ty tam wiesz, ale nie chciałbym, żeby każdy swoją wygodną prawdę miał, bo prawda jest jedna.

– Może i tak – rzucił trochę zaczepnie Edward. – Ale teraz nie chcę tego słuchać. Spieszno mi do domu.

– No to zapraszam – Antoni poklepał dłonią ławeczkę w łódce, po czym zanurzył wiosło, jakby chciał odepchnąć się od brzegu.

– Zaczekaj – zatrzymał go Edward. – Jest tu jeszcze ktoś, kogo musimy zabrać.

Antoni, w pierwszej chwili zaskoczony, zaraz uśmiechnął się szeroko i pogroził mu palcem.

– Oj, czyżbyś z jakąś dżierlatką zabawiał się w nocy? Co? Tymczasem ruda piękność za tobą z tamtego brzegu oczy wypatruje. Nie ma to, jak wdowcem być, od panien opędzić się nie można.

– Nie mów głupstw – uciął Edward. – Za Elizę oddałbym najpiękniejsze panny świata.

– Wiem o tym – zmarkotniał Antoni. – Nie chciałem cię urazić, przyjacielu. No, to gdzie ten tajemniczy ktoś? – zapytał.

– Chodź ze mną – rzekł poważnie Edward i wyciągnął dłoń do Antoniego.

Ten jednak zignorował ten gest, zgrabnie opuścił łódkę i z zaciekawieniem na twarzy, podążył ścieżką w stronę starej chaty.

Edward otworzył drzwi i wszedł pierwszy. Antoni aż cofnął się od panującego tu mroku i zaduchu.

– Kto to? – zapytał surowo na widok znieawidzonego munduru wiszącego jak worek na wychudzonym ciele Borisa. – Ruski?

– Tak – odparł Edward.

– Niech zdycha – warknął Antoni i odwrócił się na pięcie. – Idziemy.

– Nie! – zaprotestował gwałtownie Edward, spoglądając w przerażone oczy Borisa. – On jest ranny, potrzebny mu doktor.

Antoni odciągnął go na bok.

– Ty chyba nie wiesz, co mówisz. Chcesz doktora narażać? Siebie? Całą swoją rodzinę? Ruskiego chcesz do domu zabierać? Przecież oni walczą przeciwko nam!

– To dezterter, Antoni. On nie chce walczyć.

– Jeden pies. Ruski, to Ruski.

– Człowiek!

– Człowiek – rzucił szyderczo Antoni. – Wszyscy oni „ludzie”. Ale my dla nich już nie. Zapamiętaj to sobie. Podasz mu rękę, a on ci ją odgryzie. Idziemy.

– Nie pójdę bez niego – rzekł z uporem Edward. – Płyn sam, jeśli chcesz.

– A żebyś wiedział, że popłynę – warknął Danicki, wyszedł z chaty i z furią zatrzasnął drzwi.

Edward, głodny, niewyspany, zły, usiadł obok ledwie żywego Borisa i zaczął bębnić palcami o podłogę. Boris patrzył na niego, ale się nie odzywał.

– Posiedzę tu koło ciebie – oznajmił Edward, zerkając w kierunku drzwi. – Poczekam, aż odpłynie. Potem sprowadzę łódkę i cię zabiorę.

– Nie trzeba – odparł cicho Boris. – Ja wszystko słyszał.

– Boris, ja się nie boję, rozumiesz? – wycedził Edward przez zaciśnięte zęby. – Nie chcę być jednym z tych, co nienawidzą. Ja rozumiem, co znaczy „człowiek”.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, a na podłogę padł długi cień.

– Dobrze – burknął Danicki. – Zabierzmy go. Ale pamiętaj, nic nie chcę o nim wiedzieć.

Edward zobaczył ją z łódki, gdy byli kilkanaście metrów od brzegu. Nie widział wyrazu jej twarzy, ale był pewien, że spoglądała w ich kierunku. Kiedy dobijali do brzegu, dostrzegła leżącego w łódce Borisa, ale szybko przeniosła wzrok na Edwarda. Uśmiechnęła się nieznacznie, enigmatycznie. Potem odwróciła się na pięcie i odeszła. Sprężynki rudych loków podskakiwały figlarnie z każdym jej krokiem.

Skupiony na tym obrazku, nie zwrócił uwagi na inne łodzie, ani na kręcących się po brzegu mężczyzn. Podniósł dłoń i chciał ją zawołać, lecz lekkie szturchnięcie i słowa Danickiego przywołały go do porządku.

– Co z nim zrobimy?

Edward oprzytomniał.

– Wyślę któregoś do dworu, po furmankę.

– Zaczekaj – powstrzymał go Antoni. – Któremu można zaufać?

Edward zawahał się.

– Kajetanowi – odparł po chwili.

Antoni wyjął spod głowy Borisa zwiniętą derkę i przykrył go nią w całości.

– Wołaj Kajetana – zwrócił się do Edwarda. – Ja zajmę się innymi.

Wanda i Wiesia wynosiły właśnie kuchenne zlewki, gdy z tyłu domu zajechała furmanka. Obok woźnicy siedział pan Edward. Fakt, że był jak

najbardziej żywy, przytłumił zdumienie na widok jego nagiego torsu, a już na pewno odwrócił ich uwagę od leżącego na dnie furmanki Borisa. Porzuciły cebrzyki z resztkami jedzenia i czym prędzej pobiegły do kuchni, donieść o tym, co widziały.

Edward przy pomocy Kajetana umieścił Borisa w stodole, planując pod osłoną nocy przenieść go w lepsze miejsce. Wcześniej jednak musiał porozmawiać o tym z matką. Poleciał Kajetanowi nakarmić i napoić chorego, po czym tylnym wejściem udał się do swojej sypialni. Alojzy, który omiatał tam właśnie sprzęty z kurzu, zastygł z miotełką w ręku na widok bosego i półnagiego pana.

– Co tak stoisz? – odezwał się Edward. – Przygotuj wodę i brzytwę do golenia. Szybko!

– Pani Rozalia... Pani Rozalia – jąkał się Alojzy.

– Co tam pani Rozalia? – zniecierpliwiał się Edward.

– Ano, już krzyżyk na panu postawiła – wydusił w końcu. – W jeziorze szukali.

– Nie gadaj głupstw – zachnął się Edward. – Przynieś wodę i szykuj ubranie.

– Tak jest, proszę pana – oprzytomniał Alojzy, rzucił miotełkę i wybiegł z sypialni.

Po obiedzie, w czasie którego panowała niemal świąteczna atmosfera, wszyscy wylegli przed dom. Rozalia chętnie porozmawiała z synem na osobności, lecz obecność Godziewiczowej, a zwłaszcza panny Antoniny, zmuszała ją do okazania cierpliwości. Zresztą pani Karolina robiła wszystko, by Edward poświęcił uwagę przede wszystkim jej siostrzenicy. Zajęła nawet rozmową Stasia, by nie kręcił się przy ojcu, a młodych odesłała do altany.

– Przysporzył pan matce zmartwienia – zagała Antonina, gdy ukryli się w cieniu dzikiego wina. – Biedna, nie mogła uwierzyć, gdy przyniosłam znad jeziora wiadomość o panu.

– Doprawdy, matka przesadza – obruszył się Edward. – Zaledwie jedną noc spędziłem poza domem. Inni...

– Widać, pan nie taki jak inni – uśmiechnęła się leciutko, zaledwie kącikami ust – Pan jesteś jak kot.

– Kot? – zdziwił się. Był znużony. Najchętniej zdrzemnąłby się, odespałby zarwaną noc.

– Musi pan, jak kot, umrzeć dziewięć razy. A to sztuka za każdym razem wrócić na swoje miejsce, w swój świat tak, żeby nikt nie zauważył.

– Pani coś o tym wie? – zażartował.

– Jeszcze nie – odparła zagadkowo.

– Jeszcze?

– Do tej pory nie żyłam w zagrożeniu.

– Jak mam to rozumieć? – Edward nie spodziewał się tych obaw, które zakiełkowały w jego sercu.

– Powiem panu, jeśli obieca pan milczenie przed moją ciotką.

– Obiecuję – rzekł zaintrygowany.

– Chcę ruszyć z powstańcami na pole walki – oświadczyła przyciszonym głosem i wbiła w niego świdrujące, zielone oczy.

– Słucham? – Edward przyjrzał się jej z niedowierzaniem.

– Tak. A jeśli mi się nie uda, to chcę przynajmniej dostać się do powstańczego szpitala – dodała niezrażona.

– Do powstańczego szpitala? Pani?

– Pan we mnie nie wierzy, a ja jeszcze przed wybuchem powstania uczyłam się pielęgnowania chorych. Odwiedzałam wiejskie chaty

i udzielałam pomocy chłopskim rodzinom. Muszę być użyteczna. Ostatnio, gdy brałam udział w kweście na rzecz insurekcji, pewna kobieta, też tam kwestująca, zapytała, czy nie zechciałabym zajmować się rannymi powstańcami.

– Rannymi powstańcami!? – zawołał ze zgrozą Edward.

– Ciszej... – zmarszczyła brwi i spontanicznie położyła palec na jego ustach. Zaraz zreflektowała się i zmieszana cofnęła dłoń. Ale on poczuł już delikatny lawendowy zapach i miękkość tego dotyku. Przeszył go przyjemny dreszcz. Miał ochotę chwycić te drobniutkie palce i ucałować je. Zamiast tego zniżył głos i powiedział:

– Nie robi pani tego.

– Owszem, zrobię. Wiele kobiet tak robi. My nie chcemy, drogi panie, żeby zarzucano nam obojętność dla sprawy. Rolę kobiety w powstaniu ogranicza się do obecności na patriotycznych spektaklach. Nikt nie wziął pod uwagę faktu, że sytuacja w kraju wymaga mobilizacji sił całego, całego narodu – podkreśliła dobitnie. – Czy tak? – przeszyła go wzrokiem, aż zrobiło mu się wstyd. Powinien iść, walczyć ze wszystkimi.

– Tak – przyznał.

– Tymczasem o kobietach dyskutuje się w „Kurierze” – mówiła oburzona potrząsając rdzawymi sprężynkami.

– W „Kurierze”? – uśmiechnął się, ale ona dostrzegła ironię w tym uśmiechu.

– Niech pan tak nie patrzy – rozjuszyła się. – Niech pan nie kpi!

– Ależ...

– Pan nie wiesz, że w gazetach zarzucono kobietom bojkot patriotycznych widowisk i bali dobroczynnych, bo miały przynieść dochód potrzebującym i rannym powstańcom. Pisano złośliwie, że nie ma Polek w Warszawie, bo poleciały za Rosjanami. I że to hańba dla warszawianek.

A ja już drugi rok bawiłam w Warszawie, więc takie pisanie dotknęło mnie podwójnie. Jako kobietę i jako warszawiankę. Pana to może nie obchodzi, bo pan jesteś mężczyzną, więc to pana nie boli.

– Ależ wręcz przeciwnie – bronił się. – Chociaż przyznam, nic o tym nie wiedziałem.

– Właśnie. Pan, jak wielu innych, nic o tym nie wiedział, tymczasem te ostre słowa bodły nas do żywego, bo kobiety modliły się o powodzenie powstania, szyły bieliznę i rwały szarpie dla rannych zamiast głupio się stroić i pokazywać w łóżach. Chociaż – przyznała po krótkim namyśle – podczas koncertu państwa Dobrzyńskich przeznaczonego na uzbrojenie ubogich ochotników w teatrze przeważały kobiety... Jednak – znów się nastroszyła – przyzna pan chyba, że chodzenie po teatrach i bawienie się, kiedy ojczyzna w niebezpieczeństwie, jest głęboko niemoralne – zakończyła.

– Ująłbym to inaczej – ripostował ostrożnie. – Tego typu zabawy dodają otuchy, nie pozwalają na przygnębiające myśli, że większość walczących mężczyzn nie powróci.

– Ech – zdenerwowała się. – Pan myśli jak te wszystkie pismaki. A tymczasem my, kobiety, możemy ramię w ramię walczyć z mężczyznami albo pielęgnować rannych i sprawić, by powróciło ich jak najwięcej.

– Walczyć z mężczyznami – westchnął i pokręcił głową. – Pani nie wie, jak tam jest, na polu walki.

– Pan też nie wie – odcięła się ostro, a on aż skurczył się w sobie. Wstyd. Wstyd przed nią. Wstyd przed Stasiem, który chce być żołnierzem.

– Pan też nie wie – łagodziała, widząc, jakie zrobiła na nim wrażenie – bo pan masz pola do obsiania i do wykarmienia Polaków, łąki do wykoszenia dla powstańczych koni. To też służba... – ciągnęła, choć bez przekonania. – A ja... Ja czuję się taka bezczynna, niepotrzebna.

– To nie tak – ujął jej dłoń i zamknął w swoich. Poczłł trzepoczące ciepłł, jakby trzymał przerażone zwierzątko, nie kobiecą, zwiniętą i zbuntowaną pięść. – Pani jest wśród tych sióstr, matek, przyjaciółek i kochanek, które wyprawiły na wojnę ukochanych mężczyzn, które swoją miłością i myślą dodają otuchy. U których uśmiech i dobre słowo są lekarstwem na wszelkie rany...

– Co pan mówisz? – wyrwała dłoń i zwięziła oczy. – A kogo ja niby wyprawiłam na front? Nie mam ojca, brata ani narzeczonego. Dlatego sama muszę walczyć, rozumie pan?

– Tutaj też jest pani potrzebna – rzucił spontanicznie, myśląc jednocześnie, że Danicki zmyślił tego jakiegoś konkurenta, że chciał jego, Edwarda, postraszyć, przyspieszyć jego decyzję.

– Proszę nie opowiadać takich rzeczy – obruszyła się. – Po co ja tutaj?

Edward milczał, bo stać go było jedynie na wyświechtane truizmy, które stanowiłyby w miarę wiarygodne argumenty. Prawdą, która zrodziła się właśnie w jego głowie, nie chciał jej spłoszyć.

Antonina, nie doczekawszy się odpowiedzi, odezwała się ponownie.

– Czy chodzi o tego człowieka na łódce? – pytanie zabrzmiało zwyczajnie, jakby rozmawiali o pogodzie. – Potrzebuje medycznej pomocy?

– Człowiek na łódce? – zaskoczyła go. Grał na zwłokę.

– Proszę nie mówić, jeśli pan nie chce – wycofała się szybko.

– Nie, nie... – plątał się. – Domyśliłem się, że pani go widziała. Proszę jednak zatrzymać to dla siebie.

– Oczywiście – zgodziła się. – Nikomu nie powiem. Ale... – zawahała się. – Pytałam, czy on potrzebuje pomocy.

Edward nie chciał, żeby Antonina wiedziała cokolwiek o Borisie, a zwłaszcza to, że jest rosyjskim żołnierzem.

– Proszę nie zaprzętać sobie tym głowy – zbagatelizował. – Doktor się nim zajmie.

– Dobrze – rzuciła lekkim tonem i nerwowo splótła palce. Nie lubiła tajemnic.

Godziewiczowa, która posapując, przytoczyła się do altany, nawet nie przerwała młodym rozmowy, gdyż oboje siedzieli milcząco i nachmurzeni. Ten widok rozczarował ją i przytłumił nadzieję na rychłe wesele.

– Czas na nas, gołąbeczko – zwróciła się łagodnym głosem do siostrzenicy, która poderwała się natychmiast i rzuciwszy Edwardowi ostrzegawcze spojrzenie, żeby milczał, uśmiechnęła się przymilnie do ciotki.

– Tak, droga ciociu – zaszcebiotała.

Jaka jest naprawdę? – pomyślał Edward.

– Och, jak mogłeś tak długo z tym zwlekać – denerwowała się Rozalia, przyglądając się nodze Borisa obnażonej z brudnych, cuchnących szmat. – Mam nadzieję, że nie jest za późno... Zaraz ziół naparzę. Trzeba to przemyć, odkazić, zawinąć w czyste bandaż.

– Planowałem posłać po doktora – tłumaczył się Edward, spoglądając to na półprzytomną z bólu twarz Borisa, to znów na zatroskane oblicze matki.

– Po doktora? Po naszego doktora z miasteczka? – dopytywała.

– Tak – potwierdził. – Chyba można mu zaufać?

Odciągnęła go za łokieć od łóżka i szepnęła:

– Obawiam się, że nie. Nawet jeśli nikomu nie powie, to i tak nie przyjedzie, bo będzie się bał. Przecież to ruski żołnierz – rzuciła przez ramię spojrzenie na Borisa. – Wróg. Spróbuję wyleczyć go sama. Daj Boże, wszystko się uda.

– Może tu zostać? – zapytał niepewnie Edward.

Rozalia rozejrzała się po niewielkim, wciśniętym na końcu bocznego korytarza, ponurym pokoiku.

– Może – odparła z wahaniem. – Niech Joanna Stasia pilnuje, bo ten lubi wszędzie nos wsadzić. Służba tu nie przychodzi. Trzeba powiedzieć Malwinie, żeby zaglądała, kiedy Zosia zaśnie.

– Malwinie? – w jego głosie Rozalia wyczuła dezaprobatę.

– A tak – potwierdziła. – Ona jak głaz. Słowa nie piśnie... A jak Danicki? – zapytała zniechęta.

– Dlaczego mama o nim? – zdziwił się Edward. Łączenie Malwiny z Danickim nie spodobało mu się.

– Wie o tym, tutaj? – szepnęła konspiracyjnie i znów zerknęła przez ramię na Borisa.

– Ach, to – odetchnął. – No, jakże. Łódką nas wiozł z tamtego brzegu. Wie.

– Ano prawda. Kto wie jeszcze?

– Kajetan.

– Kajetan. W niego jak w grób – uspokoiła się. – Już wszyscy?

– Wszyscy... A nie, jeszcze panna Antonina.

– A ta skąd? Powiedziałeś jej? – Oburzyła się.

– Była nad jeziorem, gdy przyплыliśmy.

– Ona tam? – Rozalia przyjrzała się uważnie synowi. – Do ciebie przyszła?

– Nie sędzę – odparł szybko. – Odeszła zaraz. Nie rozmawialiśmy nawet.

– Rozumiem – odezwała się Rozalia głosem, w którym Edward wyczuł nutkę rozczarowania. – Idź teraz do Malwiny – zmieniła temat, a ja pójdę po opatrunki.

– Nie za późno na wizyty? – Edward znacząco spojrział w okno, za którym przyciał się już zmrok.

– Malwina nie śpi o tej porze. Wiem, bo widzę pod drzwiami światło. I ty nie idziesz z wizytą, a z poleceniem – zaznaczyła.

Na dźwięk pukania usłyszał matowy, spokojny głos:

– Proszę.

Otworzył drzwi i pewnym krokiem wszedł do środka. Na jego widok Malwina zmieszala się, a nie chcąc pokazywać tego po sobie, odłożyła na stół robótkę, wstała z krzesła i swoim zwyczajem uniosła wysoko podbródek. Płomyk świecy zadrżał, ożywił na moment jej twarz. Jego oczy spoczęły na pełnych, soczystych jak wiśnia ustach, po czym zanurzyły się w głębi błyszczących źrenic. Nie mógł oderwać od niej zafascynowanego wzroku.

Uroda bogini, serce mniszki – przemknęły mu przez myśl dawne słowa Danickiego i złość go ogarnęła, że ten chłystek przekonał się o tym.

Podeszła do kołyski. Tam nie sięgał blask świec, za to blady księżyc przesunął się po ścianie, musnął jej włosy i osrebrzył myśli z rodzaju tych, które trudno zgadnąć. Teraz wydała mu się pewna siebie, taka silna, wolna.

– Zosia już śpi – oznajmiła, spoglądając ku niemu chłodno, niechętnie.

– Tak, spodziewałem się – odparł przyciszonym głosem. – Tym razem przyszedłem do ciebie.

Nieznacznie uniosła w zdziwieniu brwi, przygryzła wargi. Zaraz potem w oczach pojawił się lęk. Zauważył go i to drżenie rąk, które starała się ukryć w zbędnym geście poprawiania gładko zaplecionych włosów. Wyglądała jak spłoszony ptak, który trzeba przytulić, ukołysać. Miał ochotę zrobić to, ale uśmiechnął się tylko do tej absurdalnej myśli.

– Czy pozwolisz mi usiąść? – zapytał.

– Proszę – wskazała stojące pod ścianą krzesło, sama natomiast zajęła swoje poprzednie miejsce.

Ustawił krzesło przy stole, gdzie siedziała. Stąd miał widok na okno, do którego uporczywie uciekał wzrokiem. Noc wysiała dziś gwiazdy, a przepychane wiatrem chmury otulały je siną pościelą. Rozjaśnione księżycową poświatą niebo było zimne, mistyczne i tajemnicze jak piękna, pełna pytań twarz Malwiny.

– Dwa dni temu poszedłem nad jezioro – zaczął swoją opowieść. – Zwykle patrząc na drugi brzeg, wyobrażałem sobie idylliczną wyspę, na niej wymarzyłem samotne sny i przebudzenia, wschody i zachody barwiące purpurowo wodę. Popłynąłem tam, by przekonać się...

– Pan nie mówi prawdy – przerwała. – Często przychodzę na nasz brzeg. Wtedy też tam byłam. Widziałam kipiącą w panu złość i ramiona, które z furią zagarniały wodę, a z każdym ruchem stawały się coraz mniejsze. Stałam wśród drzew tak długo, aż zniknęły. Proszę wybaczyć śmiałość, ale nie ciekawość, ani zauroczenie pana tam wiodły. Co było powodem, nie wiem i nie chcę wiedzieć, więc niech pan mi tego nie opowiada. Niech pan mnie tutaj nie nachodzi, bom nie ciekawa waszych fanaberii.

– Naszych? Kogo masz na myśli? Danickiego?

Milczała.

– Nie zamierzam tu opowiadać o żadnych fanaberiach – chrząknął i przybrał służbowy ton. Wygłupił się tą romantyczną opowiastką, a miał jedynie polecić jej dogłądanie Borisa. – Otóż na drugim brzegu spotkałem rannego żołnierza. Rosyjskiego żołnierza – zaznaczył uczciwie. – Przyszedłem prosić, żebyś go dogładała, dopóki nie wyzdrowieje.

Patrzyła przeciągłym, zaskoczonym wzrokiem. Jej oczy ciemniały wraz z narastającą złością, a piękne usta wydeły się pogardliwie.

– Ja? Mam doglądać rosyjskiego żołnierza? Dlaczego ja?

– Matka rekomendowała twoją dyskrecję – wyjaśnił. – Czy mogę na ciebie liczyć?

Znów milczenie, po czym jej głos, który zachrząścił jak chrust, gdy z ust wypadły suche słowa:

– Dobrze. Jak pan sobie życzy.

Wichura wtargnęła do sypialni, porwała firankę, z którą płasała wokół sprzętów. Wycie wiatru, trzaskanie okiennic i dalekie pomruki burzy wyrwały Rozalię ze snu. Z korytarza dobiegały odgłosy zatraskiwanych okien, przez szparę w uchylonych drzwiach wsunęła się głowa Maryny.

– Czy mogę zamknąć tu okno, proszę pani? – zapytała półgłosem.

– Co to? Burza idzie? – oprzytomniała Rozalia.

– Idzie. Niebo czarne jak smoła, proszę pani. Tylko patrzeć, jak będzie ulewa.

– No to zamknij okno – ziewnęła.

– Do pani Eulalii też zajrzę.

– Zajrzyj, zajrzyj – mruknęła Rozalia, obróciła się twarzą do ściany, żeby nie oślepiały jej błyskawice i próbowała ponownie zasnąć.

Po chwili jednak jak natrętna mucha przyfrunęła do niej myśl:

– Chyba zostawiłam otwarte okno w pokoju tego żołnierza...

Nie było rady, należało to sprawdzić. Poczekwała, aż odgłosy z korytarza zamilkną, wysunęła spod kołdry stopy i w samej koszuli, zdana tylko na krótkotrwały blask błyskawic, wymknęła się z sypialni. Korytarz był ciemny i pusty. Wokół panowała cisza, jedynie brzmienie burzy narastało z każdą minutą.

Boris z podłożonymi pod głowę rękami spał spokojnie, poświstując z cicha. Rozalia podeszła do niego i delikatnie dotknęła dłonią jego czoła. Gorączka spadła i to uradowało jej serce. Im szybciej ten człowiek wyzdrowieje, tym szybciej opuści jej dom, nie będzie narażał mieszkańców. Po cichu zamknęła okno, na palcach podeszła pod drzwi, nacisnęła klamkę i nagle z jej piersi wyrwał się zduszony okrzyk:

– Kto tu jest?! Chryste!

Czyjaś dłoń spoczęła na jej ustach, a oddech tuż koło jej ucha zmienił się w wilgotny szept:

– Ciszej, Rozalio...

Oderwała tę twardą, męską dłoń, otarła usta i warknęła:

– Dlaczego chodzisz po nocy, Zygmuncie?

– Burza mnie zbudziła – szepnął i łakomym ruchem przyłgnął dłońmi do jej piersi okrytych jedynie cienką tkaniną koszuli. – Jakby wiedziała, że tu takie perły znajdę – zaśmiał się lubieżnie. – Jakież gorące, Boże mój...

– Och, odejź ode mnie! – szarpnęła się. – Kto ci dał prawo dotykać mnie w ten sposób?

– Bóg – tchnął jej prosto w usta. – Bóg, który zabrał mojego brata, żeby dać mi ciebie. A ja czekałem długo, bardzo długo – słowa wymawiał soczyście, pożądliwie.

– A cóż ty myślisz? – rzuciła gniewnie. – Stary jesteś, a nie wiesz, że miłość ot tak sobie nie przychodzi? Nie wiesz, że trzeba ją zaprosić w siebie, wytęsknić ją, wymodlić? Wtedy może Bóg cię wysłucha i doświadczysz łaski kochania. Ale nie łudź się, że przy moim udziale.

Powietrzem za oknami targnęła ulewa. Strugi deszczu zabębniły o szyby, rozszumiały się w gałęziach drzew. Niebo rozdarła błyskawica i niemal w tym samym czasie huknął grzmot. Zygmunt ukrył w ramionach przerażenie Rozalii i roześmiał się chichotliwie, radośnie.

– No i co, moja miła, mam cię wreszcie... – Trzymał mocno, nieustępliwie, nie zważając na jej protesty. Potem sprawnym kopniakiem otworzył drzwi, pod którymi stali i podniecony jej gwałtownym sprzeciwem, nie wypuszczając jej z ramion, powiódł wprost do łóżka, w którym leżał wystraszony do żywego Boris.

– Chto eto za diabeł?! – zawołał, w połowie po rosyjsku. – Kogo nosit po noczi? Gdzie Edward? Ja zawołam Edwarda!

Obecność w nieużywanym pokoju mężczyzny, od którego wyszła przed chwilą Rozalia, w dodatku mężczyzny mówiącego wrogim językiem najpierw zdumiała Zygmunta, zaraz potem wytrąciła z równowagi. W okamgnieniu uwolnił ją i pochylił się nad przerażonym Borisem.

– Co to ma być? – wysapał. – Kto to?

Rozalia poprawiła koszulę, odgarnęła włosy, potem przykryła Borisa po sam nos kołdrą i pchnęła Zygmunta w kierunku wyjścia.

– Nie twoja sprawa – rzekła dobitnie. – To mój dom.

Ku jej zaskoczeniu Zygmunt zatrzymał się, odwrócił głowę i wpatrując się w panującą w pokoju ciemność, oświadczył beznamiętnie:

– Ja go zastrzelę, Rozalio.

Obserwowała jak zarysy sprzętów wypełniają się strukturą, jak świt przywraca im kształty, rozmiar i barwę. Co jest szybsze, ciemność czy światło? – zastanawiała się Rozalia, żeby zająć myśli, żeby nie rozpamiętywać wypadków dzisiejszej nocy. Zachowanie Zygmunta budziło w niej niesmak, bo będąc w tym wieku, nie myślała już o podobnych igraszkach, ale i Zygmunt nigdy nie był obiektem jej westchnień. Zawsze ją irytował, a teraz czuła do niego wstręt. Jego zachowanie budziło w niej też strach, gdyż ten nieobliczalny człowiek odkrył kryjówkę Borisa i zagroził mu śmiercią. Z kolei Boris ujrzał ją w żenującej, upokarzającej sytuacji.

Jest nadzieja, że ciemność ukryła jej rysy, lecz jeśli nie, ten ruski żołnierz na pewno opowie o niej Edwardowi. Jakże się wytłumaczy przed synem z negliżu w ramionach własnego szwagra?

Dzień zapowiadał się ponuro. Drzewa, zmęczone nieustannie siąpiącym deszczem, kiwały się monotennie na wietrze. Od okna ciągnął chłód. Od mijających dni, lipiec.

Maryna przysłała trochę spóźniona, zaróżowiona, zdyszana. Ze złośliwym uśmieszkiem przygotowała wodę do porannej toalety, czyściła szczotką welurową suknię i ścieliła łóżko.

Kiedy upinała włosy Rozalii, szpilki leciały jej z rąk.

– Co się z tobą dzieje, Maryniu? – zaniepokoiła się Rozalia. – Czyżby pogoda dawała ci się we znaki?

– Nie, proszę pani – odpowiedziała krótko tonem, który nie zachęcał do dalszych pytań. Mimo to Rozalia brnęła dalej.

– Masz kłopoty?

– Ja, proszę pani? – zdziwiła się szczerze i poszukała w lustrze oczu Rozalii. Jej spojrzenie wydawało się trochę bezczelne, trochę wyzywające i Rozalia zaczęła podejrzewać, że to nie Maryna, a ona sama ma kłopoty. Kto wie, czy Zygmunt nie rozniósł po Przylipiu jakichś głupich plotek.

– Wszyscy już wstali? – zapytała ostrożnie, chcąc wybadać, czy widziała Zygmunta.

Maryna wsunęła grzebień do kieszonki fartuszka, a szpilki do ust.

– Widziałam Stasia i Joannę, szli do jadalni – odparła lakonicznie i trochę niewyraźnie. Wyjęła z ust szpilkę i przymocowała kok. – Wstała też pani Eulalia, rozmawia w salonie z panem Edwardem – umocowała drugą szpilkę. – A Malwinę z Zosią widziałam w kuchni – dorzuciła i znów spojrzała w lustro, by ocenić swoje dzieło.

– W kuchni? – uniosła brwi Rozalia.

– Tam najcieplej – strzepnęła z pleców Rozalii kilka włosów. – Zresztą kucharki kochają Zosię.

– A... – zaczęła Rozalia.

– Pan Zygmunt śpi jeszcze – weszła jej w słowo Maryna. – Nic dziwnego, po takiej nocy...

Mój Boże – pomyślała ze zgrozą Rozalia – ona widziała nas tam, na korytarzu. Pewnie opowiedziała już o wszystkim i stanę się pośmiewiskiem całej służby...

– To wszystko – dotknęła palcami włosów. – Dziękuję, możesz odejść.

– Dobrze, proszę pani – dygnęła Maryna. Drgający grymas wciąż krążył wokół jej ust. Intrygował, niepokoił, przerażał.

– Kto by się spoziewał? – nóż, którym Kazia kroїła chleb, zawisł w powietrzu. – Nigdy nie psypuscałabym, że oni tak ze sobą...

– Nie mędrkuj – zbeształa ją Aniela. – Śniadanie państwu trzeba podawać.

– Ja bym... Ja na miejscu Maryny dałabym mu w pysk! – uniosła się Kazia. – Po so ją bałamucił?

Wiesia zachichotała, a Wanda obrzuciła Kazię zgorszonym spojrzeniem.

– Serce nie sługa – bąknęła. – Widocznie nie było im po drodze, a Maryna... Maryna znajdzie sobie innego.

– Maryna wcale za nim nie płacze – zauważyła z przekąsem Aniela. – A z niego zawsze był latawiec. Cesię też rzuci, tylko patrzeć.

– Ale po co Maryna tak na tę biedną Cesię napadła? Co ona winna, że Alojzy z ich dwóch Cesię wolał? – wtrąciła Wanda.

– Nie minie miesiąc, jak Alojzy i Cesię rzuci, taki niestały – burczała Aniela. – Kaziu, chleb pokrojony?

– Pokrojony.

– A szynka?

– Jesce nie wystygła.

– To poczekaj, nie krój gorącej, pani Rozalia lubi cieniutkie plastry. Zresztą ten wałkoń Zygmunt jeszcze nie wstał.

– Pewnie nie mógł spaś peses tę buzę – wzięła go w obronę Kazia. – Ja tes się zbuziłam, bo tak tsaskało i wichura taka była... Ach! – krzyknęła nagle.

– Co tam się znowu stało? – Aniela zatrzasnęła drzwiczki kuchenki i zerknęła przez ramię. – Kaziu, ty niedorajdo! Całe masło na podłodze!

– Ja nie chsiałam...

– Nie chciałaś, ty nigdy nie chcesz. Boże drogi, dobrze, że Malwina poszła, bo jeszcze powiedziałyby o tym komu. Zbierajcie to, żywo! Jeszcze pani Rozalia wejdzie i to zobaczy.

Wanda i Kazia rzuciły się do sprzątania z podłogi masła, gdy w progu jak na zawołanie stanęła Stalicka. Zarówno Aniela, jak jej pomocnice zamilkły zakłopotane i udając zapracowanie, odwróciły od niej wzrok.

I tu już wiedzą – pomyślała chmurnie Rozalia. – A niechże tego Zygmunta diabli wezmą!

Skwaszona podeszła do aptecznej szafy, wyjęła jodynę i bandaże i bez słowa opuściła kuchnię.

– Macie za swoje – syknęła Aniela.

– Mnie się wydaje, że pani Rozalia niczego nie widziała – szepnęła Wanda.

– Zdążyłyśmy pospsątaś – poparła ją Kazia.

– Jakby nie widziała, nie byłaby taka zła – ucięła Aniela. – Na pewno zobaczyła masło na podłodze, tylko przez delikatność przemilczała. Starsza pani Waleria też taka szlachetna była.

Rozalia zmierzała ukradkiem do pokoju, w którym został umieszczony Boris. Nikt nie powinien jej teraz widzieć, nie powinien znać tej kryjówki. Wystarczy, że wtajemniczeni są Kajetan i Malwina. No i teraz jeszcze Zygmunt, o czym będzie musiała powiedzieć synowi.

Edward już tam był. Twarz miał zatroskaną, bo Borisowi znów wzrosła gorączka, a bandaże przesiąknięte były krwią i ropą. Nie spoglądał jednak w podejrzliwy sposób na matkę i Rozalia uspokoiła się, że Boris o nocnym incydencie nie wspomniał.

Kiedy zdjęła opatrunek, ich oczom ukazała się zaogniona, rozjątrzona rana.

– Sssss... skrzywił się Edward. – Nie obejdzie się bez doktora.

Rozalia zacisnęła usta, przemyła ranę i zawinęła ją czystym bandażem.

– Nie spiesz się z doktorem. Wyleczę go, daj Boże.

– Przy Elizie też mama tak mówiła – szepnął. – A jednak ona umarła.

– Edwardzie! – podniosła głos i spojrzała na niego rozżalona. – Wiesz, że robiłam wszystko, co w mojej mocy.

Boris uniósł powieki i przysłuchiwał się ich rozmowie. W jego oczach Edward nie dostrzegł strachu. Jedynie rezygnację.

– Chodźmy stąd – Rozalia pchnęła lekko syna w kierunku wyjścia. – Muszę ci o czymś powiedzieć.

Wybrała klucz z pęku, który nosiła przy sobie i zamknęła nim pokój.

– Zamyka go mama na klucz? – zdziwił się Edward. – Jak wejdzie tam Malwina?

– Umieszczę klucz w skrytce. Malwina będzie ją znała, ty również. – Widząc pytające spojrzenie syna, wyznała: – Twój żołnierz jest bardziej zagrożony, niż myślisz. I nie chodzi o jakąś ranę w nodze. Chodzi o Zygmunta.

Po Przylipiu krążyła fala tajemnic i nieudomówień. I nawet rozproszeni po pokojach domownicy nie kwapili się do serdecznych rozmów. Z pewnością przyczyniła się do tego ponura aura, ale też posępna mina pani Stalickiej i nieprzeniknione oblicze pana Edwarda. Poza nimi tu i ówdzie dała się słyszeć szeptanina służby. Przedmiotem rozmów był Alojzy, przez którego płakały już prawie wszystkie panny w Przylipiu. Przebąkiwano o Malwinie, bo ostatnio stała się jeszcze bardziej dumna i milcząca. Mówiono o Zygmuncie, który chodził nerwowo i coraz częściej zaglądał do kieliszka. Tematem przewodnim jednak stał się tajemniczy ktoś, mieszkający w dotąd nieużywanym, ponurym pokoiku. Nikt nie chodził tam sprzątać, Joanna zakazywała kręcić się w tamtej części domu Stasiowi, a pani Rozalia ukradkiem nosiła jakieś sekretne mikstury. Ten i ów wypatrzył, jak wieczorami wymykała się do tego pokoju Malwina. Owa tajemnica poliszynela krążyła po dworku najbardziej dynamicznie. Nikt jednak nie przyznawał się otwarcie, że coś mu wiadomo. Służba spoglądała po sobie porozumiewawczo, lecz język trzymała za zębami. Skoro pani Rozalia i pan Edward o czymś nie mówią, oznacza to, że tego nie ma.

Tej soboty za oknem znów siąpił deszcz. To jeden z takich dni, które zaledwie muskały powierzchnie, nie zostawiały po sobie żadnego śladu i odpływały nie wiadomo dokąd.

Siedząca w salonie Rozalia haftowała nowy obrus, Eulalia, ziewając, przerzucała kartki książki, która ją wyraźnie nudziła.

Ten niemrawy nastrój panował do czasu, gdy przez uchylone drzwi bezszelestnie wsunęła się Józia.

– List do pani Eulalii – oznajmiła cicho, ukazując jej tacę, na której bieliła się koperta.

– Podaj – odezwała się znużonym głosem Eulalia i wyciągnęła leniwie dłoń. – Pewnie od Henryka – skierowała przypuszczenie do Rozalii, po

czym ożywiła się nagle. – Boże, chyba nie ma dla mnie złych wieści o Witusiu?

Odprawiła Józię i niecierpliwie rozerwała kopertę. Rozalia obserwowała znad robótki jej przesuwający się po tekście wzrok. Twarz kuzynki zmieniała się z każdym przeczytanym słowem i budziła domysły, że list nie przyniósł dobrych wiadomości. Rozalia o nic jednak nie pytała, dopóki Eulalia nie skończyła czytać.

– To nie jest list od Henryka – oświadczyła powoli, jakby rozgryzała każde słowo. – Napisała do mnie jego siostra. – Podniosła strwożone oczy na Rozalię i dodała:

– Henryk jest chory, zaraził się cholera...

– Boże – przelęknęła się Rozalia. – Nie może być!

Eulalia nagle poderwała się z fotela i wyłamując nerwowo palce, rozejrzała się bezradnie po salonie.

– Muszę jechać, muszę go ratować...

– Nie możesz tego zrobić – zaprotestowała Rozalia. – Jeśli pojedziesz, sama się zarazisz.

– Muszę pojechać! – Lawina pełna strachu już ruszyła i Eulalia, załamując ręce, rozpaczliwie wołała: – Tam umiera mój mąż!

– Eulalio, nie bądź niemądra – Rozalia wzięła kuzynkę w ramiona i przycisnęła to drżące przerażenie do serca. – Henryk jest w szpitalu, pod opieką lekarzy, ty nic nie pomożesz – starała się ją uspokoić.

– Nie, nie Rozalio – dramatyzowała. – Ty nic nie rozumiesz. Tam jest mój mąż, ja muszę być przy nim. Proszę, daj mi konie do miasteczka, ja pójdę się spakować.

– Eulalio, zastanów się!

– Proszę o konie. Za godzinę będę gotowa.

Kazia, która z kuchennego okna obserwowała odjeżdżający powóz, aż ten zniknął z jej oczu, westchnęła:

– No, i pojechała pani Eulalia śmierci na spotkanie...

– Pojechała – zgodziła się Aniela. – Chociaż śmiercicnę za każdym zakrętem można spotkać, nie tylko w Warszawie.

– Ale u nas, póki co, cholery nie ma – wtrąciła Wiesia.

– A, bo to wiadomo, czy ona z sobą tej zarazy nie psywiozła? Teraz sobie pojechała, a cholera dla nas zostanie.

– E, ty Kaziu, jak co powiesz... – Pokręciła głową Aniela. – Wiesia, pod kuchnią rozpał, kolację czas szykować.

Wiesia bez słowa przyniosła z kąta plik starych gazet przeznaczonych pod rozpałkę, lecz zamiast podłożyć je do pieca, zagłębiła się w lekturze.

– *Lokaj Jan Opacki* – przeczytała na głos, lekko się przy tym zacinając – *który chrapowato mówi, średniego wzrostu, trochę dziobaty, nosa trochę zadartego, wieku trzydzieści osiem lat, ukradł szkatułę, w której znajdowało się dziewięćdziesiąt jeden dukatów...* Dziewięćdziesiąt jeden dukatów – westchnęła z rozmarzeniem.

– Że też pani Rozalia garkotłuka czytać nauczyła – fuknęła Aniela. – Pod piecem pal!

– Już palę, już – mruknęła Wiesia, nie odrywając oczu od gazety. – Albo tu: *Złodziej podczas nabożeństwa żałobnego zamiast natężyć słuch dla dosłyszania wyrazów, odbywał biegłymi rękami rewizję po kieszeniach. Ukradziono w ten sposób puljares z pieniędzmi i dokumentami...*

– Jakież to niesumienne, szpiegować cudze kieszenie – zauważyła z niesmakiem Wanda. – Nawet w kościele człowiek nie może być bezpieczny.

– Już ty się martwić o nic nie musisz, bo kieszenie masz i tak puste – skwitowała Aniela. – Wiesia, pod piecem pal! – przykazała, coraz bardziej

zniecierpliwiona.

– Pałę przecież... *W mieszkaniu moim dostać można strucli maślanych z rodzynekami i migdałami. Za białość i dobry smak zaręczam...* – przeczytała jeszcze.

– Wieśka! – zdenerwowała się na dobre Aniela, chociaż nie posiadając umiejętności czytania, sama chętnie przysłuchiwała się tym anonsom. Zaraz też dorzuciła sentymentalnie: – Nikt takich strucli nie piekł jak moja mamulka.

– Aniela też dobre piecze – podchwyciła natychmiast Wiesia, żeby się przypochlebić i nareszcie wrzuciła gazetę do pieca.

Księżyc mościł się już w czułych objęciach nocy, gdy Malwina chyłkiem wymknęła się ze swojego pokoju, wydobyła klucz ze skrytki i udała się do sypialni Borisa. Nie lubiła tych wizyt i była zła na pana Edwarda, że ją nimi obarczył.

Boris był mrukliwy, poza tym jej zadanie również nie należało do przyjemnych. Przez dwa miesiące każdego wieczoru opróżniała z nieczystości kubel, poprawiała lub zmieniała pościel i obmywała chorego, dopóki był słaby i gorączkował. Teraz, gdy pani Rozalia zdołała już zapanować nad raną, i chory prawie doszedł do siebie, asystowała mu jedynie przy myciu i modliła się szczerze, żeby ten ponury i zgorzkniały rosyjski żołnierz wyzdrowiał wreszcie i poszedł własną drogą. Rzadko zamieniali z sobą jakieś słowo. Malwina widziała podążający za nią, posępny wzrok Borisa i odnosiła wrażenie, że i on chciałby się jej jak najszybciej pozbyć. Wiedziała o nim tylko tyle, że zdezerterował i musiał się ukrywać. I że odkąd zaokrągliły mu się policzki i zgolił swoją czarną, kudłatą brodę, jego twarz utraciła dziki, ascetyczny wyraz, nabrała szlachetności i jakiejś takiej łagodności. Niemniej, spoglądał na nią wilkiem,

co ona odczytywała na swój zawzięty i ekscentryczny sposób. W gruncie rzeczy byli do siebie podobni. Oboje nieufni i zamknięci w sobie.

Ukończywszy swoje obowiązki, naląła do fajansowego kubka świeżej wody i ustawiła go na szafce obok łóżka. Chciała odejść, ale wtedy, po raz pierwszy odkąd zaczęła tu przychodzić zatrzymał ją, chwytając za przegub ręki.

– Zaczekaj – jego ochrypły głos był zdecydowany, lecz zaprzątnięty jakąś wewnętrzną myślą.

– Słucham – uwolniła rękę i zatrzymała się wpół kroku chmurna, bez żadnego uczucia.

– Umiesz pisać? – zapytał. Oczy, którymi na nią spoglądał, wyrażały pełną napięcia nadzieję.

– Tak – odparła. – Umiem.

Aż przymknął oczy i głębokim westchnieniem zdradził ulgę, z jaką przyjął jej słowa.

– Ty mnie pomożesz?

Wzruszyła ramionami.

– Od tego tu jestem – rzekła lakonicznie.

– To dobrze – szepnął podekscytowany. – Ja chciałby napisać do kogoś list.

– Nie umiem po rosyjsku – zastrzegła.

– Nic, nic... – szepnął. – Ona i po polsku zrozumie.

Ktoś czeka na niego. Dziewczyna, może narzeczona – pomyślała Malwina, a głośno zauważyła, sama zdziwiona tym odkryciem:

– Twoje serce, widać, nie takie twarde, skoro list każesz pisać.

Zerknął z ukosa i zbył ją milczeniem.

W naczale mojego pisma da budziet błagostowien Bog...

- Mówiłam, że po rusku nie umiem – przerwała mu.
- A, tak, tak... Dobrze, ja powiem po polsku.

Na wstępie mojego listu, niech będzie Bóg pochwalony. Droga, Kochana!

Dawno to było, gdy ja otrzymał z domu list i paczkę z ubraniem. I oddałem dobre spodnie i sweter wełniany, bo nam w cywilnym ubraniu nie wolno chodzić. Teraz ja proszę listów ani paczek mi nie przysyłać, bo nie dochodzą tu, gdzie jestem...

- Kłamiesz – wtrąciła Malwina. – Listy dochodzą.
- Wiem – odrzekł sucho, zdawkowo i dyktował dalej:

Ja ciągle o domu myślę i tak mi tęskno za Wami i smutno, że teraz beze mnie radzić sobie musicie. Tutaj lato, ciepło, a mnie mróz taki w środku ściska, gdy o honorze swoim myślę, czym nie powinien dla niego i dla Rosji karku bardziej niż teraz, nastawiać. Ale pisać o tym nie mogę i o wszystkim opowiem, kiedy wrócę. Droga, Kochana Matko!

- Matko? – wyrwało się Malwinie.
- A co? – spojrzał na nią zaczepnie. – Do matki piszę.
- Myślałam, że to list do żony albo narzeczonej...
- Nie ma u mnie żony, a do narzeczonej ja by pisał inaczej. Nie wiem jak, bo narzeczonej u mnie też nie ma – obruszył się. – No, pisz.

Ja jestem zdrow. Chleba mi nie braknie i menażka zawsze pełna. Martwię się tylko o Was, bo żniwa zaraz, a tam pomocy żadnej nie ma. Tutaj jest dobrze, ale kiedy ja o domu myślę, jak tam życie, ile roboty w polu macie, taki bierze żal, aż płakać się chce. Da Bóg, ja wrócę niedługo.

Kończę ten list, proszę Ludę, Wierę, Galinę i Aleksieja ode mnie pozdrowić. Ręce Matki z uszanowaniem całuję. Wasz Boris.

– Koniec? – upewniła się Malwina i zaczęła dmuchać na papier, suszyć atramentowe litery.

– A cóż jeszcze? – nasrożył się.

– Ten list jest pełen kłamstw.

– Mnie uważać na słowa trzeba, żeby was ani siebie na śmierć nie narazić. Daj to Edwardowi, on na poczcie nada.

– Dobrze – chaotycznie rozejrzała się po pokoju. – Czy jeszcze czegoś ci potrzeba?

– Nie. Dziękuję – odparł. – Tylko...

– Tak? – zatrzymała się już u drzwi.

– Tylko ty teraz wiesz o mnie co niebądź, a ja o tobie wcale.

– I dobrze. I niech tak zostanie – rzekła zimno.

Ale w swoim ciemnym pokoiku, z policzkiem przytulonym do poduszki, myślała jeszcze o nim. I o tym, że pod twardą, burkliwą skorupą mieści się czułe serce.

Edwardzie! – Rozalia wybiegła przed dom, osłoniła dłonią oczy przed słońcem, wzrokiem szukała syna. W drugiej ręce ścisnęła podziurawioną czymś ostrym kopertę, w której był list od Eulalii. List wyglądał podejrzanie i Rozalia nie chciała zaglądać do niego sama. – Edwardzie!

– Idę, mamó! – odkrzyknął zza gąszczy dawno przekwitłych krzewów. Odgradzały białą bryłę dworku od zabudowań gospodarczych i stamtąd właśnie dobiegał głos jej syna.

– List przyszedł od Eulalii – oznajmiła z przejęciem. – I spójrz, jacyś barbarzyńcy zniszczyli go sztyłem!

– To nie barbarzyńcy, mamó – rzekł Edward, przejął od matki podziurawioną jak sito kopertę, nie zwracając na ten szczegół uwagi, rozerwał ją, wyjął zapisaną maczkiem równie dziurawą kartkę i automatycznie ją powąchał.

– Co ty robisz? – zdziwiła się Rozalia. – To nie jest list od jakiejś twojej panny.

– Wącham, bo listy od kuzynki Eulalii pachniały zawsze cynamonem, a teraz okadzają korespondencję dymem z palonej siarki, żeby zabić zarazę.

– Tak? Pokaż... – niepewnym gestem wzięła do rąk kopertę, pociągnęła nosem. – Nic nie czuję – mruknęła. – Naprawdę tak robią?

– Po to właśnie dziurawią listy – wyjaśnił Edward. – A potem te odkażone pieczętują sanitarnym stemplem. Dopiero takie można przesłać dalej.

– I to pomaga? – powątpiewała Rozalia.

– Raczej nie, ale można powiedzieć, że władze coś zrobiły, żeby zapobiec chorobie.

Usiedli w cieniu altany, chociaż sierpniowe słońce nie dokuczało tak jak w środku lata.

– No czytaj, czytaj – niecierpliwiła się Rozalia, nie spuszczać oczu z drobnych, brutalnie posiekanych literek.

Edward przebiegł wzrokiem całość listu, po czym zaczął czytać, zacinając się w miejscach, gdzie kolec pozostawił zbyt duże ślady:

Ukochani moi, Rozalio i Ty, Edwardzie.

Spieszę donieść, że zdrowa jestem co w obecnej sytuacji nie lada jest wyczynem. Henryk wciąż w szpitalu. Ubolewam, że taki był nierozsądny, nie oszczędzał się, odwiedzał naszych lokatorów i pomagał im, kiedy trzeba, nie zważając na siebie. Wszyscy w Warszawie oswajają się powoli ze śmiercią, przyzwyczajają się do znikania. Nikogo już nie dziwi, że Żyda, u którego wczoraj kupowało się masło i śmietanę, dzisiaj już nie ma. A jutro nie będzie krawcowej, przekupki i szewca. Zaraza nie odpuszcza, a lekarze nie mogą znaleźć jej przyczyny. Jedni mówią, że to od świeżych warzyw, sałat, mizerii z ogórków, wszelkich kiszonek i surowizn, inni, że od złej wody, jeszcze inni zabraniają pić piwo, mleko i w ogóle napoje burzące się. Z tej medycznej niewiedzy mnożą się oszuści i szarlataneria, zdeterminowani ludzie kupują od nich jakieś magiczne proszki, po których umierający na drugi dzień podobno na nogi stanie. A nie zastanowią się, jakże człowiek, który nigdy z medycyną nie miał nic wspólnego, może taką cudowną

tabletkę wynaleźć? Bardzo się o to denerwuję, bo ludzie ostatnie pieniądze wydają, żeby najbliższych od śmierci ratować. Ach, Rozalko, ile naiwności w nieszczęśliwcach. Ludzie teraz do kościoła masowo ciągną, a duchowni wzywani rządowym pismem do odprawiania modłów, błagają Boga o cofnięcie tej zarazy. Słyszałam, że rosyjscy żołnierze bardziej chorują od Polaków, może to jest dla kogoś jakieś pocieszenie.

Droga Rozalio, wyobraź sobie, że narzeczony Twojej siostrzenicy Małgorzaty był u nas kilkanaście dni temu, przywiózł wieści o Witusiu, bo w jednej armii przez jakiś czas służyli. Ucieszyłam się, że Witold zdrowy jest i ma się dobrze, chociaż to nieładnie z jego strony, że wcale listów do domu nie pisze. No, ale ten Małgosi narzeczony tydzień temu umarł w szpitalu na cholere. Pochowali go w cholerycznym dole razem z innymi, nawet rodziny żadnej przy tym nie było. Tak się boję, żeby Henryka nie spotkało to samo. Człowiek dzisiaj jak mgnienie. Witasz i żegnasz go w jednej i tej samej chwili.

I teraz nie wiem, Rozalko, czy pisać o tym do Felicji, czy nie. Może lepiej by było, żeby Małgorzata za jakimś innym chłopcem się rozejrzała?

Kończę już, żeby dziś jeszcze wysłać, bo teraz długo poczta idzie.

Zostańcie w zdrowiu

Wasza Eulalia.

Edward złożył pedantycznie list, włożył z powrotem do koperty i podał go matce.

– No i tak... – westchnęła Rozalia.

– No i tak... – zawtórował jej półgłosem.

Potem spędzili pod dachem altany zupełnie pustą godzinę, w której Rozalia wcale nie spieszyła się do obowiązków, a on, wyciągnąwszy przed

siebie nogi w długich, błyszczących butach, odpoczywał. Czasem trzeba zwolnić, zadumać się nad życiem, śmiercią, nad sobą, nad innymi.

Ciszę wypełnioną jedynie ptasim świergotem, przerwał turkot bryczki. Edward wyjrzał z altany, by za chwilę zwrócić ku matce nieszczególnie zachwyconą twarz.

– Godziewiczowa przyjechała – oznajmił.

– Godziewiczowa? Mój Boże, trzeba po herbatę kogoś posłać. I ciasteczka. Ciekawe, czy Aniela piekła dziś ciasteczka?

– I cóżeś pan narobił najlepszego, panie Edwardzie? – chlipała Godziewiczowa, a jej bufiaste rękawy nadymały się z każdym ruchem załamywanych rąk. Popołudniowe, przymglone późnym latem słońce przedarło się przez oplatające altanę i z wolna czerwieniejące dzikie wino. Osiadało drżącą plamą to na rozchwianym kapeluszu, to znów na zarumienionych policzkach pani Karoliny. – Gdyby nie pan, nie zrobiłaby tego!

Buty z długimi cholewami, które lśniły na wyciągniętych nonszalancko nogach, stanowiły wygodny punkt zaczepienia dla Edwarda. Ani trochę nie utożsamiał się z wyimaginowanym przez Godziewiczową winowajcę, dlatego poirytowany tym oskarżeniem, wzruszył nieznacznie ramionami i przeniósł wzrok na matkę. Więcej było w tym geście rozsierdzenia niż bezradności, ale Rozalia i tak wzięła syna w obronę.

– A cóż Edward temu winien? – najeżyła się. – Antonina, jako dorosła panna, sama chciała o sobie decydować i zrobiła to. Postanowiła pielęgnować rannych, więc została sanitariuszką. Cóż mój syn ma do tego?

– Jak to? – Godziewiczowa odjęła od oczu koronkową chusteczkę i zmierzyła Rozalię surowym spojrzeniem. – Jak to, co ma do tego? Gdyby

się oświadczył, Antonina szykowałaby teraz ślubną wyprawę, a nie cerowała rozprute brzuchy żołnierzy.

Rozalia skrzywiła się z niesmakiem.

– Bez przesady, moja droga. Od tego są lekarze, a nie przyuczane w pośpiechu pielęgniarki. Ona co najwyżej może ranę opatrzyć i za rękę jakiegoś biedaczynę potrzymać, żeby mu w bólu ulżyć.

Edward spojrział na matkę spode łba. Chętnie zająłby miejsce któregoś z poszkodowanych żołnierzy, by zasmakować tych czułości. Rozalia jednak odczytała to spojrzenie po swojemu. Poklepała jego dłoń i powiedziała spokojnie lecz z mentorską nutką:

– Nikt nie powinien nikogo pouczać. I twoją myślą też nikt inny nie pomyśli. Może będzie na swój sposób mądry – łypnęła okiem na Godziewiczową – ale to będzie jego mądrość, a ty zostań przy swojej.

Edward uśmiechnął się półgębkiem, ukrył swoje prawdziwe myśli i prychnął dla niepoznaki:

– Przypuszczam, że szybko zbrzydnię jej takie zajęcie. Nawet się nie obejrzymy, jak będzie z powrotem.

– Nie znasz pan Antoniny – uniosła się Godziewiczowa. – Ta panna harda jest i twarde ma zasady. Jeśli coś postanowi, wytrwa do końca.

– Do jakiego końca? – zatrwożyła się Rozalia.

– Mój Boże, a jakież może być koniec, jeśli ktoś sam szuka śmierci wśród kul armatnich? – rozszlochała się na dobre pani Karolina. – Zaklinam pana na wszystkie świętości, pisz pan do niej, niech wraca!

Rozalia przeżegnała się ukradkiem, a Edward jedynie dlatego, że na dziedzińcu zaterkotały właśnie koła powozu, nic na to nie odpowiedział. Przeprosił z kurtuazją, ale też z wyraźną ulgą, obie panie i zaciekawiony opuścił altanę.

Nigdy wcześniej nie widział tego wyblakłego jegomościa, który niuchał teraz powietrze wąskim, garbatym nosem i świdrował otoczenie zwężonymi szparkami oczu. Pod jasną, kwiecistą kamizelką bielila się płócienna, haftowana seledynowym jedwabiem koszula, a o ton ciemniejsze szarawary opinał skórzany, brązowy pas. Elegancik ruchem miękkim i płynnym uchylił słomkowego kapelusza i skłonił się z przesadną galanterią. Zaraz też zawiesił rozczarowane spojrzenie na długich cholewach gospodarza, naprzeciw których jawiły się jego własne, ostatniej mody, trzewiki. Gdyby nie gruba podeszwa, ów dandys byłby o dobry cal niższy.

– Kłaniam uniżenie – zaczął głosem aksamitnym jak przewieszony przez jego ramię szal. – Chciałbym mieć przyjemność z panem Stalickim.

– Ja jestem – odparł Edward. – Co pana do mnie sprowadza?

Elegant w pierwszej chwili zdawał się zaskoczony, lecz na słowa Edwarda złożył nabożnie ręce.

– Świecie mój wielki! Więc to pan! Ja wprost z Warszawy tu do pana jadę – zniżył głos. – Sprawa poufna – zaznaczył i rozejrzał się.

– Na tyle poufna, że nie wyjawisz pan swojego nazwiska? – zadrwił Edward, któremu nie spodobał się węszący jak gończy pies, dziwny gość.

– Ach, nazwisko... Mój wielki świecie, jakże śmiałym wyjawiać swoje nędzne, nic nieznaczące przy tak wielkim jakim jest pańskie?

Edward uniósł w zdziwieniu brwi, a niezrażony elegancik ciągnął:

– Zawiorsta – wyciągnął prawicę o kościstych i długich palcach. – Ach, mój świecie, tylko Zawiorsta. Adam Zawiorsta. – Wyrwał z ręki Edwarda dłoń, uniósł do góry ramiona i potrząsnął nimi dramatycznie. – Zawiorsta, jak to brzmi?

– Osobliwe – mruknął Edward.

– Prawda? – Gość załamał teatralnie głos i z wystudiowaną pokorą opuścił głowę. – Wstyd się przedstawiać...

– Osobliwe zachowanie – sprostował Edward i uśmiechnął się rozbawiony. – Proszę ze mną, panie Zawiorsta – dodał i ruszył przodem do gabinetu.

Zaledwie weszli do środka, w drzwiach, cicho jak zjawą, stanął Alojzy.

– Pan prosi o herbatę? – zapytał.

– O nic nie proszę – odprawił go Edward, wskazał gościowi krzesło, sam zaś sięgnął po fajkę, na której widok Zawiorsta przełknął ślinę.

– Pan nie pali? – zagadnął Edward.

– Paliło się, mój ty świecie, oj, paliło! Ale teraz płuca bardzo słabe, lekarz zabronił – odmówił z żalem, po czym obserwował z lubością całe to zamieszanie z upychaniem tytoniu i zapalaniem fajki. Przy pierwszym zaciągnięciu się aromatycznym dymem westchnął tak, jakby to on, nie Edward doznał tej przyjemności.

– No więc, panie Zawiorsta? – Edward rozsiadł się w fotelu i nie wypuszczając fajki z zębów, skrzyżował ręce na piersi.

– Mój ty świecie jedyny, sam nie wiem, jakich słów użyć – sumitował się przybysz. – Po tym, co pan napisał... Panie drogi, ja tutaj... – sięgnął za kamizelkę, skąd wydobyl złożoną gazetę. – Ja ten poemat, panie kochany, na sercu noszę! I jestem tutaj, żeby swój podziw wyrazić i uścisnąć tę dłoń, co pióro trzymała. O, mój ty świecie wielki... Stąd! – uderzył kułakiem w pierś – prosto z duszy wypływa to pragnienie, by przy mistrzu być i od mistrza takich wyrażeń się uczyć.

– Pokaż pan tę gazetę – rzucił zaintrygowany Edward, który już zorientował się, że elegancik nie do niego przyjechał. – Zaraz wuja poproszę, bo to nie ja jestem tym poetą.

– Nie? – zdziwił się Zawiorsta i rozejrzał się po gabinecie, jakby spodziewał się ujrzeć choć cień swojego idola. Nie pan?

– Jestem jego bratankiem. Pokaż pan ten wiersz.

Zawiorsta z atencją podał mu numer „Biblioteki Warszawskiej” i siedząc na brzeżku krzesła, wbił wzrok w twarz czytającego. Edward tymczasem wodził wzrokiem po czarnych linijkach. Nie był sentymentalny, ale trzeba przyznać, że ostatnia strofa trafiła mu do serca:

*Nawet jeśli ziemia moją krew pić będzie,
Nawet jeśli wszystko przyjdzie mi porzucić,
Ty, kochana, wsłuchaj się w wiatru orędzie,
Że żołnierskie serce do Ciebie powróci.*

I jeszcze ten redaktorski podpis pod wierszem:

Głupim byłby naród, który od literatów oczekiwałby zamiany pióra na broń, a ich duchowego wsparcia na armatnie mięso. Przejawem patriotyzmu są nie tylko celne kule, ale moc, jaka tkwi w celnym pisanym słowie.

Zygmunt Stalicki, poeta-żołnierz, poeta-patriota znów pięknym poematem dodał rodakom sił w walce.

– Hm – chrząknął. – „Znów”. Czyli pisuje do gazet. No, proszę...

Zawiorsta nie odrzekł nic, tylko złożył nabożnie ręce i przymknął powieki.

Nie dowoławszy się Alojzego, Edward sam udał się korytarzem do pokoju Zygmunta. Myślał o przedziwnych manierach wuja, o nagabywaniu Rozalii, myszkowaniu po pokojach w poszukiwaniu trunków i o innych pomysłach, jak choćby skradaniu się do pokoju Borisa z nabitą strzelbą, albo obłapianiu w kuchni Anieli, ku zgrozie uwielbiającej go Kazi. Edward myślał też o lekceważeniu i pogardzie, jakimi zwykł darzyć wuja, i czuł się teraz zażenowany, bo on tymczasem wysmażał takie wiersze, a jego słowa

przetaczały się przez kraj i na wzór okrągłych haseł moralnych autorytetów, krzepiły ducha. Tyle czasu mieszkali tu razem, tolerowali jego dziwactwa, bo przecież mienił się artystą, a artyści bywają dziwni. Nikt jednak nie widywał go piszącego i nie miał pojęcia, że gdzieś tam podziwia się i wielbi Zygmunta Stalickiego. Pewnie dlatego, że w Przylipiu, prócz samego poety, żaden z domowników nie czytał czasopism literackich. O bitwach, porażkach i zwycięstwach można było dowiedzieć się z „Kuriera” i innych gazet codziennych.

W jego myśli wkradł się też cichy i uporczywie wypierany głos o Antoninie, która właśnie z poświęceniem pielęgnuje takich bohaterów jak z tego wujowego wiersza. I nagle w sercu Edwarda zaczęła wzbierać zazdrość, że oto ona patrzy na tych mężczyzn z troską, kładzie białą dłoń na ich zroszonych potem czołach, uśmiecha się do nich i przemawia czule. Naraz zabrakło mu tego uśmiechu, tego głosu, tej delikatnej dłoni. Skondensowaną lakoniczność, hardość i trzeźwy umysł rudej panny zastąpiły w jego wyobrażeniu anielska dobroć i tkliwość. Wprawdzie nie znał jej takiej, lecz przez niedostępność, oddalenie i determinację w spełnianiu własnych zamierzeń, stała się w jego umyśle stokroć bardziej interesującą, intrygującą, wręcz amorficzną istotą. Dlatego teraz ją chciał. Teraz jej zapragnął.

Zza drzwi dawnej sypialni babki Walerii dobiegał go radosny szczebiot Zosi i wesoły głos Malwiny.

Kobiety – pomyślał, przemykając obok. – Takie różne w jednym ciele. Wszystko zależy od tego, z kim obcują lub komu są potrzebne...

Zygmunta zastał w salonie. Siedział w ulubionym fotelu, małym kozikiem kroił jabłko, wkładał je do ust i gryzł w zadumie, nie odrywając oczu od okna, na którym powiewała poruszana sierpniowym wiatrem firanka. Edward, który nie liczył się dotąd z nastrojami wuja, tym razem

zatrzymał się niepewnie przy drzwiach. Jego pełne uwagi zachowanie miało pokazać Zygmuntovi, że darzy go szacunkiem i przyznaje, że cóż... jest prawdziwym poetą.

– Nie przeszkadzam? – zapytał delikatnie.

– Cóż to za „nie przeszkadzam”? – wzruszył ramionami poeta. – Zawsze przeszkadzasz, a nigdy o to nie pytasz.

– No bo... – zająknął się Edward, jak przyłapany na psocie chłopiec. – Może wuj jakiś nowy wiersz obmyśla?

– A obmyślam – przyznał chętnie. – Zawsze coś tam obmyślam. Co chciałeś?

– W moim gabinecie gość czeka.

– Do mnie gość? – ożywił się Zygmunt. – A kto? To znaczy, jak on się nazywa, ten gość – wlepił w Edwarda trochę zaintrygowane, a trochę zaleknione spojrzenie.

– Zaraz... Zapomniałem – ten zafrasował się przez chwilę. – Ach! Już wiem. Zawiorsta.

– Zawiorsta?

– Tak. Adam Zawiorsta.

– Nie znam – burknął Zygmunt i nawet nie drgnął.

– Nie wyjdzie wuj do niego? – zdziwił się Edward. Położył dłoń na klamce i czekał niecierpliwie.

– Po co? Czort wie, czego on chce? Kilka dni temu w karczmie za cudze piłem. Może za jego? – sumitował się Zygmunt, umykając wzrokiem.

– On z Warszawy przyjechał, wuju – prostował łagodnie bratanek. – Gazetę przywiózł. Pokłonić się chce. Niechże wuj nie każe na siebie czekać.

– Gazetę, mówisz? – Zygmunt pokraśniał na twarzy. Chyba stropiony tym wyróżnieniem, bo wprawdzie podniósł się z fotela, ale krążył jeszcze po salonie, przekładał drobne przedmioty, zapinał i odpinał guziki kamizelki, po czym chrząknął i nieoczekiwanie zapytał:

– Ten tam... Ten ruski, znaczy się, długo jeszcze w Przylipiu zabawi?

Edward drgnął niespokojnie. Wprawdzie matka wspomniała, że Zygmunt wie o Borisie i zagląda do niego, mimo to pytanie postawione tak ostentacyjnie bardzo go speszyło.

– Wuj sam wie, że pacjent niezdrów jeszcze. Da Bóg, tydzień, dwa i sobie pojedzie. Dlaczego wuj teraz o tym...

Zygmunt podkręcił węża, a na jego oblicze wypełzł fałszywie zatroskany uśmiech.

– A bo to wiadomo, czego ten... jak mu tam... Zawiorsta, tak? Czego ten Zawiorsta chce?

– No, jakże, wuju? Mówiłem, przyjechał pokłonić się wujowi. Z samej Warszawy. A o tamtym – Edward ściszył głos i wskazał ruchem podbródka drzwi, jakby za nimi stał Boris. – Nic o nim nie wie – dokończył konspiracyjnie.

– Hm, może i nie wie – uśmiechnął się złośliwie Zygmunt. Pierwszy raz miał okazję zagrać bratankowi na nosie, dlatego wykorzystał sytuację na swój wyrafinowany i perfidny sposób. – Swoją drogą, skąd ty taki pewny jesteś, że on nie wie?

– Nie rozumiem – bąknął skonsternowany Edward. Jego narastające obawy podnieciły tylko jadowitość i wyrachowanie wuja.

– Chciałem tego ruskiego zastrzelić – wyznał flegmatycznie. – Twojej matce to obiecałem – dorzucił obłudnie, jakby Rozalia tego czynu od niego oczekiwała. – Ale pomyślałem, że może ktoś inny zrobi to lepiej?

– Co też wuj... – Edward pobladł i zacisnął w kieszeniach pięści. Jego napięty wzrok spoczął na ustach Zygmunta, spodziewając się najgorszej prawdy. – Wuj chyba na niego nie doniósł?

– Dwadzieścia polskich złotych dają za taki raport. A jak wiesz, u mnie nie przelewa się za bardzo – roześmiał się chichotliwie, a jego dłoń, która spoczęła na ramieniu bratanka jak obślizgły gad, zacisnęła się z fałszywie pokrzepiającą mocą.

– Zostań tutaj – rzekł tonem udającym przyjaźń. – Ja sam pójde witać się z Zawiorstą. Wywącham, co i jak.

Po jego wyjściu roztrzęsiony Edward wyjrzał na dziedziniec, a stwierdziwszy, że z matką rozmówić się nie sposób, bo konie Godziewiczowej wciąż jeszcze stoją, począł chodzić tam i z powrotem po salonie, obmyślać sposób ukrycia, bądź natychmiastowego wyekspediowania Borisa z Przylipia. Na zaplanowanie wszystkiego nie było czasu, skoro potencjalne zagrożenie w postaci Zawiorsty okupowało właśnie jego gabinet i spiskowało z tym łajdakiem, Zygmuntem. Trzeba iść do Borisa, powiedzieć mu o wszystkim, coś wspólnie z nim ustalić, przedsięwziąć.

W pokoju chorego nie było żywego ducha. Tylko wpadający przez otwarte okno wietrzyk symulował czyjąś obecność, falując pozostawionymi na komódce kartkami papieru.

– Ten gdzie, do diabła? – mruknął, wyjrzał przez okno, następnie bocznymi drzwiami wybiegł do ogrodu. Ale i tu Borisa nie zastał. Zdecydowanym krokiem ruszył do pokoju Malwiny. Jedyne ona mogła wiedzieć coś o podopiecznym.

Na dźwięk pukania za drzwiami zaległa cisza. Dopiero po chwili rozległ się zmieniony, głuchy głos:

– Proszę wejść.

Obie z Zosią zajmowały rozciągniętą na podłodze wełnianą chustę. Dziewczynka nie przerwała zabawy drewnianą kukiełką, Malwina zaś uniosła na Edwarda chmurne oczy, choć czały się w nich jeszcze ostatnie wesołe iskierki.

– Szukam Borisa – udał, że nie zauważył zmiany na jej twarzy, że nie doznał przykrości, bo pożałowała mu nawet tych strzępów wesołości, co w jej źrenicach została. Postarał się o obojętny ton.

– Tutaj? – ściągnęła z naganą brwi, które utworzyły na jej czole czarną, oburzoną kreseczkę. Gniew dodał jej uroku i Edward na moment zastygł w zachwycie, zanim znów się odezwał.

– Nie szukam go tutaj – wyjaśnił. – Zdaję sobie sprawę, że takie posądzenie byłoby dla ciebie krzywdzące. – Zniżył głos i dorzucił konspiracyjnie: – Ale ten człowiek, opuszczając swój pokój, zupełnie oszalał.

– Nie wiem, gdzie on jest – ucięła krótko, przygarnęła Zosię, która zaczęła się po niej wspinać, i ucałowała jej puszyste włoski.

Ten widok rozczył Edwarda i sprawił, że nagle zatęsknił za ciepłem małego, przylepnego ciała. Chciałby pobyc z córeczką, ale teraz zupełnie nie miał na to czasu.

– Jakże ona cię kocha – rzekł tylko z nutką zazdrości, obserwując małe rączki czepiające się smukłych ramion i szyi Malwiny.

– Nic dziwnego. Spędzam z nią każdą chwilę – odezwała się cierpko. – A Borisa nie widziałam. Ten żołnierz nie interesuje mnie bardziej, niż wynika to z moich obowiązków – dorzuciła chłodno. Edward odniósł wrażenie, że chciała się go pozbyć jak najprędzej.

– Rozumiem – odparł. Jeszcze raz objął czułym spojrzeniem córeczkę i pospiesznie wyszedł. Gdy zamykał za sobą drzwi, z końca korytarza usłyszał cichy trzask. Zacisnął usta i ponownie ruszył do pokoju Borisa.

– Ubieraj się – zawołał bez ogródek, widząc, że jego podopieczny, stękając dość ostentacyjnie, układa się w pościeli.

– Co? – rozdziawił usta Boris. – Ja dopiero zdjął spodnie.

– Włóż je z powrotem – zażądał Edward i dodał przyciszonym głosem: – Widzę, że czujesz się lepiej. Bardzo mnie to cieszy, zwłaszcza teraz, gdy... – rzucał chaotyczne słowa i nie kończąc zdania, napadł go nagle: – Gdzieś był? Prosiłem, żebyś stąd nie wychodził. Nikt nie może cię widzieć – gorączkował się, rzucając Borisowi spodnie i koszulę, które ten łapał w locie i zaczął niechętnie się ubierać.

– Czego ty chcesz ode mnie? – burczał, w zdenerwowaniu mieszając obydwoma językami, których używał. – Wiem, szto ja tu w sekrecie, ale... – wlepił w Edwarda wzrok i przyglądał mu się przeciągle, z politowaniem. – Wszyscy oni znają, że tu jestem – oznajmił z rozbijającą szczerością. – O, ludzie u ciebie lojalni – zaznaczył, dostrzegłszy przerażenie w oczach Edwarda. – Pary z gęby nie puszcza. Tobie się zdaje, że tajemnicę masz, a tu widzisz, każdy ją zna. A skąd? Kto to może wiedzieć? Jak już się wylało, to i płynie.

Edward słuchał, nie dowierzając. Skoro tak, Boris powinien z Przylipia czym prędzej zniknąć. Nie tylko Zawiorsta, ale i okoliczni chłopcy są zagrożeniem. Niech no ktoś ze służby słowo piśnie, a niejednego połakomi się na owe dwadzieścia złotych nagrody, o których wspominał Zygmunt. Borisa aresztują, a co z Edwardem będzie za ukrywanie, z matką? Nie wiadomo...

– Nie możesz tu zostać – szeptał zapalczywie, wrzucając desperacko do wysłużonego plecaka Borisa jego drobiazgi. – Musisz uciekać.

– Kuda ja siejczas... znaczy teraz – poprawił natychmiast. – Teraz, dokąd pójdę? Zaraz jesień... Choć do wiosny ty pozwól mnie ostaćsa.

– Nie można, Boris, nie można – usiłował przekonać go Edward. – Mój wuj, Zygmunt, prawdopodobnie doniósł na ciebie do Warszawy.

Ku jego zaskoczeniu, Boris roześmiał się.

– Nie może być – klepnął się po kolanach. – Ten dżentelmen gra samemu w karty. Straszy flintą i wtedy ja pozwalam jemu wygrać. On tu w każdy dzień przychodzi.

Edward z wrażenia zastygł z plecakiem w rękach.

– Prawdę mówisz?

– A jakże! Prawdę – Boris uderzył kulakiem w pierś, aż zadudniło. – Ty się o mnie nie martw. A teraz, kiedy ty mnie szukał, ja w sadu byłem.

– Gdzie?

– W sadu – powtórzył Boris.

– W sadu? W ogrodzie? – upewniał się Edward.

– Tak – potwierdził. – Ale ja nie chodziłem, nie napraszałem się twoimi ludziami. Pod oknem ja stałem.

– Kłamiesz. Wyglądałem za tobą, nie widziałem cię pod oknem.

– Ja nie u tego okna stałem – uśmiechnął się chytrze i zniżył głos. – Ja na cudny rysunek, na portret patrzyłem.

– Na portret – prychnął Edward. – Jaki znowu portret?

– Kobieta. Krasawica. Kwiat – szepnął Boris.

Edward zmarszczył brwi.

– Ty o kim mówisz?

– O tej, co ty ją do mnie przysłał. Co tu przychodzi. O Malwinie. Ech, wprost nie możesz oderwać głaz... Oczu – poprawił się. – Jak ona u mnie jest, ja głowę odwracam, patrzeć na nią nie chcę, żeby nie przestraszyć. Bo u mnie samego strach, że jak ona spłoszy się, więcej nie przyjdzie.

– Malwina nie dla ciebie – warknął Edward, ledwie hamując wściekłość. – Trzymaj się od niej z daleka, bo wiosny nie dożyjesz – zagroził. Nie mógł znieść myśli, że ktokolwiek ośmieliłby się tknąć tę dziewczynę.

Miękkie, skłębione mgły unosiły się znad pól, na których trwały już jesienne prace. Ziemię po żniwach zaorano i kończono wysiewać oziminę. Zanim śnieg pola zabieli, jeszcze zdążą się zazielenić, podobnie jak pastwiska, które już subtelnie kryją się zieloniuchnym kobiercem. Zaczął się wrzesień i dogłdającego prac rolnych Edwarda ogarniały coraz większe obawy o zatrudnienie ludzi. Chłopi byli niechętni do pracy, zbuntowani, wręcz wrodzy. Czy na ich miejscu byłby inny? Przecież od zawsze wyzyskiwano ich, ograbiano z dóbr i odzierano z godności. Poza tym po okolicznych wsiach zaczęła rozprzestrzeniać się cholera i tylko patrzeć, aż dotrze i tutaj.

Edward założył do tyłu ręce i niespiesznie przemierzał wąską drogą kartoflane i buraczane pola, zagony marchwi i kapusty. Chłodne jak na koniec lata i wilgotne powietrze stało w miejscu, lepilo się do dłoni i policzków. Dzień zapowiadał się ponuro i mżycie. Niebawem otworzą się nabrzmiące chmury i zacznie siąpić deszcz.

Spośród powoli rzednących mgieł wyłonił się nieoczekiwanie Danicki. Zamyślony i stroskany Edward nie słyszał wcale końskich kopyt. Może dlatego, że nie po bruku, a po miękkiej spulchnionej ziemi stapała ostrożnie zgrabna klacz.

– Tak myślałem, że cię tutaj znajdę – zagaił Antoni tonem niewskazującym na jakieś szczególne uniesienie z powodu spotkania przyjaciela. Ułamał gałązkę rosnącej przy drodze wierzby i smagnął nią cholewę własnego buta.

– Szukałeś mnie? – równie beznamiętnie odezwał się Edward. – Masz jakieś nowiny?

– W tych czasach same nowiny – ożywił się Danicki. – Ale po tobie widzę, że o niczym jeszcze nie wiesz, co?

– O czym miałbym wiedzieć? Poza tym, że przyjdzie nam chomąta na plecy zakładać i samemu pola orać, niewiele mnie interesuje.

– Nie frasuj się, wieśniacy niedługo z wojaczki wrócą.

– Ale ja nie o tych mówię, co na wojaczce. Mówię o tych, co zostali i postanowili czekać.

– Na co czekać? – zaśmiał się gorzko Antoni. – Nic już nas nie będzie czekać, Edwardzie. Przecież Warszawa kila dni temu skapitulowała.

– Wiem, wiem – westchnął wcale nie zaskoczony Edward. – Czytałem w gazetach. Chciałbym, żeby było inaczej, ale prawdę mówiąc, spodziewałem się tego.

– Ach, więc czytałeś już. I spodziewałeś się, mówisz – zauważył markotnie Danicki. – A ja, widzisz, wierzyłem.

– Ot, naiwność – pozwolił sobie na sarkazm Edward. – Przecież nasi dawno stracili ducha do walki, dowódcy myśleli już tylko o kapitulacji. Gazety piszą o generałach, których wojska mogły pomóc w zwycięstwie, ale ci nie zamierzali wracać do Warszawy. To na kogo można było liczyć? Znów na chłopów, jak kiedyś, podczas insurekcji kościuszkowskiej?

– Mój stryj był pod Raławicami. Opowiadał, że kosynierzy pięknie się tam popisali – przyznał Antoni.

– Podobno tak było, a Kościuszko pękał z dumy. Ale co zyskali na swoim poświęceniu chłopci?

– Jakże? Kościuszko przywdział chłopską sukmanę, wstawił się za nimi.

– A tak, gwarantował wolność, bez władzy pana nad nimi, i ziemię, gdzie pot swój wylewali. Mieli na niej zostać. Ale nic z tych obietnic, bo sprzeciwiła się im szlachta. No więc chłopci nie garną się dzisiaj do wspierania armii, tylko czekają na poprawę swojego położenia.

Antoni wyduł usta.

– Oni od zawsze walczyli o swoją niezależność. A przecież dawno już Konstytucja Księstwa Warszawskiego zniosła im pańszczyznę i zrównała wszystkie warstwy społeczne wobec prawa, więc czegoż jeszcze chcieli?

– Co ty mówisz, Antoni? – oburzył się Edward. – Nic wtedy nie zyskali. Szlachta przestraszyła się o utratę swoich przywilejów. Podobno biskupów i księży wzywano do pouczenia chłopów o konieczności wypełniania zobowiązań wobec pana. Szlachta zawsze tylko o sobie dbała, a teraz chce niepodległości.

– Jak wszyscy, Edwardzie, jak wszyscy...

– Owszem, lecz dlaczego elity chcące do walk pozyskać chłopów nie są przychylnie ich żądaniom, lekceważą ich postulaty? Ci ludzie czują się zawiedzeni. Dlaczego na własne barki mają brać ciężary wojny? Za co? Nauczyli się, że nikt tego i tak nie doceni. A przekonasz się, na tym się nie skończy. Przyjdzie czas, że będą nas nienawidzić.

– Już nas nienawidzą – wzruszył ramionami Antoni.

– Ale zaczną napadać na dwory i gromić nasze rodziny. Przekonasz się, że tak będzie.

– Czy ty ich aby nie przeceniasz? – roześmiał się Danicki. – Uważasz, że gdyby się nie obrazili, Rosjanie nie zajęliby nam Warszawy?

– Ech, Antoni, my zupełnie o czym innym rozmawiamy – westchnął Edward. – Wstąpisz na śniadanie? – zaproponował, gdy ich oczom ukazał się jaśniejący z daleka dom.

– Wstąpię – skwapliwie zgodził się Antoni.

– Matka się ucieszy, a my wychylimy po szklaneczce czegoś mocniejszego.

– Wychylimy. Za naszych, co? Za Warszawę.

– Tak, za Warszawę – zgodził się Edward i zamilkł.

Od Eulalii dawno nie było wieści. Martwili się w Przylipiu, bo odkąd wyjechała doglądać Henryka, prócz jednego dramatycznego listu, nie napisała więcej ani słowa. Co z nimi dzieje się teraz? Co z Warszawą?

Danicki zsiadł z konia i prowadząc klacz za uzdę, szedł w milczeniu obok przyjaciela. Na ganku przywitały ich psy, których Edward nie zabrał dziś na poranną przechadzkę. Podskakiwały radośnie i domagały się pieścizot. Poklepał je machinalnie, po czym odgonił niecierpliwie. Otworzył drzwi i puścił przodem Antoniego. Ten jednak zatrzymał się w sieni, pieścizotliwie głaskał psy i czule do nich przemawiał, lecz gdy zajrzał do przestronnego holu, kto inny przykuł jego uwagę.

Ubrana w poranną suknię należącą niegdyś do Elizy, przemknęła przed nim Malwina. Przerzucony przez ramię, rozkołysany w rytm jej kroków warkocz, ślizgał się jak wąż po delikatnej szyi, muskał pierś, biegł aż do bioder, o które jego koniuszek ocierał się zmysłowo. Na widok Danickiego szkarłatny rumieniec wykwitł na jej twarzy, a oczy pociemniały wywartym nieoczekiwaniem wrażeniem. Zanim zniknęła za drzwiami, dostrzegł jeszcze, jak unosi dłoń, przyciska ją do serca.

I jego serce oszalało. Może gdyby nie szedł za nim Edward, zatrzymałby ją, zagroził drogę, szepnąłby jakieś słowo, zanim pozwoli jej

odejść. Opanował się jednak i próg jadalni przekroczył z wystudiowanym spokojem.

Pani Rozalia siedziała na krześle i trzymając obie ręce na dłoniach drobnej, okrytej żałobą kobiety, mówiła coś do niej z przejęciem.

Na widok Antoniego uniosła kąciki ust w grzecznym, lecz jak zwykle, powściągliwym uśmiechu.

– Pan Antoni... To prawdziwa przyjemność, móc gościć pana u nas na śniadaniu – wyciągnęła ku niemu dłoń i wskazała mu miejsce przy stole, naprzeciw siebie. Antoni dyskretnie przyjrzał się spowitej w czerń kobiecie i dopiero teraz rozpoznał w niej Eulalię. Nie wiedział, co powiedzieć, skinął tylko głową i muskając wargami czubki palców Rozalii, odparł uprzejmie:

– Dziękuję. I ja rad jestem ze spotkania.

– Dawno pana nie było – starała się przykryć słowami niedawne wzruszenie, lecz głos jej wiązał w gardle. – Jakże miewa się żona? Czy doktor już umówiony?

– Umówiony, umówiony – uśmiechnął się uspokajająco. – A Helena? Dzięki Bogu wszystko u niej dobrze.

– Och – westchnęła Rozalia. – Nasza biedna Eliza też czuła się dobrze. Będę się modlić za Helenę.

– Dziękuję za łaskawość – bąknął Antoni, któremu jakoś zrzędła mina i zerknął niepewnie na pochlipującą Eulalię.

Rozalia pochwyciła jego wzrok i pospieszyła z wyjaśnieniem:

– Nasza droga kuzynka straciła kogoś bliskiego.

– Pewnie bronił Warszawy! – dopowiedział z emfazą, a oczy zabłysły mu nienaturalną ekscytacją. – Bohater, to prawdziwy bohater! Bardzo pani współczuję, Eulalio – położył dłoń na sercu i znów się uklonił. Tym razem głęboko, z estymą. Oddawszy honory, dokończył poważnym, oratorskim tonem – My, Polacy, nie zapomnimy. Jesteśmy z takich ludzi dumni.

– Niczego nie bronił – sprostowała łzawo Eulalia, nie odrywając chusteczki od zaczerwienionego nosa. – Mój mąż umarł na cholere.

– O... – bąknął skonsternowany Antoni. Jednocześnie kątem oka dostrzegł zbliżających się mężczyzn, którzy mieli wybawić go z pełnego zakłopotania milczenia.

– Antoni, pozwól, że ci przedstawię – usłyszał za sobą głos Edwarda. – To pan Adam Zawiorsta. Nasz, hm... gość. Chce być poetą i do wuja przyjechał nauki pobierać – rzucił okiem na Zygmunta, który wyprężył się dumnie i podkreślił wąsa.

– O mój ty świecie jedyny – zapał w zachwycie Zawiorsta i podał Antoniemu zimną, przypominającą zwiędły kapuściany liść, dłoń. – Jakież pan oryginalny, naprawdę!

– Tak? – Antoni uniósł brwi i nieco stropiony obrócił się do Edwarda. – A cóż we mnie takiego oryginalnego?

– Ach, nie wiem! Te włosy chyba i w ogóle... Piękny człowiek!

Zygmunt uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem, a Antoni znów łypnął okiem na Edwarda. Ten zaś rozłożył bezradnie ręce.

– Któż zrozumie poetę – stwierdził enigmatycznie, a w jego słowach wybrzmiał źle ukrywany cynizm. – Chyba jedynie inny poeta, prawda, wuju?

Zygmunt machnął tylko ręką, rozejrzał się po zastawionym stole i skrzywił się z niezadowoleniem.

– Adamie, znów jaj nie podano – mruknął. Usiadł, poszukał wzrokiem Wacława i zawołał doń z naganą – Nasz gość lubi gotowane jaja! Czy za każdym razem muszę o tym przypominać?

Przy stole zaległa cisza, a Wacław czym prędzej umknął do kuchni.

– Jakże Warszawa trzyma się po kapitulacji, panie Adamie? – zagaił szybko Antoni, chcąc zatuszować niestosowne zachowanie Zygmunta.

– Świecie mój – szepnął ze zgrozą Zawiorsta. – Lepiej nie pytać. Nie pytać... – zwinął prawą dłoń w pięść i kurczowo zacisnął ją w lewej.

Antoni czekał jeszcze chwilę, a ponieważ Zawiorsta nic więcej nie powiedział, spojrzał pytająco na Eulalię, która w tym czasie zdążyła osuszyć łzy i tylko od czasu do czasu pociągała nosem.

– Ludzie są rozjuszeni – zauważyła łamiącym się głosem. – Nienawidzą władzy. W sierpniu na ulicach rozdawano ulotki z karykaturami tych z Rządu Narodowego. Obrazki przedstawiały ich bardzo haniebnie.

– Jak? – zaciekawiał się Antoni.

– Na szubienicach – wyjaśniła krótko.

– To paskudni zdrajcy – wtrącił Zawiorsta. – Zamiast bronić miasta, dopuścili do kapitulacji.

– Jakby mało było nieszczęścia – podjęła Eulalia – magazyny opustoszały, w mieście zabrakło żywności, a tu jeszcze epidemia coraz bardziej się szerzy...

– Mój ty świecie wielki! Panie! Co tam się dzieje – przerwał jej Zawiorsta i znów uderzył kułakiem w otwartą dłoń. – Jakbym ja decydował, inaczej by to wyglądało.

– Boże... – jęknęła Rozalia. – Biedna moja Eulalio, jak ty to wszystko znosiłaś?

– Nie myślałam o jedzeniu, kiedy Henryk umierał. Każdego dnia stałam pod szpitalem i błagałam Boga, żeby mi męża zwrócił. A Bóg nie wysłuchał – rozplakała się na nowo. – To nie wszystko – łkała, gdy tymczasem Adam Zawiorsta wlepił w Rozalię okrągłe oczy i z zapalem przytakiwał. – Tłum ludzi ruszył do władz powstańczych i...

– A po co? – zainteresował się zniecierpliwiona Zygmunt. Ułożył na talerzu Zawiorsty duży plaster szynki, podobny wsunął sobie do ust i zaczął go z rozmysłem żuć. – Po co tam poszli?

– No, jakże? Panie Zygmuncie kochany – odezwał się przymilnie Zawiorsta. – Pan wiersze patriotyczne pisze, a nie wie, że ludzie zaufania do władzy nie mają?

– Wiem – ofuknął go Zygmunt, ale zaraz poklepał przepraszająco jego dłoń. – Mój drogi, ja bym takich rzeczy nie wiedział?

– To przez tę skłonność do układania się z Rosjanami – chlipnęła Eulalia i otarła oczy chusteczką.

– Ano właśnie, no właśnie... Racja – mruzczał Zygmunt. – Dogadali się?

– Nie dogadali się, wrócili z niczym – uprzedził Eulalię Edward. – O tym akurat wszyscy wiedzą, że nawet w czasie obrad sejmu brakuje jedności. Lewica sobie, a konserwatyści sobie. Sposób prowadzenia walki też sporny. Władza między sobą nie umie się porozumieć, cóż dopiero z ludem.

– Może i się spierają – przyznał Antoni. – Ale zgodnie nie wierzą w sukces powstania. Tylko szukają sposobu, aby je zakończyć.

– Dlaczego tak jest? – zamruwała oczami Eulalia. – Czy mój syn walczy na darmo?

– No cóż – ironizował Antoni. – Skoro wielki Napoleon i jego sprzymierzeńcy nie zdołali pokonać Rosji, to jak ma tego dokonać Polska z nielicznym i słabo uzbrojonym wojskiem?

– O tym mówiliśmy dzisiaj – włączył się Edward. – Gdyby dobrze traktowano chłopów, ci utożsamiliby się z narodem i włączyli do walki. A stanowią większość polskiego społeczeństwa – zaznaczył.

– W każdym razie lud nie porozumiał się z władzą. A skoro tak, to wściekły wdarł się na zamek – relacjonowała nieco ożywiona dyskusją Eulalia.

– A tam po co? – zdziwił się znów Zygmunt. – Skoro już raz się nie dogadali, to po co?

– Tam, panie Zygmuncie, przetrzymywano podejrzanych o kolaborację z Rosjanami – tłumaczyła cierpliwie.

– Taaak... – potwierdził przeciągle Zawiorsta. – Mój ty wielki świecie, co tam się działo, panie Zygmuncie drogi. Wtedy zaczęła się prawdziwa rzeź.

– Jaka rzeź? – zapytała przejęta Rozalia.

– Więźniów od razu siekano! – zniżył głos Zawiorsta, jakby powierzał jej tajemnicę.

– Och, ja to widziałam – szepnęła Eulalia. – Tych, co przeżyli, obnażano i za nogi wieszano na latarniach. Boże... Tamci wisieli, a ci wrzeszczeli na całe gardło: „niech żyje Polska!” „śmierć zdrajcom!”.

– I dobrze, należało się faryzeuszom – zaperzył się Zawiorsta, który w jednej chwili przeistoczył się w zupełnie innego człowieka. Gdzieś umknęła jego poetycka delikatność i uniżoność. Uderzał prawą pięścią w lewą otwartą dłoń z taką mocą, jakby tłukł wywleczonego z lochu kolaboranta.

– Całą gromadą poszli później do innych miejsc – ciągnęła znów słabym i zrezygnowanym głosem Eulalia. – Zbierali się przy Starej Prochowni, przy klasztorze dominikańskim, nie wiem, gdzie jeszcze... Tam też nie mieli litości. Kłuli bagnetami i, jak tamtych z zamku, wieszali na latarniach.

– Boże mój... – Rozalia złożyła ręce i spoglądała po wszystkich przerażona. – Ludzie ludziom takie rzeczy robią.

– O, wielki świecie! Pani szanowna rączki łamie, a niektóre warszawskie paniusie podobno klaskały i drwiły z tych zabitych – rzekł z niejaką satysfakcją Zawiorsta.

– Tak, to prawda – przyznała Eulalia. – Sama widziałam, jak maczały we krwi czubki parasolek i ze śmiechem chusteczki nią plamiły.

– Taaaak... One wcale nie mdlały na widok porąbanych trupów – dokończył z jakimś okrutnym, sadystycznym zadowoleniem Zawiorsta. Edward zaczął wątpić, czy to aby na pewno poeta, czy zwykły szpieg, który przyjechał tu węszyć.

– Wystarczy, przestań pan – powstrzymał go przed dalszą relacją, widząc pobladłą twarz matki. – Nie chcemy tego słuchać.

– To nie tak, Edwardzie – upomniała go Rozalia. – Trzeba tego słuchać. To jedyne, co możemy dać od siebie. Słuchać, współczuć i choć przez to jednoczyć się z mieszkańcami Warszawy. I modlić się, modlić, modlić. Za ludzi, za wolną ojczyznę.

– Ja, szanowna pani – podchwycił temat Zawiorsta – modlić się nie będę. Ale zdrajców siekłbym i wieszał jak oni. A gdybym na swojej drodze ruskiego żołnierza spotkał, to rozłupałbym mu łeb! Świecie ty mój, nie miałbym litości! Oni mojego brata zabili. Mściłbym go, ot tak! – Zacisnęła zęby, uniósł do góry zamkniętą pięść i groził nią bez opamiętania.

Edward z Antonim wymienili się spojrzeniem. Rozalia udała, że w pokoiku na końcu korytarza nie mieszka żaden Boris.

W skupieniu, ze zmarszczonym czołem Edward palił w swoim gabinecie fajkę. Ponure myśli krążyły w przestrzeni słabo oświetlonego wnętrza, zawisały w niepewności, czepiały się wymyślnych, czasem absurdalnych pomysłów, bo nie potrafiły przynieść właściwego rozwiązania. Zawiorsta i Boris nie mogli pozostawać pod jednym dachem w Przylipiu. Prędzej czy później jeden z nich nie przeżyłby tego.

Odesłać Zawiorstę do Warszawy nie sposób. Zygmunt upaja się jego uwielbieniem, a nawet zdaje się je odwzajemniać. Pozbawienie wuja tego osobliwego adoratora wywołałoby jego gniew i niewątpliwie zemstę. Odesłanie Borisa również nie wchodziło w grę. Zresztą z powodu epidemii

cholery wszystkie granice zamknięto. Bez względu na to, w czyje wpadłby łapy, nie czekało go nic dobrego, w najlepszym wypadku więzienie za dezercję.

Deszcz, który gromadził się przez cały dzień w puchnących, siniejących chmurach, rozpadał się teraz na dobre. Zacinał w okna, za którymi kotłowała się wichura. W porywach uderzała w szyby, jakby chciała wepchnąć do środka gęstniejącą czerń nocy.

Niespodziewane pukanie wdarło się w tę jesienną muzykę, odbiło od miękkiego mroku ścian, i zawisło w świadomości Edwarda. Niechętnym spojrzeniem usiłował przeniknąć zamknięte drzwi, zanim odezwał się schrypniętym od długiego milczenia głosem.

– Proszę.

Nie spodziewał się tutaj Malwiny, dlatego aż poderwał się z fotela, gdy ujrzał jej zastygłą w napięciu twarz, wynurzającą się z cienia. Przeszywała go wzrokiem jak sztyletem, lecz nie odzywała się.

Jednym skokiem podbiegł do niej, wciągnął za rękę do gabinetu i zamknął drzwi. – Mów, co się stało – zażądał zduszonym ze zdenerwowania głosem. – Z Borisem coś?

– Znów był tutaj Danicki – rzuciła ostro, wrywając rękę. – Pani Rozalia obiecała mi, że on nie będzie przyjeżdżał do Przylipia.

– Ach, to... – odetchnął Edward, po czym zwrócił się do niej tonem, jakim zwykł tłumaczyć oczywiste rzeczy Stasiowi: – Pan Danicki jest moim przyjacielem. Bywa tu od lat. Jakże mu odmówić?

– Nie macie honoru – odpowiedziała lodowato, zwięzając oczy. – On ani pan.

Odwróciła się na pięcie i wyszła.

W kuchni było parno. Aniela z zaczerwienioną od gorąca twarzą przesunęła kocioł z gotowaną kapustą na brzeg pieca, dołożyła trzy fajerki i ustawiła garnek z powrotem.

– Będzie bigos, jak się patrzy – odsapnęła z ulgą. – Aby tylko na małym ogniu teraz stał.

– Taki wielki sagan Aniela gotuje, to i do Bożego Narodzenia kapusty wystarczy – zauważyła Kazia.

– Iii tam – machnęła ręką Aniela. – Do Bożego Narodzenia. Co też ty mówisz? Nie widzisz, ile ludzi do Przylipia się najechało?

– Pani Rozalia litościwa, to i wsykie psybłedy zbiera. Pan Zawiorsta – liczyła na palcach Kazia, stanąwszy na samym środku kuchni – ten ruski, Boris, no i pani Eulalia. Tsy osoby więcej...

– Pani Eulalia to żadna przybłęda – ofuknęła ją Aniela. – Tylko sama na tym świecie została, to gdzie miała się podziać? Mało, że wdowa, to i syn nie wiadomo gdzie... Ale, tak czy inaczej, każda gęba jeść chce. – Chwyciła garnek z wywarem i ruszyła w kierunku okna. – Nie stójże tak na środku, przesuń się – zbeształa znów Kazię. – Galareta na parapecie musi przestygnąć. Idź lepiej do kurnika i pozbieraj jajka. Temu niby-poecie z nosem jak gasidło do świec ciągle ich mało.

– Wiesia do kur posła. Pozbiera – odparła Kazia i nie ruszyła się z miejsca.

– Wiesia posła, Wiesia pozbiera, Wiesia zrobi – przedrzeźniała ją Aniela. – A ty nic, tylko stoisz i się gapisz. Gdzie Wandzia?

– Wanda posła zobasyś, co się ziejie z Malwiną, bo po bawarkę rano nie psysła. Moze cholery dostała? – wytrzeszczyła oczy.

– Ot, gadasz od rzeczy. Skąd u niej cholera? Prędzej ja tu z tobą dostanę, jak się za robotę nie weźmiesz – zrzędziła Aniela. – Kuchnię zamieć.

– Psesiez Aniela zabrania zamiataś, jak garki odkryte stoją – odcięła się Kazia.

– Uch, że też takich garkotłuków Pan Bóg po ziemi nosi – Aniela zamachnęła się ścierką, przez którą wcześniej trzymała garnek, ale zaraz cofnęła się od okna.

– O, proszę... Patrz, jak to Zygmusz spaceruje. Kapelusz na głowę nasadził i idzie... Ciekawe, gdzie to gasidło do świec, co za nim zawsze się snuje... No, odsuń się, nie nadymaj się tak w tym oknie – pociągnęła Kazię za fartuch. – Zygmunt i tak nie dla ciebie.

– A dla kogo? – nadała się Kazia.

– A dla nikogo. Nawet własnej żony nie chciał. On w innym świecie żyje z tymi swoimi wierszami.

– Nieprawda – roześmiała się Wiesia, która właśnie stanęła w progu. Miała zarumienione policzki, a spod chustki wymykały się jasne, stargane kosmyki włosów. Odstawiła na stół kosz z jajami i dodała: – Pana Zygmunta kilka razy z Joanną widziałam.

– Zmyślas! – zdenerwowała się Kazia. – Joanna łązi niepsytomna i sama nie wie, cy żyje, cy nie. Po co jej mężczyzna, jak nawet Stasia upilnować nie umie?

– A jednak widziałam – upierała się Stasia. – Bardzo byli sobą zajęci.
– Sałowali się? – wybałuszyła oczy Kazia.
– Nie całowali, tylko gadali ze sobą, zazdrośnico.
– Gadali – parsknęła Kazia i zaraz odwróciła się do drzwi, które gwałtownie otworzyła Wanda.

– Malwiny nigdzie nie ma! – zawołała przestraszona. – Cały dom z Cesią i Maryną przewróciłyśmy do góry nogami. Teraz Alojzy i Wacław szukają. Pan Edward kazał Poldkowi konie zaprzęgać, z Kajetanem do wsi pojedą ludzi rozpytać...

– A gdzie Zosia? – zapytała trzeźwo kucharka.
– Zosia spała jeszcze w kołysce, jakem do pokoju weszła. Teraz pani Eulalia ją w salonie bawi. I płacze.
– Kto? Zosia? – oczy Kazi zrobiły się jeszcze większe.
– Pani Eulalia płacze – wyjaśniła Wanda.
– Patrzcie, państwo, a ten sobie spaceruje, jakby nigdy nic – burknęła Aniela pod nosem, zerkając w okno. – Ot, poeta... I teraz nie wiem, szykować śniadanie, nie szykować? Kto je będzie jadł?

Rozalia siedziała na brzegu kanapy, gładziła nerwowo wytarty plusz i obserwowała smużkę dymu unoszącą się z fajki Edwarda. Ten zaś przemierzał gabinet tam i z powrotem, marszcząc czoło i mrużąc coś pod nosem.

– Edwardzie – spróbowała po raz kolejny rozmowy, ale on znów jej przerwał.

– Proszę, niech mama nic nie mówi. Wiem, że Danicki nie powinien tu bywać. Wiem, że mama o to prosiła, a ja obiecałem. Wiem, że Malwina postawiła warunek, a ja go złamałem. Wiem, wiem, wiem! Ja to wszystko wiem!

– Nie unosź się, Edwardzie – mitygowała matka. – Ja nie o tym chciałam mówić.

– A o czym? – zatrzymał się i spojrzał pytająco.

– O Zosi.

– Malwina i Zosia – prychnął. – Dla mnie to jedno.

– Nie jest tak. Zosia to twoja córka i na niej powinno ci zależeć. Ona jest naszą rodziną, przedłużeniem mojego i twojego pokolenia. I to Zosia będzie nas kiedyś wspominać, opowiadać o nas swoim dzieciom, a one znów swoim. Staś i Zosia są najważniejsi. A Malwina? Spójrz... – otoczyła go ramieniem i podprowadziła do okna. – Co widzisz? – zapytała.

– Nie wiem... Błoto, wiatr.

– Tak, wiatr, jesień. Malwina jak ten jesienny liść, co wichura go niesie. Nie trzeba szukać. Liści jest wszędzie pełno, ich nie szuka się, rozumiesz, synu?

– Co mama ma na myśli? – spojrzał groźnie.

– Ano to, że Malwina to jedna z wielu osób, które przewiną się przez ten dom. A Zosia ma już dziesięć miesięcy. Może się obyć bez mamki. Zatrudnimy nianię.

– Nianię? – zaperzył się. – Co Zosi po niani? Mama nie rozumie? Zosia przywiązała się do Malwiny. Kocha ją.

– Kocha, kocha – Rozalia wzniosła oczy. – Kiedyś tę miłość i tak trzeba przerwać. Malwina sama dokonała wyboru. Może przez Danickiego, a może kto inny stanął jej na drodze – rzekła zagadkowo.

– Mama coś wie? Boris?

Rozalia umknęła wzrokiem.

– Kto to może wiedzieć? – odrzekła niepewnie.

– A skoro o nim mowa, pójdę, zapytam – bąknął Edward, który nie zamierzał okazywać matce, jaka narasta w nim złość.

– Idź, synu – odparła zmęczonym głosem. – On też powinien szykować się do drogi, prawda? – Zauważywszy jego zaskoczenie, dodała: – Zanim stanie się nieszczęście.

Boris leżał na łóżku z rękami pod głową i gapił się w okno. Na dźwięk otwieranych drzwi nawet się nie odwrócił.

– Patrz – zagadał leniwie. – Bóg wymyślił jutro, a ludzie wczoraj zepsuli i dzisiaj marnują.

– Ludzie? – Edward podszedł do okna i odgarnął firankę. Drzewa w ogrodzie ugiwały się pod naporem wiatru. Niebo było pochmurne, mżyło. – A ty? Niczego nie zmarnowałeś? – zapytał.

– Wiatr, słyszysz ty? – Boris przymknął oczy. Przysłuchiwał się w skupieniu. – Wiatr sprawiedliwy jest. To porywa coś, to przywieje. Nic na zawsze dla siebie nie weźmie.

– A liście? – cicho odezwał się Edward.

– Liście? – Boris uchylił powieki i spod nich obserwował Edwarda. – Liście, mówisz?

– Taaak. Liście... Ty powiedz, Boris, niczego nie zmarnowałeś?

– Zmarnował ja. Zepsuł. Ech, do czorta z tym – westchnął.

Edward przyjrzał mu się z uwagą.

– Z czym do czorta? Powiesz?

Boris zwłókł się z pościeli, usiadł na brzegu łóżka, pochylił głowę i wlepiwszy oczy w swoje bose stopy, zaplótł mocno palce u rąk i tkwił tak długą chwilę.

– Z kobietami – powiedział w końcu. – Do czorta z nimi.

Edward nie odezwał się, patrzył tylko, jak Boris zżyma się w sobie. Czekał.

– Pamiętasz – zaczął Boris, nie odrywając oczu od swoich stóp – jak ja mówił, że na Malwinę patrzeć nie będę, żeby ona nie przestraszyła się, nie uciekła?

– Pamiętam – odparł powoli Edward. Nieprzyjemny dreszcz przeszył go pod skórą.

– Ona też odwracała oczy i ja myślał: „jak ona nienawidzi mnie, że musi tu przychodzić, doglądać obcego”. Tutaj, w sercu mnie bolało. Ja myślał, że cierpienie moje z tej jej nienawiści, a teraz wiem, że to nie tak. To z mojego kochania boli. Ja pamiętam, co ty mnie mówił, że ona nie dla mnie – zastrzegł. – Ale ty na mnie nie gniewaj się, ja jej nie dotknął.

Edward nie spuszczał wzroku z twarzy Borisa.

– Od kiedy to wiesz?

– Co wiem?

– Od kiedy wiesz, że ją kochasz?

– Ja wczoraj tak pomyślał. Kiedy powiedziała, że odchodzi, że nigdy jej nie zobaczę.

– Tak powiedziała? – Edward chwycił go za poły koszuli i potrząsnął nią mocno. – Tobie to powiedziała?!

– Puść – Boris ujął nadgarstki Edwarda i oderwał jego ręce od swojej koszuli. – Komu miała powiedzieć? – nagle zamilkł i przeszył Edwarda zimnym spojrzeniem. – Ach... Ja już pojął, dlaczego ty tak mówił, że ona nie dla mnie. Ja już wiem, dla kogo ona – pokiwał ze smutkiem głową.

– Głupiś! – uciał Edward. – Moje serce dawno gnije pod ziemią. Tylko jedną kobietę kochałem... Gdzie Malwina, wiesz?

– Skąd mnie wiedzieć? – wzruszył ramionami. – Przyszła wczoraj, prawie noc już była. Świecę przyniosła, jeszcze na stole lichtarzyk jest,

patrz. Sama przede mną stanęła, jak teraz ty stoisz. Twarzy jej nie widział, całkiem w cieniu była, ale mnie zdawało się, że ona płacze. Nie chciał pytać. Powiedziała, że przyszła pożegnać się i żeby ja nie myślał, że ona przychodziła pielęgnować mnie z musu. Powiedziała: „Lubiłam tu być, w tym pokoju. Tu nikt mnie nie osądzał, nie oceniał”. A potem nachyliła się tak blisko, że zapach jej poczuł. „Żegnaj, Boris, bądź zdrow”. To powiedziała, ścisnęła moje ramię, o tak... – Boris zacisnął palce na ramieniu Edwarda. – I poszła. Na tę noc czarną poszła. A ja teraz pomyślał, że gdyby kazała mnie nawet sto lat przy drzwiach czekać, że zobaczę ją choć przez chwilę, to ja by stał sto lat. I by czekał. O tym ja właśnie mówił, że zepsuł, zmarnował. Szansę zmarnował, bo mógł zatrzymać ją, nie pozwolić iść...

Zamilkł i przez długi czas prócz porywów szalejącego za oknem wiatru, nic słychać nie było.

– Boris... – odezwał się wreszcie Edward.

– No? – Boris podniósł głowę, jakby dopiero się ocknął.

– Nie wychodź teraz z pokoju. Z Warszawy ktoś przyjechał. Nienawidzi takich jak ty.

– Jakich?

– No... Ruskich. Brata mu zabili.

– Aha.

– Dam ci znać, kiedy pojedzie.

– Nie zależy mi.

– No i racja, zimno teraz, po co wychodzić?

– Na życiu mi nie zależy.

Zosia nie chciała kaszy, kartoflanej papki z masłem ani pieczonego jabłka. Nie chciała otaczających ją rąk babci Rozalii, Edwarda, cioci Eulalii

ani nawet Wandy, do której była przecież przyzwyczajona. Tolerowała jedynie Stasia, ale ośmioletni chłopiec nie mógł być jej opiekunem, towarzysząca mu zaś Joanna, która chodziła z głową w chmurach, kompletnie się do tego nie nadawała.

Zosia płakała. A im głośniej płakała, tym silniej zaznaczała w pokojach, korytarzach, kuchni, a nawet na ganku nieobecność Malwiny.

Zaczerwieniona i mokra od łez twarzyczka kruszyła wszystkie serca w Przylipiu, zwłaszcza Rozalii, która próbowała być twarda, ale o zmierzchu skapitulowała i zażądała stanowczo:

– Nie zniosę tego dłużej. Szukajcie Malwiny.

Poldek osiodłał konie i wraz z woźnicą Anatolem oraz Kajetanem ruszyli do wsi ponownie ludzi rozpytywać.

Wanda pochlipywała, odprowadziwszy ich wzrokiem przez kuchenne okno.

– No i czego tak stoisz? – burczała na nią Aniela, jednocześnie wciskając jej w garść drożdżową kukielkę. – Masz, pojedz słodkiego, mniej żal ci będzie...

– Dziękuję – siąkała nosem Wanda. – Ja tak się boję o Malwinę, Anielo.

– A czego to się bać? Chciała, to poszła. Widać sprzykrzyło się jej naszą Zosię niańczyć. Do swojego dzieciaka pewno jej tęskno. Do miasta pójdzie, a lico ma jak malowanie, to zaraz męża złapie. No, nie becz, nie becz... – poklepała ją po szczupłych plecach i odeszła w drugi kąt kuchni.

– Wiesia! Kazia! – zawołała na pomocnice, które w sieni o czymś szeptem rozprawiwały. – Cesia makówki ścięła, mak trzeba wytrząść!

Zaraz Wiesia na dębowym stole rozłożyła czyste płótno i ułożywszy na nim makowe główki, pierwsza usiadła na ławie i zabrała się do pracy. Gdzieś z wnętrza domu słychać było płacz Zosi.

– A może by tak odwaru z maku jej zaparzyć? – zastanawiała się głośno. – Zaraz by spała jak suseł.

– Co też ty! – oburzyła się Kazia. – Jesce jej zaskozi. Ona psecies malutka.

– Moja mamusia bratu dawała, jak się darł na całe gardło – obruszyła się Wiesia. – A młodszy od Zosi był.

– Już ty lepiej nie wtrącaj się – fuknęła Aniela. – Od takich rzeczy pani Rozalia jest. Ona wie, co komu można podawać... A co ty tutaj robisz? – zawołała na Stasia, który gdzieś zwęszył, że mak będzie wytrząsany i już zaglądał przez szczelinę drzwi.

– Widziałem, jak Cesia makówki niosła do kuchni – uśmiechnął się. – Wezmę kilka, żeby Zosię zabawić. One tak ładnie szeleszczą.

– Weź, weź – zgodziła się dobrodusznie Wiesia. – Ty tu najważniejsza niańka teraz – zażartowała, ale chyba niefortunnie, bo Staś się nadał.

– Ja będę żołnierzem – odparł.

– Mas rację – wtrąciła Kazia, śmiejąc się. – Męczyzna powinien być żołnierzem. Niańka to babskie zajęcie.

– Mamusia mówiła, że nie ma takich zajęć, które są tylko dla pań albo tylko dla panów – rzekł Staś, poważniejąc.

– Nie ma? – drażniła się z nim Kazia. – A cy baba może być żołnierzem?

– Może – rzekł z przekonaniem Staś. – Emilia Plater jest żołnierzem, tatuś mi o tym mówił.

– Et, bajki jakieś opowiadał – machnęła ręką Kazia.

– Nie – zaprotestował Staś. – Pani Antonina też jest żołnierzem, bo na wojnie opatruje rannych.

– Każdy na tym świecie ma jakieś swoje zadanie. Kobieta i mężczyzna. I każde żyjątko, zwierzę i roślina. Bóg tak to wszystko urządził –

skwitowała Aniela.

Staś podszedł do okna i zbliżył nos do szyby. W kuchni skwierczały łożówki, a za oknem mrok połykał już drzewa i majaczące w oddali budynki. Przestało padać. Wiatr tylko pozostał silny i teraz przeganiał puszyste chmury, które to odsłaniały, to znów zakrywały wielki okrągły księżyc.

– Bóg zawiesił ten księżyc na niebie? – zapytał znieczeka, smarując palcem po szybie.

– Wszystko, co mamy, dał nam Bóg – tłumaczyła autorytatywnie Aniela.

– A po co dał nam księżyc? – dociekał Staś.

Wanda, Wiesia i Kazia jak na komendę spojrzały na Anielę. Niech teraz tłumaczy chłopcu, skoro rozpoczęła z nim dyskusję.

– Dawno, dawno temu – zaczęła gawędziarsko Aniela, łypiąc okiem na pomocnice – pewien święty...

– Jaki święty? – zainteresował się Staś.

Aniela poprawiła się na krześle i nie kryjąc zniecierpliwienia, oznajmiła:

– Michał. Był taki święty, rozumiesz? Święty Michał szedł. I tak sobie szedł po ziemi, aż się potknął i rozbił sobie kolano.

– Dlaczego? – dociekał Staś. – Kamienie były?

– Nie kamienie, tylko ciemno było, to i się potknął.

– O tę ciemność się potknął? – wytrzeszczył oczy Staś.

Aniela przybrała groźną minę.

– Tak! Panowały takie ciemności, że święty Michał się potknął.

– I co?

– Poskarżył się Bogu.

– I wtedy Bóg zawiesił księżyc?

– Tak. Ale żeby światło jak najdłużej się paliło, Bóg obmyślił tak, że przez parę nocy świeci, a przez parę nocy nie.

– Jak nie świeci, to święty Michał nie chodzi?

– Nie chodzi – zgodziła się Aniela i wywróciła oczami.

– To dzisiaj chodzi – wydedukował Staś.

– Dzisiaj tak – przytaknęła Aniela i zgrzytnęła zębami.

Na szczęście Staś odkleił nos od okna, złapał kilka makówek i trzęsąc nimi, wybiegł z kuchni.

– Dzięki ci, patronko moja – westchnęła z ulgą Aniela.

– Ja nie lubię patrzeć na księżyc – wzdrygnęła się Wieśka. – Mnie się wydaje, że tam mieszka śmierć.

– Śmierć? – zdziwiła się Wanda.

– Ludzie tam do niej idą, na ten księżyc. Albo pod ziemię, bo śmierci wszędzie pełno...

Po tych słowach zadumały się wszystkie i w milczeniu wytrząsały mak, który suchym, szeleszczącym deszczem spadał na płótno. Łojówki parskały i syczały, zalewały bielone ściany mizernym światłem. A wiatr wył, psocił, obnażał z chmur blady księżyc.

W salonie wysokie, białe świece paliły się w czterech mosiężnych kandelabrach. Ustawione w różnych częściach pokoju dawały równomierne, przytulne światło. Z drugiego końca korytarza dobiegał żaloszny płacz Zosi, który mieszał się ze stanowczym tonem Rozalii, przejmującym Eulalii i zrozpaczonym Maryny, bo to jej przypało w udziale ułożyć do snu dziecko.

Zygmunt na swoim ulubionym fotelu koło kominka krzywił się, wiercił i stukał ołówkiem w czystą kartkę papieru. Adam Zawiorsta,

przycupnąwszy przy nim, śledził niecierpliwie każdy ruch ołówka, wyczekiwał pierwszego słowa.

– Pisz, panie Zygmuncie – namawiał szeptem, składał z czcią ręce jak do modlitwy i teatralnie wzdychał.

– Czekaj pan – oganiał się od niego Zygmunt. – Nie mogę tak na zamówienie, coś się pan uczeplił?

– Bo pańskie poematy muszą wyfrunąć z tej prowincji, z tego Przylipia prosto na łamy najpoczytniejszych czasopism. Ach, świecie mój, jakież jestem dumny, że mogę być tego świadkiem.

– Będiesz pan, będziesz – mruzczał Zygmunt. – Tylko mi nie przeszkadzaj.

– Jakże bym śmiał przeszkadzać mistrzowi? Ale jeśli zechciałby pan dać mi do poczytania swoje wcześniejsze dzieła, jak mi pan obiecał... Zaszyłbym się w kąciку i w całkowitym milczeniu, przyrzekam – uniósł w górę dwa palce i zawiesił na twarzy Zygmunta poważne spojrzenie. – Ach, świecie! Upajałbym się nimi. Panie Zygmuncie – napraszał się. – Wszakże mi je pan obiecywał.

Zygmunt zmarszczył czoło, wstał z fotela i swoim zwyczajem, gdy był czymś przejęty, począł przestawiać na półkach rozmaite drobiazgi, majstrować przy guzikach kołnierza i pochrząkiwać w zakłopotaniu.

– Obiecywałem – przyznał. – Ale, rozumiesz pan, gdzieś mi się foliał zawieruszył. Daję słowo honoru, że poszukam.

– Będę czekał, mistrzu.

– I dobrze. Tymczasem weź pan gazetę i sobie poczytaj – zamaszystym ruchem podał mu płachtę porzuconego pod kominkiem „Kuriera” i wrócił na fotel.

Zawiorsta zaczął przerzucać chaotycznie strony, gdy tymczasem do salonu weszła Rozalia, za nią Edward i Eulalia. Ich twarze wyrażały nie

tylko zmęczenie, ale też wyraźne strapienie. Zosia nie zamierzała usnąć w ramionach Maryny ani Wandy. Zanosiła się krzykiem i cała siniąła od tego wysiłku.

– Nie przypuszczałam, że będzie aż tak trudno – Rozalia usiadła na kanapie i zaczęła wachlować się chusteczką.

– Co będzie, jeśli Malwina się nie znajdzie? – zatroszczyła się Eulalia.

– Nic. Zosia będzie musiała się przyzwyczaić – Rozalia zacisnęła usta. Było jej żal dziecka, z drugiej strony na Malwinie świat się nie kończy, Edward poszuka nowej niani i wszystko wróci do normy.

– Przywyknie – wtrącił z krzywym uśmiechem Zygmunt. – Z tego, co słucham od rana, wnioskuję, że ma dziewczucha charakter.

– Czytaliście? – odezwał się nagle Zawiorsta, nie odrywając oczu od gazety.

– Co tam? – zainteresował się Zygmunt.

– O epidemii napisali... *Cholera przebiega ostro, szybko i bardzo zaraźliwie. Niestety, mierzą się z nią też żołnierze i powstańcza służba zdrowia. Władze wojskowe organizują lazarety. Lekarzom i pielęgniarce zagroziły sądem wojennym w przypadku dezercji. Pośród personelu panuje ogromne napięcie. Kobiety, które z oddaniem i poświęceniem pielęgnują rannych żołnierzy, ale mają też własne rodziny, zwróciły się do Rządu Narodowego z prośbą, aby władze wojskowe nie kierowały ich do szpitali zakaźnych. Te, które nie posiadają dzieci, podjęły pracę w szpitalach cholerycznych.*

– Mój Boże, Antonina – jęknęła Rozalia i zerknęła na syna. – Ona na pewno zaangażowała się w takim szpitalu.

– Nikt jej tam nie wysyłał – uciął Edward, ale serce ścisnęło mu się z niepokoju.

– Nie mów tak. To bardzo ładnie z jej strony – podchwyciła Eulalia. – Ja od razu pomyślałam o moim Witusiu. Być może on też potrzebuje pomocy. Chwała takim kobietom jak Antonina.

– Słuchajcie: *Ci, którzy chcieli nielegalnie przekroczyć granice Królestwa i nie zatrzymali się na wezwanie straży granicznej, zostali zastrzeleni* – przeczytał głośno Zawiorsta.

– Cóż za okrucieństwo! – oburzyła się Rozalia.

– Ależ to oczywiste, Rozalio. Pilnują granic, żeby choroba się nie rozprzestrzeniała – zauważyła Eulalia.

– O, a tu ciekawe – uśmiechnął się pod haczykowanym nosem Zawiorsta. – *Nakazuje się nakładać dotkliwe kary na tych, którzy będą zatrzymywać u siebie rosyjskich dezertarów lub w jakikolwiek sposób będą im pomagać* – przeczytał i nie wiadomo dlaczego, powiódł po zebranych napastliwym wzrokiem. – Ja bym takich... Uch! – zwinął dłoń w pięść i zacisnął zęby. Edward znów odniósł wrażenie, że ma przed sobą dwóch różnych Zawiorstów.

Tym razem nikt się nie odezwał, a Rozalia płochliwie zerknęła na Zygmunta. Ten jednak siedział z miną niewiniątka.

Pani Goziewisowa jezie! – zawołała Kazia, która na ławie pod oknem przebierała cebulę. Trzeba było pozbyć się starej, przerośniętej czuprynką zielonego szczypiorku, zrobić miejsce na świeże zapasy.

– Jeszcze tej tutaj brakowało – gderała Aniela. – Paniusi wizyt się zachciewa, a ty człowieku rzucaj swoją robotę i porcelanę szykuj. Wiesia! A zobacz, czy maślane ciasteczka w kredensie są, bo coś mi się wydaje, Zygmunt tam wczoraj szperał.

– Pan Zygmunt zaglądał, ale siastek nie brał – uprzedziła Wiesię Kazia.

– Już ty go tak nie broń – Aniela rzuciła ścierkę i sama zajrzała do kredensu. – Ciastka są... To czego on tu chciał? – mamrotała pod nosem. – A mam go – sapnęła po chwili ze złośliwą satysfakcją. – Konfitury z malin zniknęły.

– Konfitury wczoraj Cesia wzięła – wtrąciła nieśmiało Wanda, która przerwała paradowanie po całej kuchni z Zosią na rękach i śpiewanie cienkim głosem: – Kosi kosi łapci... – Jedyne wtedy dziewczynka była spokojna i tuliła się ufnie do swojej nowej opiekunki.

– Święta Anielo, patronko od chorych, głupich i sierot, módl się za mną, zmiłuj się nade mną – zrzędziła oburzona kucharka. – Od kiedy to takie porządki nastąpiły, żeby kto chce, po kuchni się kręcił, dzieci między garnkami niańczył i szafki plądrował? Cesia konfitury wzięła?

– Sesia. Wiziałam – potwierdziła Kazia, zadowolona, że pan Zygmunt tym razem został oczyszczony z zarzutów. – Mówiła, że Joannie niesie, bo coś się, biedaska, zaziębiła.

– Joanna jak nie omdlewająca, to senna, a jak nie senna, to chora – burczała Aniela, kręcąc głową i przeliczając pozostałe słoiczki. – A ten wałkoń, Zygmunt, pewnie nalewki z wiśni szukał. Rad by się napić z tym gasidłem od świec. A tu figa z makiem – zachichotała.– Nalewkę pani Rozalia pod kluczem zamknęła.

Kazia poderwała się nagle z ławki, aż cebula, którą miała na fartuszk, spadła i potoczyła się po kuchni.

– Pencie – szepnęła, nie odrywając wzroku od okna. – So się ziejie...

Aniela, Wiesia i Wanda przypadły do okna.

Z powozu wysiadł ten suchy zatwardziały kawaler, Alfred Konicki z Bobrowej, podał dłoń pani Godziewiczowej i tak trzymając ją pod rękę, powiódł ku rozłożystym schodom dworku.

– Nie może być – szepnęła Kazia. – Chyba będzie się z nią zenił. Na ślub psyjechali prosiś.

– Iii tam. Nigdy w to nie uwierzę – odezwała się lekceważąco Aniela. – Pan Konicki nie nadaje się do żeniaczki. Tu o coś innego chodzi – dodała z namysłem.

Na spotkanie gości wybiegły Józia z Cesią. Alfred Konicki zdjął kapelusz i wręczył go Józii ze słowami:

– Wołaj mi tu pana Edwarda, a chyżo! – po czym rzucił niepewne spojrzenie Godziewiczowej, która przymknęła na moment powieki i aprobująco skinęła głową.

– Dobrze, proszę pana – dygnęła Józia i zerknęła na Cesię.

Dziewczyna pomagała Godziewiczowej uwolnić się z rozłożystego okrycia pełnego fałd i falbanek, a przy tym odsuwała się na bezpieczną odległość, gdyż zapach szaławii i mięty bijący od tej chodzącej apteki mocno drażnił nozdrza.

Ponieważ była to pora, kiedy pan Edward pracuje, Cesia starała się ratować sytuację. Naśladując Józję, również dygnęła uprzejmie i przyoblekła twarz w służbowy uśmiech.

– Pani Rozalia prosi do salonu – oznajmiła, a za plecami Godziewiczowej wytrzeszczyła do Józji oczy, dając jej do zrozumienia, że nie ma pojęcia, co robić.

– Tak... Tak... Ale pan Edward – podkreśliła Godziewiczowa – pan Edward, czy jest? – kręciła się przy tym w miejscu zniecierpliwiona i czymś niezwykle zaaferowana.

– Jest – z ciężkim sercem, ale i zgodnie z prawdą potwierdziła Cesia, po czym szturchnęła lekko Józję, bo ta, onieśmielona wciąż sterczała w miejscu.

– To my do Edwarda właśnie – powtórzył łagodnie pan Alfred, otrzymawszy dyskretnego kuksańca od poirytowanej zwłoką Godziewiczowej.

– Tooo... Do gabinetu? – zapytała niepewnie Cesia i przygryzła wargę.

– No tam, gdzie on jest – zdenerwowała się na dobre pani Karolina. – Jeśli pan w gabinecie, to do gabinetu.

– Dobrze, proszę pani – dygnęła znów Cesia. – W takim razie proszę za mną – bąknęła z rezygnacją.

Edward w skupieniu liczył coś przy biurku. Rachował, spisywał czarne robaczki cyfr i głowił się okropnie. Na dźwięk pukania nie podniósł nawet oczu.

– Później! – zawołał rozdrażniony.

Pani Karolina jednak nie zamierzała czekać. Zdecydowanym ruchem nacisnęła klamkę i, ku przerażeniu Cesi, wtargnęła do środka.

– Dzień dobry, panie Edwardzie – zaczęła odważnie, zdejmując wystudiowanym ruchem, powoli, palec po palcu, jedwabne rękawiczki. – Pan mnie już zna i dobrze wie, że nie będę owijać w bawełnę i od razu przejdę do rzeczy. Skoro pan nie zamierza żenić się z moją siostrzenicą, oświadczam, że zrobi to pan Konicki. Pracuję nad tym od pewnego czasu i wreszcie się zdecydowałam. – Uderzyła figlarnie rękawiczkami w ramię Konickiego, robiąc jednocześnie tak słodką minkę, jakby sama chciała złapać go na męża. – Prawda, panie Alfredzie?

Zdegustowany Edward z trudem zapanował nad grymasem.

– Hm... No cóż... Eeee... – jękał się Konicki.

– Przyjechałam po to, panie Edwardzie – ciągnęła pani Karolina – żeby pan powiedział uczciwie, czy na pewno nie był z moją siostrzenicą po słowie. Ja muszę to wiedzieć od pana, bo od Antoniny nigdy nic na ten temat nie słyszałam.

Edward stał naprzeciw atakującej go Godziewiczowej, która pochylona lekko do przodu, z napiętym wyrazem twarzy, wyglądała jak doprowadzony do ostateczności kozioł. Ta sytuacja, kiedy powinien podjąć natychmiastową decyzję, zdobyć się na szczerą i powiedzieć, co naprawdę czuje, wcale nie była mu na rękę. Wprawdzie nie oświadczył się pannie Antoninie, czego właśnie zaczął żałować, ale i ona wcale nie zabiegała o to. Zaimponowała mu jednak heroiczną decyzją, zaciągając się w szeregi armii. Ponadto dzielące ich odległość, czas, no i niepewność, czy zechce go jeszcze widzieć, wywołały w nim dziwne obawy, pragnienia i tęsknoty. Uświadomił sobie też, że najsilniej doskwierała mu ostra szpilka zazdrości o mężczyzn, którzy ją otaczają. I nie chodziło tu o rannych. Wyobrażenia podsuwała mu zdrowych, silnych i dzielnych żołnierzy,

bohaterskich, nadzwyczaj mądrych dowódców i nieziemsko przystojnych lekarzy.

– Jest pan z Antoniną po słowie czy nie? – domagała się odpowiedzi pani Karolina, nacierając na niego.

Edward zerknął na Konickiego, który chrząknął znacząco, uniósł wysoko podbródek, a swojej mizernej sylwetce dodał ćwierć cala, lekko wspiąwszy się na palce.

Antonina delikatna – rozważał Edward – chociaż, trzeba przyznać, z silnym charakterkiem. Jak dla mnie może nazbyt inteligentna, ale przecież potrafi być wesoła i wcale nie zarozumiała. I, co ważne, pełna wdzięku, choć raczej przeciętnej urody...

– No, niechże pan powie – naciskała Godziewiczowa, podczas gdy pan Alfred krzywił się jak po zjedzeniu cytryny.

Może Konicki i zasuszony – myślał coraz bardziej zdesperowany Edward, patrząc na niego z niesmakiem. – Ale za to bogaty. Ile to znaczy dla Antoniny?

– Pani Karolino – uśmiechnął się kurtuazyjnie i grając na zwłokę, zajął się fajką, gościom zaś wskazał kanapę. – Proszę spocząć. Pana również proszę – zachęcił Konickiego, który nie wiadomo dlaczego wciąż stał, uciekał wzrokiem i przętykał nerwowo ślinę. – Powiem tak: ciężko myśleć o nowym małżeństwie, gdy niespełna rok temu pochowałem moją ukochaną Elizę. Zdaję sobie jednak sprawę, że kobieta w domu łagodzi obyczaje, wznieca iskry i pilnuje domowego ogniska. Dzieci zaś potrzebują matki. Panna Antonina w moim sercu umościła sobie całkiem wygodne gniazdko i nie chciałbym, żeby szukała innego – tu spojrzął znacząco na Konickiego. – Gdyby nie była tak niesforną, porywczą i upartą, gdyby zostawiła mi więcej czasu, na pewno poprosiłbym ją o rękę – kłamał, lecz od tej chwili powoli utwierdzał się w przekonaniu, że tak właśnie by

postąpił. – Niestety – przyłożył w teatralny sposób rękę do serca – nie zdążyłem.

Godziewiczowa zamrugała oczami i zaczęła wachlować się rękawiczką.

– Och... Mam rozumieć, że zrobi pan to, gdy moja siostrzenica wróci?
– znieruchomiała i wbiła w Edwarda spojrzenie polującej sowy. Wytrzymał je dzielnie, przez co nie zauważył, jak obcas bucika rozmówczyni nadepnął na czarny trzewik Alfreda i wwiercił się w niego z całej siły. Konicki uniósł brwi i szerzej otworzył oczy, ale wytrwał i nawet nie syknął.

– Tak – odparł z lekkim wahaniem Edward.

– No cóż – zwróciła się z udanym żalem do Konickiego, sznurując usta.
– Spóźnił się pan, Alfredzie...

Konicki westchnął. Edward nie mógł się oprzeć wrażeniu, że z ulgą.

Godziewiczowa nie zamierzała widzieć się tego dnia z Rozalią. Bryczka odjechała, a Aniela słój z maślanymi ciasteczkami zatrzasnęła z powrotem w kredensie.

– Niemiła księdzu ofiara, chodź, ciele, do obory – mruknęła matczynym porzekadłem. – Spieszno jej coś dzisiaj.

– Ciekawe, czego chciała? – zastanawiała się Wiesia, spoglądając na opadające tumany kurzu.

– I po co ci to wiedzieć? – wzruszyła ramionami Aniela. – Zabrałabyś się lepiej za ucieranie czosnku do pieczeni. A ty, Kazia, skończyłaś z tą cebulą?

– Jesse nie – odparła Kazia i znów poderwała się z ławy.

– Passie, państwo, Wojsiech od doktora psyjechał! Siekawe, po so?

– O, następna ciekawa – nasrożyła się Aniela. – Przez tę waszą ciekawość obiadu dzisiaj nie będzie.

Sama jednak przystanąła przy oknie i obserwowała, jak Wojciech zeskakuje z konia i o coś Kajetana pyta. Ten złapał się za głowę i nie czekając, aż doktorowy posłaniec na powrót dosiądzie konia i odjedzie, po dwa schody wbiegł na ganek i zniknął w sieni.

Minął może kwadrans, może więcej, gdy pani Rozalia, uchylwszy zaledwie drzwi, wsunęła do kuchni głowę przystrojoną w niedzielny kapelusz. Zapach czosnku i cebuli splótł się z subtelnym aromatem jej perfum.

– Moja Anielu – rzekła głosem niezdradzającym żadnych emocji. – Obiad dziś proszę podać później.

– Pani Rozalia wyjeżdża – skostatowała Anielu, obrzucając wzrokiem jej wyjściowy strój.

– Owszem – ucięła Stalicka i pozostawiwszy kucharkę oraz jej pomocnice w głębokiej, przytłaczającej niewiedzy, dostojnie opuściła kuchnię.

Zygmunt, przyczajony za firanką w swoim pokoju, obserwował uwożący Rozalię i znikający za wzgórzem powóz. Nie interesował go cel jej podróży, a jedynie fakt, że opuściła dworek. Była to okazja do spotkania, na którym niezmiernie mu zależało, a które ze względu na dyskrecję i utrzymanie wszystkiego w najgłębszej tajemnicy, nie mogło dojść do skutku.

Tego szczęśliwego dnia sprzyjał mu nie tylko wyjazd szwagierki, ale także migrena Eulalii i piękna pogoda, bo w tak słoneczne przedpołudnie nie omieszkał namówić swojego afirmanta, Zawiorstę, na przyjemny spacer. Za przewodnika planował dać mu Stasia, niech no tylko Rozalia, lubiąca od czasu do czasu skontrolować przebieg lekcji wnuka, oddali się na bezpieczną odległość.

Korzystne było również zaaferowanie Edwarda, który zamknąwszy się w swoim gabinecie po wizycie Godziewiczowej, zabronił nawet Alojzemu przynieść tradycyjną o tej porze czarną kawę. Bratanek miał widocznie jakieś swoje zmartwienia, bardzo dziś Zygmuntovi na rękę.

Bez skrupułów wszedł do bawialni i przerwał lekcję geografii. Uśmiech pełen satysfakcji, który wykwitł na jego twarzy, spłoszył Joannę, za to przykuł uwagę Stasia.

– Widzę, że lekcja nader interesująca – zagaił, zerkając na rozłożoną przed chłopcem książkę.

– Uczymy się o lasach, wuju – rzekł z dumą Staś. – A czy wuj wie, że w lesie liściastym lżej się oddycha niż w iglastym?

– Tak? – zdziwił się uprzejmie Zygmunt. – A to dlaczego?

– Bo tam jest więcej tlenu.

– Pani nauczycielka ci o tym wszystkim opowiada? – uśmiechnął się figlarnie do Joanny, która natychmiast zarumieniła się i skromnie opuściła oczy.

– Tak, panna Joanna dużo wie... – przyznał raczej grzecznie niż z przekonaniem Staś.

– A czy nie zechciałbyś opowiedzieć o tym lesie panu Adamowi? – zapytał podstępnie Zygmunt i mrugnął do Joanny, która zatrzepotała z zakłopotania rzęsami.

– Teraz? – wytrzeszczył oczy Staś. – Przecież są lekcje. Babcia Rozalia...

– To będzie taka lekcja – przerwał mu natychmiast Zygmunt. – Pójdiesz z panem Adamem do lasu albo nad jezioro i powtórzysz mu wszystko, czego się nauczyłeś. A babcia Rozalia nie musi o tym wiedzieć. To będzie nasza mała tajemnica, chcesz?

– Chcę – rzekł z wahaniem Staś i spojrzał pytająco na Joannę. Ponieważ nie protestowała, uznał, że spacer zamiast lekcji jest dziś dozwolony.

Panna Joanna wydała mu się dziwnie milcząca, gdy pomagała mu się ubrać w jesienny paltocik i skórzane kamaszki. Wszystko leciało jej z rąk i nie radziła sobie z zapinaniem guzików. Staś ostatnio widywał ją w towarzystwie wuja Zygmunta. Najczęściej wtedy otrzymywał jakieś zadanie, więc nie wiedział, o czym tajemniczo szepczą. Tych szczególnych przypadków nie wyjawiał ojcu ani babci Rozalii.

– Ho, ho, mój ty świecie, jakiego mam dziś towarzysza! – zawołał na jego widok Zawiorsta.

Staś roześmiał się uszczęśliwiony nieoczekiwaną wolnością i gwizdnął na psy, które niecierpliwie odbiegały w kierunku drogi, po czym wracały wywijając ogonami. Dobrze wiedziały, że czeka je wyprawa. – Dokąd mnie zaprowadzisz? – chciał wiedzieć pan Adam.

– Nad jezioro! – zawołał Staś i puścił się biegiem drogą, którą kiedyś, jak mu się zdawało, przed wiekami, przechadzał się z matką.

– Zaczekaj! – krzyknął za nim Zawiorsta. – Świecie wielki – sapnął – a któż by tego brzdąca dogonił...

Psy szalały z radości. Staś na szczęście po kilkudziesięciu metrach zatrzymał się i poczekał na swojego towarzysza.

– Pan nigdy tutaj nie był? – zapytał.

– Raz jeden szedłem z panem Zygmuntem, ale deszcz nas złapał i...

– Dzisiaj nie pada deszcz. Wuj mógłby pójść z nami na spacer.

– E, nie – po twarzy Zawiorsty rozlało się błogie rozrzewnienie. – Pan Zygmunt jest wielkim poetą, potrzebuje spokoju i natchnienia. Dziś wolał zostać sam. W zaciszu swojej duszy i własnego pokoju.

– Wuj nie został sam w pokoju, tylko z panną Joanną w bawialni – rzucił Staś i w podskokach pokonał kilka kęp poźółkłej trawy.

– Chwilowo, chłopcze – mruknął pan Adam. – Pan Zygmunt obiecał mi dziś nowy wiersz.

– Pan przyjechał tutaj po wiersz? – zdziwił się Staś.

– Nie tylko. Przyjechałem podejrzeć pracę mistrza. Zagłębić się w jego twórczości. Ale, ach, mój świecie, gdybym miał szczęście być w posiadaniu jego nowego dzieła i jako pierwszy dostarczyć je do czasopisma, literacki świat nie tylko o nim, ale również o mnie by usłyszał.

Staś rozglądał się po okolicy. Nudziły go wywody tego pana.

– Sroka! – zawołał nagle. – Tam, na drzewie!

– Tak? Co ty powiesz? A, rzeczywiście – przyznał na wyrost Zawiorsta, bo sroki nigdzie nie dostrzegł.

– Ja nie lubię srok – wyznał Staś.

– Nie? – zdziwił się uprzejmie pan Adam.

– Lubię czarne kruki. Kruki są mądre – rzekł z przekonaniem Staś.

– Wielki świecie, skąd to możesz wiedzieć? – pan Adam wykrzywił twarz znużonym grymasem. Nie fascynowały go pogawędki z tym chłopcem.

– Kiedyś młody kruk spadł z drzewa. Podfrunął do niego drugi i zaczął głośno krakać. Krakał tak długo, aż przyszedł Kajetan i podniósł tego, co spadł.

– A co z tym drugim?

– Z tym, co krakał?

– Tak.

– Uciekł. Ale dopiero wtedy, gdy młody był bezpieczny, gdy wiedział, że ktoś go wyleczy.

– I ktoś wyleczył? – zapytał Zawiorsta, zerwał suchy badył i uderzył nim rosnące wzdłuż drogi wysokie trawy.

– Babcia Rozalia. Kruk do niej się przyzwyczał i nie chciał odlecieć. Miał nawet swoje miejsce w pokoju od strony ogrodu, tam, gdzie teraz nie wolno mi wchodzić.

– Nie wolno ci wchodzić? – zainteresował się pan Adam.

– Nie.

– A dlaczego?

– Nie wiem. Panna Joanna mi powiedziała, że babcia Rozalia jej powiedziała, że ma mnie pilnować, żebym tam nie wchodził – wygłosił jednym tchem Staś i znów podskoczył kilka kroków.

– To ciekawe – uśmiechnął się pan Adam, tym razem nieco podekscytowany.

– Kazia, ta z kuchni, mówiła, że... – oczy Stasia napotkały baczny i coraz bardziej żądny wiedzy wzrok pana Adama. – Nic... – dokończył przygaszony. Bo właśnie przypomniał sobie babcię Rozalię, która mówiła zawsze, że w pewnych sprawach należy język trzymać za zębami. A Aniela zwykła każdego przestrzegać: „Nie mów nikomu, co się dzieje w domu”.

Zawiorsta oszczędził chłopcu dalszych pytań. Nie znaczyło to jednak, że stracił zainteresowanie dla tajemniczych zamkniętych drzwi.

Powóz toczył się po kamienistej drodze. Rozalia, obserwując opadające korale jarzębin, czerwone i mięsiste owoce dzikich róż, dumiała o dojrzewającym w piwnicy winie i o zbiorze owoców w sadzie. I o tym, że tego lata kury zniosły mniej jaj niż w ubiegłym. Po raz pierwszy kazała je przesypać drobno tłuczoną solą zamiast piaskiem i martwiła się, czy aby wytrzymają do wiosny. Niedługo trzeba zacząć ubój drobiu, konserwować gęsinę, kopcować warzywa, kisić kapustę i szykować przetwory. Po wykopkach należy naprodukować krochmalu do prania bielizny i białych, świątecznych obrusów. Tylko patrzeć adwentu, a potem już Boże Narodzenie wielkimi krokami nadejdzie. Ze wszystkim trzeba się spieszyć, ale co zrobić, jeśli na polach zabraknie parobków do pracy? Edward ostatnio coś wspominał.

Zastanawiała się nad tym wszystkim, żeby odsunąć rzeczywisty cel podróży. Nie zdążyła przemyśleć kwestii, jaką postawił przed nią doktor. Nie zdążyła naradzić się z Edwardem.

Powiodła wzrokiem po szerokiej polanie rozciągającej się aż pod las. Żłociste mimozy z trudem wabią ospałe pszczoły, niewiele ich krząta się nad czuprynkami brązowiejących kwiatostanów. Las przygasł w przymglonym słońcu, zastygł w jesiennym bezruchu, cała przyroda poddała się nieuchronnemu umieraniu.

Dom doktora, zbudowany w miejscu zrujnowanego upływem czasu drewnianego dworu, wynurzał się śmiało, jasno i dostatnio z gąszczu bzów i jaśminów. Latem wita tu gości feeria barw i zapachów, jesień powoli odbiera ten urok, daje w zamian kobierzec zeschniętych liści i szkielet nagich gałęzi.

Anatol wstrzymał konie tuż przed gankiem, na który wytoczyła się dobrze znana Rozalii, pulchna Michasia, służąca doktora.

– Doktorek prosi do salonu – zadudniła niskim głosem, przyjmując od Rozalii okrycie. – Ktoś tam u doktora teraz jest.

– Poczekam – uśmiechnęła się powściągliwie Rozalia. Tylko Michasia, która służyła tu tyle lat, mogła wyrażać się o doktorze tak pieśczośliwie.

– Przyniosę herbaty z różaną konfiturą – zaofiarowała się. – U doktora jest gospodyni naszego proboszcza, to trochę potrwa – dokończyła poufnie.

– Poproszę zatem o herbatę – ucięła Rozalia, sadowiac się na wygodnej, pluszowej kanapie.

Michasia jednak wcale nie zamierzała odejść.

– Księża gospodyni – zniżyła głos – jakichś parchów na rękach dostała – oświadczyła, spoglądając na gościa z upozowaną zgrozą.

– Herbatę proszę bez konfitury – rzuciła, nie podjąwszy tematu Rozalia i sięgnęła po leżącą na podręcznym stoliku książkę. – *Wiersze różne* – przeczytała, nieznacznie poruszając wargami. – *Adam Mickiewicz*.

– Dobrze, jak pani życzy – burknęła nadąsana Michasia i dygnęła, co w wykonaniu tęgiej, siwowłosej kobiety wyglądało dość groteskowo.

Salonik był nieduży. Może ciemne, brązowe ściany z delikatnym, złoconym wzorkiem u sufitu, a może nadmiar mebli sprawiały wrażenie mroczne, mimo że przez południowe okna wpadała smuga słońca. Rozalia, trzymając na kolanach otwarty tomik wierszy, wodziła wzrokiem po porzuconych na stole czasopismach, stosie książek niedbale ułożonych na

komodzie, po fortepianie otwartym, jakby ktoś od niego właśnie wstał i na chwilę odszedł, i zwiewnym szalu, przewieszonym przez oparcie krzesła. W kącie, niedaleko kominka wciśnięto konia na biegunach i barwną drewnianą karuzelkę. Pewnie zrobiło to jedno z czworga dzieci doktora. Nagromadzenie przedmiotów wskazywało na intensywność życia w tym właśnie miejscu i radość wspólnego obcowania.

Wbrew przepowiedniom Michasi, doktor nadszedł, zanim podała herbatę. Zatrzymał się w progu salonu, a ujrzawszy Rozalię, wszedł do środka i zamknął za sobą szczelnie drzwi.

– Dobrze, że raczyła pani przyjechać – odezwał się nachmurzonym, przyciszonym głosem. Jego twarz wyrażała ni to troskę, ni dezaprobatę, przez co Rozalia nie wiedziała, co powinna myśleć.

– Dlaczego zawiadomił pan mnie, doktorze? – zapytała, również zniżając głos do szeptu, chociaż nie wiedziała, przed kim i po co ta konspiracja.

– A dlatego, droga pani – doktor wyprostował się, założył do tyłu ręce i rzekł tonem nieznoszącym sprzeciwu – że ona nie może do Danickich iść.

– Nie rozumiem – obruszyła się Rozalia. – Tam są jej rodzice. Ojciec...

– Ojciec złożył jej skórę, kiedy o brzuchu się dowiedział, i od tamtej pory widzieć jej nie ma zamiaru. Matka nigdy nie miała nic do gadania. A poza tym Malwina tam iść nie chce – podkreślił. – Nie wnikiem, dlaczego. Jestem doktorem, a nie spowiednikiem. Zawiadomiłem panią, bo ona nie ma nikogo innego.

– Co właściwie się stało? – zapytała zrezygnowana Rozalia. Czowała, że nie zdoła wykręcić się z tej misji.

– O to samo mógłbym panią zapytać, ale nie moja to sprawa, dlaczego Malwina ze służby odeszła.

– Nie była na służbie. Była mamką dla Zosi, a jak pan wie, doktorze, w pewnym wieku dziecko nie potrzebuje już mamki. Zrozumiała to i odeszła.

– Tere-fere – burknął rozeźlony doktor. – Niech mi pani uszu nie mami. Gdyby ona zrobiła to, co chce, a nie to, do czego zmusiły ją okoliczności, to nie pocięłyby sobie szkłem nadgarstków.

– Co takiego? – przeraziła się Rozalia i aż podniosła się z kanapy, by spojrzeć w oczy doktora. – Nigdy w to nie uwierzę, że Malwina... Ona zawsze taka spokojna, taka opanowana.

– Do czasu, szanowna pani. Takim spokojem najtrudniej zły los odmienić – westchnął. – W lesie ją chłopci znaleźli. Krwawiła, ledwie dychała. Podnieśli, położyli na wóz i do mnie przywieźli... – Doktor zasępił się, przeczesał palcami włosy.

– Jak się teraz czuje? – zapytała Rozalia.

– Słaba jeszcze. I zła na siebie. Nie wiadomo, czy wstyd jej, że na swoje życie się porwała, czy zła, bo nie udało się... Opatrunki ma na rękach, trzeba zmieniać. Ale pani przecież to potrafi. Można ją dziś zabrać.

Rozalia pokiwała głową. Przez chwilę milczała, potem oczy podniosła na doktora.

– Pan myśli, że ona nie zrobi tego nigdy więcej?

– Ja nic nie myślę, droga pani, nic nie myślę – mamrotał, marszcząc czoło. Wydobył z kieszonki zegarek na srebrnym łańcuszku i długo odczytywał godzinę. – Ja nic nie myślę prócz tego, że jej dusza bardziej zraniona niż ciało. A na to nie bandaży, a czyjegoś zrozumienia i życzliwości trzeba.

Zygmunt krążył wokół Joanny jak ćma dookoła zapalanej świecy. Co rusz rozluźniał uwierający go kołnierz, obmacywał kieszenie, jakby czegoś

szukał, z trzaskiem przestawiał przedmioty na biurku, przy którym siedziała. Ona natomiast z każdym jego krokiem prostowała plecy, unosiła podbródek coraz wyżej i wyżej w poczuciu urażonej dumy i całkowitego braku zrozumienia. Ale nie śmiała mu odpowiedzieć, nie śmiała nawet spojrzeć mu w twarz. Przerazał ją jego temperament, stan ducha i złowieszcze sarkanie. Odwracała więc głowę i uciekała wzrokiem, ilekroć zechciał go pochwycić.

– Panna nie dotrzymujesz umów – grzmiał nad jej głową, wygrażając palcem. – Panna nie wywiązujesz się już drugi tydzień, a mnie grunt pali się pod nogami.

Milczała, tylko czubkiem wąskiego bucika wierciła podłogę, jakby chciała dziurę w niej wykopać i wrzucić tam dokuczliwego zrzędę.

Tymczasem on nie ustawał w coraz napastliwszych wymówkach:

– Po złotówki na te swoje pończoszki i świecidełka rączkę panna wyciągasz, ale w zamian nic, moje niedoczekanie!

– Nieprawda! – zakrzyknęła wreszcie. Poczzerwieniała przy tym z przejęcia, a może i ze strachu, że odważyła się tak ostro odezwać. Pan Zygmunt należał przecież do rodziny Stalickich, ona zaś była tylko zatrudnioną nauczycielką. – Nieprawda – powtórzyła ciszej i skuliła ramiona. – Pieniądze otrzymałam słusznie, a ostatnio pan mi nawet nie zapłacił, choć obiecał. O niczym więcej nie było mowy.

– Jakże nie było mowy? – zasyczał, nachyliwszy się nad nią. Przy okazji zapuścił żurawia w apetyczny dekolt i widok ten nieco złagodził zarówno nastrój, jak i barwę głosu. – Jakże to, panno Joanno?

– Prawdę mówię – szepnęła, czerwieniąc się jeszcze bardziej i sięgnąwszy dłonią po lekki szal spoczywający na ramionach, okryła nim tę odrobinę zuchwałej nagości. – Pan nie prosił o więcej, ja nie pisałam.

– Jak to nie prosiłem? Co mi tutaj panna opowiada? – zezłościł się na nowo. – Taka była umowa: panna piszesz, ja płacę.

– Za ostatni wiersz pan zapłacić nie raczył – przypomniała, zebrawszy się na odwagę, Joanna.

– No bo... Ostatnio ciężko u mnie z gotówką. Nawet w karczmie pokrywam koszty tego nicponia, Zawiorsty. Ale przyrzekam – położył dłoń na piersi – zwrócę wszystko, co do joty. Napisz tylko, panna, coś takiego od serca...

– Od serca? – jęknęła i zatrzepotała rzęsami.

– Nie romantycznego – zastrzegł natychmiast – ale patriotycznego, ma się rozumieć. Obywatelskiego...

– Obywatelskiego? – rozczarowanie odbiło się w jej głosie.

– Już panna tam wiesz, co pisać – zamruczał nad jej uchem. – Mnie na czasie zależy...

– Na czasie? Jakże to tak? Tu potrzebne natchnienie, iskra boża, a nie motyka do wybierania pietruszki – nadąsała się, coraz bardziej pewna siebie. – Pan powinien wiedzieć to najlepiej, wszak mieni się pan poetą.

– Nie mienię się, a jestem nim – rzekł wyniośle.

Joanna nie ważyła się pytać Zygmunta, dlaczego wobec tego sam nie pisze, tym bardziej że ów gnębiciel zacisnął palce na jej ramionach i wycedził prosto do ucha:

– Teraz. Niech panna pisze, zanim ten fircyk ze spaceru wróci. Muszę mieć dzisiaj wiersz.

– Jezu – jęknęła płaczliwie. – Teraz?

– On bez poematu z Przylipia nie wyjedzie – warknął Zygmunt. – Będzie siedział nam, satrapa, na karku. Pisz, panna. Wróć za godzinę.

– Och! Za godzinę?! – wpadła w histerię.

– Za dwie – dorzucił łaskawie Zygmunt i skierował się ku drzwiom. Otworzył je, wysunął głowę na korytarz i rozejrzał się czujnie. Uznawszy, że droga wolna, szybkim krokiem oddalił się do swojego pokoju.

Joanna, zdruzgotana zadaniem, przez chwilę siedziała w oszołomieniu przy biurku. Z braku weny, a może z powodu intensywnego myślenia, jak wybrnąć z beznadziejnej sytuacji, rozbolała ją głowa. Bez wahania udała się do kuchni, gdzie stała apteczna szafa. Wprawdzie pod nieobecność gospodyni apteczka była niedostępna, Joanna jednak łudziła się, że może Aniela, która przy pani Rozalii poznała rozmaite mikstury, znajdzie jakąś radę na ból głowy.

– Po ulewach słońce wreszcie wyjrzało, to i głowa boli – mamrotała Aniela, szperając w szufladkach kredensu.

Joanna tymczasem przysiadła na ławie pod oknem i obserwowała Wiesię zabierającą się do rozpalania ognia pod kuchnią. Ta jak zwykle rozłożyła przed sobą płachtę gazety służącej za podpałkę i zaczęła czytać półgłosem:

– ... dostał trzy pchnięcia bagnetem w udo, dwa w ramię i jedno, poważne w głowę. Od razu utracił przytomność i został uznany za martwego. Niejako po kwadransie dał oznaki życia. Przyniesiono go do szpitala, gdzie z pomocą medyków wyszedł z ran, które pozostawiły mu zaszczytne blizny.

– Kto? – zainteresowała się Kazia.

– Nie wiem. Tu, gdzie nazwisko, gazeta się rozdarła. Chcesz, sama zobacz.

– Ja nie umiem sytaś – wzruszyła ramionami Kazia. – Niech Joanna zobaczy.

Zabrała Wiesi gazetę i wręczyła ją Joannie.

– Nie zwracajcie głowy – zdenerwowała się Aniela. – Wieśka, w piecu pal. A ty, Kazia, śmietanę z mleka zbierz.

Wydawszy polecenia, podała Joannie szczyptę goździków ze słowami:

– Niech tam sobie goździki co jakiś czas przegryza. One ból głowy zabierają.

– Dziękuję, Anielu – uśmiechnęła się z wdzięcznością Joanna i podniosła się z ławy.

– No, ale nazwisko tego żołnieza...– bąknęła rozczarowana Kazia.

– To stara gazeta, Kaziu – zauważyła Joanna. – Wszystko tutaj już nieważne.

– To, że coś było, wsale nie znasy, że nieważne – naburmuszyła się Kazia. – Nie chse, niech nie syta.

Aniela spiorunowała Kazię wzrokiem i znacząco przesunęła w jej stronę bańkę z mlekiem.

– Kaziu, postaram się odczytać to nazwisko – uspokoiła ją Joanna. – Powiem ci, jeśli mi się uda.

– Ziękuje Joannie – dygnęła Kazia, sięgając po łyżkę. Z zadowolenia zaczęła nucić coś pod nosem.

Joanna wróciła do bawialni, rzuciła na biurko gazetę i patrzyła na nią bezmyślnie. Stopniowo ogarniała ją rozpacz. Czas upływał, a ona nie napisała ani jednego wersu. Ani jednego słowa! Nagle wzrok jej przykuł fragment:

Juliusz Słowacki, syn Euzebiusza i Salomei Słowackich, urodzony w Krzemieńcu, wkracza na literackie salony. Czy dorówna naszemu wspaniałemu Adamowi Mickiewiczowi?

Pod spodem wiersz. Piękny, powstańczy. Wymarzony dla tego erudyty od siedmiu boleści. Joanna, świadoma, że Zygmunt kieszenie ma puste,

więc i tak nie zapłaci jej za wysiłek nawet jednego grosza, sięgnęła po papier i zaglądając raz po raz do gazety, poczęła pisać:

*Witaj, wolności aniele,
Nad martwym wzniesionym światem!
Oto w Ojczyzny kościele
Ołtarze wieńczone kwiatem
I wonne płoną kadzidła!*

Cieężko było Edwardowi pozbierać myśli po odjeździe Godziewiczowej. Z jednej strony tęsknił za widokiem Antoniny i z podejrzliwością traktował wszystkich wykoncypowanych adoratorów, z drugiej zaś czuł, że nie pała do niej tak żarliwym afektem, jakim darzył Elizę, a jego namiętność pozostawała dotąd raczej w sferze fantazji niż konkretnych planów. Dopiero obecność Konickiego uświadomiła mu, że utrata może nie gwałtownego, lecz jednak porywu serca jest możliwa. Postanowił więc pielęgnować to uczucie do powrotu Antoniny. Fakt, że narażona w jakimś szpitalu na zakażenie cholera, może nigdy nie wrócić, nawet nie powstał w jego głowie. Postanowił napisać do niej czuły list i wysłać pod adres, który zamierzał zdobyć od pani Karoliny.

Zamysł ten przerwał turkot kół za oknem, rżenie koni i dobiegające z korytarza pokrzykiwanie Cesi:

– Pani przyjechała! Wiesia! Podgrzewaj talerze!

Edward porzucił pióro na biurko i pociągnąwszy dawno wygasłą fajkę, wyszedł niespiesznie na ganek witać matkę.

Serce poderwało mu się w piersi, gdy obok Rozalii ujrzał w powozie Malwinę. Od razu zwrócił uwagę na jej bladość i obojętność, z jaką

spoglądała przed siebie. Przy powozie już kręcił się Wacław, który pomógł wsiąść pani Stalickiej, na Malwinę natomiast ledwie spojrział.

– Edwardzie – rzekła, mijając go, Rozalia. – Przyjechała ze mną Malwina.

– Tak... Widzę – odparł drewnianym głosem, bo nie bardzo wiedział, co zrobić z tą informacją.

– Dobrze widzisz, synu – zauważyła chłodno. – Powiedz tam którejś... Józi może. Niech się nią zajmie, bo nie czuje się najlepiej – dodała i zniknęła w sieni.

Edward nie szukał Józi i osobiście podbiegł do powozu. Przez pierwsze kilka sekund było tylko wzajemne patrzenie. I jego ręce wyciągnięte nie wiadomo dokąd, do kogo, po co. Bo ona ich nie przyjęła. Cofnął się więc o krok i dopiero teraz dostrzegł bandaże.

– Malwina... – szepnął.

Coś bolesnego ścisnęło go za gardło.

Pod wieczór zerwała się wichura. Edward, który wietrzył gabinet, żeby przerzedzić gęste od fajkowego dymu powietrze, teraz zatrzasnął czym prędzej okno. Poryw wiatru zdążył wedrzeć się do środka, przerzucić kilka kartek księgi rachunkowej i zdmuchnąć świece. Zakończył pracę, więc nie potrzebował już światła. Opuścił gabinet i przeszedł do salonu.

Tutaj, w ciepłe rozżarzonego kominka i półmroku zaledwie dwóch trzyramiennych lichtarzy ustawionych w przeciwległych kątach pokoju, zastał wszystkich. Matka i przygaszona wdowieństwem Eulalia siedziały ramię w ramię na pluszowej sofie. U ich stóp przycupnął Staś i w skupieniu układał coś ze szczapek drewna. Miejsce przy kominku zajął jak zwykle Zygmunt, a pod ścianą na zydlu usiadł Zawiorsta. Wszyscy, prócz Stasia, milczący i pogrążeni w zadumie wpatrywali się w ogień i wsłuchiwali w wichurę, która huczała za oknem, nadymała kotary, wyła w kominie.

– Ktoś umarł? – przerwał ciszę Edward i obrzucił zgromadzonych żartobliwym wzrokiem.

– Obyś nie wypowiedział w złą godzinę – odezwała się matka.

– Czy coś się stało? – zmarszczył brwi.

– A mało to się dzieje? – Eulalia poruszyła się niespokojnie na sofie i szczelniej otuliła się chustą. – Jedni giną od bagnatów, drudzy od zarazy,

a ci, co ich kochają, umierają ze zgryzoty.

– To takie bolesne, że ludzie nienawidzą się, skaczą sobie do oczu, okradają jedni drugich – włączyła się Rozalia. – Wystarczy, że różnymi językami mówią, już są wrogami. A przecież każdy z nich to człowiek. Czyjś syn, ojciec, córka albo matka... O ileż lepiej byłoby na świecie, gdyby każdy żył, jak chce, i pozwolił żyć drugiemu.

– Zawsze były wojny – bąknął Zawiorsta. – A na zarazę człowiek i tak nie ma wpływu. Przychodzi nie wiadomo skąd i dziesiątkuje ludzi...

– Domyślam się, że przez tę cholere pan do Warszawy nie chce wracać – pokiwała ze zrozumieniem głową Eulalia. – A ja tęsknię za Warszawą. Za moim domem.

– Którym? – uśmiechnął się zgryźliwie Zygmunt. – Przypomnę łaskawie kuzynce, że ma tam dwie kamienice.

– Z tego żyję – uniosła z godnością głowę. – Proszę mi nie wypominać, kuzynie. To kamienice mojego męża – w tym miejscu głos jej się załamał. – Mój Boże – załkała nagle, przykładając chusteczkę do oczu. – Jakże ja sobie bez niego poradzę?

– Bez męża? – zainteresował się zniecierpliwiony Staś, a Zawiorsta zastrzygł uszami.

– Tak, Stasińku, bez męża – szlochała Eulalia w chustkę.

– Proszę nie rozpaczać – wtrącił się przymilnie Zawiorsta. – Na świecie są inni mężczyźni – dodał, poprawił przeredzoną fryzurę i zaczerpnął powietrza, jakby chciał coś jeszcze dodać, ale wszedł mu w słowo Staś.

– Niech się ciocia nie martwi – podniósł na Eulalię rozjaśnioną twarzyczkę. – Bo na przykład moja mamusia mówiła, żeby Zosię nauczyć samodzielności.

– Ach! Samodzielności – łkała nadal Eulalia. – Czyż nie jestem samodzielna?

– Jest ciocia, ale... – chłopiec zająknął się i patrzył ze współczuciem na ramiona Eulalii wstrząsane szlochem.

– Stasiu, nie mieszaj się w sprawy dorosłych – upomniała go Rozalia.

– Ale, babciu... To chyba nie jest sprawa dorosłych, skoro mamusia mówiła to do mnie – upierał się niepewnie. – Mówiła, żebym bawił się z Zosią jak z chłopcem i w niczym jej nie oszczędzałem, pamięta babcia?

– To dziwne – mruknął Zygmunt. – Takie rzeczy mówić. Moim zdaniem kobieta to kobieta, a mężczyzna to mężczyzna i każde swoje prawa, obowiązki i zwyczaje ma. A tobie pewno coś się pomyliło, nie wierzę, żeby Eliza tak mówiła. Po co niby?

– Po to, żeby Zosia nie potrzebowała do wszystkiego męża – wypalił Staś i z buzią wygiętą w podkówkę wtulił się w babcię. Nie mógł znieść, że ktoś podważa słowa jego matki.

– Ha, ha, ha! Jakie to paradne! Ha, ha! – zaśmiał się Zawiorsta, ale zaraz ucichł pod surowym wzrokiem Edwarda. Eulalia natomiast oderwała chustkę od oczu, rzuciła lodowate spojrzenie Zawiorście, a Stasia obdarzyła czułym uśmiechem.

– Twoja mamusia była bardzo mądra i miała słuszość – powiedziała. – Kobieta musi sobie radzić bez mężczyzny. Wiesz, droga Rozalio? – zwróciła się do kuzynki, a jej słowa zabrzmiały z mocą. – Ja pojedę do Warszawy. Tyle spraw mnie tam czeka.

– Naturalnie, zrobisz jak uważasz – Rozalia życzliwie ścisnęła jej dłoń. – Ale naprawdę, nie musisz się tak spieszyć.

– Jesteś bardzo gościnna, dziękuję – szepnęła Eulalia. – Ale Staś uświadomił mi pewne rzeczy. Ja nie mogę tu siedzieć i rozpaczać. Muszę powstać, działać. Mam jeszcze syna, który we mnie wierzy, jak Staś uwierzył w swoją matkę. Jej już nie ma, ale pozostawiła po sobie słowa, za które ten chłopiec do końca życia będzie ją szanował.

Adam Zawiorsta przyglądał jej się jakiś czas, a ponieważ nie zwracała na niego uwagi, chrząknął i odezwał się do Zygmunta.

– Jakże dziś będzie, mistrzu?

Ten naburmuszył się.

– Nie słyszysz pan, jaka wichura? Psa z domu by nie wygonił, a panu do karczmy się zachciewa. Nigdzie nie jadę.

– Ale ja nie o tym mówię, panie drogi – zaśmiał się nieszczerze. – Mój ty świecie wielki... Obiecał pan wiersz!

Zygmunt uśmiechnął się chytrze.

– A jakże, mam, panie Adamie. Nie marnowałem czasu, jakżeś pan po polach ze Stasiem ganiał. Napisałem piękny wiersz, ale nie dam jeszcze. Poemat wymaga szlif, nie można tak na surowo.

– Ja to rozumiem – przymlał się Zawiorsta. – Ale, mój świecie, choć aby na słówko pozwól zerknąć.

– Nie ma mowy. Głupiemu nie pokazuje się połowy roboty. To znaczy, tego... – zreflektował się i machnął ręką. – Nie to, żebym pana głupim nazwał, ale tak się mówi, rozumiesz, pan.

– Rozumiem – westchnął zrezygnowany Zawiorsta. – W takim razie nic innego mi nie zostaje, jak zagłębić się w lekturze, którą w bibliotece upatrzyłem. Dobranoc państwu.

– Na kolację pan nie przyjdzie? – zdziwiła się Rozalia.

– Eeee... Nie wiem. Głowa mi trochę dokucza – bąknął i zniknął za drzwiami.

Ulotnił się tak szybko, jakby o czymś sobie przypomniał – pomyślał podejrzliwie Edward. – I co za wykręt: głowa. Do tej pory się nie skarżył.

– Pójdę i ja – skłonił się przed matką i Eulalią. – Sprawdzę, czy drzwi wszędzie dobrze zamknięte.

– Kajetan sprawdzał – uniosła brwi Rozalia. – Nie musisz tego robić.

– Spokojniejszy będę – pożegnał się skinieniem głowy i wyszedł.

Czy on aby do tej Malwiny nie poszedł – przemknęła przez głowę Rozalii niespokojna myśl.

– A kuzynka? – po twarzy Zygmunta rozlał się lukrowaty uśmiech. – Nie chciałabyś, droga Eulalio, do instrumentu zasiąść? Rad bym muzyki posłuchał.

– Jestem w żałobie – ucięła oburzona propozycją Eulalia. – Jakże mogłabym na fortepianie grać?

– Przecież nie namawiam do obertasa – obraził się Zygmunt. – W takim razie po cóż w salonie siedzieć, gdzie fortepian stoi – burczał z niezadowoleniem, aż rozdrażniona jego tonem wymówiła się przed Rozalią zmęczeniem i wyszła.

– A ty, kawaler, co tam majstrujesz? – zaczepił z kolei Stasia.

– Próbowałem takie okienko zbudować, wuju. Ale mi nie wychodzi – poskarżył się chłopiec.

– Idź do Kajetana, on umie – poradził zadowolony z siebie Zygmunt, bo Stasia nie trzeba było dwa razy prosić. Zaraz pozbierał swoje patyki i umknął z salonu.

– No, i jesteśmy sami, Rozalio – zachichotał lubieżnie Zygmunt, błyskawicznie przesiadając się z fotela na sofę.

– Och, odejź, bezwstydniku – oganiała się jak od muchy, krzywiąc się z niesmakiem. – Zawiorsta ci nie wystarczy? Widzę, jak się do ciebie ślini.

– Przecież to męzczyzna – roześmiał się Zygmunt i lepkiem chwytem złapał Rozalię za kształną pierś. – Ja nie gustuję. Nie ma takich krągłości – dodał pożądliwie.

– Tfu! Niegodziwiec – syknęła Rozalia, zerwała się z miejsca i zaczęła się otrzepywać, jakby oblaży ją robaki. – Skoro o nim mowa, kiedy

odprawisz tego swojego adoratora? – zapytała z pretensją, odsuwając się na bezpieczną odległość. – Mam dość goszczenia go w swoim domu.

– Pojedzie, pojedzie, jak dostanie ode mnie poemat.

– Daj mu więc jakieś swoje wierszydło i niech jedzie z Bogiem – fuknęła.

– A ty wciąż we mnie nie wierzysz – westchnął boleściwie, wznosząc oczy ku niebu. – Wierszydło, ileż szyderstwa w twoich słowach. Ale przekonasz się Rozalio. Już niedługo przekonasz się, com wart. Dziś napisałem taki wiersz... Ech, nie ma sobie równych.

– Daj ci, Boże – ironizowała. – To może dasz mu wreszcie to wiekopomne dzieło, staniesz się sławny i wyniesiesz się razem z tym swoim wielbicielem – gestem wskazała drzwi. – Tymczasem nie przeszkadzaj sobie w obmyślaniu nowych strof. Wychodzę.

– Spotkamy się na kolacji, najdroższa – przyłożył rękę do serca i z atencją przymknął powieki. – Szykuj sole trzeźwiące, bo wiersz głośno będzie dziś czytany. A ja już za tobą tęsknię, ukochana, pa! – strzelił palcami i zachichotał.

– Błazen – mruknęła Rozalia i wyszła.

Edward wciąż stał na korytarzu i przez okno, to samo, przy którym stał, gdy rodziła się jego córka, spoglądał w mrok. Wicher wył, wyginał drzewa, przypominał niejedną taki dzień, gdy u boku miał swoją ukochaną Elizę, tulił ją do serca i uciszał jej niepokoje. Teraz zapragnął mieć w ramionach Zosię, maleńką kopię swojej żony, która być może też nie znosi wiatru.

Przed wejściem do jej pokoju powstrzymywała go obecność Malwiny. Dziwne, że przez te kilka dni, gdy była tam Wanda, nie miał problemu z przekroczeniem progu. Nie rozumiał, dlaczego właśnie Malwina sprawia, że więźnie mu głos w krtani i traci zwykłą śmiałość.

Postanowił dać sobie czas na ponowne oswojenie się z jej obecnością i zamiast do Zosi ruszył do Borisa. Zatrzymał się jak wryty i aż zadrżał na widok, który wzburzył go do granic.

Pod drzwiami Borisa, z okiem przyklejonym do dziurki od klucza i z wężącym haczykowatym nosem, klęczał Zawiorsta. Jego półotwarte z ekscytacji usta wskazywały, że ujrzał tam coś niezwykle interesującego. Zresztą, nie musiał się wysilać w domysłach, bo zza drzwi dobiegał niczym nieskrępowany śpiew:

Zdes, gde Bajkał tianietsa s moria

Czerez sneg, sztorm i nocz...

Edward zmełł między zębami przekleństwo i zacisnął pięści.

– Pan zabłądził? – odezwał się tuż nad głową intruza, nie kryjąc irytacji.

Zawiorsta podskoczył jak oparzony i odwrócił głowę. Ale osłupienie trwało zaledwie ułamek sekundy. Można by stwierdzić, że w ogóle nie stracił rezonu. Podniósł się, otrzepał kolana, dotknął kołnierza, fryzury, poprawił poły kamizelki, po czym wolnym krokiem z bezczelnym uśmiechem przeszedł obok niego.

– Jutro nie chcę tu widzieć pana! – zawołał za nim Edward, grzebiąc nerwowo w kieszeni w poszukiwaniu klucza od pokoju Borisa.

Zawiorsta odwrócił się z wolna, uniósł do góry wskazujący palec, a jego uśmiech przybrał obrzydliwy, cyniczny wyraz.

– Oj – odezwał się tonem aroganckim i, jak się Edwardowi wydawało, ostrzegawczym. – Oj... – pogroził palcem i oddalił się nonszalanckim, niemal tanecznym krokiem.

– Niech to szlag! – przeklął Edward. Drżąc cały ze zdenerwowania otworzył drzwi i wtargnął do pokoju Borisa.

– Cicho bądź – syknął. – Przestań śpiewać!

– No, jakże – rozpromienił się Boris. – Na szczęśliwą nowinę, jakże nie śpiewać? A ja widział, dziś ona wróciła. Moja krasawica, mój kwiat. Malwina. Ja szczęśliwy.

– Oszalałeś. Zbieraj się, musisz natychmiast opuścić ten dom – szeptał rozgorączkowany Edward i rozejrzał się po pokoju. – Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy, szybko!

– Ot, wydumał ty. Na taki wicher ani myślę iść. Taki z ciebie drug...

– Nie jestem twoim przyjacielem – zdenerwował się Edward. – Ale wrogiem też ci nie jestem, dlatego słuchaj, co do ciebie mówię. Musisz natychmiast stąd zniknąć, inaczej, kto wie, czy tę noc przeżyjesz.

Boris przestał się uśmiechać, a jego oczy zwęziły się w złości.

– Kto mi wróg? Ty mnie powiedz, kto to? Ten durak, Zygmunt? On nawet na karty już nie przychodzi. A wiesz, dlaczego on nie przychodzi? – zarechotał złośliwie. – Bo wygrywał tylko wtedy, gdy mi pistolet do głowy przystawiał. Ja mu odpuszczałem, ale wiem, że on strzelać nie umie, ot co!

– Głupiś – warknął Edward. – On nie przychodzi przez tego, co ci naprawdę zagraża. Przyjechał z Warszawy i nie wiadomo, czego tu węszy. Zbieraj się, jeśli nie chcesz kłopotów.

– Ani myślę – zakpił Boris. – Widział ja tego elegancika, jak po ogrodzie z Zygmuntem spacerował. – Nie boję się go. U mnie siły za dwóch.

Edward sam wyciągnął spod łóżka zniszczony plecak i zaczął wrzucać do niego, co popadło.

– Słuchaj – tłumaczył coraz bardziej zły. – On bić się z tobą nie będzie, a pójdzie i doniesie, gdzie trzeba. Przez ciebie wszyscy będziemy mieć kłopoty. Zbieraj się, mówię!

Boris spowaźniał.

– Dla spokojnego sumienia, za to, żeś mnie już raz od śmierci uratował, niech będzie po twojemu – odstąpił. Odgarnął z okna firankę i wzdrygnął się na widok szalejących na wietrze drzew. – A gdzie mnie iść w taką wichurę? – szepnął.

– Boris... – dobiegł ich głos od strony drzwi.

Obaj odwrócili się gwałtownie.

Żaden z nich nie słyszał, kiedy weszła i jak długo tu stała. Posągowa i blada jak marmur, w sukni z wrzosowego aksamitu, od której odcinała się czerń przerzuconego przez ramię warkocza. Zachwiała się i oparła o framugę drzwi.

– Ja... przepraszam, jeśli przestraszyłam – szepnęła, patrząc Edwardowi w oczy. – Przyszłam przywitać się z nim – wskazała Borisa, który gapił się na nią z zachwyconym uwielbieniem. – Dużo dobrych słów miałam od niego. Jak od przyjaciela.

– Malwina! – Boris zrobił krok w jej kierunku, jakby chciał chwycić ją w ramiona, lecz powstrzymał go spłoszony wzrok dziewczyny i surowy Edwarda. – Malwina – powtórzył ciszej i zamilkł.

– W moim pokoju jest miejsce, można posłanie na podłodze urządzić. Nikt nie będzie szukać w sypialni, gdzie jest dziecko z mamką... Ja się nie boję, przez tyle miesięcy poznałam Borisa, wiem, że swój honor ma i krzywdy mi nie robi. Ufam jak rodzonemu bratu. O tę jedną straszną noc chodzi. Potem, niech go Bóg dalej prowadzi.

– Jesteś bardzo szlachetna – uciął Edward. Zakłuły go jej słowa. – Ale i o twój honor chodzi. Przekonałem się już, że tutaj niczego ukryć nie można. Powiem Kajetanowi, niech w stodole przygotuje dla Borisa miejsce. Przez noc pomyślę, co dalej robić.

Kolacja przebiegała w dziwnym napięciu. Joanna, zazwyczaj nieobecna duchem, dziś strzelała niespokojnymi oczami, unikając czyichkolwiek spojrzeń. Staś, może ze względu na panującą wicherę, kapryśnie demonstrował zły nastrój. Rozalia z zimną wzgardą traktowała Zygmunta, a Eulalia, zamyślona nad czekającymi ją wyzwaniem w Warszawie, w milczeniu popijała herbatę. Tylko Zawiorsta, jakby zapomniawszy o niedawnym incydencie z Edwardem, wiercił się przy stole podekscytowany nowym zdarzeniem. Niewiele jadł i raz po raz zerkał na białą kopertę spoczywającą obok nakrycia Zygmunta. Ciekaw był obiecanej wiersza, poza tym liczył na zaszczyty, gdy dostarczy do redakcji taki unikat, jeszcze ciepły, wprost spod ręki mistrza.

Edwarda nic a nic nie obchodziła twórczość wuja. Ledwo hamował wściekłość na niego za wydanie domowej tajemnicy. Wprawdzie obecność Borisa pod tym dachem okazała się sekretem poliszynela, jednakże wyjawienie go obcemu uznawał za podłą zdradę. I to właśnie zamierzał wytknąć dziś wujowi, gdy ten jak zwykle wprosi się do gabinetu bratanka na fajkę.

Zygmunt tymczasem kończył przeżuwać ostatnie kęsy pieczonej kaczki. Wzrok Zawiorsty towarzyszył każdemu poruszeniu szczęki poety, przelęganiu, palcom sięgającym po krochmaloną serwetę, wędrującym ku zatłuszczonym wargom, które najchętniej osobiście otarłby nawet własną chusteczką, byle przyspieszyć wyczekiwaną chwilę. Zygmunt, świadom tej niecierpliwości, zerkał na niego, uśmiechał się z wyższością, zwlekał.

Wreszcie sięgnął po kopertę, otworzył ją, wydobył zapisaną drobnym maczkiem kartkę i wstał. Zawiorsta splótł dłonie, skarcił wzrokiem Stasia marudzącego przy talerzu, po czym przymknąwszy oczy, wyczekiwał.

Zaległa cisza z tych najbardziej uroczystych, skalana jedynie szelestem papieru wydobywającym się spod palców artysty.

Zygmunt powiódł po wszystkich napuszonym wzrokiem, a uznawszy, że ich uwaga wystarczająco jest skupiona, zaczął czytać:

Witaj, wolności aniele...

Przy pierwszych słowach błogi uśmiech rozlał się po twarzy Adama Zawiorsty. Sięgnął po lewą dłoń Zygmunta, która spoczywała na obrusie i uścisnął ją serdecznie. W jego oczach pojawiły się łzy wzruszenia.

Nad martwym wzniesionym światem!

Odczytał z patosem Zygmunt i zrobił znaczącą przerwę. W tym momencie czoło Zawiorsty przecięła pionowa kreska. Przekrzywił głowę jak kura i nastawił ucha, gotów łowić z napiętą uwagą każde następne słowo.

Oto w Ojczyzny kościele

Ołtarze wieńczone kwiatem

I wonne płoną kadzidła!

Zagrzmiał Zygmunt i uniósł do góry wolną dłoń.

Eulalia, którą nudziła poezja, wodziła spojrzeniem po twarzach gości. Minęła zimną obojętność Rozalii, zirytowanie Edwarda, omiotła wzrokiem zaintrygowane zastanowienie w oczach Zawiorsty, by wreszcie zatrzymać się na pobladłym licu Joanny, która rozchyliwszy usta, oddychała jak ryba wyrzucona z wody.

Patrz! tu świat nowy – nowe w ludziach życie – zdążył jeszcze wyrzucić z siebie pompatycznie Zygmunt, gdy siedzący przy nim Zawiorsta z całą

mocą uderzył pięścią w otwartą dłoń. Zawsze to robił, gdy był czymś do głębi poruszony.

– A niech mnie! – zawołał. – Świecie wielki! Jak żyję, czegoś takiego nie słyszałem!

Szeroki, pełen satysfakcji i dumy uśmiech rozlał się po obliczu poety. Gdyby jednak obejrzał się na swojego niedawnego wyznawcę, zdziwiłby się na widok zaczerwienionej hamowaną wściekłością twarzy i pałających chęcią zbrodni oczu.

Nie obejrzał się, więc niewzruszony ciągnął dalej:

Spójrzal – i w niebios błękicie

Malowne pióry złotemi...

Zawiorsta tymczasem cedził coś przez zęby, uderzając zwiniętą pięścią lewej ręki w prawą otwartą dłoń, co było przejawem bezgranicznej irytacji, jeśli nie narastającej furii.

Rozalia, dotąd niezbyt zaangażowana w popisy szwagra, teraz zaintrygowana przedziwnym zachowaniem Zawiorsty, odłożyła widelec i nie spuszczać z nich oczu, przełknęła ostatni kęs kaczki i machinalnie otarła serwetką usta.

Roztacza nad Polską skrzydła

I słucha hymnów tej ziemi

Odczytał z egzaltacją Zygmunt, gdy napięte do granic nerwy Zawiorsty pękły jak mydlana bańka.

Zerwał się z krzesła i chwycił poetę za poły kamizelki.

– Zamknij się, pan! – wykrzyknął, wywołując poruszenie przy stole. Szarpnął nim mocno, aż głowa Zygmunta podskoczyła jak u kukły. – Podły,

zuchwały imitator! Pyszałkowata, kłamliwa papuga! Jak pan śmiesz! – gromił.

– Co? Co? – zdołał wyjąkać napadnięty przed dalszą lawiną inwektyw.

– Złodziej! Szubrawiec, przedrzeźniacz! Żebym cię nigdy nie poznał, oszuście ty! Kuglarzu i... i... – zająknął się, bo chyba zabrakło mu słów. – Papuga! – dokończył z furją.

– Ale – usiłował dojść do słowa Zygmunt. – Co pan?...

– Papuga! Papuga! – darł się Zawiorsta, wciąż nim potrząsając, jakby postradał zmysły.

Nikt nie zauważył, kiedy do jadalni wsunęła się Kazia, ustawiła na podręcznym stoliku dzbanek z herbatą i wymknęła się czym prędzej w popłochu.

– Panie Adamie, o opanowanie proszę! – odezwał się ostro Edward. – Dość już tego. Czy może nam pan wyjaśnić, co się stało?

Zawiorsta natychmiast zamilkł. Usiadł i drżącą dłonią przyczesał włosy. Wszyscy widzieli, że cały trząśł się z nerwów. Również wtedy, gdy z kieszeni wydobyl chusteczkę i ocierał nią spocone czoło. Odchrząknął. Poruszył głową, jakby sprawdzał, czy dobrze osadzona na karku, po czym odezwał się zdławionym złością głosem:

– Nie wiesz pan?

– Nie – odparł sucho Edward.

– Nikt nie wie? – Zawiorsta powiódł wzrokiem po skonsternowanych twarzach.

Rozalia i Eulalia zaprzeczyły jednocześnie, Staś uśmiechnął się półgębkiem i korzystając z nieuwagi nauczycielki, palcem rozsmarowywał śmietaną po talerzu. Jedyne Joanna złożyła ręce i zanim uciekła wzrokiem, pan Adam dostrzegł w jej oczach iskierkę zrozumienia. Przez dłuższą

chwilę uparczywie szukał jej wzroku, lecz wyraźnie nie życzyła sobie żadnych aluzji.

– Cóż więc? – niecierpliwił się Edward, podczas gdy naindyczony Zygmunt rozpinał i zapinał guziki u kołnierza.

– Cóż więc? – odezwał się tryumfalnie Zawiorsta. – Cóż więc? A, no to bardzo proszę.

Wyszedł z za stołu i widząc przed sobą całe audytorium, zadeklamował:

A tam już w cieniu wieków za nami się chowa

Duch niewoli i dumną stopą depta trony.

Zgina się pod ciężarem skrwawionej korony,

Mówi – ale niezrozumiałe z ust wychodzą słowa.

– Co? Co?... – wyjąkał Zygmunt już przy pierwszych słowach. Gwałtownym ruchem odsunął nakrycie, aż filiżanka potknęła się o widelec i upadła z brzękiem na talerzyk. – Nie może to być – powtarzał, prostując na obrusie kartkę z wierszem, skąd czytał te same słowa. – To moje przecież, ja tak pisałem, to moje...

– Złodziej – przerwał deklamację Zawiorsta i spojrzał na Zygmunta z pogardą. – Oszust i złodziej. Mnie, znawcę i miłośnika poezji, nie oszukasz pan. Ja w tym od lat siedzę. Wiersz napisał Słowacki!

– Kim jest Słowacki? – uniosła brwi Rozalia. – Nie słyszałam...

Zawiorsta, spokojniejszy już, wrócił na swoje miejsce przy stole.

– Szanowna pani mogła nie słyszeć, bo to młodzieniec jeszcze – wyjaśnił grzecznie. – Zaledwie rok temu debiutował i to anonimowo.

– Tak? – zdziwiła się uprzejmie Rozalia. – Co pisał?

– Romantyczna powiastka, droga pani, młodzieńcza wprawka. To doprawdy nic wielkiego: poemat *Hugo*. Ale już co innego, to patriotyczne

dzieło! *Odą do Wolności*, którą szwagier pani łaskaw był przedstawić, Słowacki polemizował z samym Mickiewiczem. Opublikował ją niedawno w naszej gazecie, nigdzie więcej, lecz jeśli o mnie chodzi, wróżę mu wielką przyszłość.

Zawiorsta upił łyk czerwonego wina i dorzucił przez zaciśnięte zęby, zerkając w kierunku Zygmunta:

– Ja, panie Stalicki, tego tak nie zostawię. To umyślnie popełniony występki przeciw czyjemuś mieniu. Pan jesteście przestępcą.

Wszyscy patrzyli na Zygmunta, dlatego nikt nie zauważył rozpalonych policzków i rozbieganych oczu Joanny. Sam zainteresowany dawno zepchnąłby na nią winę, gdyby nie zagrożenie, że prawda o poprzednich utworach wyjdzie na jaw i jasne się stanie, że to Joanna jest poetką, nie on. Nie wiedział jak z tego wybrnąć, ale okazja nadarzyła się sama, bo Zawiorsta podążył tym samym tokiem myśli.

– Ciekaw jestem – zauważył z sarkazmem – komu wcześniej kradł pan wiersze. Świecie mój! – zaśmiał się szyderczo. – Chyba nie Mickiewiczowi?!

– Zamilknij pan! – nie wytrzymał Zygmunt. – Nikomu nie kradłem! Dość już!

– Nie? – ironizował Zawiorsta. – To kto je pisał?

– Ja... – odezwała się nagle słabym głosem Joanna. – Ja pisałam. Przepraszam...

W jadalni zaległo milczenie.

Śmiertelny bezwład, który po chwili zakłóciło gwałtowne szurnięcie krzesła, sprężysty krok Zygmunta i dosadne w swojej sile trzaśnięcie drzwi.

Potem znów cisza.

– Joanno – dało się słyszeć jęśliwe napomnienie Rozalii. – Joanno, jakże to tak? Pisałaś wiersze dla... a może raczej „za” pana Stalickiego?

– Przepraszam – przerażona Joanna ledwie wydobyła z siebie głos.

– Ale za co tu przepraszać? – wtrącił Zawiorsta. – Mistrzostwo! To po prostu mistrzostwo! – zawołał, przechylając się przez stół.

– Ale to... Ten dzisiejszy popis, co miał znaczyć? – badała Rozalia. – Ja nie rozumiem...

– Wstydzę się tego, co zrobiłam – bąknęła Joanna. – Przepisałam wiersz pana Słowackiego z gazety, bo pan Zygmunt przestał się dzielić ze mną swoim honorarium.

– Ha, ha, ha! – zaśmiał się pan Adam i uderzył dłońmi o kolana. – Mój wielki świecie, jak dobrze, że tak się stało!

– Dobrze? – Rozalia była nieco zdezorientowana.

– Inaczej prawda nie wyszłaby na jaw – spoważniał Zawiorsta. – Przykro to mówić, ale pan Stalicki, Zygmunt, oczywiście – skłonił się z szacunkiem przed Edwardem. – Pan Stalicki jest zwykłym oszustem. Kara musi być! Natomiast pani – tym razem złożył ukłon przed spłoszoną Joanną – szacunek. Mój wielki szacunek. Pozwoli pani – dodał, ruszając w jej kierunku – że rączki tak utalentowanej ucałuję.

Edward długo nabijał fajkę, namyślając się, od jakich słów zacząć.

Zygmunt, mimo dramatycznych chwil przy stole, zbyt słaby był na duchu, by zrezygnować z tradycyjnego palenia w gabinecie bratanka. Tym bardziej, że tytoń również brał od niego.

– No, wuj dał nam dzisiaj popis – zagał Edward. Chyba niefortunnie, bo Zygmunt wybałuszył na niego pełne pretensji oczy i gniewnie potrząsnął głową.

– Nie waż się gadać o tym nicponiu Zawiorście – warknął. – To profanacja takiej chwili.

– Jakiej? – zdziwił się Edward.

– Najlepszej z całego dnia, czyli dobry tytoń w twoim towarzystwie.

Edwardowi raczej ciążyła ta obecność, dlatego zamilczał pochlebstwo, założył ręce do tyłu i stanął przodem do okna. Na dworze panowała ciemność i nie ustawał wiatr, który szczelinami wdzierał się do gabinetu. Firanka poruszała się niespokojnie.

– Kuzynka Eulalia rusza pojutrze do domu – mimo irytacji Edward starał się mówić delikatnie, dość miał awantur na dzisiaj. – Daję jej konie, a Anatol powiezie ją do granic Warszawy.

– Postąpisz wielkodusznie, że tak się wyrażę, po dżentelmeńsku – wyraził uznanie wuj i zaciągnął się z przyjemnością. – Doskonały tytoń,

doskonały – pochwalił i aż cmoknął dla podkreślenia tej oceny.

– Taki sam, jaki podarowałem wujowi tydzień temu – zauważył z przekąsem Edward.

– Ach – machnął dłonią Zygmunt. – Po moim śladu już nie ma. Tak to jest, gdy dwóch głodnych myśliwych jedną chudą kaczkę upoluje – skrzywił się. – Ten darmozjad, Zawiorsta, nigdy nie ma swojego.

– Właśnie dlatego wspominam o kuzynce Eulalii – przełknął uwagę Edward. Nie chciało mu się podejmować tematu materialnej kondycji wuja. – Może pan Zawiorsta zechciałby się razem z nią do Warszawy zabrać?

– Tego nie wiem – skonfundował się Zygmunt. – Byłoby pięknie, gdyby się wyniósł, ale szczerze mówiąc, trochę się tego boję. Bo to rozumiesz – nachylił się poufale i zniżył głos – on pismakiem jest. Pracuje w tej gazecie, co to wiesz... Teraz może rabanu narobić.

– Wcale mnie to nie zdziwi – mruknął pod nosem Edward.

– Widzisz, bo on chyba nie rozumie, że poezji nie można się nauczyć. Albo ma się ten dar boży, albo nie.

– Czyli wuj go nie ma – uśmiechnął się złośliwie Edward.

– Ignorant! – rozzłościł się dotknięty do żywego Zygmunt. – Kto powiedział, że nie mam? Ja tworzę powoli, ze smakiem, bo prawdziwym poetą jestem, nie sprzedawcą jajek.

– Tak? – Edward ironicznie uniósł brew. – Jest więc szansa, że do śmierci wuj coś napisze?

– Chyba w matkę z tą złośliwością się wdałeś, bo w mojego brata na pewno nie – parsknął Zygmunt. – A wracając do Zawiorsty, masz rację, on musi jak najszybciej opuścić ten dom. I moja w tym głowa, żeby gębę mu zamknąć – rzekł stanowczo.

– Gębę zamknąć? A co wuj ma na myśli?

– E... Takie tam... – machnął ręką i uciekł wzrokiem.

– Niech wuj nie mówi, mnie nie obchodzi nic poza tym, żeby Zawiorsta o Borisie się nie dowiedział.

– Skąd? – wytrzeszczył oczy Zygmunt. – Ja mu nie pisałem słówka! Nawet na karty przestałem tam chodzić, choć ten ruski paradny był, kiedy się mojej strzelby bał. Tak się bał, że aż przegrywał – zachichotał.

Edward daleki był od żartów.

– Owszem, pisał wuj. Może po pijanemu w karczmie, czego wuj nie pamięta. Dość, że Zawiorsta wie. Zaczął się Borisem interesować.

– Ja nic mu nie mówiłem – zapewniał nadąsany Zygmunt. Wstał z fotela i zaczął przechadzać się po gabinecie, dotykać okładek zgromadzonych na półkach książek, przekładać drobiazgi na biurku. Chrząkał przy tym i prychał jak prosię nad korytem. – Niedobrze – powtarzał. – Bardzo niedobrze. A może – plasnął dłonią w czoło – może sam się niechcący wygadałeś?

– Niechże wuj się opamięta ze swoimi sądami – zdenerwował się na dobre Edward. – Co za nedorzeczny pomysł. Prawie z nim nie rozmawiam. Mniejsza o to, skąd on wie. Ważne, żeby zmilczał.

Zygmunt pykał fajką, bębnił palcami o poręcz fotela.

– Nic tak dobrze nie czyni z jego głową, jak dobry trunek – odezwał się w końcu. – Jutro pojednawczo zabiorę go do karczmy na pożegnalną gorzałkę. Tam go poproszę, żeby o wszystkim, co tu zobaczył i usłyszał, zapomniał. Jak się dobrze napije, to się zgodzi. Co? Jak myślisz?

Edward spojrzał na wuja z powściągliwą aprobatą.

– Jeśli wuj tak uważa...

– Tak. Już go poznałem, wiem, że lubi ten rozgardiasz w głowie po dobrej gorzałce. Tylko...

– Co: „tylko”? – zaniepokoił się Edward.

– W karczmie trzeba płacić – oznajmił żałośnie Zygmunt.

– Spodziewam się – uśmiechnął się kwaśno Edward. – Sporo mnie już te wizyty wujowe kosztowały. Proszę – wysupłał kilka banknotów i wręczył Zygmuntowi.

Była to jedna z tych nocy, które nie przynoszą snu. Jękliwy wiatr wdzierał się do uszu, a niebo raz po raz tonęło w gęstym kłębowisku chmur, zatapiając wszystkie księżycowe próby zaistnienia. Pojawiająca się i znikająca srebrzystość to ukazywała, to zacierała na ścianach pokoju czarne cienie rozszalałych drzew.

Edward przewracał się z boku na bok, nasłuchując podszeptów złowrogiej ciemności, zastanawiał się, ile kryje się pod nią okrucieństwa, podstępnych zamierzeń i czynów. To uciążliwe czuwanie przywiodło mu na myśl Borisa ukrytego w stodole, której nieszczelne ściany przepuszczały do środka porywisty, przejmujący wiatr, a mroczna przestrzeń, którą w każdej chwili mogła wypełnić czyjaś nieproszona obecność potęgowała strach. Wyobrażenia podsuwała mu coraz bardziej dramatyczne obrazy, dlatego wygrzebał się z pościeli, ubrał i wyposażony w dodatkowy koc dla Borisa, wymknął się na korytarz. Zaraz jednak zatrzymał się gwałtownie i zacisnąwszy zęby, trwał tak krótką chwilę, gdyż w senną ciszę domu wdarł się paraliżujący odgłos skrzypiących drzwi. Od dawna skrzypiały, ale w ciągu dnia na ten dźwięk nikt nie zwracał uwagi. Nie zapaliwszy nawet świecy, Edward skierował się do wyjścia od strony sadu. Przejście przez cały korytarz obok salonu i bawialni, przez hol i sień, wiązało się z ryzykiem spotkania jakiegoś nocnego marksa. Mógł to być szwendający się po pokojach w poszukiwaniu wina Zygmunt, ktoś ze służby albo, co gorsze, żądny kolejnych sensacji Zawiorsta.

Ledwo uchylił drzwi, wichura silnym szarpnięciem odebrała mu je, by po chwili zwrócić mocnym pchnięciem. Uporał się z nimi i przeszedł kilka kroków, gdy zauważył czyjąś postać majaczącą w ogrodzie. Spiał się cały

i wyteżył wzrok, lecz zaraz uświadomił sobie, że nie był to człowiek, a jedynie kołyszące się gałęzie drzew. Skarcił się w duchu za te natrętne majaki, pewnym krokiem przeciął dziedziniec, minął gąszcz ozdobnych krzewów, za którymi rysowały się zabudowania gospodarcze.

Otworzył zabezpieczone skoblem wrota stodoły i wsunął się do środka. Uderzył go intensywny zapach siana, bezbrzeżny mrok i dojmujący lęk przed czymś nieodgadnionym, nierzeczywistym, złowieszczym. Bez mała czuł na plecach rzucającą się znienacka postać, jak wtedy, w starej chacie po drugiej stronie jeziora.

– Boris – szepnął. Głos, który jemu samemu wydał się świszczący i widmowy, omiół gęstą jak smoła przestrzeń i powrócił bez echa. – Boris – powtórzył głośniej i cofnął się do wyjścia. Czując rześki powiew z zewnątrz, zrobiło mu się nieco raźniej. – Jesteś tu? Boris?

Cisza zdawała się nie do zniesienia, a wypełniający ją jego własny głos, przerażał. Mimo to zawołał jeszcze głośniej: – Boris!

– Ktoże tu? – usłyszał po długiej chwili rozspaną odpowiedź gdzieś z głębi. – Edward?

– Nareszcie – odetchnął z ulgą. – Tak, to ja.

Szelest siana i coraz wyraźniejszy oddech wskazywał na zbliżające się kroki.

– Tobie spać jaki czort nie daje? Czegoż po noczy łazisz? – zapytał prawie nad uchem Edwarda.

– Nie wiem. Może złe przeczucia.

– Ot, ty pod pańską pierzyną chowany. Czego się bać? Twoje ludzie wierne, pary z gęby nie puszcza. Widać, dobrze ty ich traktujesz, skoro tak chcą odpłacić. A tamtego elegancika ja się nie boję. Jeśli on w czym mocny, to w gębie.

– Żebyś wiedział, to jego moc, Boris – potwierdził poważnie Edward. – On tą gębą i piórem dużo złego może działać. Albo dużo dobrego, jak będzie chciał. Wszystko w gazecie może zamieścić. Ale ty na jego dobroć nie licz, bo ruskich nienawidzi.

– Tfu – splunął Boris. – Jego prawo. Trzeba mnie uciekać? Ty przyszedł to powiedzieć?

– Jutro, twój kompan od kart, Zygmunt, do karczmy go zabierze, uraczy gorzałką i spróbuje do Warszawy wyprowadzić.

– Aha. No to i dobrze – odetchnął Boris.

– Nie jest dobrze, bo Zygmunt przecież języka mu nie wyrwie. Ty zyskujesz tylko trochę czasu, nic więcej. Tak czy inaczej trzeba będzie uciekać.

– I gdzież ja pójdę? Granice zaraza zamknęła – zmartwił się Boris.

– Nie wiem, Boris. Nie wiem... – zafrasował się Edward, po czym wcisnął mu w ramiona koc. – Masz, cieplej ci będzie. Nie martw się na razie. Pomyślę, co trzeba zrobić.

– Bóg tobie wynagrodzi – Boris poszukał w ciemności ręki Edwarda i ścisnął ją serdecznie. – Ja tego nigdy nie zapomnę – szepnął wzruszony.

Rozalia uniosła opuchnięte snem powieki. Szarość poranka zmieszana z resztką nocy, chłód, a zwłaszcza narastający z sekundy na sekundę ból głowy zapowiadały nie najlepszy dzień. Zmrużyła oczy i usiłowała odczytać na ściennym zegarze czas, było jednak zbyt ciemno i nie udało jej się odszyfrować położenia wskazówek. Na szczęście chwilę później głucho uderzenia dzwonu w korytarzu oznajmiły piątą i Rozalia, postępując, zaczęła gramolić się z ciepłej pościeli. Zwykle nie wstawała tak wcześnie, lecz w pamięci na zawsze pozostały jej słowa matki, by nie wylegiwać się po przebudzeniu.

Ubrała się w brzasku wstającego dnia, bez pomocy Maryny, bo ta zwykła pukać dopiero około siódmej. Upinając włosy, łowiła uchem odgłosy z głębi domu. Najwcześniej ożywała kuchnia, rozpalaniem ognia, zapachem mleka i brzęczeniem cynowych i fajansowych naczyń, z których służba spożywała śniadanie. Zaraz potem rozchodzili się wszyscy do swoich obowiązków. Trochę później Zosia oznajmiała głośno światu, że chce jeść. Edward jeszcze przed śniadaniem ruszał objeżdżać majątek, a Joanna szykowała się do porannych lekcji ze Stasiem. Tuż przed pierwszym posiłkiem ze swoich pokoi wynurzali się ewentualni goście, no i Zygmunt.

Na wspomnienie szwagra niesmak rozlał się po twarzy Rozalii. Zastanawiała się, czy po wczorajszym incydencie będzie miał odwagę przyjść na śniadanie. Pewnie tak, bo wszelkie nieprzyjemności spływały po nim zwykle jak po kaczce.

Zza okna nie docierał już szum wiatru, widocznie nad ranem zaciחł. Ale niecierpliwe rzenie konia skłoniło Rozalię do odgarnięcia firanki. Mimo starań w tumanie wzniesionego kurzu nie zdążyła dostrzec jeźdźca. Być może Edward wyjechał na orzeźwiająca przejażdżkę. Słyszała w nocy skrzypienie drzwi jego sypialni, potem nosiło go po korytarzach. A może... E, nie wychodził przecież do żadnej dziewczki... Chyba nie do Malwiny, na miłość boską!

Rozalia opuściła firankę, narzuciła na ramiona wełniany szal i wyszła z pokoju. Mijając sypialnię syna, przystanęła i chwilę przysłuchiwała się miarowemu pochrapywaniu.

A więc Edward śpi jeszcze – zauważyła ze zdziwieniem.

Psy drzemające w holu podniosły łby i zamerdały leniwie ogonami.

– Leżeć, leżeć – uspokoiła je półgłosem i skierowała się do sieni. Stąd prowadziły drzwi do części gospodarczej. Z kuchni dobiegał gwar

spożywającej śniadanie służby. Rozalia nie chciała przeszkadzać. Pobrząkując pękiem kluczy, postanowiła zlustrować zasoby spiżarni i piwnicy, w których Wanda i Kazia miały przygotować miejsce na tegoroczne przetwory.

W spiżarni było chłodno, ale sucho. Podwieszono pod sufitem wędzone szynki, kiełbasy i słonina wylały się z mroku w skąpym, sinawym świetle, które wpadało przez wąskie okienka. Poszarzałe czosnek i cebula spływały warkoczami z wbitych w ścianę haków. Przewiązane płótnem gliniane garnce rozmaitych ziaren, ziół i przypraw ustawiono równiutko na półkach. Rozalia zajrzała do maku, grochu i fasoli i nie zdziwiła się wcale, że o tej porze roku zaledwie przykrywały dno. Tylko w drewnianych sąsiekach złociła się tegoroczna pszenica, zwieziona jeszcze w sierpniu. Żyto, jęczmień i owies Rozalia kazała wysypać w stodole, bo w spiżarni brakowało na wszystko miejsca.

Kwaskowy zapach bryndzy i sera oraz mdły masła, wydostające się z pękatek beczulek, przenikały się z ostrą wonią kiszzonej kapusty, ogórków i buraków.

Trzeba będzie zagonić Wacława i Anatola – pomyślała Rozalia. – Niech opróżnią beczki, wytoczą je na podwórze i porządnie pod studnią wymyją, żeby Aniela z pomocnicami mogły nowe kiszonki nastawiać. Ech – westchnęła w duchu. – Pewnie znów będą się krzywić, że oni są od pokoi, nie od kuchni. Ale to ciężka robota, nie dla kobiet...

Rozalia cofnęła się do drzwi i nagle wydała z siebie zduszony okrzyk, a serce zabiło jej mocniej.

– O mój Boże, mysz! – szepnęła do siebie.

Nie przestraszyła się zwierzątka, tylko nagłego poruszenia w półmroku i zupełnej ciszy. Inna sprawa, że widok ten bardzo ją zmartwił. Zaczął się czas, gdy spłoszone zimnem gryzonie z pól wdzierają się do domów. Trzeba

powiedzieć Kajetanowi, żeby zlustrował ściany i podłogi, zabezpieczył wszelkie otwory gliną zmieszaną z tłuczonym szkłem. Józia musi koty sprowadzić z podwórka i zachęcić je przysmakami, by zechciały zostać. O wszystkim trzeba myśleć – westchnęła. – A kiedyś, jeśli dożyje, będzie tego uczyć Zosię...

Opuściła spiżarnię, z półki nad wejściem zabrała lichtarzyk, zapaliła świecę i drewnianymi, chybotliwymi schodkami udała się do piwnicy.

Przejmujący chłód owiał ją całą, a mizerny płomyk poruszył się żywiej, gdy otworzyła drzwi. Weszła do środka, uniosła do góry lichtarz i omiotła słabym światłem wnętrze nisko sklepionego pomieszczenia. Na półkach leżakowały butelki posegregowane rocznikami. Rozalię rozpierała duma, ilekroć przeglądała zapasy wina. Nie musiała go pić, ale lubiła je mieć. Każda butelka to dla niej smuga słońca, zapach lata i wspomnienie ogrodu pogrzebane w piwnicznym chłodzie i ciemności. Naruszanie tego cementarzyska było dla niej trudne, dlatego odbywało się zaledwie kilka razy w roku. Te rzadkie chwile zmartwychwstań ujawniały wykwintną głębię cierpkiego i ostatecznie dojrzałego smaku. Dla niej było to największe święto.

Pieszczotliwym gestem sięgnęła półki, pogłaskała zimne szkło, po czym uniosła jedną z butelek, by jak kompres przyłożyć do bolącego czoła.

Wrażenie, jakiego doznała, odjęło jej mowę. Butelka była lekka. Z drżeniem serca podniosła następną i następną.

Puste.

Powinna poczekać, aż on wstanie, wynurzy się ze swojej jaskini. Może nawet odczekać, aż zje śniadanie, a potem wypali u Edwarda fajkę. Należałoby zamknąć się z nim w ustronnym miejscu i spokojnie omówić występki oraz zadośćuczynienie. Tak postąpiłaby prawdziwa dama. Rozalia

zaciśnęła zęby. Nie, tym razem nie będzie damą, ale i on po raz kolejny pokazał, że nie jest dżentelmenem.

Serce łomotało wściekle, gdy niemal biegła po rozchwianych schodach na górę. Po drodze ciskała gromy pod adresem Zygmunta, bo jedynie on przychodził jej do głowy w charakterze pijaka i złodzieja. Jako dowód dzierżyła w ręku jedną z haniebnie opróżnionych butelek i tak uzbrojona, nie zważając na wczesną porę ani na niestosowność takiego zachowania, wtargnęła do sypialni szwagra.

Wbrew jej przewidywaniom Zygmunt nie spał. Tkwił przy biurku z czołem opartym na dłoni, w szlafroku, spod którego wyzierał wymięty nocny strój i coś mozolnie pisał na kartce. Na widok wchodzącej Rozalii leniwym ruchem otworzył szufladę i tam wrzucił ów świstek. Jeśli nie krył zakłopotania, to jedynie przez niedbały wygląd w obecności kobiety.

– Och... – bąkał, przyczesując stargane snem włosy, to znów pocierając dłonią szorstkość policzków. – Och... Ty tutaj... – chwycił poły szlafroka i otulił się nim szczelniej. – Doprawdy nie wiem, co powiedzieć... I to wino – przymknął z lubością powieki i wysunął koniuszek języka, co było wystarczająco obrzydliwe, by dać upust złości.

Rozalia jednak, wbrew kipiącym w niej emocjom, przez lata tresowana przez matkę, znakomicie potrafiła powściągnąć nerwy. Nie pozwoliła na ośmieszenie się wywołaniem karczemnej awantury. Nie pozwoliła sobie nawet na pogardliwy ton ani złośliwy wyraz twarzy. Dostojnie podeszła do biurka, na którym ustawiła pustą butelkę, i odezwała się spokojnym, lecz stanowczym głosem.

– Kradniesz moje wino z piwnicy.

Zygmunt pobladł, a jego oczy zrobiły się całkiem okrągłe ze zdumienia. Fałszywego, jak mniemała.

– Ja? – wyjąkał.

– Nie zamierzam tego tolerować – ciągnęła niewzruszona. – Zbyt wiele kłamstw, kradzieży, dziwnych przypadków z twoim udziałem. Miarka się przebrała. Chcę, żebyś opuścił mój dom. Będę tak łaskawa, że pożyczę ci wóz i konie, ale tylko do miasteczka – zastrzegła.

– Ależ, Rozalio...

– Radzę ci szykować się do drogi, w przeciwnym razie poślę po Straż Bezpieczeństwa – przerwała mu sucho.

Ku jej zaskoczeniu na te słowa Zygmunt odetchnął z ulgą, po czym uśmiechnął się bezczelnie.

– A tego nie zrobisz – rzekł zaczepnie i stukając palcem w biurko, powtórzył: – Nie zrobisz, dopóki pod tym dachem rezyduje ruski pupilek twojego syna.

Rozalia straciła rezon, lecz tylko na chwilę.

– Nie rezyduje – blefowała z zimną krwią. – Dziś o świcie wyjechał i Bóg jeden wie, gdzie go teraz szukać – dodała.

A nuż Zygmunt również słyszał i teraz skojarzy poranne końskie rzenie, które jak ulał pasowało do zmyślonej przez nią sytuacji?

Zygmunt nic nie odpowiedział. Chrząkał tylko, przestępował z nogi na nogę i majstrował przy zawiązanych pod szyją trokach u nocnej koszuli.

– Rozalio – rzekł wreszcie ochryplym ze wzruszenia głosem. – Nie zrobiłem tego. Nie kradłem wina. Musisz mi uwierzyć przez wzgląd na mojego brata. Przez pamięć!

Znów targnęła nią złość, ale pohamowała się przed gwałtownością.

– Zbyt długo już wierzyłam – odpowiedziała zimno, unosząc dumnie podbródek. – Nie próbuj więcej nadużywać mojej cierpliwości. Zresztą, Jan również nie pochwaliby twojego postępu.

– Nie brałem wina, przysięgam. A nawet jeśli zrobiłbym to, on by zrozumiał, wybaczył – zaskamlał Zygmunt.

– Być może. Ale jego już nie ma. A ja daję ci tydzień na opuszczenie Przylipia.

– Kochana, nie mów tak. Pozwól mi nadal grzać się przy twoim ognisku...

Nagle Zygmunt spojrział na nią spode łba. Zauważyła, że oczy mu dziwnie błysnęły.

Znów coś knuje – pomyślała z irytacją.

Chwycił jej rękę znienacka i począł je zachłannie całować.

– Rozalio, moja ukochana – szeptał między ostrymi od zarostu i wilgotnymi cmoknięciami. – Zobaczysz, zrobię coś takiego, że zapomnisz o każdym moim niecnym czynie. Widziałaś, kiedy tu weszłaś, pisałem wiersz. Już niedługo będę wielki, sławny, zobaczysz! Będziesz ze mnie dumna. A ja... a niech tam, zapłacę ci za ten wypity trunek, bo choć go z piwnicy sam nie brałem, to przyznam, że je piłem. Ja, Rozalio, jestem artystą, należy mi się asumpt, pożyczka dla inspiracji, dźwignia dla duszy... I ktoś to zrozumiał, ale nie ty...

– Zostaw – wyrwała mu swoje ręce i przez chwilę patrzyła na nie z odrazą. – Trzeba było przyjść, poprosić, a nie jak najpodlejszy złodziej kazać komuś włamywać się do piwnicy. Wstyd! Kto to był?

– Nie powiem. A ty i tak byś nie dała – burknął nadąsany. – Pilnujesz wszystkiego jak cerber.

Rozalia zamierzała ostro odpowiedzieć, pytać o winowajcę, lecz z korytarza rozległ się głos, w którym rozpoznała Marynę:

– Proszę pani! Proszę pani!

Wybiegłaby na to wołanie, gdyby nie zatrzymał jej drwiący uśmiech Zygmunta.

– Jakże to tak? – przybrał zgorzony wyraz twarzy, po czym uśmiechnął się złośliwie. – Wyjdiesz z mojej sypialni? Wczesnym rankiem? A ja, tuż

za tobą w negliżu? Cała służba się dowie.

Mogła zaczekać, aż kroki Maryny ucichną w dalszej części korytarza, ale bardzo chciała udowodnić Zygmuntowi, że nie pozwoli się zastraszyć.

– Och, podły człowieku – warknęła. – Za tydzień nie chcę cię widzieć. Co do służby, zbyt dobrze mnie zna. Jeśli miałyby źle pomyśleć, to o tobie, nie o mnie – dodała i z godnością wyszła.

– Cóż to się stało, Maryniu? – zapytała, zbywając milczeniem zdziwiony wzrok służącej.

– Pan Edward kazał powiedzieć – dygnęła Maryna – że na śniadaniu dziś nie będzie i żeby państwo nie czekali.

– Dobrze. A czy wspomniał, dlaczego nie będzie?

– Nie. Poldek mówił, że pan kazał Nimfę osiodłać. I gdzieś pojechał.

– Rozumiem – skwitowała Rozalia, po czym skierowała kroki do pokoju Zosi.

Widok wnuczki, tak rozkosznej w obecności ukochanej opiekunki, kołł jej nerwy. Chciała też dowiedzieć się o samopoczucie Malwiny i rozeznąć się dyplomatycznie, czy ona wie coś o nagłym wyjeździe Edwarda.

Zosia, ubrana w różową sukienkę z mnóstwem falbanek, na którą Malwina narzuciła wełniany sweterek, zwiedzała pokój. Przytrzymując się łóżka, krzesła, czepiając się frędzli przy chuście Malwiny, stawiała pierwsze kroki. Sposób przechylenia głowy, ciekawskiego obserwowania świata szarymi oczkami, zdradzał związek z matką. Podobieństwo do Elizy było uderzające. Zosia jednak miała jeszcze upór, stanowczość i tylko sobie znany sposób zaskarbiania uczuć. Tylko babka Rozalia nie pozwalała ulegać sercu przed rozsądkiem. I kiedy dziewczynka z mozołem dobrnęła do komody, pociągnęła jedną z szuflad i z zainteresowaniem zaczęła przetrząsać jej zawartość, zapytała z naganą:

– Dlaczego jej na to pozwalasz, Malwino? Ona nie może być taka ciekawska. Te zachowania trzeba temperować.

– Jakże inaczej pozna świat? – skwitowała upomnienie Malwina, nie oderwawszy ani na moment wzroku od małej istotki, wyrzucającej na podłogę poskładane ubranka.

Rozalia zacięła usta. Zauważyła, że od ostatniego incydentu Malwina jakby zubożyła na wszystko. Niestraszna jej była nawet utrata posady, toteż potrafiła odpowiedzieć krnąbrnie. Widocznie miała pomysł na swoje dalsze życie, a raczej na jego koniec, jak z obawą przewidywała Rozalia. Coś złego legło na sercu tej dziewczyny.

– No, a jak ty się czujesz? Doszłaś już do siebie? – zagaiła z umiarkowaną troską, jaką przejawiała zwykle w stosunku do służby. – Jak dajesz radę z Zosią? Może Wandzię ci tu przysłać do pomocy?

– Wszystko dobrze, dziękuję – odpowiedziała lakonicznie Malwina. – Nie potrzeba mi tu nikogo, radzę sobie.

– To dobrze... A nie wiesz czasem, dokąd wybrał się pan Edward? – zapytała niespodziewanie.

Wzrok dziewczyny powiedział sam za siebie, wzmocniła go jednak jeszcze słowami:

– Pan Edward nie zwykł mi się opowiadać, jak i pozostałej służbie.

– Oczywiście – przykryła zmieszanie powściągliwym uśmiechem Rozalia. – Pomyślałam, że przez przypadek coś słyszałaś.

– Nie wychodziłam jeszcze z pokoju – wyjaśniła sucho Malwina.

Rozalia pochyliła się nad Zosią, ucałowała jej zarumienione policzki i ruszyła do kuchni wydać dyspozycje na cały dzień.

Przez pokój przemknął chłód, a cień na ścianie przybrał postać kobiety.

I nic nie dało usilne zaciskanie powiek. Edward nie mógł spać i nie mógł przestać myśleć o Elizie, choć próbował wyprzeć ją z pamięci. Widocznie wspomnianie silniejsze jest od zapominania, bo obrazy z przeszłości, zwłaszcza te, które sprawiały przykrość lub budziły choćby strzęp wyrzutów sumienia, natrętnie cisnęły się pod powieki. Bolesny przypływ soli i piasku. Ocean rozpaczy. Ktoś kiedyś nazwał tak tęsknotę. Nie pamiętał, kto.

Nad ranem w półśnie usłyszał tętent końskich kopyt. Leżąc w półmroku ledwie wstającego dnia, zastanawiał się, czy to był sen, czy rzeczywiście ktoś odjeżdżał z Przylipia. Dopiero Poldek, który z przerażeniem zastukał w okno jego sypialni, a potem gorączkowym szeptem oznajmił, że ze stajni zniknął kasztanek, wzbudził w nim niepokój.

– Osiodłaj moją klacz – polecił. – Szybko!

Ubierał się w pośpiechu. Zrezygnował z porannej czarnej kawy, którą zwykle przynosił mu do sypialni Alojzy.

Nimfa gotowa do drogi stała już u bramy, ale on, niespokojny o Borisa, pobiegł jeszcze do stodoły. Znów uderzył go zapach siana, ciemność i kurz.

Mimo to uznał, że bezpieczniej będzie zamknąć za sobą wrota przed nieproszonymi świadkami.

– Śpisz, Boris? – zawołał półgłosem.

Odpowiedziała mu cisza.

– Boris! – zawołał.

Tak jak w nocy, szelest siana, odgłos zbliżających się kroków przyniosły ulgę napiętym nerwom.

– Nie ma Borisa – usłyszał szept.

– Kto tu jest? – Edward błyskawicznie przypadł do drzwi i wpuścił światło. – Kajetan?

– Tak, zagrzebałem w sianie jego rzeczy. A jego nie ma, wziął konia, pojechał.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– Sam wziął konia?

Kajetan zwiesił głowę, milczał.

– Mów!

– Ja mu dałem. Mówił, że musi jechać. Ale dziś jeszcze konia odda.

– Szalona głowa... – mruknął Edward. – Wariat. Zupełny wariat. I sobie, i nam nieszczęście na głowę sprowadzi... – Potem rzucił przez ramię do Kajetana: – Niech ktoś powie mojej matce, że nie będę na śniadaniu – i wybiegł ze stodoły.

Nie wiadomo dlaczego pojechał nad jezioro. Najpierw rozglądał się, czekał bez sensu. Później wyteżał wzrok, spoglądał na drugą stronę, jakby spodziewał się ujrzeć tam niewyraźną sylwetkę Borisa.

Jezioro zalewało piasek. Fale przynosiły zbutwiałe trawy i przegniłe liście. Drapieżny ptak zastygł w powietrzu, trwał tak dłuższą chwilę,

wypatrując w wodzie ofiary, potem odleciał.

Edward obserwował to wszystko, siedząc na ogołocnym z kory, wilgotnym pniu. Zaraz też przypłynęło wspomnienie Antoniny, która kiedyś, wiosną, była tu obok niego, przyciągała magicznym spojrzeniem, a rdzawe sprężynki jej włosów tańczyły wokół drobnej, piegowatej twarzy, mieniły się w słońcu. Tęsknił za delikatnością. Za subtelnym zapachem. Za kobietą.

Mniej więcej po kwadransie dosiadł ponownie klaczy, przeciął duktem las, dojechał aż do Bobrowej, ale śladu po Borisie nie znalazł.

Od wczorajszego wieczoru w powietrzu wisiało napięcie, ale to Zygmunt, główny sprawca tych kwasów, wydawał się najbardziej nadąsany. Chciał wyjaśnić od Joanny i zrozumienia od Zawiorsty, ona tymczasem unikała go jak ognia, a pan Adam nie raczył pojawić się na śniadaniu. Nie przyszedł też do salonu na przedobiednią kawę, gdy tymczasem Zygmunt obmyślał zaproszenie go na wieczór do karczmy. Miał nadzieję na dobroczynne działanie gorzałki, która ugłaskałaby nastroszone piórka tego pismaka i skłoniła go do trzymania języka za zębami. W ramach powetowania chętnie podsunąłby mu ruskiego zbiega, z którym od czterech miesięcy nocami grywał w karty. Teraz i tak już do niego nie chodzi, a Zawiorsta miałby o kogo gębę wytrzeć, w gazetach opisywać, a jeszcze za donos na niego może nagrodę by dostał.

Gdy tak rozmyślał w ulubionym fotelu przy kominku, usłyszał otrzepywanie butów na ganku, a chwilę później dobiegający z korytarza głos Edwarda:

- Alojzy! Przynies mi kawę do gabinetu.
- A śniadania nie będzie pan jadł?

– Później, później... Albo niech mi Aniela drożdżową bułkę dołoży do tej kawy.

– Dobrze, proszę pana. A...

– No? Co tam jeszcze?

– Pani Eulalia pyta, na którą jutro konie dostanie.

– Powiem jej przy obiedzie.

– Dobrze, proszę pana, a...

– Alojzy, pójdziesz wreszcie po tę kawę?

– Tak, proszę pana. Już idę, ale...

Najpierw niezrozumiałe szepty, później szuranie oddalających się kroków, chrobot klucza i dźwięk otwieranych drzwi gabinetu bratanka. To właśnie był moment, na który Zygmunt bardzo dziś wyczekiwał. Aż go skręcało z braku tytoniu i możliwości wypalenia porannej fajki. Dlatego natychmiast zerwał się z fotela i pobiegł do Edwarda. Ale drzwi zastał zamknięte. Zapukał.

– Alojzy? – dobiegło zza drzwi.

– Nie, to ja, Edwardzie – odpowiedział przymilnie i szarpnął kilkakrotnie klamką.

– Jestem zajęty – odparł sucho Edward. – Niech wuj flintę odwiesi na miejsce – dodał gniewnie.

– Jaką flintę? Nic nie wiem – obruszył się po dłuższym milczeniu, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. – Wpuść na chwilę, fajeczkę tylko wypalimy i zaraz sobie pójdę – zaskamlał.

Edward uchylił drzwi.

– Przykro mi, wuju, nie teraz – odparł stanowczo.

W tym samym momencie nadszedł Alojzy.

– Kawa, proszę pana.

Edward przyjął tacę, obrzucił wuja roztargnionym, lecz zimnym spojrzeniem i zamknął się ponownie na klucz. Miał o czym rozmyślać.

Na obiad stawili się już w komplecie. Przyszedł nawet Zawiorsta. Ledwie przekroczył próg, natychmiast poszukał wzrokiem Joanny, która zapłonila się pod jego spojrzeniem i zaczęła strofować Stasia z byle powodu.

Zanim jednak podano zupę, drzwi uchyliły się nieśmiało i wsunęła się głowa Waława.

– Pan Danicki przyjechał – zaanonsował półgębkiem.

– Danicki? – Edward uśmiechnął się. Dawno nie widział przyjaciela i ciekaw był, co u niego. – Dawaj go tu. I jeszcze jedno nakrycie przynieś.

– Tak jest, proszę pana – skłonił się Waław, po czym wyszedł z jadalni.

– Co tak pilnego, że w porze obiadowej nas niepokoi? – odezwała się cierpko Rozalia.

Edward na te słowa zatrwożył się, bo w głowie kołatała mu jedna tylko myśl. Poderwał się z miejsca i sam wybiegł do holu, gdzie Danicki powierzał swój płaszcz i kapelusz Alojzemu.

– Antoni! Masz jakieś wieści dla mnie? – zapytał z przejęciem, zapominając nawet o powitaniu.

– Edward! Jakże się masz, co? – zawołał jowialnie Danicki i uściśnął przyjaciela serdecznie, czym nieco wyciszył jego obawy. – Mam wieści i to jakie! Dlatego tu jestem.

– Boris zniknął – szepnął mu na stronie Edward. – Ty nie o tym?

– Co ty mówisz? – strapił się Danicki. – Nie... ja zupełnie nie o tym. Chodźmy do wszystkich, to powiem.

– Syn! – zawołał gromkim głosem, gdy tylko znaleźli się w jadalni. – Mam drugiego syna! Czy to nie piękny dzień? Z kimże, jak nie

z najlepszymi sąsiadami, miałbym się dzielić nowiną, co? Witajcie wszyscy!

Zaraz zaczęły się gratulacje, pytania o zdrowie „drogiej Helenki” i dziecka, nawet Eulalia zbudziła się z melancholii, a Rozalia natychmiast wybaczyła Danickiemu wizytę nie w porę.

– Prosimy, drogi panie Antoni, do stołu, bardzo prosimy – starała się zachować ceremonialność, a jednocześnie przekrzyczeć harmider.

Danicki rozejrzał się po zebranych i mina mu zrzędła.

– Gdzież najważniejsza dama? – zapytał niby od niechcienia. – Staś, jak widzę do obiadu ze wszystkimi siada, a Zosia? – zaśmiał się, ale oczami strzelał w kierunku drzwi, jakby się spodziewał kogoś tam zaraz ujrzeć.

– Zosia nie zawsze z nami bywa – wyjaśniła z uprzejmym uśmiechem Rozalia, chociaż od razu domyśliła się, o kogo Danicki pyta naprawdę. – Malutka jeszcze, często śpi o tej porze. O, teraz będzie pan miał okazję przypomnieć sobie, jak funkcjonują małe dzieci, prawda?

– Ano prawda – odparł z roztargnieniem i usiadł obok Edwarda.

– To gdzie ten nicpoń, Boris? – szepnął.

– Nie wiem. Później pogadamy. U mnie, po obiedzie – odrzekł równie cicho Edward i zerknął znacząco ku Zawiorście. Ten jednak, zajęty obserwowaniem Joanny, niczego nie zauważył. Nawet Zygmunta, który chrząkając, cmokając i wiercąc się na krześle, starał się zwrócić jego uwagę.

– To powiem ci coś jeszcze – uśmiechnął się Antoni i mrugnął do Edwarda okiem. – Widziałem tę twoją rudą boginkę. Konno objeżdżała Sępin. Jak widać, dla niej koniec wojny. Wróciła do ciotki. Ciesz się, bo cała i zdrowa.

Zanim Edward zdołał cokolwiek powiedzieć, odezwała się Eulalia:

– Pan tutaj – zagadnęła Danickiego z lekką naganą w głosie – gdy tymczasem żona może pana potrzebuje... Kiedy Wituś przyszedł na świat, Henryk, mój biedny mąż, nie odstępował mnie na krok.

– A niby po co miałbym być potrzebny? – zaśmiał się niefrasobliwie Antoni. – Helenę kobiety obskakują, niczego jej nie brak. A na takich oseskach i tak się nie znam. Zachowam dystans, dopóki syn na polowanie ze mną nie zacznie jeździć albo do karczmy chodzić – żartował.

– O, o, właśnie – podchwycił natychmiast Zygmunt i dla zwrócenia uwagi plasnął lekko dłonią w stół. – Szanowny panie Adamie...

Zawiorsta oderwał wzrok od Joanny i spojrzał na niego z nieprzyjemną mieszaniną drwiny i pogardy.

– Jutro pani Eulalia do Warszawy rusza. Mój bratanek, Edward, konie jej daje i woźnicę. Pomyślałem, że pan zechcesz się razem zabrać...

– Ot, gościnność – prychnął Zawiorsta i znów zerknął na Joannę, jakby sprawdzał jej reakcję. Uniosła kąciki ust w nieznacznym uśmiechu, a oczy opuściła na splecione na kolanach dłonie. Można było poznać, że kilka znaczących zdań wcześniej ze sobą zamienili. – Mój ty wielki świecie, a może chciałbym kilka dni jeszcze zostać?

– Nikt panu nie broni – sumitował się Zygmunt. – Moja kochana szwagierka, pani Stalicka, niezmiernie gościnną i hojną jest osobą, prawda? – wyszczerzył zęby w fałszywym uśmiechu.

Gdyby Rozalia miała zwyczaj zgrzytać ze złości zębami, zgrzytnęłyby.

– Tylko ja, wie pan... – ciągnął. – Chciałbym wczorajszy eksces panu wynagrodzić, a jednocześnie pożegnalną szklanicę dobrego wina w karczmie z panem wypić. A jeśli nie pożegnalną, to chociaż na zgodę, panie Adamie.

– Na zgodę, mówi pan – zawahał się Zawiorsta. Ogromnie lubił bywać w tej małomiasteczkowej karczmie, o swojskiej i niepowtarzalnej

atmosferze. Smakowała mu wódka i tłusta kielbasa do zagryzienia. Polubił też rubaszego karczmarza, który opowiadał sprośne anegdotki. No i bardzo doceniał zaczepki frywolnych pań, bywających tam dla bawienia gości. – Na zgodę – powtórzył z wolna, podczas gdy Zygmunt zaciskał palce pod stołem. – Czemu nie? – przychylił się, wykrzywając dla niepoznaki twarz, jakby robił Zygmuntowi łaskę. W rzeczywistości nie umiał oprzeć się pokusie by zabawić się w tej, jedynej w swoim rodzaju, karczmie. I to jeszcze na cudzy koszt!

– W takim razie zabieram pana zaraz po podwieczorku – ucieszył się Zygmunt i zatarł ręce.

– To i ja może tam zajrzę? – wtrącił się do rozmowy Antoni. – W domu za dużo dziś zamieszania, no i syna trzeba ochrzcić, co? – mrugnął okiem.

Rozalia skrzywił się z niesmakiem.

– Niech pan lepiej powie, co w polityce słyhać. Czy zwycięstwo w wojnie będzie po naszej stronie? Gazety ostatnio niewiele o tym piszą – zgrabnie zmieniła temat.

– Ależ piszą, droga pani, piszą i to jak! Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać. W żadnym, za przeproszeniem, periodyku, ani w „Tygodniku Polskim Płci Pięknej” takich wiadomości pani nie znajdzie.

– A gdzie szukać, skoro ostatnie numery „Kuriera Polskiego” i „Kuriera Warszawskiego” ukazały się na początku września? – obruszyła się Rozalia.

– No, niechże pan mówi, co w Warszawie? – wtrąciła podekscytowana Eulalia.

– Czy ja wiem, co w Warszawie – rzekł z zadumą. – Wiem, że blokada twierdzy w Zamościu, która dotąd dzielnie się trzymała, niebawem skapitułuje. To tylko kwestia dni.

– Mój Boże – jęknęła Rozalia. – I co będzie?

– Co ma być? Według mnie niedługo padnie jako ostatnia i to będzie koniec powstania.

– Nareszcie! – klasnęła w ręce Eulalia.

– Nareszcie? Droga pani, teraz będzie już tylko gorzej – dodał proroczo.

– Ruscy nam tego powstania nie darują.

– Co ma być, to będzie, panie Antoni – zawyrokowała Eulalia. – Ja i tak będę się cieszyć, bo mój Wituś wróci!

– Ano, chyba że tak – mruknął Danicki, który wiedział swoje. – Chyba, że tak...

Antoni nie spieszył się do domu i po obiedzie przeszedł z Edwardem do gabinetu. Obaj, upajając się starką, roztrząsali sprawę wczorajszej kłótni Zawiorsty z Zygmuntem i dzisiejszego zniknięcia Borisa. Żaden z nich nie widział związku między tymi zdarzeniami. Danicki mówił też o Antoninie, którą zobaczył z daleka, zwiewną jak leśna łania, lecz posępną jakąś...

– Oj, Edwardzie – pogroził palcem. – Czy ona aby nie usycha z tęsknoty za tobą?

– Co ty mogłeś widzieć z daleka – wzruszył ramionami Edward, lecz spiął się w sobie, gdyż spodziewał się lada moment wizyty Godziewiczowej wraz z siostrzenicą.

O zmierzchu pożegnali się i Antoni, tak jak zapowiedział, ruszył konno do położonej w najbliższym miasteczku karczmy. Tuż za nim, bryczką jechali Zygmunt z Zawiorstą.

Edward, oparty o framugę drzwi, długo obserwował ich z ganku. Kiedy zniknęli za wzgórzem, mimochodem zauważył, że w pokoju Joanny poruszyła się firanka.

Wrócił do gabinetu, zabrał butelkę wypełnioną do połowy trunkiem i resztę wieczoru spędził w swojej sypialni przy kieliszku.

Otaczający go bezruch przerywało jedynie bicie zegara i sopranik Cesi. O tej godzinie wchodziła do pokoi Zosi i Stasia, przepalała tam w kominkach.

Edward, wpatrzony w gęstniejącą czerń za oknem, powoli tracił świadomość. Z każdym kieliszkiem zapomniał, gdzie jest i po co.

Z kamiennego snu wyrwał go bełkotliwy śpiew dobiegający z za okna. Dopiero teraz zorientował się, że w ubraniu, pólsiedząc na kanapie, przespał nie tylko kolację, ale też połowę nocy. Zegar wskazywał drugą. Edward domyślił się, że właśnie powrócili z karczmy amatorzy nocnych wrażeń i mocnych trunków. W obawie, że hałasami rozbudzą cały dom, wybiegł na ganek, żeby ich uciszyć.

Zygmunt przyjechał sam. I tylko dlatego, że dostał mądrego konia, który dobrze znał drogę, szczęśliwie wrócił do domu. Trzymał się lejców i darł się na całe gardło:

Wyjrzyj ino, dziewucho,

Kto to tam przyjechał.

A ten sam ci to kawaler,

Co wczoraj odjechał.

Po chwili wybiegł w samej tylko koszuli Waclaw i odtransportował starszego pana Stalickiego do łóżka.

Co tez tych kufrów wożą ze sobą paniusie z miasta – kręciła głową Kazia, obserwując Wacława i Alojzego uwijających się przy bagażu Eulalii.

– Jakby tu było dla kogo się stroić – wydeła z pogardą usta Wiesia.

– Pani Eulalia przecież w żałobie, wcale się nie stroi – wtrąciła nieśmiało Wanda. – A te kufry to ubrania dla ubogich. Po biednej pani Elizie...

– Tak? A ty skąd wiesz? – nawet Aniela zainteresowała się jej słowami. Przykryła ściereczką świeżo zagniecione ciasto na kluski i wycierając w fartuch dłonie, podeszła do okna. – Pani Rozalia dała?

– Wiem od Maryny i to nie pani Rozalia – zaprzeczyła żywo Wanda. – Pan Edward kazał zapakować.

– Nis ziwnego – prychnęła Kazia. – Nie mógł patseś, jak ta wywłoka Malwina się w nich obnosi.

– Tu nie chodzi o Malwinę – zaprotestowała gwałtownie Wanda, która zawsze brała przyjaciółkę w obronę. – Te suknie za bardzo przypominają mi bolesną stratę. Ktokolwiek by je nosił.

– No, chyba że byłaby to panna Antonina. Na niej i peniuarek po żonie chętnie by zobaczył – zachichotała Wiesia.

– Panna Antonina nie potrzebuje po nikim niczego donaszać – burknęła Anieli. – Już tam Godziewiczowa dobrze ją wyposaży, żeby tylko wepchnąć w ramiona naszego pana Edwarda.

– Cii, ktoś izie – położyła palec na ustach Kazia, chwyciła pierwszą lepszą ścierkę i zaczęła wycierać do sucha umyty przed chwilą garnek. Na widok wchodzącej pani Stalickiej zapomniała języka w gębie.

Rozalia była biała jak płótno. Usta miała sine i zaciśnięte w wąską kreskę. Nie powiedziała ani słowa, tylko podeszła do aptecznej szafy, wydobyła z niej krople walerianowe, odmierzyła kilka kropel na łyżkę i połknęła je, popijając wodą, którą zdążyła usłuźnie podać jej Wanda.

– Dziękuję – rzekła półgębkiem, bo cokolwiek by się działo, pani Stalicka nie zapomniała o dobrych manierach.

Butelkę z kroplami wstawiła z powrotem do szafy, potem dyskretnie upchnęła coś w przepaścistej kieszeni fartucha i opuściła kuchnię charakterystycznym dla niej, prężnym krokiem.

– Mój Boże! – zawołała Kazia. – Co to się stało?

Wiesia, Wanda ani nawet najstarsza kucharka Anieli nie potrafiły znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

Tymczasem za oknem w ponurym tle jesiennego nieba, obleczona w żałobną czerń Eulalia mościła się w powozie. Konie niecierpliwie ugniatały kopytami ziemię, a Anatol sadowił się na koźle. Nikt prócz umorusanej sadzami Cesi nie wyszedł im na pożegnanie.

W pokoiku na końcu korytarza Edward i Rozalia wpatrywali się w poszarzałą twarz Borisa. On sam usiłował wyłuskać z płytkiej pamięci zdarzenia ostatniej nocy, lecz nie miał sił o tym mówić. Obecna przy nim Malwina, którą wezwał Edward, raz po raz ocierała z czoła Borisa kropelki potu.

– Tym razem bez doktora się nie obejdzie – szepnęła Rozalia. – Ja nie dam sobie z tym rady, nabój utkwił w ramieniu, nie widzę rany wylotowej, a ta rozpaskudzona i mocno zanieczyszczona.

– Z wierzchu można chyba ją oczyścić – bąknął Edward, nie spuszczać oczu z twarzy Borisa. Leżał z przymkniętymi oczami. Jego czoło dzieliła wyraźna pionowa bruzda.

– Co z tego, jeśli do zakażenia i tak niebawem dojdzie przez resztki prochu i ołów. Tu trzeba doktora, mówię ci!

– Nie możemy sprowadzić doktora – syknął Edward. – Przecież mama go zna, zaraz przyśle do nas Straż Bezpieczeństwa. A tu nie chodzi o zwykłą pijacką bijatykę, tylko strzelaninę. W dodatku Boris jest Rosjaninem, nie wiemy, kto do niego strzelał i dlaczego. Wszyscy będziemy mieli kłopoty.

– Ja ci tylko mówię, że on bez pomocy umrze – oznajmiła stanowczo, po czym zwróciła się do Malwiny: – Pójdę po więcej bandaży i jakieś środki do dezynfekcji. A ty cały czas tamuj krwawienie. Kiedy opatrunek przesiąknie, nie zabieraj go, tylko dołóż następny, rozumiesz?

– Rozumiem – potwierdziła dziewczyna.

– Opaska uciskowa, którą założyłam, niewiele daje... Doprawdy, bez doktora nie spodziewam się dla niego ratunku – mruknęła do Edwarda. – Na razie nie męcz go pytaniami, jest bardzo słaby – dodała.

– Pójdę w takim razie do wuja, przepytam, gdzie zostawił Zawiorstę – westchnął Edward i zaraz za matką wyszedł z pokoju.

– Sądzę, że Zygmunt śpi jeszcze – zauważyła. Jej szybkie kroki budziły echo w pustym korytarzu. Dźwięk odbijał się od ścian, jakby klaskał: klik, klak, klik, klak... – Mówiłeś, że późno wrócił. No i nie wstał nawet na śniadanie, a to mu się nie zdarza. Kompana pewnie gdzieś z karczemnymi

dziewkami zostawił, aż dziw, że sam z nimi nie został, lubi przecież się zabawić – dodała z przekąsem. – Powiedz mi lepiej, co wiesz o Borisie.

– Nie tutaj – zniżył głos Edward. – Proszę mamę do mnie, do gabinetu.

Rozalia zerknęła przez ramię, czy ktoś za nimi nie idzie, i schowała do kieszeni klucz od apteczki, który cały czas ścisnęła w dłoni.

– Dobrze, chodźmy na chwilę, potem muszę do niego wrócić, ranę opatrzyć. Och, przywiozłeś go wtedy i chyba do końca nam zostanie. A wieczny z nim kłopot.

– Wiem. Ale co miałem robić? Zostawić na pewną śmierć człowieka w chacie, gdzie sam diabeł nawet nie zagląda?

– Przecież nic nie mówię, dobrze postąpiłeś. Jak człowiek. Sprezentowałeś mu kilka miesięcy, bo nie umarł wtedy, ale teraz mu się już nie uda – westchnęła. – No, powiedz. Gdzieś go spotkał?

Edward zamknął dokładnie drzwi swojego gabinetu i poszukał tytoniu. Już sam zapach tego pokoju przywodził mu na myśl smak fajki. W innych pomieszczeniach nie odczuwał tak silnie potrzeby zapalenia.

– Gdzie go spotkałem? – powtórzył pytanie. – W stodole był. Nie wiem, kiedy wrócił, ale konia puścił wolno i gdyby nie Poldek, który złapał kasztanka, a potem przyszedł mi się poskarżyć, że ktoś zwierzę zgonił, aż pianę miało na pysku, to nawet bym Borisa nie szukał. Leżał tuż przy wejściu i mocno krwawił, a taki był słaby, że musiałem Kajetana wołać. We dwóch, drzwiami od ogrodu wciągnęliśmy Borisa do pokoju. Zaraz też Malwina przybiegła.

– A Kajetana po mnie posłałeś – wtrąciła Rozalia.

– Nie. Na to on sam wpadł. Ja nie chciałem cię w to mieszać.

– Widzisz, Kajetan ma więcej rozsądku od ciebie – wytknęła mu Rozalia. – Bo cóż sama Malwina? Nic by tu nie pomogła. Zresztą widziałeś, jaka przestraszona... A on, mówił coś? – zapytała.

– Boris? – Edward oderwał się od myśli, w które chwilowo zapadł, i spojrzał na nią nieprzytomnie.

– Tak. Mówił coś?

– Nie. A ja nie pytałem.

– Jak mu nie damy umrzeć, może czegoś się dowiemy – mruknęła. – Idę – wstała z ciężkim westchnieniem. – Pilnuj, żeby nikt tam nie chodził.

Zaledwie wyszła, a już hałas jakiś rozległ się na dziedzińcu. Edward nie zdążył nawet podejść do okna, gdy Danicki bez anonsu ani pukania wpadł do gabinetu. Jasne włosy zasypywały mu twarz, a oczy dziwnie błyszcząły.

– Boris! – wyrzucił z siebie i dyszał kilka chwil, zanim oddech mu się wyrównał. – Jest?

Edward skinął głową i przełknął nerwowo ślinę.

– Prędko! – Antoni ścisnął go za ramię. – Niech ucieka! Natychmiast!

– Ucieka? – przeraził się Edward.

– Szybko! – zawołał Antoni i rozejrzał się, jakby miał nadzieję zobaczyć go obok siebie.

– Mów, o co chodzi – zażądał Edward.

– Ten gość twojego wuja, ten, no...

– Zawiorsta?

– Tak, Zawiorsta. Nie żyje.

– Nie żyje? – zdumiał się Edward.

– Znaleźli go rannego na drodze za karczmą. Jeszcze rzeził. Karczmarz słyszał, że o ruskim coś wykrztusił. Nie wiem, ile powiedział. Straż ludzi rozpytuje. Zaraz przyjadą i tutaj, bo w karczmie wszyscy wiedzieli, że Zawiorsta od was. Lepiej, żeby Borisa tu nie było.

– Ale on ranny, ktoś go podstrzelił.

– Pięknie! I Zawiorsta zastrzelony...

Ciekawe, który z nich flintę wziął – pomyślał Edward, zakreślił się po gabinecie, bezradnie rozłożył ręce.

– Co robić? Gdzie go ukryć? Jedynie do tej chaty po drugiej stronie jeziora na powrót trzeba by zawieźć... Muszę Kajetanowi powiedzieć, niech łódkę szykuje.

Rozalia opatrywała ramię Borisa, a Malwina przytrzymywała go, żeby na poduszki nie opadł, gdy do pokoju wtargnął Edward. Niewiele można było zrozumieć z jego słów, prócz tego, że Boris musi stąd zniknąć i to natychmiast. Matka spokojnie dokończyła wiązanie opatrunku, po czym podniosła się od rannego i spokojnie zawyrokowała:

– I tak umrze bez pomocy.

W oczach Malwiny pojawił się lęk, zaraz potem determinacja.

– Nie, nie... Nie pozwolę. Będę razem z nim – oświadczyła.

Słowa rzucone mimochodem, wyrwane z całości tego, co się przeżywa i czuje, mogą nabrać znaczenia, które od dawna prześladowało, budziło obawy. Edward, który już od wejścia nie tracił czasu i natychmiast zabrał się za kompletowanie przydatnych Borisowi rzeczy, teraz zatrzymał się nagle i przeszył Malwinę przenikliwym wzrokiem.

– Jak to? – zapytał drewnianym głosem. – Ty będziesz? Z nim?

Rozalia przez chwilę obserwowała tych dwoje, przerzucała spojrzenie z jednego na drugie i próbowała ułożyć sobie w głowie tę przedziwną relację, może więź. W końcu rzuciła chłodno:

– Och, zostawiłbyś sentymenty. Życie ludzkie jest teraz najważniejsze. I nasz spokój.

Myśli stały się nieruchome, a wzrok Edwarda ślizgał się po chybotliwej łódce zawieszanej pośród monotonnego krajobrazu. Sine niebo wiązało się w jedno z równie sinym jeziorem. Horyzont stanowił zaledwie cienką

kreseczkę, delikatną granicę między ziemią a niebem, co przypominało wąską, wręcz symboliczną granicę między życiem a śmiercią.

To samo niebo obserwował z łódki leżący na wznak Boris. Dla niego było ono bez granic.

Wzmagał się wiatr. Drzewa szumiały nieprzyjaźnie, szeptały tajemniczo. Edward rozejrzał się. Niby wszystko było tu zwyczajne. Jezioro drgało łagodną falą, ściana po drugiej stronie ciemniała lasem, powietrze gęstniało wilgotną mgłą. A jednak czuł się niepewnie, jakby ktoś niewidoczny i wrogi stał za jego plecami, śmiał się urągliwie.

Za kwadrans, może chwilę dłużej, łódka dobije do drugiego brzegu. Malwina wraz z Kajetanem przeniosą Borisa do starej chaty, ułożą na posłaniu z pierzyn i poduszek, które pospiesznie przygotowała Rozalia. Kajetana czeka jeszcze jedna przeprawa z prowiantem, opatrunkami i kilkoma oliwnymi lampkami. Nie teraz. Dopiero, gdy zapadnie zmrok.

To niewytłumaczalne, że Edward mimo niewygód i chłodu, jaki ich tam czeka, wolałby być z nimi, zamiast wracać do zasobności domu.

Po drodze karmił się za chęć zatrzymania dla siebie Malwiny. Dla egoistycznego patrzenia tylko, dla podziwiania jej urody, podczas gdy troska dziewczyny niezbędna była Borisowi. W skrytości ducha bolała go wdzięczność tamtego, którą okaże Malwinie, jeśli wydobrzeje.

Dwóch funkcjonariuszy, których zadania obwieszczały napisy na czapkach: „Straż Bezpieczeństwa”, weszło w holu. W oczekiwaniu na Zygmunta, który zwlekał, ponieważ nie miał najmniejszej ochoty na konfrontację, chodzili od ściany do ściany i oglądali wyeksponowaną tam pamiątkową broń. Szczególną uwagę zwracali na puste miejsce między błyszczącą szabelką a pałaszem należących niegdyś do dziadka Edwarda. W tę lukę jak ulał pasowała trzymana przez jednego z nich flinta, której

Zygmunt tak chętnie używał do zastraszania Borisa, a która zniknęła ze ściany przed feralną nocą.

– Wy w jakiej sprawie? – śmiało odezwał się na ich widok Edward.

Trudno było o respekt dla tej wojskowo-porządkowej formacji zebranej z ochotników wywodzących się z ubogich warstw społecznych, mało skutecznych, uzbrojonych w najprostszą broń i nieznających się na prawie. Co innego tajna policja polityczna, ta stanowiła groźny instrument władzy carskiej. Otaczano ją pogardą i nienawiścią, ale przede wszystkim wzbudzała strach. Tajniacy podsłuchiwali pod drzwiami, prowokowali w karczmach, węszyli i donosili, a skutkiem tych donosów były zsyłki na Syberię, katorgi i piętnowanie.

Obaj strażnicy odwrócili się jak na komendę.

– Mamy kilka pytań – oświadczył jeden z nich, wymachując dobrze znaną Edwardowi dwururką. – To czyje? – zapytał, mrużąc podejrzliwie oczy.

– Należała do mojego ojca – wyjaśnił Edward i odwrócił się, gdyż drzwi do salonu otworzyły się gwałtownie, a w nich stanął wyjątkowo blady, wyczerpany nocnymi ekscesami Zygmunt.

– Do pańskiego ojca – powtórzył z zastanowieniem strażnik.

– Skąd to macie? To pamiątka po moim bracie nieboszczyku – huknął z oburzeniem zachrypiałym głosem Zygmunt i opadł bez sił na stojące najbliżej krzesło.

– Tę pamiątkę ktoś porzucił na drodze, z pół wiorsty za karczmą – odrzekł służbowym tonem strażnik i groźnym wzrokiem zmierzył Zygmunta. – Leżała obok ciężko zranionego – sięgnął po dokument, poślinił palec i przerzucił kartkę. – Adama Zawiorsty. Ten zresztą niedługo żył jeszcze – dokończył. – Jak donoszą miejscowi, przyjechał on

z Warszawy i ponad miesiąc u was mieszkał, w Przylipiu, prawda to? – spojrzał oskarżającym wzrokiem.

– Prawda – potwierdził Edward, bo Zygmunt nie raczył się odezwać.

– Karczmarz Gałko twierdzi, że Zawiorsta nie omijał jego gospody, w której to bywał regularnie z Zygmuntem Stalickim, czyli... – dziobną palcem – z wami.

Ponieważ Zygmunt milczał zajęty wycieraniem nosa w ogromną chustkę, zdobną czerwonym monogramem, słowa strażnika znów potwierdził Edward.

– Tak. Jeździli tam razem.

– A tej nocy ktoś strzelił do Zawiorsty z waszej flinty.

– Ściśle rzecz biorąc – wtrącił drugi strażnik – Marianna Wygwizdoł i Franciszka Chruścik, które w tym czasie koło karczmy się kręciły, zarzekają się, że oddano dwa strzały.

– Ale z głowy Zawiorsty – podjął znów ten pierwszy – doktor wyjął tylko jeden nabój, drugiego nikt w pobliżu nie znalazł.

– Nic o tych strzałach nie wiem – burknął Zygmunt i dla odmiany zaczął palcem dłubać w uchu.

– A może o ruskim człowieku coś wiecie? – podniósł w zaciekawieniu brwi drugi strażnik.

Edward poczuł zimny dreszcz na plecach z obawy, że Zygmunt, chcąc odwrócić uwagę od własnej osoby, zacznie pleść o Borisie.

– Nic nie wiem o ruskim człowieku – rzekł z przekonaniem Zygmunt. – A co działo się w karczmie, nie pamiętam.

– Boście wypili tyle, że prawie całkiem przytomności się pozbawiliście. Jednak to dla nas bez znaczenia, bo świadek tej zbrodni pod przysięgą powtórzy tyle razy, ile będzie trzeba, kto strzelał.

– A kto strzelał? – ledwo wydusił Zygmunt.

– Któż ten świadek? – zapytał Edward, chociaż głos mu z emocji lekko zadrżał.

Obydwa pytania postawione jednocześnie wprawiły strażnika w lekką konsternację. Z pomocą przyszedł mu ten drugi, trzymający flintę. Zmarszczył czoło i zdecydował stanowczo:

– Wszystko w swoim czasie. Na razie szukamy świadków. Ale flinta, niestety wasza – burknął posepnie i pokiwał głową. – Zabieram – dodał i machnął im dwururką przed nosem.

– Za zabójstwo według prawa zwyczajowego grozi kara śmierci. Egzekucja publiczna – rzucił na odchodnym pierwszy strażnik i zabrzmiało to jak pogróżka.

Koniec października, a dzień wyjątkowo słoneczny, przewrotny po niedawnych wichurach i słotach.

O szybę otarła się rachityczna gałązka brzozy, zbudziła zadumę Rozalii, która zapatrzyła się w tę jesienność, w ten wiatr niewidzialny, ledwo muskający zamierającą przyrodę. Zadręczał ją ten spokój, jakby ostrzegał przed czymś strasznym, okrutnym, jeszcze gorszym, niż dotąd się działo. Myślała o Malwinie, która już trzeci dzień bez niczyjej pomocy czuwała nad ledwo tłącym się życiem. Rozumiała cierpienie Borisa, ale żal jej było maleńkiej Zosi, która bez Malwiny wciąż kwili z tęsknoty. Myślała o popłakującej z żalu Joannie, bo tylko Zawiorsta okazał prawdziwy zachwyt dla jej pisania, podziwiał ją i obiecał rozślawić jej imię w gazecie. Wreszcie o Zygmuncie, do którego ostatnio nijak nie można dotrzeć, bo on desperuje, sam już nie wie, czy czasem po pijanemu nie zabił pismaka.

– Przekłeta pamięć – ciskał przez zęby i bił się pięścią po głowie, żeby choć na chwilę umysł poruszyć i choć strzęp wspomnienia przywołać.

A nie miał się komu wyżalić, bo odkąd wyszło na jaw oszustwo, że żaden z niego poeta, nawet Kazia spoglądała ku niemu z pogardą.

Miała się czym zamartwiać strapiona Rozalia.

Na domiar tego wszystkiego na podwieczorek zapowiedziała się Godziewiczowa. I to z Antoniną, która zaraz po potwierdzeniu informacji

o upadku Modlina, pod pretekstem choroby w rodzinie porzuciła szpital i z przegranej Warszawy ruszyła do ciotki, do Sępina. Wszyscy już mówili, że to koniec powstania, koniec polsko-rosyjskiej wojny i koniec marzeń o wolności.

Rosjanie nie dotrzymali układu o godności i honorach wojskowych, nie uznali wojskowych stopni ani odznaczeń, nie zapewnili żołnierzom kwater we wsiach ani żywności, jak miało być do czasu doręczenia świadectw na ich powrót do domów. Zamiast tego nałożono im kajdany i poprowadzono pod sąd wojenny, gdzie postanowili ich sądzić z całą surowością.

Rozalia ze swojego miejsca obserwowała syna, on natomiast zza bukietu herbacianych róż zerkał na Antoninę. Przez te kilka miesięcy jej nieobecności wyzbył się śmiałości do prowadzenia z nią swobodnej rozmowy.

Kwiaty rysowały niewyraźny kontur na jej policzkach, rzucały cień, maskując niestosowne w jej pojęciu piegi. Siedziała taka drobna, a jednocześnie nieprzystępna, trzeźwiąco chłodna, jakby wyfrunęła spośród roju płatków śniegu, tych pierwszych, najbardziej ulotnych, które znikają natychmiast po zetknięciu z ciepłą dłonią. Pojedyncze, swawolne niteczki włosów wymknęły się z loków i lśniły miedzią w ostatnich promieniach konającego słońca. Szczupłe palce splatały się i rozplatały nerwowo, a każdy z nich aż prosił się o pocałunek.

O szpitalu cholerycznym, w którym jakiś czas pracowała, nie mówiła wcale, o wojnie opowiadała oględnie, ożywiała się tylko na wspomnienie ozdrowieńców, którzy przynosili jej zrywane po miedzach stokrotki i w ten sposób odwdzięczali się za opiekę.

Edward śledził jej twarz, połyskujące w uśmiechu zęby i różowy język, który raz po raz wysuwał się i zwilżał ruchliwe wargi. Podniecał go ten

widok, lecz bardzo starał się skupić na jej słowach.

Ich oczy skrzyżowały się nagle, a ona chyba nie spodziewała się tego wcale, bo utraciła wątek i roześmiała się szczerze.

– Ależ mnie pan zaskoczył – rzuciła. – Nie przypuszczałam, że można tak zapaść się w czyimś spojrzeniu. Proszę mnie z niego natychmiast uwolnić, Edwardzie.

I on się roześmiał. Musiał przyznać, że podobała mu się jej naturalność. Chyba tęsknił za nią, choć bardzo wypierał tę myśl. Przez te wszystkie miesiące od utraty Elizy obrastał grubą powłoką i kosmaciał, jakby bronił się przed życiem tylko dlatego, że zabrakło jego żony. To nieoczekiwane spostrzeżenie wyrzuciło go na powierzchnię jej grobu, dokonało podziału na żywych i umarłych, ułożyło go na brzegu nowej świadomości. Właśnie wtedy wchłonęły go zielone oczy Antoniny. Oprzytomniał dopiero na słowa matki. Nie kierowała ich do niego, ale były stąd, z ziemi, znad nakrytego obrusem stołu, prozaiczne i całkiem trzeźwe.

– Proszę poczęstować się drożdżowym rogalikiem, kochana Karolino. I może jeszcze kawy?

– O, dziękuję – zamachała rękami Godziewiczowa. – Co na to powiesz, że obstałowałam u krawcowej nową garderobę? Tak, moja droga, znów przytyłam pół cala, nie mieszczę się nawet na krześle.

– Przepraszam – mitygowała się Rozalia. – Nie pomyślałam o tym. Przejdźmy zatem na kanapę, tam będzie wygodniej.

Antonina, odkąd przyłapała Edwarda na spojrzeniu, pozostała przy nim. Odsunęła nawet wazon z różami, żeby nie przeszkadzał. Tyle że po odejściu ciotki wyraz jej twarzy się zmienił, oczy zwężyły.

– Czy ma pan pojęcie, jak potrafią boleć niechciane wspomnienia? – zapytała półgłosem.

– Owszem, doskonale wiem, jak bolą – odpowiedział nieco urażony, bo po pierwsze stracił żonę i sam próbował się takich wspomnień pozbyć, po drugie ona właśnie straciła go z powrotem w ciemność, z której dopiero co wydobył się z takim mozołem. – Pani o czym mówi? O wojnie?

– Ach, wojna – uśmiechnęła się smutno. – Z nią już koniec. Nic więcej nie można zrobić. Zabrakło takich jak pan.

– Takich jak ja? – napuszył się. – To znaczy jakich?

Spodziewał się, że obdarzy go jakimś szczególnym komplementem, lecz jej oczy błysnęły wyraźną złośliwością. Zauważył to.

– Młodych, zdrowych, silnych i dobrze odkarmionych – wyliczyła jednym tchem. – Z takich domów, gdzie broń zdejmuje się ze ściany tylko po to, żeby ją wyczyścić.

– Panno Antonino – rzucił karcąco. – Ja nieraz myślałem o przyłączeniu się do armii, lecz nie mogłem zostawić bez dozoru gospodarki, ani narazić na sieroctwo dzieci. Chyba już wystarczy, że nie mają matki.

Nie odzywała się, patrzyła tylko. W kącikach jej ust czaiła się ironia.

– Panno Antonino – powtórzył głośniejszym głosem, aż gawędzące na kanapie kobiety zamilkły i zaczęły nasłuchiwać.

– Panno Antonino – szepnęła drwiąco, przechylając się do niego przez stół. – A może raczej żołnierzu? Wprawdzie nie walczyłam na froncie, ale niejedną kulkę z tych dzielnych chłopców wyjęłam.

Przekrzywiła głowę i patrzyła na niego wyzywająco. Oczywiście, czuła się przy nim prawdziwą bohaterką i teraz próbowała upokorzyć go jako mężczyznę, ukazać nad nim przewagę. Nie wiedział tylko, po co. Nie prosił jej przecież o rękę, ani do niczego nie namawiał. Podobała mu się, intrygowała, podniecała, ale z tym ożenkiem, to raczej pomysł jej ciotki. Zresztą w głowie kołatała mu zupełnie inna myśl.

– Wyjęła pani niejedną kulkę? – zapytał, a w jego oczach pojawiła się dziwna ekscytacja. – Potrafi pani to zrobić? – naciskał.

Cofnęła się. Miała przed sobą jego zmienioną twarz, straciła więc ochotę do żartów i przekomarzania.

– Tak – odparła. – Robiłam to nieraz.

– Pamięta pani tego człowieka z drugiego brzegu jeziora?

Skinęła głową.

– On umiera.

Przez całą noc i następnego ranka Godziewiczowa toczyła w sobie walkę. Podczas podróży do Przylipia kokardy u jej kapelusza trzęsły się bądź zamierały w bezruchu, zależnie od stanu jej ducha. Z jednej strony przeciwna była samotnym wyprawom swojej siostrzenicy z obcym jeszcze bądź co bądź człowiekiem, z drugiej zaś może właśnie to romantyczne sam na sam przyspieszy decyzję i Edward raczy się nareszcie oświadczyć?

Najbardziej zastanawiała ją jednak postawa zawsze wiernej wszelkim zasadom Rozalii, bo to ona naciskała na spotkanie młodych, z pominięciem wszelkich konwenansów.

– Moja droga, po cóż te ceregiele – przekonywała panią Karolinę. – Antonina na wojnie z niejednym mężczyzną miała do czynienia.

– Och! – jęknęła zgorszona Godziewiczowa i powachlowała się chusteczką.

– Naturalnie nie takie obcowanie miałam na myśli, o jakim ty pomyślałaś – wycofywała się niezręcznie, zarumieniona z zakłopotania.

– O jakim pomyślałam? – najeżyła się Godziewiczowa. – Ja o niczym gorszącym nie myślałam.

– Oczywiście, że nie – łagodziła Rozalia. – I ja niczego złego nie miałam na myśli. Ale mojemu synowi ufam, wiem, że nie popełni faux pas,

zgódź się, niechże popływają sobie łódką.

– No dobrze, skoro ty zaręczasz... – mamrotała Godziewiczowa, szykując w myślach długą tyradę, jaką wygłosi siostrzenicy przed tym spotkaniem.

Łódź czekała ukryta w zaroślach. Kajetan wypłynął dopiero na umówione gwizdnięcie Edwarda. Środki opatrunkowe, kosz z prowiantem i kanka z wodą były przygotowane według polecenia Rozalii. Kajetan rozejrzał się, zanim dobił do brzegu, wysiadł i przytrzymał łódkę. Pierwszy wsiadł Edward, podał Antoninie rękę, a kiedy bezpiecznie umościła się na wąskiej ławeczce, chwycił za wiosła.

Pogoda się psuła. Słońce, które powitało ich rano i dawało nadzieję na przyjemny dzień, teraz ukryło się między gęstniejącymi chmurami. Wokół rozciągała się ponura siność, monotonna niezmiennosc barw i dźwięków. Chociaż te przecięły znienacka dwa czarne kruki, które przefrunęły ze złowieszczym krakaniem nad ich głowami. Z podobną grozą przemknęła Edwardowi myśl, że to odrętwienie i chmurność niosą w sobie jakiś fatalizm.

Antonina, otulona szarą peleryną obszytą zajęczym futerkiem, pod którą ukrywała walizeczkę z wygotowanymi we wrzątku szczypcami i igłą, zdawała się nie zauważać tych znaków, choć i ona posepnie spoglądała w siną głębię jeziora. Oboje wiedzieli, po co płyną na drugi brzeg, nie w głowie były im żarty i flirtowanie.

Na brzegu ktoś ułożył wianek z kamieni. W środku tlił się jeszcze ogień. Widocznie Malwina grzała tu wodę. Nieostrożnie, dym można było wyczuć z kilku metrów, a płomień dostrzec nawet z drugiego brzegu, zwłaszcza o zmroku.

Edward wyskoczył do wody i brodząc w niej po kolana, pociągnął łódkę, aż z chrzęstem otarła się o piasek. Dopiero teraz pomógł Antoninie wsiąść. Podał jej opatrunki, sam zaś chwycił kosz z prowiantem i kankę. Nękało go nieprzyjemne przeczucie, że na wszystko jest już za późno.

Malwina siedziała na zbitej z desek pokrzywionej ławce. Na tle poczerńiałych belek chałupy wyglądała jak barwny ptak w swojej wełnianej chuście i kwiecistej spódnicy. Zmrużonymi oczami wypatrywała Kajetana, bo tylko jego spodziewała się tu zobaczyć. Na widok Edwarda i Antoniny podniosła się z wolna i czekała w napięciu.

– Jak on? – zapytał Edward, gdy się zbliżyli.

Wzruszyła ramionami i przeniosła wzrok na Antoninę. Ta uśmiechnęła się leciutko, jakby chciała dodać jej otuchy, po czym minęła ją i weszła do chaty. Smród potu, krwi i wilgoci mieszał się z zapachem lasu przyniesionym w zgromadzonych przed piecem gałęziach. W chacie było zimno i mroczno, bo małe okienko niewiele dawało światła i powietrza.

Edward wszedł zaraz za Antoniną. Piec, sprzęty, kąpiel, w którym leżał kilka miesięcy temu obok swojego napastnika, wzbudziły falę nieprzyjemnych wspomnień. Teraz był tutaj znowu. I znowu po to, by nieść tamtemu pomoc.

Boris leżał na posłaniu z pierzyny, wsparty o ścianę. Był całkowicie przytomny i szeroko otwartymi oczami usiłował w mroku wypatrzyć twarz przybyszy.

– Kto to? – zapytał w końcu zaniepokojony.

– Nie bój się, to ja – zaśmiał się Edward. W jego głosie zabrzmiała ulga, że Boris żyje i ma się całkiem nieźle. – Przywiozłem ci pielęgniarkę, postara się wyjąć kulę i oczyścić ranę...

Po chwili do bukietu wątpliwej przyjemności zapachów dołączyła woń łojówek. Antonina nawet się nie skrzywiła. Przyklękła przy rannym,

zakasała rękawy, po czym otworzyła butelkę spirytusu i poląła nim dłonie.

– Chcesz się napić, żołnierzu? – zapytała obcesowo i chyba z przyzwyczajenia. – Może troszkę boleć – zakpiła dla rozładowania napięcia.

Boris przymknął powieki i pokiwał głową. Pot, który ze strachu wystąpił mu na czoło, natychmiast wytarła czujna, milcząca Malwina.

Antonina uniosła głowę, a jej wzrok spoczął na rzemiennym pasie Edwarda.

– Proszę spiąć mu nogi i mocno je trzymać, panie Edwardzie. Będzie się rzucał. A ty, Malwino, przestań już go poić spirytusem. Przyjdź lepiej tu koło mnie i trzymaj zdrową rękę.

Jej stanowczość i pewność siebie napawały optymizmem, wносиły spokój. Nawet Boris spoglądał na nią ufnie i pod opieką jej fachowych dłoni gotów był znieść każde cierpienie. W Edwardzie natomiast budziło się uznanie, a nawet podziw dla tego filigranowego rudzielca z piegowatym nosem.

Od widoku i zapachu krwi oraz tych wszystkich czynności, na które nie chciał nawet patrzeć, mdliło go coraz bardziej z każdą umykającą minutą. Boris dawno stracił przytomność z bólu, co niewątpliwie wyszło mu na dobre. Malwina ze stoickim spokojem wykonywała polecenia Antoniny, czym zasłużyła na słowa uznania, które usłyszała natychmiast, gdy zmęczeni po zabiegu usiedli na ławce przed chałupą. Niebo pociemniało, ale nikt nie wiedział, czy zapowiadało deszcz, czy to dzień chylił się ku zachodowi. Czas upływał w nieuchwytnym i nieznanym tempie.

Boris spał zamroczony spirytusem. Świeży opatrunek bielił się na jego ramieniu, a wyjęty z rany nabój zawinięty w chusteczkę spoczywał w kieszeni Edwarda.

Powietrze stało się lepkie od opadającej mgły, panującą wokół ciszę przerywał jedynie szelest wiatru w dębowych liściach i pluskanie jeziora. Dlatego zaskoczył ich matowy, przyjemnie kojący śpiew Malwiny.

Słuchali rosyjskiej dumki, nie przerywając. Malwina, zapatrzona gdzieś przed siebie, upajała się melodią i jakby zapomniała o ich istnieniu. Edward pomyślał, że musiała spędzać z Borisem sporo czasu, skoro nauczyła się śpiewać w jego języku. Ale, o dziwo, nie odczuł żalu ani zazdrości, że ktoś inny patrzył na precudne lico i podziwiał jej urodę. Dyskretnie zerknął na profil Antoniny opartej o zmurszałą ścianę domu. Odpoczywała z tym swoim nieznacznym uśmieszkiem na twarzy. Pod przymkniętymi powiekami skrywała własne tajemnice. Obie dłonie oparte na ławce, stopy mocno wsparte o ziemię. Całe ciało czujne, gotowe, jakby tylko czekało sygnału, by się zerwać, uciekać. Płocha sarna.

Nagle nostalgiczną piosenkę zakłóciły męskie głosy dobiegające od jeziora. Podnieśli się jak na komendę.

– Boże, kto to? – wyszeptała z przerażeniem Malwina.

– Nie wiem, wejź do chaty, przysuń stół do drzwi – odpowiedział Edward i spojrzał na Antoninę. – Proszę uciekać, proszę schować się w lesie – szepnął, lecz ona nawet nie drgnęła.

Tymczasem ciężkie, męskie kroki zbliżały się do chaty.

– Chodź pan! – rzuciła zniecierpliwiona Antonina i chwyciwszy Edwarda za rękę poprowadziła naprzeciw głosom, w stronę ścieżki. Tam pchnęła go na butwiejącą trawę, sama zaś przywarła do niego i udając pocałunki, szepnęła: – No, niechże mnie pan obejmie, mocno...

Nie trzeba go było prosić. Całował ją bezkarnie, a ona wcale się nie broniła, dopóki nie usłyszeli głośnego chrząkania nad sobą. Zerwali się i w udanym zmieszaniu zaczęli poprawiać garderobę. Strażnicy

bezpieczeństwa, ci sami, co przesłuchiwali dzień wcześniej Zygmunta, spoglądali na nich trochę karcąco, trochę podejrzliwie, a trochę kpiąco.

– To wy paliliście ogień tam, nad jeziorem? – zapytał jeden z nich.

– Ja – odparł Edward, po czym z rozbawieniem zdjął z włosów pąsowej z zażenowania Antoniny brzozy listek.

– I nikogo więcej tu nie ma? – zapytał drugi.

– A jak pan myśli? – oburzył się Edward. – Narazałbym pannę na ludzkie gadanie?

Strażnik zmrużył oczy i przyjrzał się Edwardowi potępiająco.

– Chałupa pusta? – wskazał palcem mający za ich plecami dom.

– Możecie zajrzeć. Pełna robactwa i zwierzęcych odchodów.

Antonina wzdrygnęła się sugestywnie, a na twarzy drugiego strażnika pojawił się konfidencjonalny błysk.

– Dopiero poznałem – bąknął. – Panna Antonina. Czy to... – zaczął i podniósł do góry palec, jakby zamierzał nim pogrozić.

– Niech pan zmilczy przed ciotką – przerwała szybko. – Bardzo o to proszę. Zabiłaby mnie chyba – dodała z wystudiowanym przerażeniem.

Óźwięk otwieranych drzwi wyrwał z zadumy Rozalię, która siedząc przed toaletką, rozczesywała włosy. Na widok odbicia w lustrze zmarszczyła brwi i odwróciła się z gniewem.

– Na miły Bóg, coś ty na siebie włożyła, Maryniu?

Służąca, wcale niezrażona, uśmiechnęła się promiennie i obracając się raz w jedną, raz w drugą stronę, zademonstrowała bogato zdobioną jedwabną suknię z nieskromnym dekoltem. Wyglądała, jakby wybierała się na bal.

Rozalia nie mogła wyjść z podziwu dla jej bezczelności, wzorem jednak swojej matki pilnowała się, by nie okazywać przed służbą silniejszych emocji. Wstała z krzesła i spokojnie zbliżyła się do Maryny.

– Moja panno, to bardzo nierozsądnie całą miesięczną pensję albo nawet dwie wydawać na zbytki. Poza tym w tym domu, jak we wszystkich porządnym domach, panują pewne zasady, o których każda przyjmująca się do pracy służąca doskonale wie. Otóż przypominam, że należy dostrzec różnicę między ubraniem do pracy a prywatnymi balowymi strojami, prawda?

– Ale... – bąknęła zarumieniona z zakłopotania Marynia. – Ta suknia...

– Ta suknia jest skandalicznie nieodpowiednia – przerwała jej sucho Rozalia. – Czy widziałaś, żebym ja – podkreśliła dobitnie – żebym ja nosiła

takie na co dzień?

– Nie – jęknęła Maryna. – Ale...

– Strój do pracy, moja Maryniu, powinien być schludny i uszyty z trwałych, łatwych do prania materiałów.

– Wiem, ale...

– Teraz jest chłodno, więc flanelowe sukienki są najbardziej odpowiednie. A pod spód barchany. Czy zrozumiałaś?

– Tak, proszę pani, ale...

– Latem sukienki bawełniane, ale nieprzezroczyste – zaznaczyła. – A przy szyi w żadnym razie ten haniebnny dekolt. Dyskretne wycięcie, bez kołnierzyka. I jak najmniej guzików i zatrzasków. Nie słyszałaś o tym?

– Słyszałam, proszę pani, i zaraz włożę fartuch do ścielenia łóżek, tylko dzisiaj... Dzisiaj Alojzy mi się oświadczy.

– Oświadczy się? – uniosła w zdziwieniu brwi Rozalia.

– Tak, powiedziała mi o tym Józia, że on pochwalił się Wacławowi, a Cesia, która paliła właśnie w kominku...

– Mój Boże, któryż to rozumny mężczyzna odważy się żenić z pustą dziewczyną, przyzwyczajoną do takich zbytków? – przerwała jej brutalnie Rozalia i pokręciła z niesmakiem głową.

– Ja nie jestem przyzwyczajona, proszę pani, a tę suknię pożyczyła mi panna Joanna...

– Panna Joanna – powtórzyła z dezaprobatą Rozalia.

– Kupiła ją za pieniądze, które dostała od pana Zygmunta za wiersze...

– Moja Maryniu, nie interesują mnie pieniądze Joanny. Idź natychmiast się przebrać. Alojzy, jeśli jesteś mu po sercu, oświadczy ci się i bez niej. To znaczy... Jak będziesz we flanelowej, też ci się oświadczy.

Maryna wybiegła zawstydzona, a Rozalia zadowolona z wygłoszonego napomnienia, podeszła do okna. Tego dnia planowano sprzątnąć z pola kapustę, martwiła się więc o pogodę. Na szczęście nie zanosiło się na deszcz.

Przy śniadaniu znów z niepokojem obserwowała Zygmunta. Od kilku dni, a konkretnie od tamtej nocy, w której zginął Zawiorsta, jej szwagier zachowywał się dziwnie. Osowiał i stał się roztargniony. Niczego nie mógł znaleźć, jakby zabłąkał się w obcym domu wśród obcych ludzi. Wczoraj w kuchni szukał swojej kamizelki, a gdy trafił do salonu, stał przez kilka minut i rozglądał się bezmyślnie, jakby nie wiedział, po co przyszedł. Mówiła o tym Józia, która zajrzała tam, wy wytrzeć kurz. A znów teraz wziął do ręki widelec i przyglądał mu się. Wyglądało na to, że nie wie, do czego służy. Nie tylko ona zwróciła na to uwagę. Zauważyła, że przygląda mu się również Edward, a nawet Staś.

– Czy widelec wuja jest brudny? – zapytał chłopiec i zaczął oglądać swój.

Stojący przy drzwiach Waław poruszył się niespokojnie i spiorunował wzrokiem Kazię, która jak zwykle pod koniec śniadania wniosła do jadalni dzbanek z herbatą. Dziewczyna poczerwieniała, oczy zaszklily się jej z hamowanego płaczu, a z jadalni prawie wybiegła, pozostawiając za sobą niedomknięte drzwi.

– Stasiu – upomniała wnuka Rozalia. – Takie uwagi należy powstrzymać przy stole. Pozwól, że póki co sama będę rozmawiała o tym ze służbą. A ty, Joanno – zwróciła się do zamyślanej nauczycielki – przeprowadź ze Stasiem stosowną rozmowę.

Joanna na dźwięk własnego imienia aż podskoczyła, jakby właśnie spadła na ziemię i potłukła się dotkliwie.

– Dobrze, proszę pani – obiecała, chociaż Rozalia była pewna, że dziewczyna nie zorientowała się, o co chodzi.

– Aha, jeszcze jedno – dorzuciła chłodno. – Przyjdź do mnie po śniadaniu, chcę pomówić o twojej garderobie.

– Dobrze, proszę pani – powtórzyła jak automat, choć z lekkim zdziwieniem i znów zawiesiła wzrok na przeciwległej ścianie.

Rozalia zacisnęła usta i pokręciła głową. Nigdy nie była zadowolona z tej nauczycielki, teraz jednak najchętniej wymieniłaby ją na inną. Ale o tym pozwoliła decydować Edwardowi, bo to jego syna nauczała ta półprzytomna pannica.

– I z tobą również chciałabym porozmawiać – rzekła do Edwarda i dała sygnał Wacławowi, że może nalewać herbatę.

Edward minął Joannę w drzwiach pokoju matki. Dziewczyna uniosła głowę i przeszła go wiele mówiącym na temat pani Stalickiej spojrzeniem. „Uważaj z tą starą sekutnicą” – zdawały się ostrzegać jej oczy. Usta zaś uniosły się leciutko w uprzejmym, lecz służbowym uśmiechu.

– Mama prosiła mnie do siebie – zagaił, gdy za Joanną zamknęły się drzwi. Wyjął z kieszeni fajkę i swoim zwyczajem rozejrzał się za tytoniem.

– Nie tutaj – uprzedziła jego zamiary matka. – Tutaj nie ma tytoniu i nie wyobrażasz sobie chyba, że tutaj będziesz palił – podkreśliła.

– Ach, oczywiście – roześmiał się z zakłopotaniem, schował fajkę i obejrzał się na drzwi, jakby chciał czmychnąć za Joanną.

– Usiądź, synu – zaprosiła Rozalia, sama zaś stanęła nad nim z opuszczonymi ramionami, trochę w bezradnej pozie, co nie pasowało do jej silnej i pewnej siebie natury.

– Stało się coś, mamó? – zapytał niepewnie.

– Cóż za ignorant z ciebie – zaśmiała się gorzko. – A to nie widzisz, że cały czas coś się dzieje? Zygmuntovi depczą po piętach!

– Nic dziwnego. Był tam, gdzie zastrzelili Zawiorstę. W dodatku z naszej flinty – dodał zgryźliwie.

– Tak, wiem. Ale czy zauważyłeś, że z głową Zygmunta coś nie tak? Boję się zapytać, jak się nazywa, bo może odpowie, że nie wie. Rozmawiałeś z nim ostatnio?

– Szczerze mówiąc, nie miałem okazji ani czasu. Zbiorów w polu muszę przecież pilnować. Teraz też nie powinienem tu być...

– Oczywiście synu. Zaraz będziesz wolny, powiedz mi tylko, czy nie uważasz, że w tym stanie Zygmunt nie powinien z nimi rozmawiać?

– Z tymi strażnikami? Obawiam się, że nie ma innego wyjścia. Pytają, węszą, szukają jakiegoś świadka. Jeśli nie znajdą, wina może spaść na wuja. Wziął przecież flintę.

– Nie bronię go, ale między nami mówiąc, nie ma dowodu, że to on. – Zniżyła głos i dodała: – Mógł wziąć Boris.

– Mógł. Ale jego nie znaleźli. On dla nich właściwie nie istnieje, człowiek widmo. Słyszeli tylko o nim z ust konającego Zawiorsty.

– A jak on się czuje?

– Kto? – wytrzeszczył oczy Edward.

– Nie Zawiorsta przecież – zachnęła się. – Kiedy byłeś?

– Wczoraj. Lepiej z nim. Malwina dba o niego. Ale coraz zimniej w chałupie, a w piecu zakazałem palić. Dym widać.

– W nocy nie widać – zaprotestowała.

– Ale czuć.

– To prawda, czuć – przyznała. – Trzeba ich zabrać.

– Tutaj nie mogą wrócić. Straż się kręci, zaraz by wywęszyli. A on jeszcze niezdrów na tyle, żeby uciekać. Zawiozłem im dodatkowe koce.

– Ty też nie możesz tam za często bywać. Wypatrzą cię i stanie się podejrzanym, że w takie zimno po jeziorze pływasz.

– Jeszcze kilka dni. Mam nadzieję, że Boris w tym czasie wydobrzeje. Malwina wróci tutaj, a on niech idzie w swoją stronę, niech sobie radzi.

– I dokąd pójdzie? Dezerter przecież. Wszędzie pełno szpiegów.

– Nie wiem, mamu. Pomyślę. – Edward wyjął z kieszonki okrągły zegarek i sprawdził, która godzina. Rozalia zrozumiała tę aluzję.

– Już cię puszczam, synu. Ale widzisz, nie ma kiedy porozmawiać... Na jutro zapowiedziała się Godziewiczowa. Chce wiedzieć, co i jak z Antoniną.

– Ja też chciałbym to wiedzieć – zaśmiał się. – Proszę wybaczyć, mamu – sięgnął po jej dłoń i ucałował z szacunkiem. – Robota czeka.

– Idź, synu, idź – uśmiechnęła się czule, zmierzwiła włosy jak dziecku i popchnęła lekko w kierunku drzwi.

Potem skupiła myśl na Zygmuncie.

Nie lubiła go, ale było jej go żal jako człowieka. Nieszczęśliwego, bo choroba nie tylko pamięć mu odebrała. Zabrała mu wspomnienia i on nigdy już nie oceni, jak mocno związany był z przeszłością, z tym domem, z tymi ludźmi. Nie wspomni szczęśliwych chwil, dobrych słów ani uczuć, które były dla niego ważne.

Ach – machnęła ręką. – Właściwie nie wiem, czy moja pamięć jest prawdziwa. Może ja to wszystko zmyśliłam? Swoje życie wymyśliłam?

Zapadał zmierzch, gdy Edward odcumował łódkę, wrzucił na nią węzełek ze świeżymi opatrunkami, zawinięty w płótno chleb, kilka jabłek, osełkę masła i twaróg opakowane w pergamin. Boris czuł się lepiej i czas

najwyższy, żeby opowiedział, co naprawdę wydarzyło się w karczmie. Edward przypuszczał, że on skrywa jakąś tajemnicę. Ciekawe, czy nabój, który wydobyła z jego rany Antonina, został wystrzelony z tej samej flinty, która zabiła Zawiorstę. I kto strzelał? Zapytałby Zygmunta, ale od niego niczego nie można było się dowiedzieć. Zapadł się w sobie, a na pytania odpowiadał bez ładu i składu. Strażnicy tracili już cierpliwość, a nad Zygmuntem zbierały się czarne chmury.

Jezioro było spokojne. Słysząc było jedynie uderzenia wiosła i odpowiedź zagarnianej nimi wody. Ciemniało. Niebo stroiło się w pierwsze gwiazdy, których odbicie woda kołysała do snu. Chłód wnikał pod ubranie, dotykał ciała. Listopad, niedługo spadnie śnieg, tymczasem kręcące się pod niebem dwa kruki znów się nawoływały. Jak na gody, na budowanie wspólnego gniazda.

Edward pomyślał o Antoninie, jej wesołych oczach, trochę cynicznym uśmiechu i zręcznych dłoniach. A także o pocałunkach, tam, przy ścieżce, na zgniłej trawie. Zdawał sobie sprawę, że zrobiła to z determinacji, żeby odwrócić uwagę strażników od Borisa. Dla niej była to śmiała akcja, konkretny cel nastawiony na ochronę człowieka, któremu przed chwilą ratowała życie. Dla niego, choć nigdy nie uważał się za sentymentalnego, jej ciepło, zapach, smak ust, którego nie umiał zapomnieć, były takim właśnie ptasim nawoływaniem. Zaproszeniem do wspólnego budowania. Boleśnie zapragnął Antoniny, ale natychmiast skarcił sam siebie. W sercu nosił przecież Elizę, kochał ją, kochał pamięć po niej.

Tak już jest, że najbardziej upragnione, ukochane bywa zwykle to, co odbiera los.

Kiedy dopłynął na miejsce, ciemność zapanowała już wszędzie. Może niepotrzebnie pokusił się o tę wyprawę jeszcze dzisiaj, po całodziennym pilnowaniu chłopów przy zbiorze kapusty i buraków. Teraz czuł się

zmęczony, więc zanim opuścił łódkę, trwał długą chwilę w ciszy i bezruchu. Sztywne, wysokie trzciny poszeptywały coś tajemniczo. Ukryte w mroku dęby spotężniały w tej czerni i demonstrowały swoją siłę.

Na ławce pod chałupą zamajaczyła postać Malwiny. Jak zwykle siedziała na zewnątrz, wsłuchiwała się w odgłosy lasu. Jej skryta natura nie ujawniała, o czym marzy. Edward mógł się jedynie domyślać, że tęskni za ciepłem i przytulnością pokoju po babce Walerii, za lepкими łapkami Zosi i jej słodkim gaworzeniem. Ale tak naprawdę nigdy nie potrafił odgadnąć, co gra w duszy tej dziewczyny.

Na dźwięk kroków od jeziora poderwała się z miejsca i dłoń przyłożyła do gardła, żeby powstrzymać samowolny krzyk, który mógłby się wyrwać na wypadek nieznanego intruza. Rozpoznała jednak znajomą sylwetkę i odetchnęła z ulgą.

– Nie zimno ci tutaj? – zapytał już z daleka. Nie chciał jej przestraszyć nagłym wyłonieniem się z ciemności.

– W chałupie niewiele cieplej – odparła. – Tu przynajmniej powietrze czyste.

Podszedł bliżej i przysiadł na ławce. Zbierał myśli do przeprowadzenia rozmowy z Borisem. Nie chciał niczego zepsuć. Malwina nie bardzo wiedziała, jak się zachować. Nie śmiała usiąść obok niego, więc stała niezdecydowana, w milczeniu.

– Nie lubisz przy nim być? – zapytał.

– Nic do niego nie mam – rzuciła chłodno i chyba wzruszyła ramionami, ale nie dostrzegł w ciemności. – Ciekawie opowiada i lubię, kiedy śpiewa. Tylko ręce niech trzyma przy sobie – dodała gniewnie.

– A nie trzyma? – roześmiał się. W gruncie rzeczy poczuł ulgę, że ona taka niedostępna, że ma Borisa w ryzach.

– Tylko pan trzyma – odparła po długiej chwili. I nie był pewien, czy w jej słowach zabrzmiał szacunek czy pretensja.

Westchnął i podniósł się z ławki. Drzwi do chałupy zaskrzypiały jękliwie. Obejrzał się na Malwinę.

– Idziesz?

– Nie, zostanę jeszcze – odpowiedziała.

Wszedł do środka. Boris leżał w ciemności, więc podniósł stojącą w progu łojówkę i zapalił ją. Kopciła i śmierdziała, lecz dawała tyle światła, by nie potknąć się o sprzęty.

– Wszelki duch – burknął Boris. – Noc i dzień dla ciebie za jedno.

– Nie jest tak późno – rzekł pogodnie Edward. – Tylko jesień, wcześniej robi się ciemno. No, jakże ty?

– Dobrze, dobrze. Dziś po lesie ja chodził. Na Malwinie się wspierał i dał radę.

– Uważaj z tym chodzeniem po lesie – ostrzegł Edward. – Nie wiadomo, na kogo możesz trafić.

– Dzicz – machnął ręką Boris. – Zwierzyna tylko płacze się. Sarny, dziki, poza tym żywej duszy.

– Nie zawsze tak jest – rzekł poważnie Edward. – W dniu, kiedy wyjęliśmy ci kulę, przypląnęło tu dwóch strażników. Kogoś szukali.

– Kogo? – Boris uniósł się na łokciu i wlepił w Edwarda trochę zdziwione, a trochę przestraszone spojrzenie.

– Bo ja wiem? Może ciebie? – mruknął Edward.

– Wiedzą o mnie? – zapytał ochrypłym z przejęcia głosem.

– Coś tam wiedzą – odparł oględnie Edward i przyjrzał się twarzy Borisa. – Powiesz mi, co tam się stało?

– Gdzie? – Boris podciągnął się wyżej i oparł o ścianę. – Masz dla mnie machorkę? – zapytał i zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu fajki.

– Mów, co stało się w karczmie – odrzekł Edward. – A machorkę dam, jak opowiesz.

– Kryć nic nie będę – burknął. – I bez machorki powiem. Ale – wskazał kieszeń Edwarda, w której zawsze miał dla niego woreczek z tytoniem – palić się chce.

– No to zapalimy – spokojnie odpowiedział Edward, wyjął tytoń i w milczeniu, zjednoczeni taką samą potrzebą, zaczęli nabijać fajki. Po chwili zapach dymu rozszedł się po izbie.

– Wtedy – zaczął Boris, wypuściwszy siwy kłęb – z rana, jak konia ja wziął, po miasteczku na nim się kręcił. Czekał na tego Zygmunia, co krwi mi po nocach kartami napsuł. I na tego jego kompana też czekał. Chciał im nauczki dać, żeby oni mi w drogę więcej nie wchodzili.

– Brałeś flintę? – przerwał mu Edward.

– Jaką flintę? – zdziwił się szczerze.

– Ze ściany.

– Jak mi Bóg miły, niczego z twojego domu ja nie brał. Może ja uciekinier, łobuz, mów jak chcesz, ale nie złodziej. Honor u mnie jest, o, tutaj! – uderzył kułakiem w pierś.

– No, dobrze, wierzę – rzekł Edward. – Co było dalej?

– Zobaczył ja ich na drodze. Jechali kolaską, a jeszcze jeden...

– Danicki – wtrącił Edward.

– Danicki – potwierdził Boris. – Danicki wierzchem jechał. Ale do karczmy weszli we dwóch, tamten został. Wszystko ja widział, bo drzwi do karczmy na oścież były rozwarte. Zaraz panienki tego gogusia obkoczyły. Wiadomo, taki pan z miasta! Zygmunt dwie kwarty gorzałki na stół przyniósł i poczęli się raczyć. Ja z dworu na nich patrzył, czekał.

– Na co? – zapytał Edward.

– Aż który za potrzebą wyjdzie. Nie chciał do środka wchodzić, nijakiej burdy w gospodzie robić, ale gęby tym dwóm obiść chciał.

– A Danicki?

– Zobaczył mnie. Ale z miejsca nie ruszył się, tylko palec na gębie położył, o tak – zademonstrował Boris. – Nie wiem, po co on tam tak stał, może Zygmunta pilnował?

– Co było dalej?

– No, ja nie spodziewałem się...

– Czego? – niecierpliwił się Edward.

– Ano, jak ten z miasta popił, to zaczął z Zygmuntem drwić, że taki z niego poeta jak trąba z koziego zadka. Ludzie strasznie śmiali się, a najbardziej te panienki, co ich zawsze w karczmie pełno. Jak Boga kocham – znów uderzył pięścią w pierś – nie lubię tego twojego wuja, ale wtedy żal mi się zrobiło. On już dobrze miał w czubie i tylko pięści zaciskał, a karczmarz, jak zobaczył, co się święci, kazał im za drzwi się wynosić. Jak oni wyszli, to ja nie wytrzymałem. Podskoczyłem na koniu, za czuprynę miastowego złapałem i od karczmy dobry kawał odwlókłem. A tam raz, drugi po pysku! I jeszcze raz! Może ja powiedziałbym mu, za co, ale nie zdążyłem, bo Zygmunt z flinty strzelił. Ja nie wiem, do kogo on mierzył, bo najpierw ja oberwał, a potem miastowy. To ja nie czekałem, tylko na koniu do domu wróciłem. Co dalej było, nie wiem.

– Więc mój wuj strzelał... – szepnął Edward i z wolna pokiwał głową. – Mój wuj...

– Tak. Ja widziałem, że to on.

– Ktoś jeszcze widział?

– Danicki. On może poświadczyć – oznajmił Boris i znów wypuścił kłęb siwego dymu.

Zrzadka sfruwające z listopadowego nieba, jakby zalęknione płatki śniegu zwiastowały nadchodzącą zimę. Edward doglądał ostatnich zbiorów na polu, a ponieważ Joanna zapadła na gripę i nie mogła prowadzić lekcji ze Stasiem, ten dołączył do ojca i krok w krok chodził za nim po polach. Kobiety zagadywały go i żartowały, gdy wrzucał badyle do ogniska, a chłopci częstowali go plastrami świeżej brukwi, które odkrawali wielkimi, błyszczącymi nożami.

Ojciec i syn wracali obaj zmęczeni, zmarznięci, ale zadowoleni ze wspólnie spędzonego czasu, którego zwykle mieli dla siebie tak mało.

W kuchni też pełno było roboty z kiszeniem i przetworami. Aniela uwijała się między Kazią a Wiesią i pomstowała na nieobecność Wandy, która awansowała na opiekunkę Zosi. Wyznaczała pomocnicom zadania, nakazywała, zrządziła, burczała i napominała. Nie znosiła ograniczonej przestrzeni wypełnionej beczkami na kiszonki, szatkownicą rozłożoną na stole, workami pełnymi buraków i kapusty. Dlatego na widok półżywego bociana, którego przywłókł jeden z parobków na wyraźne życzenie Stasia, omal nie dostała apopleksji. Przez dobrą minutę patrzyła oniemiała, po czym rozpostarła ramiona i chwyciwszy ścierkę zaczęła nią machać, próbując pozbyć się intruza.

– A pójdziesz mi stąd! A sio! A sio! – krzyczała.

Ptak był zmarznięty, głodny i wyczerpany. Dlatego nawet nie próbował ucieczki z ciepłej i parnej kuchni. Poza tym ujął się za nim Staś.

– On nie odleciał do ciepłych krajów, dlatego musimy się nim zaopiekować – oświadczył z przekonaniem.

– Kto? – huknęła Aniela i trzepnęła ścierką po bocianich skrzydłach. – Kto niby musi się nim zaopiekować?

Bocian nawet nie drgnął, łypał tylko na nią przerażonymi ślepiami.

– Niech pani Aniela nie krzyczy – upomniał ją Staś. – Babcia Rozalia mówi, że żadnej istocie potrzebującej pomocy nie wolno odmówić.

– A niech cię bogi kochają! – zawołała, załamując ręce. – Ja niczego przecież nie odmawiam, ale może zabierzesz go sobie do stodoły?

– Tutaj cieplej – zauważył Staś. – Bocian musi się ogrzać. I trzeba dać mu jeść.

Aniela, która dostrzegła chichoczącą Kazię i ledwie powstrzymującą się od śmiechu Wiesię, wściekła się jeszcze bardziej.

– Dać mu jeść? A co? Może żaby? – wzięła się pod boki i wytrzeszczyła oczy tak, że sama wyglądała jak ropucha, co niezmiernie rozbawiło Stasia.

– Tatuś powiedział, że bociek je myszy i robaki, ale może też jeść mięso – oznajmił, poważniejąc.

– Aha, mięso – burknęła Aniela, ale podeszła do kredensu, gdzie czekała ładna sztuka wieprzowiny na pieczeń. Odkroiła mały kawałek i podała Stasiowi.

– Masz, daj mu. Niech do ciebie się przyzwyczaja, nie do mnie.

Chłopiec rzucił kęs i z zadowoleniem przyglądał się, jak znika w ptasim dziobie.

– Zjadł! – zawołał zachwycony.

– Jeszcze by nie – mamrotała Aniela, odkrawając następny kawałek. – Jeśli nie będzie dzisiaj obiadu, będziesz tłumaczył się przed swoją babcią, że bocian zjadł pieczeń.

Wiesia przerwała ubijanie kapusty, spojrzała na Stasia i powiedziała całkiem poważnie:

– Pan Bóg to kiedyś Stasiowi wynagrodzi, bo bocian dawniej był człowiekiem.

– Co za bzdury opowiadasz dzieciakowi? – oburzyła się Aniela i wcisnęła Stasiowi do ręki kolejny kawałek mięsa. Sama patrzyła z przyjemnością, jak ptak łakomie je pochłania.

– Moja matula opowiadała, że Bóg dał kiedyś człowiekowi worek gadów i zabronił mu do niego zaglądać. Kazał mu wrzucić go do rzeki lub ognia, zakopać go w wielkim dole albo zanieść na szczyt najwyższej góry. Ale człowiek jak to człowiek, był ciekawy. Worek rozwiązał, a wtedy wszystkie gady zamieniły się w złe duchy i rozpełzły po ziemi. Bóg się zezłościł i za karę zamienił człowieka w bociana. Tylko zabijać go nie pozwolił, bo to przyniesie temu, kto go zabije, nieszczęście. Żeby je odwrócić, trzeba będzie bociana pochować na cmentarzu w trumnie, z całym przysługującym ceremoniałem, bo on ma ludzką duszę.

– Ot, gadanie dla samego gadania – bąknęła pod nosem Aniela, ale odkroiła od pieczeni jeszcze większy kawałek mięsa i podała Stasiowi.

– A ja słyszałam – wtrąciła Kazia – że to błogosławione ptaki, bo co roku latają na świętą ziemię. A wrasając psynosą malutkie dzieci. Zosię też psynióśł bosiek – zażartowała.

– Nieprawda – zaprotestował Staś. – Zosię urodziła mamusia i od tego umarła.

Po tych słowach w kuchni zaległa cisza. Wiesia z Kazią popatrywały po sobie, Aniela zaś zatrzasnęła mięso w kredensie i rzuciła z niejaką

pretensją:

– Koniec. Więcej mięsa bocian nie dostanie. Zabierzcie go do komory, niech myszy łapie.

Po obiedzie, na którym jednak pojawiła się pieczeń, Edward poszedł do swojego gabinetu. Miał do przemyślenia kilka spraw i nie chciał, żeby ktoś mu przeszkadzał. Na szczęście wuj coraz rzadziej do niego zaglądał. Zamiast tego kręcił się po korytarzach i sam nie wiedział, czego chce. To bardzo niepokoiło Rozalię, bo za zachowaniem Zygmunta najpewniej kryła się choroba. A to wróżyło poważny ambaras dla tych, którzy będą musieli się nim opiekować. Rozalia, która od lat pomagała chorym, nieraz widywała takie przypadłości. Nawet doktor nie mógł nic na nie poradzić.

Edward zajrzał do ksiąg rachunkowych, przejrzał korespondencję, a potem zadumał się nad Borisem. Minęły dwa tygodnie, odkąd zamieszkał z Malwiną po drugiej stronie jeziora. Wprawdzie Kajetan regularnie dostarczał im prowiant, a Boris, ignorując środki ostrożności, palił wieczorami w przysadzistym piecu chrustem, który Malwina za dnia po lesie zbierała, Edward jednak zdawał sobie sprawę, że im bliżej zimy, tym pilniejsza konieczność zabrania ich stamtąd. Nie mógł jednak zrobić żadnego ruchu, dopóki nie wyjaśni się sprawa Zawiorsty. Strażnicy byli w Przylipiu niemal codziennie i usiłowali przepytac Zygmunta, który nie był zdolny do żadnej logicznej rozmowy. Na domiar złego nie zgłosił się ani jeden świadek, a Marianna Wygwizdoł i Franciszka Chruścik, które kręciły się tego wieczoru przy karczmie, przysięgały, że wprawdzie słyszały dwukrotny wystrzał, lecz niczego nie widziały.

Edward wypalił fajkę, chwycił kapelusz i wypadł na dziedziniec.

– Poldek! – zawołał na stajennego. – Szykuj klacz.

Nie mógł dłużej znieść milczenia Danickiego, dlatego postanowił wybrać się do Olszówki.

– Ho, ho! Kogo moje oczy widzą! – Antoni zbiegł po kilkunastu schodach z ganku i uścisnął serdecznie przyjaciela. A to Helenka się ucieszy, bo nie dalej jak wczoraj narzekała, że nikt do nas ostatnio nie zagląda.

– Taka sama droga i do nas – zaśmiał się Edward i poklepał Antoniego po ramieniu.

– Niby racja, ale coś się nie składało – rzekł Danicki i umknął wzrokiem. – Chodźże, rozgrzejesz się naleweczką – zapraszał do środka.

Edward zatrzymał się w pół kroku.

– Mam do ciebie prośbę, Antoni – rzekł przyciszonym głosem. – Chętnie zobaczę się z Heleną następnym razem, ale teraz zależy mi na poufnej rozmowie.

– Dobrze – zgodził się natychmiast Antoni. – W takim razie chodźmy do mojego gabinetu.

Gustownie urządzone ciemnymi meblami pokój był znacznie większy od tego, w którym pracował Edward. Pod oknem stało ciężkie biurko i wyściełane aksamitem krzesło z gładko polerowanymi poręczami. Obok dębowa szafa, z której Danicki wyjął koniak i dwa kieliszki. Zasedli przy niskim, bogato zdobionym stoliku naprzeciw siebie, na obitych skórą fotelach.

– I cóż? Klęska – zainicjował rozmowę Antoni. – Przegraliśmy nierówną walkę, co? Rosja carska górą. A ja ci powiem, Edwardzie, że nie odzyskaliśmy niepodległości, bośmy słabo się o nią dobijali. Za mało wysiłku, za mało chętnych, żeby walczyć o niezależność do ostatka, bez kompromisów, z całych sił!

– Nas też tam nie było – zauważył ze skruchą Edward.

– E – machnął ręką Danicki. – Co my? Ja nie o takich jak my, mówię. Odpowiedzialni są ci, co mają największy wpływ na opinię publiczną, na resztę społeczeństwa, którzy mają w rękach zasoby całego narodu!

Napełnił kieliszki i ciągnął dalej:

– Powiem ci jedno, mój drogi, mieliśmy dużą szansę, bo nigdy Polacy tak silni, tak zdeterminowani nie byli, jak dwudziestego dziewiątego listopada tamtego roku.

Przed oczami Edwarda natychmiast pojawiła się blada, umęczona twarz Elizy, która dokładnie tamtej nocy oddała ducha. Ale Antoni nie o tym przecież mówił.

– Ilu młodych patriotów porwało się na tę walkę, całe społeczeństwo popierało ich, marzyło o zrzuceniu niewoli. Ja ci powiem, Edwardzie, gdyby nie ta dowódcza nieudolność, bylibyśmy dziś wolni.

– Możliwe, Antoni. Zapewne masz rację – bąknął i upił łyk koniaku. To, o czym mówił Danicki było ważne, ale on przyjechał tu z inną sprawą. Mimo to, podjął temat: – To wina rządzących. Trzeba było przyciągnąć do powstania chłopów. Dlaczego odrzucono ten projekt?

– Nie, to sami chłopci nie chcieli – sprostował Antoni. – Pamiętasz, generał Skrzynecki wydał rozkaz o powołaniu pospolitego ruszenia. Chłopci wcale się tym nie zainteresowali.

– Bo nic, by z tego nie mieli, Antoni. Dokument nie uwalniał ich od poddaństwa. Nasz rząd przez własne interesy paraliżował powstanie od samego początku.

– Tak. A jednak powstanie wybuchło. Przegraliśmy. Włos mi się jeży, jakie będą tego skutki. Rosja się zemści, wspomnisz moje słowa.

– Wiem, Antoni, wiem. I o tym porozmawiamy. Ale dzisiaj z czym innym przyjechałem.

– Stało się co? – zapytał i znów napełnił kieliszki.

Edward spojrział na przyjaciela z niedowierzaniem.

– Nie twierdzisz chyba, że zapomniałeś o tej sprawie w karczmie.

– Nie zapomniałem. Ale czasu się nie cofnie. Co się stało, to się nie odstanie. Dobrze, że Borisa schowałeś.

– Schowałem. Ale ty przecież wiesz, że to nie Boris strzelał.

Danicki spiorunował Edwarda wzrokiem, następnie wstał i przeszedł się po gabinecie.

– Słyszałeś coś? – zapytał. – Kto mówił?

– Sam Boris. Twierdzi, że wszystko widziałeś. Strażnicy od dwóch tygodni szukają świadków.

Antoni cofnął się, usiadł znów, wypił duszkiem koniak i napełnił kieliszek.

– Posłuchaj, Edwardzie – rzekł półgłosem. – To prawda, że widziałem. Dlatego nie pcham się strażnikom przed oczy. Ty zdajesz sobie sprawę, że obciążylibym twojego wuja? Wiem, kto strzelał i ani myślę o tym mówić.

– Może ktoś jeszcze widział? – szepnął Edward.

– Nie. Nie było tam nikogo. Jeśli twój wuj się nie przyzna, nie znajdą żadnego dowodu.

– Mają dowód – stwierdził posępnie Edward. – Flintę. Jeśli nie będzie świadków i tak oskarżą wuja.

– Niech się broni. Strzelbę mógł zabrać Zawiorsta, przecież u was mieszkał.

– On się nie obroni. Od tamtej nocy coś mu się stało. Chodzi po domu, jakby obuchem dostał. Nic nie pamięta.

– W takim razie pójdę do tych strażników. Powiem, że Zawiorsta był pijany. Najpierw mierzył do Stalickiego, a potem strzelił sobie w łeb.

Edward uniósł do góry kieliszek, zakołysał nim i przez chwilę obserwował, jak bursztynowy płyn spływa po jego brzegach. Potem z wdzięcznością spojrzął w oczy Danickiego.

– Dziękuję, Antoni – powiedział.

Ten uśmiechnął się tylko i trącił jego kieliszek.

– Pij, przyjacielu. Tyle naszego... Ale powiedz, jak tam twoja bogini?

– Która bogini? – zmieszał się.

– O, to masz ich więcej? – zaśmiał się Danicki. – Ta wiewióreczka, moja imienniczka.

– Antonina! – Edward klepnął się po kolanach. – Dzielna z niej kobietka. Podoba mi się.

– No widzę, bo zaraz się ożywiłeś. To żeń się, na co czekasz?

– Nie, nie, Antoni. Jeszcze za wcześnie. To nie w porządku przed Elizą.

– Ech, więzisz wspomnienie jak zwierzę w klatce. Tymczasem pamięć pielęgnuje się tam, gdzie nie ma nadziei na nowe. Odpuść już, jej życia nie wrócisz, ale sobie tak. Przy boku kobiety. Mówię ci, gdybym nie miał Heleny...

– Wiem, wiem – przerwał mu Edward. – Wtedy miałbyś Malwinę, myłę się? – przeszył go wzrokiem.

– Nie, nie mylisz się – przyznał Danicki. – Miałbym Malwinę.

Do domu wracał o zmierzchu. Wiatr w grzywie Nimfy, lekkość i alkohol, który szumiał w głowie, cisnęły na usta melodię zasłyszaną od Malwiny, rosyjską dumkę. To było wtedy, gdy Antonina wyjęła Borisowi kulę, a potem całowała jego, Edwarda, przyciskając do zbutwiałej trawy. Nieważne były pobudki, całowała go, a on czuł smak jej ust, zapach, krągłość piersi przez sukienkę. Znów jej zapragnął, znów zatęsknił tak bardzo, że stracił oddech.

Z daleka ujrzał światła w oknach dworku.

Z kuchni dochodził zapach kminku i kapusty, ale też gwar i wesołość. Dlatego nawet tam nie zaglądał. Doskonale wiedział, że nie usłyszy w tym śmiechu matki.

Rozalia w swoim pokoju po raz kolejny odczytywała list od Eulalii. Mogła to robić do woli, ponieważ składał się zaledwie z kilku zdań. Kiedy Edward uchylił drzwi, skinęła na niego i podała mu ledwie w połowie zapisaną kartkę.

– Czytaj, to od Eulalii – powiedziała.

Tak jak stał, w butach i palcie przysiadł na krześle i przebiegł wzrokiem po drobnych literkach kuzynki.

Droga moja Rozalio.

Otóż on nie wrócił. Wojna się skończyła, a mojego Witusia nie ma. Czekam każdego dnia, otwieram drzwi na każdy odgłos na schodach, godzinami wystaję przy oknie jednym, drugim... A jego nie ma. I wieści o nim żadnych. Nie, nie pocieszaj mnie. Gdyby żył, nie zostawiłby tak matki. Ja to wiem, serce mi podpowiada. Och, cóż za okrutny los! Najpierw Henryk, a teraz jedyny syn. Dlaczego Bóg zesłał mi tyle cierpień?

Tymczasem żyć trzeba dalej. I radzić sobie z dwiema kamienicami. Muszę Ci powiedzieć, droga Rozalio, że jestem u kresu sił. Potrzebny mi zarządca. Szukam w Warszawie uczciwego i bystrego człowieka, ale czy to idzie w parze? Jak bystry, zaraz korzyści dla siebie szuka. Wybacz, że się wyżalam, ale komu, gdy teraz mam tylko Ciebie?

Bardzo chciałabym przyjechać do Przylipia, lecz nie zostawię przecież kamienic. No i może Wituś któregoś dnia powróci? Trzeba w to wierzyć, trzeba wierzyć. Zostań w zdrowiu, Kochana.

Twoja Eulalia.

Edward starannie złożył list i wsunął go do koperty.

– Może Witold trafił do niewoli? – mruknął bardziej do siebie niż do matki. – Może by tak Borisa wysłać do kuzynki?

Na żadne z zadanych sobie pytań nie otrzymał odpowiedzi. Ani od siebie, ani od matki. Idąc do gabinetu, spotkał na korytarzu Zygmunta, który na widok bratanka zatarł ręce i przymrużył oko.

– Czekałem na ciebie – oznajmił z zadowoleniem. – Może by tak fajeczkę z rana?

– Chodźmy, wuju, na fajeczkę – westchnął i ujął go pod rękę.

W jadalni Józia nakrywała stół do kolacji.

Apan czego tu znowu szuka? – warknęła Aniela, rzucając kosym okiem na kręcącego się po kuchni Zygmunta. – Wina nie ma!

Spojrzał nieprzytomnie, pokiwał głową i wyszedł. Wiesia zerknęła na Kazię, ale ta nawet nie podniosła oczu znad ciasta, które zagniałała na makaron.

– Pani Aniela nie powinna krzyczeć na pana Zygmunta – napomniała nieśmiało kucharkę Wiesia. – Widać przecież, że coś mu się z głową porobiło. To nie jego wina.

– Nie jego? – Kazia przerwała ugniatanie ciasta i chwyciła się pod boki. – Jakby tyle nie pił, to i głowa pracowałaby jak tseba.

– Jakby tyle nie pił – prychnęła Wiesia. – A sama widziałam, jak pod fartuszką nosiłaś mu wino z piwnicy.

Kazię oblał rumieniec i oczami zaczęła dawać Wiesi znaki, ale było już za późno. Aniela odłożyła nóż, którym kroila cebulę, ręce wytarła w ścierkę i powoli zbliżyła się do Kazi.

– Czy mnie uszy nie mylą? – zapytała nad wyraz spokojnie. Kazia wiedziała, że taki ton nie wróżył nic dobrego. – To ty kradłaś z piwnicy wino, nad którym nasza pani tak rozpaczała? Ty?

Kazia cofnęła się o dwa kroki. Oczy miała okrągłe z przerażenia.

– Niech Aniela tak na mnie nie patsy – szepnęła, po czym zakryła twarz fartuszkiem.

– Ty brałaś wino? – powtórzyła groźnie Aniela i gwałtownym szarpnięciem odsłoniła twarz Kazi. – Pytam: ty?

– Ja – wydukała. – Dla niego...

– Skąd wzięłaś klucz?

– Nie miałam klusa. Otwierałam drutem.

– Na litość boską! Drutem! – zawołała ze zgrozą Aniela. – A kto cię takiej sztuki nauczył?

– Nie mogę powiezieć – chlipnęła przestraszona Kazia. – Proszę, niech Aniela nie mówi nasej pani...

– A jużci, nie powiem – sapnęła Aniela i natychmiast ruszyła do drzwi.

Zrozpaczona Kazia osunęła się na krzesło i rozpłakała się na dobre.

Staroświecka komoda ziała otwartymi drzwiczkami, łypała pozłacanymi uchwytnymi szufladek, w których srebrzyły się igły, chichotały drewniane guziczki, rozpychały się szpulki z jedwabnymi nićmi. Rozalia przebierała w resztkach wełny, rozgarniała kolorowe ścinki materiału. Zbliżało się Boże Narodzenie, czas najwyższy zająć się przygotowaniem upominków dla służby i folwarcznych dzieci. Zwykle pomagała jej w tym Eliza, teraz jednak musiała liczyć tylko na siebie. Może w przyszłym roku Antonina zajmie miejsce synowej? – pomyślała z nadzieją. Pochłonięta pracą, ledwie dosłyszała pukanie do drzwi. Poza Edwardem i Maryną nikt nie miał w zwyczaju jej tu niepokoić. Ale Maryna uporządkowała pokój jeszcze przed śniadaniem, syn natomiast zaglądał do niej jakąś godzinę temu. Zapowiedział, że wybiorą się z Kajetanem na drugą stronę jeziora. Nieoczekiwanie wczorajszego przedpołudnia strażnicy zwrócili flintę. Prężąc się służbiście, oświadczyli, że znalazł się świadek zajścia

w karczmie, a ponieważ chodzi o śmierć samobójczą, sprawa zostaje zamknięta. Widać było, że skwapliwie chwycili się wersji Danickiego, a zakończenie tego beznadziejnego śledztwa przyniosło im ulgę. Edward, uznawszy, że więcej Zygmunta nie będą nachodzić, postanowił przywieźć Borisa i Malwinę do Przylipia.

Pukanie powtórzyło się. Leciutko, jakby skrobała mysz.

– Proszę – odezwała się niechętnie i obejrzała na drzwi.

Aniela, zwykle zadziorna i pewna siebie, stała w progu dziwnie zakłopotana. Wyraźnie miała coś ważnego do powiedzenia i czekała na zaproszenie.

– Wejdz – rzuciła Rozalia, podniosła się z niskiego stołeczka i zaintrygowana stanęła naprzeciw kucharki. – Cóż to się stało?

– Proszę pani – Aniela czuła się niepewnie, przestępowała z nogi na nogę, a w pulchnych dłoniach miętoszyła troczek od fartuszka. – Ja nigdy nie mówię takich rzeczy – wybąkała wreszcie. – Co tam się dzieje w kuchni, to się dzieje, wszystko rozwiązujemy same. Pani Rozalia ma dość innych kłopotów, więc co ja tam będę pani Rozalii głowę głupstwami zawracać... – zamilkła, jakby nic więcej nie miała do powiedzenia.

Rozalia wpatrywała się w jej twarz wyczekująco.

– No! – zachęciła po wydłużającym się milczeniu. – Mów. Stało się coś w kuchni?

– W kuchni? – wytrzeszczyła oczy Aniela. – A co się mogło stać w kuchni?

– No więc o co chodzi? – zniecierpliwiła się Rozalia.

– O nic – obruszyła się Aniela. – Ja właśnie przyszłam powiedzieć, że skoro pani Rozalia tyle ma innych kłopotów, to niech o kuchnię się nie kłopotuje. Tam jest zawsze wszystko w porządku. Wszystko w porządku – powtórzyła i wyszła z dumnie uniesioną głową.

Po cóż skarżyć na Kazię, skoro Zygmunt i tak nie pamięta, kto mu wino przynosił. Niech już tak zostanie, że sam kradł.

– A cóż to za dziwo? – mruknęła osłupiała Rozalia, gdy za Anielą zamknęły się drzwi.

Kajetan płynął pierwszy. Na łódce wiózł pierzyny, koce, i wszystko, co się przez trzy tygodnie w starej chałupie nazbierało. Na drugiej łodzi Edward z Borisem i Malwiną na pokładzie. Boris rozglądał się bacznie, wojowniczo, gotów na atak lub skok w głębinę na widok podejrzanych osób. Malwina spokojna, opanowana i jak zwykle chmurna. Od czasu do czasu pochylała się i zagarniała dłonią lodowatą wodę.

Edward milczał. Dyskretnie spoglądał w ich twarze, próbując odgadnąć stopień zażyłości tych dwojga, lecz nic nie wskazywało na to, by prócz przyjacielskich relacji coś ich łączyło.

– Boris – zdecydował się przerwać ciszę.

– Co tam? – mruknął tamten.

– Nie możesz zostać w Przylipiu, wiesz o tym, prawda?

Malwina poprawiła się nerwowo na ławce, a twarz Borisa wykrzywiła się w kąśliwym uśmiechu.

– Ot, ja czekał tylko, kiedy mnie to powiesz – pokręcił głową.

– To byłoby nierozsądne – ciągnął Edward. – I nie tylko o strażników chodzi, oni może już nie przyjdą. Obawiam się raczej waszych tajniaków.

– Co to znaczy naszych? – zaperzył się Boris.

– Carskich tajniaków. Rosyjskiej policji politycznej – wyjaśnił Edward. Boris zacisnął zęby.

– Ty mi nie wypominaj, że ja ruski – wycedził.

Malwina znów poruszyła się niespokojnie i mocniej zacisnęła palce na ławce.

– Niczego ci nie wypominam. Szanuję twoje pochodzenie, tak samo jak ty powinienesz szanować moje. Na wojny i decyzje rządzących nie mamy wpływu. Ale my, Polacy, przegraliśmy. Carska policja nie patyczkuje się. Ciebie za dezercję, a mnie i moją rodzinę za ukrywanie ciebie, czeka zsyłka. Musisz wyjechać.

Boris zwiesił głowę, zadumał się.

– Ja to rozumiem – odezwał się po długiej chwili. – Tylko gdzie mnie uciekać?

– Ja myślę, że tam, gdzie dużo ludzi. W tłumie najłatwiej się zgubić. Jedź do Warszawy.

Malwina uniosła głowę i wbiła w Edwarda dziwne spojrzenie, z którego niczego nie zdołał wyczytać.

– Do Warszawy? – przestraszył się Boris. – Tam to dopiero naszych pełno!

– Wiem. Potrzebne ci nowe dokumenty, będziesz musiał je zdobyć. Po polsku rozumiesz, popytasz, dowiesz się. Wszystko można kupić, fałszywe papiery też. A o pracę się nie martw, nasza kuzynka ma dwie kamienice, potrzebuje zarządcy, pomożesz jej.

Boris znów zamilkł. Długo, bardzo długo wpatrywał się w twarz Edwarda.

– Niech ci Bóg pobłogosławi – wykrztusił w końcu.

– Oby ci się udało – westchnął Edward.

Powolutku, dyskretnie dłoń Malwiny oderwała się od ławki i jak zgłodniały wąż podpełzła do ręki Borisa. Chwycił ją łakomie, zamknął w klatce mocnych palców. Potrafiła już czytać jego dotyk, słowa przenikały między nimi, wibrowały, odzwierciedlały w pociemniałych oczach niecierpliwie pytania i sekretne odpowiedzi.

Ledwo dostrzegalny uśmiech przemknął po twarzy Edwarda.

Miłość to taka gra wymyślona przez ludzi. Uskrzydla albo szarpie ostrymi zębami. Uszczęśliwia lub dławii tęsknotą, zostawia puste miejsca.

Poczuł rybi zapach jeziora. Napiłby się teraz. Może nie wody, raczej mocnego wina. Bo zabolalo, że ona odjedzie z nim, zabierze swoją urodę, tańczący warkocz i dumne spojrzenie. Zabolalo. Skarcił się za ten ból.

Małe, brązowe buteleczki lśniły na podręcznym stoliku Rozalii. Za chwilę wypełni je ziołowa mikstura, antidotum na choroby, które lubią zaatakować osłabione jesienną słońcą organizmy. W kuchni było już pusto. Wiesia skończyła właśnie szorowanie podłogi, Kazia, dziwnie ostatnio spłoszona, odstawiła do kredensu ostatni umyty i wytarty do sucha talerz, Aniela zaś, na widok świecznika w ręku pani Stalickiej, czym prędzej zdmuchnęła cuchnące łojówki i pospiesznie opuściła kuchnię. Wiedziała, że Rozalii nie należy przeszkadzać. Spędzi teraz sporo czasu nad swoimi nalewkami i tajemnymi maściami na grzybicę, liszaje, artretyzm i Bóg jeden wie jakie jeszcze choroby.

Małe okienko niewiele światła wpuszczało w ciągu dnia, za to noc wlewało strumieniami, napełniało nią wnętrze i jedynie wokół lichtarza roztaczały się kręgi świetlistej aureoli. Dlatego nietrudno było ukryć się w mroku kuchennego kąta, jak dawniej, kiedy był małym chłopcem, a matka układała go do snu. Zawsze wstawał jeszcze, bezszelestnie wsuwał się do jej pokoju i przyglądał się z daleka skupionej na cerowaniu twarzy, siateczce pierwszych zmarszczek i wysuwającym się spod czepka pojedynczym srebrnym nitkom włosów. Wystarczyło znieruchomieć i wstrzymać oddech, by niczego nie dostrzegła. Zygmunt nie pamiętał, kim jest ta kobieta, ale przypominała mu matkę, więc lubił wieczorami na nią patrzeć.

Na dziedzińcu wiatr przeganiał ostatnie liście, ze stajni dobiegło rżenie Nimfy, gdzieś z daleka słychać było szczekanie psów.

Policzek Edwarda przywarł do pachnącej rumiankiem poduszki. Pod powiekami twarz Antoniny zbliżała się, olbrzymiała, pulsowała oddechem. Znow tęsknił. Zanim zasnął, pomyślał, że jutro ją zobaczy.

Nie zapalał świec, przyszła we śnie, więc pragnął, żeby została tajemnicą. Krążył wokół niej, delektował się oczekiwaniem na spełnienie. Miał już w niej ulubione miejsca, obmyślane pieszczoty. Lepka, trochę cierpka słodycz wypełniała powietrze. Przypominała, jak smakuje miłość. Potem oplątał ją ciemnością, miedziane włosy zasypywały poduszki, krawędzie łóżka. Zanurzył w nich palce, dłonie, siebie całego, uchwycił ten cierpki zapach. Łakomie przełknął rozkosz i zatonął w niej jak w skłębionej zwiewnej mgle.

SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Karta redakcyjna](#)

Składam serdeczne podziękowanie pani Sewerynie Galus-Śliwińskiej za poświęcony mi czas, udostępnione materiały i podzielenie się rodzinnymi wspomnieniami, którymi inspirowana jest ta powieść.

Dziękuję również historykowi, panu Wojciechowi Guszowskiemu, za udzieloną konsultację.

Copyright © 2022 by Ewa Cieleśz

Copyright for this edition © 2022 by Axis Mundi

REDAKCJA I KOREKTA: Agnieszka Sabak

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski

WYDANIE I

ISBN 978-83-66451-20-9



Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek